



TYGBYŚTY  
W PORZE  
CZERWIENI  
LIZA KLAUSSMANN

Prószyński i S-ka

# Klaussmann Liza

## Tygrisy w porze czerwieni

Ameryka, lata 50. XX wieku. Nick i jej kuzynka, Helena, spędziły beztroskie dzieciństwo we wspaniałej rodzinnej posiadłości znanej jako Tiger House. Teraz wynajmują wspólnie dom w Bostonie i snują plany na przyszłość. Tuż po zakończeniu drugiej wojny światowej wszystko zdaje się być na wyciągnięcie ręki i obiecywać lepszy, szczęśliwy los. Owdowiała w czasie wojny Helena wyjeżdża do Hollywood, gdzie ma wyjść ponownie za mąż za atrakcyjnego młodego producenta filmowego, a Nick nie może się już doczekać przenosin na Florydę do własnego męża, Hughesa, który niedługo po ich ślubie zaciągnął się do marynarki wojennej. Wkrótce jednak złudzenia zaczynają pryskać. Mąż Heleny nie jest mężczyzną, jakim się wcześniej wydawał: całą uwagę koncentruje na urzeczywistnieniu swojego jedyne, mało realnego życiowego planu i potrzebuje w tym celu pieniędzy Heleny. Hughes natomiast wrócił z wojny chłodny i nieprzystępny, i Nick musi się pogodzić z obojętnością męża. Piętnaście lat później, Nick i Helena wraz z dziećmi wracają do Tiger House. Podczas gdy obie matki starają się odzyskać dawne poczucie nowych możliwości, ich nadzieje zakłóca ponure odkrycie dokonane przez dzieci – zwłoki ofiary brutalnego zabójstwa. Nagłe wtargnięcie przemocy w pozornie spokojną rzeczywistość Wyspy wydobywa z cienia prywatne problemy wszystkich członków rodziny i sprawia, że kolejne ich sekrety wychodzą na jaw. Bohaterowie zaczynają zbaczać z orbit wyznaczonych im przez codzienność i nic w ich życiu już nigdy nie będzie takie samo...



## 1945, WRZESIEŃ

- Ja tam nie wiem, czy to błogosławieństwo, czy przekleństwo - powiedziała Helena.

- Coś się jednak zmienia - odparła Nick. - Koniec z tymi cholernymi przydziałami na kartki. Koniec z jeżdżeniem wszędzie autobusem. Hughes mówi, że kupił buicka. Alleluja!

- Bóg raczy wiedzieć, skąd go wytrzasnął - stwierdziła Helena. - Może od jakiegoś pasera?

- Kto by się tym przejmował - rzuciła Nick, leniwie wyciągając ręce w stronę nocnego nieba Nowej Anglii.

Siedziały na tyłach domu przy Elm Street, w samych halkach, i popijały czysty gin ze starych pojemników po dżemie. Tak gorącego babiego lata nie pamiętali w Cambridge nawet najstarsi.

Nick przyjrzała się chyboczącemu się na parapecie gramofonowi. Igła przeskakiwała po płycie.

- Tak gorąco, że można tylko pić - powiedziała, znów opierając głowę na rdzewiejącym oparciu ogrodowego krzesła. Louis Armstrong zaciął się i nie przestawał powtarzać, że ma prawo śpiewać bluesa. - Kiedy pojedę na Florydę, pierwsze, co zrobię, to namówię Hughesa, żeby kupił mi całą masę porządnych igieł.

- Co za facet! - westchnęła Helena.

- Wiem - odparła Nick. - Naprawdę jest zbyt piękny. A do tego jeszcze buick i porządne igły gramofonowe. Czego więcej mogłaby pragnąć dziewczyna?

Helena zachichotała w swój słoiczek. Usiadła prosto.

- Chyba się upiłam.

Nick postawiła szkło na poręczy tak energicznie, że aż zadrżał metalowy fotel.

- Trzeba zatańczyć.

Rosnący na dziedzińcu dąb robił z księżycy wycinankę. Niebo zdążyło już przybrać głęboki kolor północy, pomimo ciepła panującego w powietrzu, w którym wciąż trwały zapachy lata. Jakby nikt nie zdążył powiedzieć trawie, że minęła właśnie połowa września. Nick słyszała nocne dumania kobiety w sąsiednim, trzy poziomowym domu. Posmak końca tygodnia.

Spojrzała na Helene, poruszającą się po trawie tanecznym krokiem na trzy. Tak, Helena mogła się zamienić w taką kobietę, pomyślała Nick. Z tym jej ciałem jak wypolerowana wiolonczela i z wojennym narzeczonym. Ale kuzynce udało się zachować świeżość, piaskowe loki i gładką skórę. Nie zbladła jak inne, które szły do łóżka z o jednym nieznanym za dużo, okaleczonym wkrótce przez minę czy podziurawionym kulami szmajsera. Nick widywała je, jak wędzną na racjonowanych produktach albo ukradkiem wymykają się z budynku poczty, zagrożone rozplynięciem się w nicości.

Ale Helena po raz kolejny miała wyjść za męż.

- Znów się wydajesz! - zawołała nieco zawiana Nick, jakby ta myśl po raz pierwszy zawitała jej do głowy.

- Wiem. Niewiarygodne, co? - westchnęła Helena, opierając na plecach Nick ciepłą dłoń. - Pani Avery'owa

Lewis. Myślisz, że to brzmi równie dobrze, jak pani Charlesowa Fenner?

- Brzmi ślicznie - skłamała Nick, obracając Helenę w kółko i odsuwając od siebie.

W jej uszach w nazwisku Avery'ego Lewisa pobrzmiwało dokładnie to, co zapowiadał wygląd właściciela: hollywoodzki kandydat na gwiazdora albo agent ubezpieczeniowy udający, że spotykał się kiedyś z Laną Turner czy o kim on tam zawsze plótł.

- Fen pewnie by go polubił, wiesz?

- O nie. Fen by go nie cierpiał. Fen był chłopcem. Słodkim chłopcem.

- Kochany Fen.

- Kochany... - Helena przerwała taniec i podeszła do słoiczka czekającego na nią na oparciu fotela. - Ale teraz mam Avery'ego. - Napiła się. - I przenoszę się do Hollywood. I może będę miała dziecko. W ten sposób przynajmniej nie zamienię się w starą pannę, zbzikowaną, taką z brodawkami na nosie. W piąte koło u wozu przy waszym kominku, obok ciebie i Hughesa. Niech Bóg broni!

- Żadnego piątego koła, żadnych brodawek. A na dodatek Avery Lewis w liczbie sztuk raz.

- Tak, teraz każda z nas będzie miała kogoś dla siebie. To ważne - powiedziała Helena z namysłem. - Zastanawiam się tylko... - urwała.

- Nad czym? - Nick chrupała lód.

- No, czy... Czy z Averym będzie tak samo? Wiesz, tak jak było z Fenem.

- Chodzi ci o łóżko? - Nick odwróciła gwałtownie twarz w stronę kuzynki. - A niech mnie kule biją! Czyżby dziewczyna Helena naprawdę wspominała o tym akcie?

- Jesteś wredna - powiedziała Helena.  
- Wiem - zgodziła się Nick.  
- Upiłam się... Ale naprawdę się zastanawiam. Fen to jedyny chłopak, którego kochałam, to znaczy: przed Averym. Ale Avery to mężczyzna.

- Jeśli go kochasz, na pewno będzie po prostu cudownie.  
- Oczywiście, masz rację. - Helena dopiła gin. - Och, Nick. Jakoś nie mogę uwierzyć, że wszystko się zmienia. Takie tu byliśmy, mimo wszystko, szczęśliwe.

- Nie roztkliwiaj się. Będziemy się widywać co lato. Chyba że twój nowy mąż ma alergię na Wschodnie Wybrzeże.

- Będziemy jeździły na Wyspę. Tak samo, jak nasze matki. Domy tuż obok siebie.

Nick uśmiechnęła się na myśl o Tiger House, o jego widnych pokojach, o rozległym, zielonym trawniku, który zlewał się w oddali z błękitem zatoki. I o małym, słodkim wiejskim domku tuż obok, postawionym przez jej ojca w prezencie dla matki Heleny.

- Domy, mężowie i imprezy z ginem o północy - powiedziała. - Nic się nie zmieni. A już na pewno nie w jakiś znaczący sposób. Będzie tak, jak zawsze.

Pociąg Nick z Bostonu miał opóźnienie i teraz musiała się przepychać przez tłum na Penn Station. Wszyscy gdzieś się śpieszyli, w zamęcie bagaży i kapeluszy, pocałunków i zapodzianych biletów. Helena na pewno jest już w połowie drogi przez kraj, pomyślała Nick. Ona sama zamknęła mieszkanie i przekazała gospodyni ostatnie instrukcje, gdzie wszystko ma zostać przesłane: pudła powieści i poezji na Florydę, walizki pełne gorsetów do Hollywood.

Pociąg, kiedy wreszcie do niego wsiadła, pachniał bielinką i ożywieniem. Eskapada „Havana Spécial”, ekspresem, który zapewniał bezpośrednie połączenie Nowego Jorku z Miami, miała być jej pierwszą w życiu samodzielną całonocną podróżą. Nick co chwila przysuwała nos do nadgarstka i wdychała zapach konwaliowych perfum, jakby to były sole trzeźwiące. Trochę jej się od tego wszystkiego kręciło w głowie i omal nie zapomniała dać bagażowemu napiwku.

W przedziale w wagonie sypialnym położyła walizkę na stojaku i otworzyła zamek. Jeszcze raz przejrzała zawartość, sprawdzając, czy czegoś nie zapomniała. Jedna nocna koszula do pociągu (biała) i jedna przeznaczona dla oczu Hughesa (zielona, ze szlafrokiem do kompletu). Dwie jedwabne halki w kolorze kości słoniowej, trzy dobrane do nich komplety jedwabnych majtek i staników, też w kolorze écru (będzie mogła przepierać je co drugi dzień, dopóki do St. Augustine nie dotrze reszta jej rzeczy), saszetka na kosmetyki (podróżny flakonik perfum, jedna szminka, czerwoną, cenny krem do rąk Floris, który Hughes przywiózł jej z Londynu, szczoteczka i pasta do zębów, jedna myjka i jedna kostka mydła Ivory), dwie bawełniane sukienki, dwie bawełniane bluzki, jedna para spodni z gabardyny (w stylu Katherine Hepburn), dwie bawełniane spódnice i jeden porządny letni kostium z cienkiej wełny (kremowy). Nick przeliczyła też trzy pary bawełnianych rękawiczek (dwie białe i jedna kremowa) i różowo-zieloną jedwabną apaszkę po matce.

Jej matka uwielbiała tę apaszkę; nosiła ją zawsze, kiedy podróżowała po Europie. Teraz chustka zmieniła właścicielkę. I chociaż Nick na razie jeszcze nie wybierała

się hen, aż do Paryża, droga do Hughesa po tak długiej rozłące, wydawała się wyprawą do Chin.

- Dalej są już tylko smoki - poinformowała walizkę.

Nick usłyszała dźwięk gwizdka. Szybko zatrzasnęła wieko walizki i usiadła. Teraz, kiedy wojna się skończyła, sceny za oknem - kobiety machające chusteczkami, dzieci o zaczerwienionych oczach - nie robiły już wielkiego wrażenia. Nikt nie wyjeżdżał po śmierć, ludzie wybierali się po prostu w odwiedziny do domu wiekowej ciotki czy na jakieś nudne spotkania w interesach, a mimo to wszystko to było ekscytujące. To był nowy świat. A ona jechała na spotkanie z Hughesem! Hughes, wyszeptała imię jak zaklęcie. Teraz, kiedy dzieliła ją od niego zaledwie doba podróży, była przekonana, że zwariuje od tego czekania. Zabawne, jak to się układa. Przetrwiała sześć miesięcy, a tych ostatnich kilka godzin stawało się nie do zniesienia.

Kiedy widzieli się po raz ostatni, była wiosna. Jego eskortowiec przybił do portu remontowego w Nowym Jorku na remont, a Hughes dostał przepustkę. Nocowali na pokładzie USS „Jacob Jones”, w jednej z kajut przeznaczonych dla żonatych oficerów, razem z pchłami. W tej samej chwili gdy Hughes wsunął dłoń pod jej spódnicę, Nick zaczęły swędzieć kostki u nóg. Usiłowała skoncentrować się na czubkach poszukujących jej palców, na jego wargach przy pulsującej na szyi żyłce, ale i tak nie zdołała powstrzymać okrzyku.

- Hughes, w łóżku coś jest!

- Wiem. Jezu...

Oboje szybko pobiegli pod prysznic, gdzie przekonali się, że na nogach mają pełno czerwonych śladów po ukąszeniach, a woda w odpływie wygląda jak kałuża



obsypana drobkami pieprzu. Hughes złorzeczył okrętowi, złorzeczył wojnie. Nick się zastanawiała, czy zauważy jej nagie ciało, ale on tylko odwrócił się do niej plecami i zaczął namydlać.

Zabrał ją jednak do Klubu 21. I to była jedna z tych chwil, kiedy wydawało się, że cały świat sprzysiął się, by ich uszczęśliwić. Hughes, który nigdy nie przyjmował pieniędzy od rodziców i nie pozwalał Nick na wydawanie jej własnych, nie zarabiał wystarczająco na żołdzie porucznika marynarki, żeby stać ich było na posiłek w tym miejscu. Wiedział jednak, jak bardzo Nick kocha opowieści o gangsterach w marynarkach z połyskliwej tkaniny i ich olśniewających dziewczynach, balujących tutaj w czasach prohibicji.

- Możemy sobie pozwolić na dwa martini na głowę i miseczkę oliwek i selera - zapowiedział.

- W ogóle nie musimy tam iść, jeśli nas nie stać - odparła Nick, spoglądając w twarz męża. Malował się na niej smutek. I jeszcze coś, czego nie umiała nazwać.

- Nie - powiedział. - Na to akurat nas stać. Ale potem będziemy musieli wyjść.

Wkroczyli do wyłożonego ciemną boazerią baru, pełnego maskotek i zawieszonych pod sufitem sportowych pamiątek, i Nick natychmiast się zorientowała, jakie wrażenie wywierają jej uroda i młodość. Czuła, jak oczy mężczyzn i kobiet siedzących przy niewielkich stolikach przesuwają się po jej sukience z czerwonego szantungu, a potem odrywają od jej krótkich, gęstych, czarnych włosów. Hughesa uwielbiała między innymi za to, że nigdy nie chciał, żeby przypominała plastikowe blondynki przypinane do ścian w pokojach chłopców jak kraj długi

i szeroki. I takich blondynek nie przypominała. Wygląd miała nieco zbyt surowy, linie ciała nieco zbyt kanciaste, żeby uznać ją za ładną. Czasami miała wrażenie, że bierze udział w niekończącej się batalii, w której usiłuje udowodnić światu, że odmienność czyni ją kimś szczególnym, wyrazistym. Ale tutaj, w wielkomijskim Klubie 21, poczuła się na swoim miejscu. To wewnątrz pełne było kobiet o nowoczesnej sylwetce, inteligentnych oczach, przywodzących na myśl szybkobieżne pociągi-torpedy. A obok niej siedł Hughes, o miodowoblond włosach, z tymi jego eleganckimi dłońmi, długimi nogami. W granatowym galowym mundurze.

Kelner posadził ich przy stoliku numer dwadzieścia dziewięć; przy sąsiednim, po prawej mieli jakąś parę. Kobieta paliła papierosa. Wskazała palcem na fragmenty tekstu w cieniutkiej książeczce.

- W tej jednej linijce naprawdę widzę cały film - powiedziała.

- Tak - zgodził się mężczyzna, z ledwie dostrzegalną nutką wątpliwości.

I w pewnym sensie to kwintesencja stylu Bogarta.

- Rzeczywiście, to chyba rzeczywiście jedyny logiczny wybór...

Nick zerknęła na Hughesa. Chciała mu jakoś przekazać, jak bardzo go kocha za to, że ją tu zabrał, że wydaje zbyt wiele gotówki tylko po to, żeby wypić koktajl, i że pozwala jej być sobą. Usiłowała zasygnalizować wszystkie te rzeczy uśmiechem. Nie chciała tak od razu zaczynać rozmowy.

- Wiesz co? - odezwała się nagle kobieta donośniej-szym głosem.

- Siedzimy przy ich stoliku. Zdajesz sobie sprawę, że siedzimy przy ich stoliku i rozmawiamy o nich?

- Doprawdy? - Mężczyzna wypił jeszcze jeden łyk szkockiej.
- Och, naprawdę pasujesz do Klubu 21 - odparła kobieta ze śmiechem.
- Nick nachyliła się do Hughesa.
- Jak sądzisz, czyj to stolik? - szepnęła, osłaniając usta urękawiczoną dłonią.
- Słucham? - odezwał się z roztargnieniem.
- Powiedzieli, że siedzą przy którymś stoliku. Czyim? Nick poczuła na sobie wzrok kobiety. Najwyraźniej sąsiadka dosłyszała jej uwagę, zauważyła, że Nick próbuje kryć dłonią ciekawość. Zarumieniła się i opuściła wzrok na obrus w biało-czerwoną kratkę.
- No cóż... Przecież to stolik Humphreya Bogarta i Lauren Bacall, kochanie - wyjaśniła kobieta życzliwie.
- Siedzieli tutaj na swojej pierwszej randce. To jedna z tych historii, którymi się tu szczycą.
- Och, rzeczywiście? - Nick usiłowała przybrać ton uprzejmy i nonszalancki zarazem. Przyglądała dłońmi uczesanie i poczuła pod zamszem rękawiczek, że lakier na włosach traci sztywność.
- Och, Dick, oddajmy im ten stolik. - Kobieta znów się roześmiała. - Kochacie się?
- Tak - odparła Nick. Poczuła się odważna i wyzwolona. - Ale poza tym jesteśmy małżeństwem.
- To rzadkość - zachichotał mężczyzna.
- Tak, to rzeczywiście rzadkość - zgodziła się kobieta.
- Która zasługuje na stolik Bogarta i Bacall.
- Och, proszę sobie nie robić kłopotu - zaprotestowała Nick.
- Nonsens - powiedział mężczyzna, podnosząc swoją szkocką i koktajl na szampanie towarzyszki.

- Ależ, naprawdę, moja żona niepotrzebnie zawróciła państwu głowę... - rzekł Hughes. - Nick...

- Przecież to dla nas czysta przyjemność - odparła kobieta. - A pana urocza żona faktycznie może zawrócić w głowie.

Nick spojrzała na Hughesa, a on uśmiechnął się do niej.

- Tak, to prawda - przyznał. - No to chodź, kochanie. Wszyscy na ciebie czekamy z tymi przenosinami.

Martini, kiedy się już pojawiło, przypomniało Nick o morzu i ich domu na Wyspie: czyste, pachnące solą. Doskonale znajome.

- Hughes... Możliwe, że to najlepsza kolacja, jaką jadłam w życiu. Od tej pory chcę żyć wyłącznie martini, oliwkami i selerem.

Hughes dotknął dłonią jej twarzy.

- Przepraszam cię za to...

- Jak możesz tak mówić? Popatrz tylko, gdzie jesteśmy.

- Powinniśmy zapłacić - powiedział, gestem przyzywając kelnera.

- Wszystko w porządku, proszę pana?

- Jak najbardziej. Czy możemy prosić o rachunek?

Hughes zerkał na drzwi. Nie na Nick, nie na jej czerwoną sukienkę, nie na jej lśniące czarne włosy, które musiała chronić pod siateczką przez całą drogę pociągiem z Cambridge do Penn Station.

Kelner ulotnił się posuwistym krokiem.

Nick bawiła się torebką, by nie patrzeć na Hughesa. Para, która zamieniła się z nimi na stoliki, zdążyła już wyjść; tamta kobieta, kiedy podniosła się z miejsca, mrugnęła i uścisnęła ją za ramię. Nick próbowała nie zastanawiać się, o czym myśli jej mąż. Tylu rzeczy o nim nie wiedziała,

tylu nie była pewna... I chociaż zawsze była gotowa do konfrontacji, chociaż korciło ją rozciąć go na oścież jednym płynnym ruchem i zajrzeć do środka, jakiś zwierzęcy instynkt ostrzegał, że tali z nim postępować nie należy.

- Proszę państwa... - Nick uniosła wzrok. Przy ich stoliku stanął mężczyzna przypominający morsa. - Jestem szefem sali. Czy wszystko w porządku?

- Tak - odparł Hughes, rozglądając się dokoła. Pewnie za tamtym kelnerem. - Prosiłem tylko o rachunek...

- Rozumiem - odparł Mors. - No cóż, całkiem możliwe, proszę pana, że nie zdawał pan sobie sprawy, ale obiad... - Urwał, pozwalając obojgu podziwiać swoje sumiaste wąsy w całej krasie. - Dziś wieczorem dla marynarki wojennej obiad na koszt firmy!

- Że co proszę?

- Synu - uśmiechnął się Mors. - Co mogę ci podać? Nick parsknęła śmiechem.

- Stek. Och, ja poproszę stek! - powiedziała i wszystko inne znikło.

- Stek dla pani - powtórzył Mors, wciąż spoglądając na Hughesa.

Hughes wyszczerzył zęby od ucha do ucha i nagle Nick zobaczyła, jak spoza nieprzystępnego mężczyzny, który do niej wrócił, wyłania się chłopak, za którego wyszła za mąż. Chłopak w sztywnym kartonowym kołnierzyku i bardzo dokładnie odprasowanym granatowym mundurze. I w kłopotliwym położeniu finansowym, dokładnie takim samym, jak wszyscy inni.

- A więc stek, jeśli jakiś znajdzie się w tym mieście. Czy, w sumie, w tym kraju - powiedział. - Nie byłem pewien, czy one jeszcze istnieją.

- W Klubie 21 istnieją nadal, proszę pana. Jakie by nie były. - Mors pstryknął palcami na kelnera. - Jeszcze dwa martini dla naszego marynarza.

Potem znów były pchły. A Hughes był zmęczony. Powiedział, że to po tym steku. Nick poskładała swoją czerwoną sukienkę i włożyła czarną nocną koszulę, której on po ciemku nie zauważył. Położyła się na łóżku, nasłuchując odgłosów prac remontowych na stojącym w doku okręcie. Pustych uderzeń młotkiem o stal.

Tuż przed Newark Nick zdecydowała, że przejdzie się do baru. Zapakowała sobie na obiad trzy jajka na twardo i kanapkę z szynką, żeby nie musieć wydawać trzech dolarów na obiad w wagonie restauracyjnym, ale urokowi baru nie potrafiła się oprzeć. Reklamy głośiły, że serwuje się tam wszystkie „nowe drinki”, a ona akurat odłożyła sobie pięćdziesiąt centów na nieprzewidziane wydatki.

„Havana Special”. Bez męża, bez matki, bez kuzynki. Nick mogła być, kim chciała. Wygładziła szarą spódnicę i pomalowała usta szminką. Przyjrzała się sobie w lustrze; jeden ciemny lok opadał jej na lewe oko. Już chciała wyjść na korytarz, ale przypomniała sobie o rękawiczkach. Kiedy wsuwała w nie dłonie, raz jeszcze powąchała nadgarstek, a potem zdecydowanym ruchem zamknęła za sobą drzwi przedziału.

Wchodząc do salonki, z jej zaokrąglonym drewnianym barem i niskimi, bordowymi siedziskami, Nick poczuła, że rowkiem między piersiami zaczyna spływać strumyczek potu. Przesunęła dłonią w rękawiczce po górnej wardze i natychmiast pożałowała tego gestu. Podszedł kelner i zaprowadził ją do wolnego stolika, gdzie zamówiła martini z dodatkowymi oliwkami, zastanawiając się, czy każą jej za nie dopłacić.

Odsunęła filcową zasłonkę i wyrzała w noc; odpowiedziało jej spojrzeniem odbicie w szybie. Za swoją głowę dostrzegła mężczyznę w granatowym blezerze. Przyglądał jej się. Nick usiłowała stwierdzić, czy jest przystojny, ale jego sylwetkę zamazał mijany właśnie pociąg.

Odsunęła się od okna i założyła nogę na nogę, czując, jak nylon przesuwają się między jej udami. Kelner przyniósł drinka, a kiedy Nick wyjęła papierosa i włożyła go do ust, zaczął grzebać po kieszeniach w poszukiwaniu zapalniczki. Mężczyzna siedzący po drugiej stronie przejścia poderwał się i błysnął srebrną zippo. Wszyscy powracający z wojny młodzi mężczyźni nosili zapalniczki Zippo, jakby wydawano je razem z wojskowym mundurem.

- Dziękuję - powiedziała Nick, nie podnosząc wzroku znad papierosa.

- Nie ma za co.

Kelner zniknął za przepierzeniem z matowego szkła.

- Mogę się do pani przysiąc? - spytał mężczyzna. W jego prośbie nie kryła się nawet odrobina wahania.

Nie patrząc, Nick wskazała mu miejsce naprzeciwko.

- Nie zostanę tu długo - powiedziała.

- Dokąd się pani wybiera?

- Do St. Augustine.

Miał ciemne włosy, przygładzone pomadą. Przystojny, uznała, taką typową dla Palm Springs urodą. Może tylko nieco zbyt dużo wody kolońskiej.

- Jadę do Miami - powiedział. - W odwiedziny do rodziców.

- Będzie im miło - zauważyła Nick uprzejmie.

- No cóż, pewnie tak - uśmiechnął się. - A pani? Skąd to St. Augustine?

- Mam tam brata - odparta Nick. - Odchodzi z marynarki. Jadę się z nim zobaczyć.

- Będzie mu miło.

- Pewnie tak. - Tym razem Nick odwzajemniła uśmiech.

- Mam na imię Dennis - powiedział mężczyzna, wyciągając do niej rękę.

- Helena - przedstawiła się Nick.

- Jak ten wulkan?

- Jak wulkan. Bardzo oryginalne.

- Jestem oryginalnym facetem. Po prostu znasz mnie jeszcze zbyt słabo.

- Gdybym poznała lepiej, zmieniałabym zdanie?

- A bo ja wiem? - Dennis dopił swojego drinka. - Zamówię jeszcze jednego. Masz ochotę na kolejny?

- Nie wydaje mi się - powiedziała Nick.

- Rozumiem. Będę pił sam. Jakie to smutne!

- Kto wie? Jeśli posiedzisz tutaj wystarczająco długo, może znajdziesz towarzystwo. - Martini sprawiło, że nabrała odwagi.

- Nie chcę innego towarzystwa - powiedział Dennis. Westchnął. - W pociągach daje mi się we znaki samotność.

Nick miała świadomość, że mkną przez noc. Stał jęczała, uderzając o stal.

- Tak - powiedziała. - W pociągach bywa samotnie. - Wyjęła papierosa. - Może wypiję jednak tego drinka.

Dennis gestem dał znak kelnerowi. Tym razem w martini Nick znalazła się tylko jedna oliwka. Zawstydzilo ją to z jakiegoś powodu.

- Jaki jest twój brat?



- Uroczy - odparła. - Ma bardzo jasne włosy.  
- Więc nie jesteście do siebie podobni.  
- Nie jesteśmy.  
- No cóż. Szczęściarz, że trafiła mu się taka siostra, jak ty.  
- Tak sądzisz? Naprawdę nie wiem, czy powinien uważać się za szczęściarza.

- Ja tam chciałbym mieć taką siostrę - uśmiechnął się do niej szeroko.

Nick nie spodobał się ton, jakim to powiedział. Jakby między nimi powstało jakieś sekretne porozumienie. Teraz, kiedy siedział tak blisko, dostrzegła, że w nosie rosną mu brązowe włoski.

- Muszę już iść - rzuciła, starając się nie stracić równowagi, kiedy podnosiła się z miejsca.

- Och, daj spokój.

- Proszę nie wstawać.

- Nie bądź taka drażliwa. Tylko żartowałem.

Nick wyszła z wagonu restauracyjnego. Mógł teraz zapłacić za oba jej cholerne drinki!

- Jeśli będziesz potrzebować braterskiego wsparcia, daj mi znać!  
- zawołał ze śmiechem, zanim drzwi wagonu odcięły jego głos.

Po powrocie do przedziału sypialnego, Nick niemal podarła sobie bluzkę, usiłując pozbyć się jej jak najszybciej. Głowa pulsowała jej bólem. Ściągnęła spódnicę i stojąc wyłącznie w staniku i w majtkach, pochyliła się nad umywalką i opłukała wodą dekolt i szyję. Wyłączyła górne światło, uchyliła okno, żeby wpuścić trochę świeżego powietrza. Kiedy była w barze, steward przygotował posłanie. Nick usiadła na skraju kozetki i zapaliła

papierosa. Skończywszy, zapaliła następnego i przycisnęła głowę do okiennej ramy; za oknem przelatowała ciemność. Położyła się. W powietrzu unosił się zapach dymu.

O piątej rano zatrzymali się w Richmond. Nick zbudziły odgłosy wsiadających i wsiadających ludzi. Przed snem niedokładnie zaciągnęła zasłonki. Okno nadal było otwarte.

- Cholera! - zaklęła pod nosem. Spróbowała ostrożnie podciągnąć się na posłaniu, świadoma, że nadal ma na sobie tylko stanik i majtki i że może ją zobaczyć każdy wsiadający. Odsunięta zasłonka znajdowała się tuż poza zasięgiem jej dłoni, więc sięgnęła do tej bliższej; owinięta zieloną tkaniną, wyjrzała. Wydawało się jej, że wyczuwa w powietrzu ziemny zapach rzeki James River. Powietrze tu, na południu, było łagodniejsze, nie takie, jak w Tiger House, gdzie silnie dominowała morska bryza. Nick poczuła też zapach świerków, z którym wywietrzały z niej ostatnie ślady wypitego martini. Zaciągnęła drugą połowę zasłonki, przewiązała w talii szlafrok, otworzyła drzwi i zawołała do stewarda, że prosi o kawę.

W St. Augustine miała się znaleźć przed dziesiątą wieczorem. Przy Hughesie. Próbowała sobie przypomnieć, czy śnił się jej dzisiaj. Przyszedł steward z parującą kawą. Nick wypila ją, obserwując sennych pasażerów wybierających się na Florydę i zaciekała się przelotnie, jak wygląda dom Avery'ego Lewisa. Helena już niedługo dotrze do Hollywood. Biedna Helena! Wojna dopiero się zaczynała, kiedy dostali wiadomość, że Fen został zabity. W raptem dwa miesiące udało mu się i ożenić, i polec. Kto wie, jakby się potoczyło ich wspólne życie, gdyby przeżył? Oboje byli parą dzieciaków i żadne nie miało ani grosza.

Matka Heleny, a ciotka Nick, Frances, swego czasu też nie zrobiła specjalnie świetnej partii. A jednak nigdy nie sprawiała wrażenia nieszczęśliwej, chociaż musiała sobie odmawiać różnych rzeczy. Nick nigdy nie słyszała, żeby ciotka się skarżyła, że jej starsza siostra odziedziczyła Tiger House ani że wyszła ona za mężczyznę, który zbił majątek na niciach do szycia maszynowego, podczas gdy Frances nie miała praktycznie niczego. Nick nawet nie przyszło do głowy, że ciotka mogłaby żałować, iż sprawy mają się tak, a nie inaczej. Ale myśląc teraz o dziwnym, szalonym pośpiechu, z jakim Helena rwała się do ponownego zamążpójścia, o jej potrzebie posiadania kogoś dla siebie, jak to ujmowała, Nick nie mogła się nie zastanowić, czy ciotka na pewno nie miała pretensji, że to nie ona zamieszkała w rodzinnej posiadłości.

Może to naprawdę nie miało znaczenia? Nick przecież nie umiała sobie przypomnieć lata, podczas którego jej matka i ciocia Frances nie zachowywałyby się jak papużki nierozłączki. Nawet po śmierci ojca Heleny, kiedy nadeszły czasy kryzysu. Nawet kiedy umarł jej własny ojciec, a matka czuła się już fatalnie...

Nick przerwała te rozmyślania. Akurat teraz nie chciała wspominać.

Wyjęła z brązowej papierowej torebki dwa jajka i rozbiła skorupki o okienną ramę. Ukazały błyszczące, białe wnętrza. Nie, teraz wszystko jest nowe. Czeka na odkrycie. I ona to odkryje. Dokonają tego razem z Hughesem. Nick była głodna nowego; weźmie cały świat do ust na jeden kęs i spałaszuje.

## 1945, GRUDZIEŃ

Nick leżała na pontonowym pomoście, kiedy usłyszała, że Hughes podjeżdża pod dom starym buickiem. Usiłowała skoncentrować się na muzyce dobiegającej z werandy po drugiej stronie ogródka, żeby nie słyszeć ani kaszłającego odgłosu silnika, ani trzaśnięcia obitych siatką drzwi. Mąż wchodził do parterowego domu.

Count Basie i jego pianino. Podniszczone drewno pomostu wbijało się drobnymi drzazgami w tył żółtego kostiumu kąpielowego. Dużym palcem u nogi Nick dotykała powierzchni wody w kanale. Czekala.

Hughes jednak nie wyszedł na zewnątrz, a ona poczuła ulgę. Usłyszała szelest wody pod prysznicem. On zmywał z siebie kurz i farbę po przygotowaniu okrętu wojennego do postoju w Green Cove Springs. Wyobraziła sobie ciało Hughesa, jasne włoski na ramionach pokrytych cienką warstwą pyłu z tego, co jeszcze do niedawna stanowiło powłokę USS „Jacob Jones”. Widziała oczyma duszy, jak mąż przygląda ociekające wodą włosy, obracając twarz w stronę strumienia wody, a jego rzęsy, niczym pajęczyna, chwytają maleńkie kropelki.

Czy myślał o niej? Zastanawiała się nad tym tylko przez krótką chwilę. Wiedziała, że nie.

Parterowy domek pobrzmiwał swoją wieczorną melodią: odgłosami wody płynącej tanią instalacją i trzeszczącym jazzem. Nick nienawidziła go, nienawidziła, że niczym się nie wyróżnia. Wynajmowane pudło z prefabrykatów wyglądało dokładnie tak samo, jak otaczające go wszystkie inne: z kuchnią i sypialnią od frontu oraz sporym salonem i jadalnią na tyłach. Z oknami wychodzącymi na werandę.

Parterowe bungalowy stały rzędem po obu stronach zakurzonej uliczki, oddzielone od siebie niewielkimi ogródkami. Wszystkie kuchnie wyglądały na ulicę i o każdej porze dnia w ich oknach można było dostrzec dowolną liczbę wścibskich, zerkających na zewnątrz żołnierskich żon. Nick nabrała zwyczaju wychodzenia w kostiumie kąpielowym przynajmniej raz dziennie na podjazd, po to tylko, żeby zobaczyć, jak obwiązane chustkami głowy znikają szybko, jedna po drugiej, mierzone po kolei spojrzeniem. Zrobiła sobie z tego rytuału coś w rodzaju rozrywki. Czy uda jej się złapać w pół ruchu choć jedną głowę w chustce w grochy, jak zastyga w promieniu rażenia jej odważnego stroju, wyciętego wysoko na biodrach we francuskim stylu. To ożywiało jej dni.

Każdy bungalow po jej stronie ulicy miał na tyłach porządnym rozmiarów ogród, ciągnący się aż do słono-wodnego kanału, który służył jako boczny szlak wodny rybakom z St. Augustine, a od czasu do czasu także dzieciakom szalejącym po okolicy w wiosłowych łodziach.

Ale ich ogród miał coś, czego nie miały inne: pomost, który kołysał się wraz z poruszeniami wody, osadzony

przy mulistym brzegu kanału. W przeciwieństwie do reszty osiedla, wszystkich tych tanich kontenerów, w których ludzie zaczynali nowe życie, pomost nie wyglądał, jakby oczekiwał nadejścia lepszych czasów. Drewno było szare i pięknie postarzałe od zmian pogody, być może odzyskane ze starych sidingów albo z wędkarskiego mola. Nick z całego florydzkiego miasteczka najbardziej uwielbiała właśnie ten pomost. Czasem, kiedy leżała tam z zamkniętymi oczami, była niemal pewna, że zbite razem deski uwolnią się ze swojego uchwytu i że ona dryfuje kanałem prosto na ocean, w drogę powrotną do domu na swojej wyspie, na północ. Wtedy otwierała oczy, dostrzegała nieforemny bungalow po drugiej stronie trawnika i docierało do niej, że kołysanie spowodowała przepływająca obok rybacka łódź.

Nick spędzała całe dni wyciągnięta na deskach pod słońcem Florydy, słuchając płyt, które przyjechały z Cambridge w kufrze wyścielonym starymi gazetami, i starając się zaszokować sąsiadki. Czasami wypróbowała nowe przepisy z książki, którą kupiła sobie w mieście: *Regionalnej Książki Kucharskiej Prudence Penny*. Książka podzielona była na rozdziały: kuchnia holenderska z Pensylwanii, kreolska, z doliny Missisipi, skandynawska kuchnia z Minnesoty, kuchnia kosmopolityczna. Przepisy często wymagały użycia składników, których pojawienie się zaskakiwało ją nieodmiennie.

Zanim opuściły dom na Elm Street, Nick i Helena zrobiły niewielkie ognisko i spaliły swoje nieważne już kartki żywnościowe. Helena zawsze miała kłopot z zapamiętaniem, który kupon pozwalał na jaki zakup, i czasem wracała z puszką mrożonego szpinaku zamiast

kurczaka, bo poplątały jej się dni. I chociaż przez jakiś czas kartkowe zaopatrzenie było dla Nick wyzwaniem, koniec końców zaczęło ją męczyć, bo przypominało próbę skompletowania układanki, w której stale brakowało jednego elementu. Teraz mogła gotować, na co tylko miała ochotę, bez konieczności wymyślania zamienników, ale przekonała się, że trudno jej koncentrować się na przepisie. Niekiedy w połowie dawała sobie spokój z szynką w miodzie czy ostrygami a la Rockefeller, żeby pójść i poleżeć w słońcu na pomoście. Potem z pozostałych składników improwizowała zapiekankę.

Hughes nigdy nic nie mówił, ale wiedziała, że bywa skonsternowany jej kapryśną kuchnią. Teraz, słuchając prysznic, usiłowała nie myśleć o obiedzie, niegotowym po raz kolejny. Próbowwała nie myśleć też o mężu, który sam zmienił się w reglamentowane dobro.

Sekcja dęta orkiestry zabrzmiała głośniejsz i Nick zaczęła uderzać stopą w rytm napływającej fali dźwięków. Drobne rozbryzgi wody z kanału spryskiwały jej łydki. Oczy trzymała zamknięte, a jej żółty kostium oddawał ciepło, które pochłonął w trakcie popołudniowego opalania. Znad wody szeptała lekka bryza. Nick usłyszała przepływającą niewielką wiosłową łódź.

W domu woda zamilkła. Zapanowała cisza, pomijając muzykę i odgłosy wydawane przez dzieci kilka domów dalej, marudzące, że woła się je na obiad. Nick obróciła twarz w stronę zachodu, starając się pochwycić policzkiem resztki dziennego ciepła. - Cześć.

Zaskoczona, uniosła głowę. Osłaniając oczy, dostrzegła Hughesa. Stał na trawniku, świeżo spod prysznic,

ubrany w białą koszulę, którą wyprasowała dla niego w ciągu dnia.

- Chcesz, żeby zrobić ci drinka? - zapytała Nick, nie ruszając się z miejsca.

- Nie, sam sobie wezmę. - Hughes podszedł do stylizowanego na polinezyjski barku, wyjął z jego szafki butelkę jakiegoś niemarkowego ginu i nalał go na dwa palce do szklanki.

- Nie mamy lodu - powiedziała. - Za gorąco. Znow oparła głowę na ciepłych deskach i zamknęła

oczy.

- Pamiętasz, że Charlie i Elise przychodzą na obiad? - W jego głosie brzmiała nuta rezygnacji, jakby pewność, że zapomniała. Jakby nie mogła nie zapomnieć. Jakby Nick cały czas tylko zapominała i uczyła się nie pamiętać.

Zesztywniała, ale oczy nadal miała zamknięte.

- Kto? A, tak. Twój znajomi - odparła. - Nie, nie zapomniałam - skłamała. - Kupiłam krewetki od rybaka.

Usłyszała, że Hughes wzdycha, popijając drinka.

- Cóż, wiem, że ci się znudziły, ale po dolarze za kubek to naprawdę wszystko, na co nas stać do następnej wypłaty. - Wstała i otrzepała się z kurzu. - Zwłaszcza jeśli mamy przyjmować gości.

- Wydawało mi się... Mówiłaś, że brak ci proszonych obiadów - powiedział Hughes cicho.

Stał twarzą do niej, trzymał w dłoni szklankę. Jasne włosy pociemniały pod prysznicem, zachodzące słońce podświetlało jego sylwetkę. Nick miała wrażenie, że wyprostował się niemal zaczepnie, stając naprzeciwko niczym wojownik.



- Bo tak jest - odparła. - Znaczy... Faktycznie tak mówiłam. Kochanie, rzecz w tym, że ja ich nie znam, a ty... - urwała, kiedy zobaczyła, że Hughes spogląda na nią, jakby była mało pojętym dzieckiem.

Ogarnęły ją dziwnie sprzeczne emocje, tak od niedawna znajome. Chciała wyjąć mu z dłoni drinka i chlusnąć w twarz tym ginem, rozgnieść na skórze szkło. Chciała też błagać o przebaczenie, a potem je uzyskać. Jak wtedy, kiedy była mała. Kiedy po karze, wymierzanej bez emocji przez matkę, następowała łagodność.

- Nieważne - powiedziała Nick. - Pójdę do środka i zajmę się obiadem. Na którą ich zaprosiłeś?

- Punkt ósmą - odparł Hughes.

Nick weszła do środka, ale nie zajęła się obiadem. Stała natomiast w kuchni i zapaliła papierosa, pozwalając zimnemu powietrzu wymykać się z chłodziarki, podczas gdy ona przyglądała się warzywom. Sałatka z ogórków, zdecydowała. Będzie dobrze pasować do owoców morza. Zatrzasnęła drzwiczki, oparła się o nie i spojrzała w dół na swoje nogi, już brązowiejące od codziennych dawek słonecznych kąpieli. Kostium do opalania musiała kupić w mieście, za straszne pieniądze. Nie miała pojęcia, że w zimie może nadal panować tak dotkliwy upał. Na jej wyspie, na północy, słońce miałyby już ten mętny, sprany kolor, a kostium leżałby od dawna spakowany w kufrze z cedrowego drewna, gotowy do hibernacji.

Nick usłyszała, że Hughes wyłącza gramofon i zmierza do kuchni. Zaczęła szykować krewetki, obierając różowawe półksiężycy i pozbawiając je żyłek. Kiedyś uwielbiała krewetki. Teraz jedli je niemal co drugi dzień.

- Dlaczego nie włączysz sobie radia? - podsunął Hughes.

Uniosła śliskie dłonie.

- Sam to zrób, bo jeszcze coś zepsuję.

Hughes kupił jej to radio tydzień wcześniej i Nick darzyła urządzenie niesprecyzowaną niechęcią. Wybrał się wtedy, w sobotnie popołudnie, na samotną przejażdżkę i wrócił z jakimś pudłem. Nie pytała go, dokąd ani po co jeździ bez niej w weekendy; zdarzało mu się po prostu popatrzeć w niebo przez siatkowe drzwi, a potem brał kluczyki. Za pierwszym razem Nick nawet się nie zorientowała, że wyszedł z domu, do chwili gdy usłyszała zapalany silnik. Podeszła do drzwi i spojrzała na bezchmurne połacie nieba, na zakurzony podjazd, na leżącą dalej drogę, chcąc przekonać się, co skłoniło męża do odjazdu. Ale, jak okiem sięgnąć, nie było tam nic. Tylko zielony, stary buick mknął prosto jak strzała florydzką drogą.

A potem, któregoś dnia, pojawiło się radio. Jak szpieg z innego świata, do którego uciekał Hughes.

- Pomyślałem, że może będziesz miała ochotę posłuchać czegoś jeszcze, oprócz tych swoich płyt - powiedział w ramach wyjaśnienia. - Może nawet uda ci się złapać jakieś programy z Londynu.

- Z Londynu? - powtórzyła, zastanawiając się, dlaczego uznał, że ma to dla niej jakieś znaczenie. Ale on już zdążył pójść pod prysznic, a głos Nick rozległ się echem w pustej kuchni.

Uniosła wzrok znad krewetek. Hughes nie włączył radia, tylko bawił się srebrzystymi pokrętłami. Miał eleganckie palce o zgrabnych, kwadratowych paznokciach.

Wszystko w nim było jak te palce, jak skrojone na miarę i schludne, w odcieniu sosnowego drewna. Nick obserwowała, jak Hughes wpatruje się w panel radia, jak przesuwa opuszkami po brązowym pokryciu głośnika. Był taki piękny, że chętnie by go zjadła. Zbierało jej się na płacz, a może raczej na zgrzytanie zębami? Zadowolila się obraniem ze skorupki kolejnej krewetki.

- Ładnie wyglądają - powiedział Hughes, stając za nią i kładąc dłoń na jej talii.

Nick musiała mocno chwycić się jedną dłonią kontuaru, żeby ustać bez ruchu. Poczula jego zapach, zapach mydła Ivory i wody kolońskiej Bay Rum, tak blisko jej własnej skóry. A przecież jej nie dotykał. Tylko przez materiał kostiumu. Zapragnęła tej dłoni na swojej szyi albo na ramieniu. Albo między nogami.

- Jestem pewien, że będą pyszne - dodał. Wiedziała, że chce ją przeprosić za niemiłą reakcję

na wiadomość o krewetkach.

- Och, cóż - powiedziała, nagle znów ogarnięta uczuciem lekkości. - Wiem, że strasznie się powtarzam. To pewnie trochę dlatego, że śpiam tak długo i jakoś nigdy nie udaje mi się zebrać w porę na poranny targ. Żałujesz, że masz taką leniwą żonę?

- Mam uroczą żonę - odparł.

Chciała się obrócić w jego kierunku, ale Hughes zdążył już zdjąć dłoń z jej talii. Złapałaby go za rękę i przyciągnęła do siebie, może nawet zaczęłaby błagać, ale on już się od niej odsuwał.

Nick patrzyła, jak idzie na zabudowaną siatką werandę. Długie nogi stawiał jak lunatyk. Niewidoczny ślad po jego dłoni palił ją żywym ogniem.

Skończyła z krewetkami i odstawiła je do lodówki, do chłodu. Poszła do sypialni i ostrożnie zdjęła kostium. Wzięła prysznic w małej łazience. Kiedy otworzyła garderobę, dostrzegła w niej karalucha rozmiarów wróbla, dziesięć razy większego od tych widywanych na północy. Wodne robactwo, jak nazywała je żona jednego z wojskowych. Nick nawet nie krzyknęła. Przywykła.

Przesuwając dłonią po sukienkach, zatrzymała się przy bawełnianej, letniej, w wisienki i z dekoltem w kształcie serca. Wsunęła ją i przyjrzała się sobie w lustrze, a potem wyjęła nożyczki i odcięła wąskie ramiączka. Bez nich jej biust zaczynał przyciągać wzrok; wycięcie w kształcie serca ledwie zakrywało sutki. Nick szesała do tyłu ciemne włosy, nadal lśniące, mimo opalania. Wyglądała na silną, zdrową i nieco mniej surową niż zwykle, dzięki świeżo nabytej orzechowej opaleniz-nie, która wydobywała żółtawe plamki z jej tęczówek. Poczowała dumę z efektu. Skropiła perfumami nadgarstki i rowek między piersiami i na bosaka wróciła do kuchni.

Z chłodziarki wyjęła butelkę białego wina i wyniosła ją Hughesowi, który siedział na werandzie i spoglądał na kanał.

- Otworzysz to dla mnie, kochanie?

Hughes podniósł wzrok i wyjął z rąk Nick butelkę i korkociąg. Zaczął odwijać folię.

- Mocno wydekoltowana - zwrócił się do butelki.

- Zabrałeś mnie kiedyś w tej sukience na tańce do Yacht Clubu.

Nie pamiętasz?

Spojrzał na nią z półuśmiechem, który nie do końca sięgał oczu.

- Tali. Przepraszam, Nicky. Rzeczywiście zapomniałem.

- Och, daj spokój - powiedziała. - Był tam ten śmieszny, brzydki facecik, który prowadził orkiestrę, ten, któremu się wydawało, że jest Lesterem Laninem. Pozwolił sobie na jakąś uwagę na temat wisienek, a ty omal nie dałeś mu w pysk.

- Naprawdę?

Nick wciągnęła powietrze.

- No dobrze - poddała się. - Kiecka wygląda nieco inaczej, bo obcięłam ramiączka. Ale uważam, że teraz jest bardziej wyrafinowana.

Hughes wyciągnął korek i zaczął wykręcać z niego korkociąg.

- Nie będzie ci chłodno?

Popatrzyła na niego, kręcąc głową w gorącym, szybkim rytmie gniewnych rozków orkiestry Counta Basiego.

- Cholera, Hughes - powiedziała powoli. - To jest pieprzona Floryda. Nie zmarznę.

Ale on nie uniósł oczu. Nawet się nie skrzywił. Podał jej butelkę. Napiała się, nie zwracając sobie głowy kieliszkiem, i zeszła na trawnik za domem.

Nie była pewna, ile czasu tam spędziła, zanim dobiegł ją odgłos pukania do drzwi. Zarejestrowała tylko opróżnioną do połowy butelkę i sukienkę zwilgotniałą od trawy; z lekkim trudem podniosła się na nogi i niepewnym krokiem ruszyła w stronę werandy. Idąc przez dom, dostrzegła, że Hughes ściska dłonie stojącej przy frontowych drzwiach parze. Dopiero gdy przystanęła obok, Nick zdała sobie sprawę, że wciąż jest na bosaka.

- Witam - powiedziała, roześmiała się i spojrzała na

swoje stopy. - No cóż, macie bosonogą panią domu. Mam nadzieję, że nie weźmiecie tego za lekceważenie. Siedziałam na trawniku. Za wilgotno tam na buty.

- Zawsze uważałem, że bosa gospodyni to wyraz najwyższych względów dla gości - powiedział mężczyzna i wyciągnął do niej dłoń. - Charlie Wells. A to moja żona Elise.

Oczy miał okrągłe i czarne jak paciorki gagatu, które jej matka zakładała do teatru, ale jego brązowa dłoń okazała się ciepła, choć nieco szorstka w dotyku. Nick wiedziała, że to od pracy przy okręcie, bo dłonie Hughesa też stwardniały od szlifowania, malowania i szycowania „Jacobą Jonesa” do postoju w porcie. Ale odciski Charliego przypomniały Nick o tym, że ma do czynienia z byłym szeregowym. Mężczyzna doczekał w końcu awansu za zasługi na polu walki, mimo że w przeciwieństwie do jej męża nie startował z pozycji podoficera. „Mustang”. Hughes mówił jej, że tak ich nazywano. „A jednak to jeden z najbystrzejszych ludzi, z jakimi służyłem”, powiedział jej wtedy. „Dobrze zrobili, że go awansowali”.

Zona tego szczupłego, ciemnowłosego mężczyzny okazała się blondynką tak jasną, że niemal albinoską. I założyła różową sukienkę, która, zdaniem Nick, wcale nie przydawała jej urody. A mimo to miała w sobie ten rodzaj miękkiej kobiecości, który przyprawiał Nick o ukłucie zazdrości.

- Co mogę wszystkim zaproponować do picia? - zapytał Hughes.

- Chodźcie na werandę - wtrąciła Nick. - Nasz śmieszny barek stoi na zewnątrz, żeby Hughes nie musiał

się nabiegać, przynosząc wam szkocką. - Przeprowadziła gości przez dom, na tyły. - Naprawdę, niemal zamieszkaliśmy tu na stałe. To jest właśnie urocza strona Florydy. Czy wy też macie werandę, Elise?

- Tak - odparła kobieta. - Ale ja prawie z niej nie korzystam. Nie bardzo... No, jakoś nie przepadam za aktywnością na świeżym powietrzu.

- Wielka szkoda - powiedziała Nick, wywracając w duchu oczami. - Lubisz Counta Basiego? Mnie chwilowo trochę na jego punkcie odbiło.

- Sama nie wiem. W naszym domu to Charlie zna się na muzyce.

- Masz *Honeysuckle Rose*? - spytał Charlie.

- Mam, oczywiście - odparła Nick i podskoczyła do gramofonu. - Jesteś fanem bluesa? Hughes zawsze mówi, że zbyt wiele w nim melancholii.

- Życie jest melancholijne. Po co się nad tym rozwodzić? - powiedział Hughes, wracając z drinkami. - Tak czy inaczej, to tutaj to przecież nie blues, tylko swing.

W niknącym świetle dnia Nick dostrzegła, że mąż zabrał butelkę wina z trawnika.

- Och, uważasz, że wiesz wszystko - powiedziała ze śmiechem.

- Ty też tak na pewno uważasz. W końcu za mnie wyszłaś - odparł Hughes, odwzajemniając uśmiech i podając jej martini.

- Słyszałaś kiedyś Roberta Johnsona? - zapytał Charlie. - To dopiero prawdziwy blues. Z południa. Nie dla bywalców klubów.

- Masz coś przeciwko bywalcom klubów? - spytała

Nick, odwracając się do niego twarzą i radośnie podchwytyjąc wyzwanie. Uszczęśliwiona, że coś się wokół dzieje.

- Nie mam nic przeciwko nim, z wyjątkiem może ich muzycznego gustu - odparł, obdarzając ją spokojnym uśmiechem.

Nick miała odpowiedź na końcu języka, ale się rozmyśliła. Zamiast tego patrzyła na Charliego przez chwilę, zastanawiając się, czy jest już aż tak pijana. Słyszała wieczorne buczenie chrząszczy. Szelest palm w kącie trawnika. Jej konwaliowe perfumy mieszały się z łagodnym, południowym, nocnym powietrzem. Usłyszała, że Hughes rozmawia z Elise o jej rodzinnym mieście, gdzieś w Wisconsin. I dźwięk rożków orkiestry.

Obok niej, na wypożyczonym, krytym kwiecistym kretonem fotelu, siedział mężczyzna, który oferował jej uśmiech pełen burdelowego jazzu i pokoi motelowych.

- Przepraszam na chwilę - powiedziała Nick, wstając z miejsca i chwytając się dłonią oparcia, dla utrzymania równowagi. - Kuchnia wzywa.

- Pomogę ci - zaproponował Charlie.

- Naprawdę nie trzeba - odparła Nick, biorąc do ręki kieliszek martini i zasłaniając się nim jak tarczą.

- W kuchni jestem magikiem. Spytaj Elise.

Elise spojrzała na męża spokojnie. Ale nie zaproponowała, że pójdzie zamiast niego, zauważyła Nick.

Nick nie ośmieliła się oglądać za siebie. Otworzyła lodówkę i wyjęła z niej obrany ogórek.

- Możesz to dla mnie pokroić? - zapytała, wręczając go Charliemu.

-Nóż?



- W szufladzie pod zlewem - powiedziała, wyjmując krewetki.
- Z łodzi z krewetkami? - Charlie zerknął do miski.
- Owszem - odparła Nick ze śmiechem.
- Z której?
- Jak to: z której?
- Z tej o piątej?
- Tak. A jest jeszcze jakaś inna?
- Poranna - wyjaśnił Charlie, krojąc ogórka w plasterki, nieco, zdaniem Nick, za grube. - Dokładnie o siódmej rano. Jest najlepsza. I dostajesz więcej krewetek.
- A skąd ty to, u licha, wiesz? - zapytała Nick, obdarzając go kpiącym uśmiechem.
- Zawsze sam kupuję krewetki. Elise nie lubi kanału. Nick zajęła się przyrządzaniem sosu cytrynowego, roztrzepując żółtko w sadzawce soku na dnie miseczki.
- Pokażę ci któregoś ranka, jeśli będziesz chciała - powiedział Charlie. - Ogórek gotowy. - Podszedł do niej z deską do krojenia i stanął bez ruchu za plecami gospodyni.
- Nick przestała ubijać sos.
- Masz jakieś płyty Roberta Johnsona? - zapytała.
- Mam - odparł. - Chciałabyś ich posłuchać?
- Owszem - odparła Nick. - I z tą łodzią z krewetkami też. Chciałabym ją zobaczyć.
- Świetnie.
- Nick podjęła ubijanie. Sos zmieniał się w gęstą, bladą żółć.
- Twój ogórek - powiedział.
- Podobali mi się - powiedziała Nick, sprzątając talerze.

- To solidny fachowiec - odparł Hughes, wpatrzony w swoją szkocką. - Niektórym z tych facetów jest chyba zupełnie obojętne, czy robota przy okręcie zostanie ukończona. W większości to ci bez rodzin.

- Pewnie nie mają do czego wracać. - Nick odkręciła kran. Przyjrzała się Hughesowi. - Ale ten Charlie... Polubiłam go. Powiedział, że pokaże mi jakąś dobrą łódź z krewetkami.

- Tak? No cóż, Elise nie przepada chyba za świeżym powietrzem, prawda?

- Jest taka... trochę bezbarwna.

- A jednak urocza.

- Tak uważasz? Ja miałam wrażenie, że się rozplynie na tle ściany i będziemy jej musieli szukać przez całą noc. - Nick szorowała talerz. - Ale on jest zdecydowanie atrakcyjny.

- Tak... Nie jesteś w tej opinii odosobniona. Charlie ma wiele wielbicielek w oficerskiej kantine.

- Pewnie ona z trudem to znosi?

- Och, czy ja wiem? Chyba jest jej dość oddany.

- Naprawdę?

- Wyglądało, że naprawdę dobrze się bawiłaś. Cieszę się - powiedział Hughes, poruszając szklanką z resztkami drinka. - Nie chcę, żebyś się tu za bardzo nudziła.

- To nasze życie. Dlaczego miałoby być nudne?

- Nasze życie - powtórzył powoli Hughes. Z jego ust wyrwało się niemal niedosłyszalne westchnienie. - Tak, chyba masz rację.

- Jak to: chyba masz rację?

- Sam nie wiem, o co mi chodzi. Może za dużo wypilem?

- No, ja na pewno wypilem za dużo - powiedziała Nick, odwracając ku niemu twarz. - Ale chciałabym się dowiedzieć, co, do cholery, masz na myśli, mówiąc, że chyba mam rację.

- Wolałbym, żebyś tyle nie klęła.

- Wolałabym, żebyś był mężczyzną, za którego wyszłam. - Nick dygotała. Wiedziała, że powiedziała za dużo. Czuła się, jakby właśnie skoczyła z urwiska.

Kiedy była mała, ona, Helena i paru chłopców chodzili często do starego kamieniołomu, by testować swoją odwagę. Granit skończył się tam już wiele lat wcześniej i nieczynne wyrobisko zalały wody gruntowe. Niezgłębione. Skakali wszyscy po kolei, zaczynając rozbieg od starego pieńka po dębie, który wyznaczał punkt startowy, a potem biegnąc bez zatrzymywania aż do chwili, kiedy nagle znajdowali się w powietrzu i spadali pionowo z urwiska. Chłopcy, którzy naprawdę się bali, zsuwali się z krawędzi jak szklane kulki. Ale Nick zawsze wykonywała skok.

No, ale z drugiej strony znała ukształtowanie terenu...

Hughes dopił szkocką jednym, szybkim haustem i nalał sobie kolejną.

- Przykro mi, jeśli cię rozczarowałem.

- Nie chcę, żeby ci było przykro.

- Idź do łóżka, Nick. Możemy porozmawiać, kiedy wytrzeźwiejesz.

-To ty powinienes... - urwała niepewnie. - Jesteś moim mężem.

- Doskonale zdaję sobie z tego sprawę, Nick. - Jego głos brzmiał gniewnie, wręcz nienawistnie.

- Naprawdę? Ostatnio robisz wrażenie, jakbyś z wielu rzeczy nie zdawał sobie sprawy.

- Może lepiej byłoby ci samej? Może ja nie nadaję się na męża?

- Ja przynajmniej próbuję - powiedziała Nick, nagle przestraszona. - A ty...

Hughes wstał i przez sekundę zdawał się nad nią górować. Oparł dłoń na stole, pobielełe palce drugiej ścisnęły pustą szklanę.

- Uważasz, że ja się nie staram, Nick? A co ja, twoim zdaniem, robię codziennie, w każdej sekundzie? Ten okręt, to miejsce, ten dom, to życie... Uważasz, że ja chcę właśnie tego?

Nick popatrzyła badawczo, a później błyskawicznym ruchem wyrwała kabel ze ściany. W jednej chwili radio znalazło się w jej ręku, a w kolejnej już frunęło w powietrzu.

Hughesowi nie drgnął nawet mięsień. Mąż Nick po prostu stał, a wypowiedziane słowa zawisły wokół niego. Zastygły w pustce jego oczu.

Radio nie sięgnęło celu i roztrzaskało się w kącie o ścianę.

- I co? Tobie się wydaje... - Nick wskazała stosik sprężyn i plastiku. - Tobie się wydaje, że ja tego chcę?

- Pójdę się położyć - powiedział Hughes.

- Co za różnica? - Palcami przeczesła włosy. - I tak ciągle śpisz.

Następnego dnia rano Hughes wyjechał wcześniej. Nick udawała, że drzemie. Przy zaciągniętych zasłonach pokój wydawał się obskurny. Oboje lubili sypiać przy

otwartym oknie, ale Nick zostawiła je zamknięte, kiedy wreszcie trafiła do łóżka, odmawiając sobie również przyjemności chłodniejszego powietrza. Spodziewała się, że będzie okropnie. I było okropnie. Tym bardziej że duszno.

Kiedy usłyszała warkot silnika, podniosła się z łóżka, nie zawracając sobie głowy szlafrokiem. Usiadła przy kuchennym stole i zapatrzyła w czarną kawę. Przez chwilę zapragnęła wrzucić swoje rzeczy do walizki, wezwać taksówkę i uciec z powrotem do domu, ale kiedy myślami znalazła się w Cambridge, poczuła się zagubiona. Przyszłość rozciągała się przed nią jak ziejąca pustka przepaść. Co z tego, że on nadal żyłby sobie gdzie indziej, nie wiadomo gdzie, skoro ona by go nie miała? Nick nie przestawała wbijać wzroku w kawę.

Próbowała myśleć o małżeństwie swoich rodziców, ale nic to nie dało; wcale nie była pewna, co działo się za zamkniętymi drzwiami, na mrocznych klatkach schodowych, na przyjęciach, kiedy ją zostawiano w domu, na spacerach o północy, kiedy reszta świata spała. Rodzice zdawali się szczęśliwi. Ale ojciec zmarł, kiedy Nick była jeszcze bardzo mała, a to, co zdołała zapamiętać na temat wspólnego życia jego i matki, składało się z urywków: brylantowa broszka sprezentowana w zielonym, skórzanym etui na Gwiazdkę, matka gładząca dłonią baki ojca, zmieszane aromaty tytoniu Royal Yacht i perfum l'Heure Bleue.

Matka nie chciała, żeby Nick wychodziła za mąż. Uważała, że są na to oboje z Hughesem zbyt młodzi. Zmuszała Nick do chodzenia na randki z innymi chłopcami, na nudne potańcówki z sąsiadem o spoconych

dłoniach, który pod stołem usiłował łapać ją za rękę. Ale kiedy się wydało, że ona i Hughes spotykają się potajemnie, matka ustąpiła. „Lepiej, żebyś wyszła za mąż, niż żeby coś się miało stać”, powiedziała.

Pobrali się na Wyspie, w kościele, w którym Nick została ochrzczona. Niewielkim kościółku, z pięknymi witrażami w oknach. Przyjęcie weselne odbyło się w Tiger House. Podano zbyt mocny poncz, małe kanapeczki i słodki, biały tort, przyozdobiony na górze kandyzowanymi fiołkami.

Nick, która czuła się dziwnie słabo, uciekła na górę, do saloniku. Usiadła na obitej pasiastym, szarym jedwabiem sofie i zaczęła wyciągać z włosów kwiaty pomarańczy. Zastanawiała się, czy w ogóle zdoła wrócić na dół. Może zmarnieje na tej sofie, jak nie przymierzając panna Havisham, kwiaty pomarańczy zwiędną i spetryfikują się, a czekoladki przygotowane na stoliku obok zamienią się w brązowe, stare kamyki...

A potem w drzwiach pojawił się Hughes w swoim fraku. Bez słowa podszedł i usiadł obok. Nick nadal bawiła się drobnymi, pachnącymi gałązkami, zawstydzona, nie śmiejąc podnieść oczu. A on ujął jej podbródek dłonią i obrócił ku sobie jej twarz. I w tym jednym geście znalazło się wszystko. Wszystko, co nie było śmiercią, wypaleniem i zaduchem.

Wziął ją za rękę i poprowadził do sypialni pokojówki w głębi korytarza. Okno w pokoiku było otwarte, a zasłony w żółtą kratkę wydymało powietrze znad portu. Unosząc obfitą spódnicę i halkę Nick, Hughes ukląkł przed nią i przytulił do niej twarz. Wdychał jej zapach, ale pozostawał w bezruchu; zanim usłyszeli na korytarzu

czyjeś kroki, minęło, zdawało się, wiele godzin. Hughes uniósł głowę w stronę otwartych drzwi, ale nie ruszył się z miejsca; służąca przystanąła jak wryta, rumieniąc się na widok żywego obrazu. A on, wciąż na kolanach, przez chwilę patrzył na nią tak, jakby chciał, żeby kobieta ich zobaczyła, żeby dostrzegła, co się dzieje i co się między nimi zmienia... A potem zatrzasnął drzwi kopniakiem.

Była dziesiąta. Słońce wspinało się do zenitu, a Nick wciąż miała na sobie nocną koszulę. Kawa stała na śniadaniowym stole, zimna, obok jej nieruchomej dłoni. W powietrzu wyczuwało się resztki zapachu krewetek z wczorajszego wieczora. Chociaż, równie dobrze, mogły to być krewetki ze środy. Albo i z niedzieli.

Nick znalazła resztki radia, starannie zapakowane w papier, pod frontowymi drzwiami. Jak podrzucone na wycieraczkę niemowlę. Na wpół spodziewała się, że na pakunku zostanie przypięta kartkę: „Niekochane i niechciane”.

A niech go diabli!, pomyślała. Niech go wszyscy diabli porwą!

A przecież mieli być inni. Od tych wszystkich ludzi, którzy wielu rzeczy mają dość i wielu rzeczy nie robią. I którzy niczym się nie wyróżniają. Mieli być jak ci, którzy potrafią powiedzieć: „Do diabła z tym wszystkim!”, ciskają kieliszkami po winie do kominka i skaczą z urwisk. Wcale nie zamierzali stać się ostrożni!

Gdyby on jeszcze nie był taki piękny. I gdyby tylko ona nie pragnęła go tak bardzo...

Nick usłyszała przed domem odgłos pracującego silnika i powoli podniosła się zza stołu. Podeszła do kuchennego okna.

Charlie Wells zamykał właśnie drzwiczki od samochodu. Pod pachą ściskał stos płyt gramofonowych. Nick pobiegła do sypialni i zatrzasnęła drzwi. Naszło ją niejasne wspomnienie poprzedniego wieczoru - jego dłoń na delikatnej wewnętrznej powierzchni jej uda pod obiadowym stołem... Cichy intruz. Jak mogła o tym zapomnieć?

Z walącym sercem odnalazła szlafrok i przejrzała się w lustrze. Wydawała się chuda i nieszczęśliwa. Cholera by to!, pomyślała. Jestem przecież chuda i nieszczęśliwa! I co z tego?

Charlie pukał już we framugę. Nick wyprostowała się i poszła go przywitać.

- Cześć - powiedziała zza siatki na drzwiach.

- Cześć - odparł z uśmiechem. - Przepraszam, że zwałam ci się na głowę tak niespodziewanie, ale zastanawiałem się, co zrobić z dzisiejszym porankiem. I pomyślałem, że chętnie go spędzę, słuchając Roberta Johnsona. A potem sobie pomyślałem, że może ty też będziesz miała ochotę na bluesa. Jestem dziś na wagarach.

- Och, a mnie Hughes właśnie przekonywał, jaki to solidny z ciebie pracownik.

Jego poszukująca dłoń, kiedy ona bawił się serwetką...

- Tak. Ten twój porucznik to szalenie poważny człowiek.

- Owszem - zgodziła się Nick.

Charlie stał przed domem, walcząc z trzymanymi pod pachą płytami. Miał na sobie spodnie khaki, batystową koszulę i mokasyny. A na twarzy uśmiech rodem z burdelu.

Nick musnęła osiadły na siatce brud.



- Słuchaj - powiedział wreszcie mężczyzna. - Może trochę za bardzo się rozpędziłem... Jesteś pewnie zajęta, a ja ci tylko przeszkadzam.

Popatrzyła na niego z namysłem.

- Nie. Nie robię niczego takiego, w czym mogłaby przeszkodzić odrobina muzyki. - Otworzyła drzwi i odsunęła się na bok. - Proszę.

Charlie wszedł do środka i odłożył płyty na stolik.

- Zostań tu i rozgość się. Ja pójdę wrzucić na siebie coś sensowniejszego. W końcu do muzyki trzeba podchodzić poważnie - powiedziała Nick i wreszcie się uśmiechnęła.

W sypialni nałożyła zieloną letnią sukienkę w paski, a na usta trochę czerwonej szminki. Wróciła do kuchni i wzięła się za parzenie świeżej kawy. Stała zwrócona plecami do kontuaru i patrzyła, jak Charlie grzebie w stosie swoich płyt na stoliku śniadaniowym. Niektóre z kartonowych obwolut były podniszczone, rozpadały się na rogach. Hughes nigdy by nie pozwolił, żeby tak źle traktowano coś, na czym mu zależy, pomyślała. Jej mąż wszystkie swoje narzędzia utrzymywał w porządku i kiedy już ich nie potrzebował, starannie odkładał na miejsce, do pudełek. Nawet szczoteczka do zębów pozostawała w szafce w specjalnym etui. Dlaczego Nick to poruszało? Cała ta dbałość i uwaga poświęcana śrubokrętowi czy szczotce do zębów.

- Moim zdaniem trzeba zacząć twoją edukację od tej płyty - powiedział Charlie.

Siedząc w obitym kretonem fotelu, Nick ścisnęła w rękach kawę. Mężczyzna opuścił igłę na winyl. Muzyka okazała się bardziej szorstka niż blues, do którego

przywykła, ale miała w sobie pewien folkowy urok. Kojarzyła się z wyrzuconym przez morze kawałkiem drewna, całym przezartym przez sól i wypłowiałym. Ale nie wzbudzała nostalgii, bo za oknem słońce oświetlało zielony trawnik, a palmy pochylały się i prostowały na wietrze. Przyprawiała raczej o lekki zawrót głowy i wywoływała wrażenie odlotu.

Rosa parująca z trawy kusiała ją, a weranda zdawała się unosić i odrywać od domu, dryfować w stronę kanału. Spódnica jej sukienki wydeła się, a Nick położyła głowę na oparciu fotela. Jak przez mgłę słyszała smutne, żałobne wołanie gołębicy.

Nie wiedziała, ile czasu tak płynęła, ale kiedy muzyka umilkła, Nick zmusiła się, żeby otworzyć oczy. Charlie Wells siedział w swoim fotelu i patrzył, mierząc ją przenikliwym wzrokiem.

- Podobało ci się?

- Tak. Jest jak pokrzepienie, nie sądzisz? - Tylko tyle miała do powiedzenia o tym, co naprawdę kryje się w jej sercu. O chęci ucieczki, o tym okropnym domu, o połamanym radiu i o dłoni Hughesa spoczywającej nisko na jej plecach.

Charlie nie odpowiedział, zapatrzony we własne paznokcie. Po chwili uniósł wzrok, jakby to coś, o czym myślał, przeminęło.

- Nie jesteś głodna? - zapytał. - Bo ja umieram z głodu.

- Chyba mogłabym zrobić jakieś kanapki. Obawiam się, że nasza spiżarnia jest w tej chwili w karygodnym stanie. Zakupy robię raczej sporadycznie... - odezwała się Nick.

- Nie zawracaj sobie głowy kanapkami. Zabieram cię na lunch.  
Do miasta.

- Jesteś niesłychanie uprzejmy - powiedziała. - Aż za bardzo, naprawdę.

- Nie ma o czym mówić. Znam taką hiszpańską restauracyjkę na starówce, z tapas. Wcale niedroga. Jadłaś kiedyś tapas?

- Nawet nie wiem, co to jest - odparła Nick ze śmiechem.

- Samo dobre. Mnóstwo różnych dań do spróbowania. Małe porcje - wyjaśnił. - Jadłem raz kiedyś ośmiornicę w Hiszpanii, przed wojną. Nigdy nawet nie widziałem prawdziwej ośmiornicy, ale proszę bardzo, tam ją sobie zjadłem. Czasami coś, czego nawet nie próbowałaś sobie wyobrazić, okazuje się niezwykle łatwe.

Rdzewiejący packard clipper, który Charlie podobno pożyczył od kumpla, sunął w stronę miasta po równej szosie. Obok kanał otwierał się na szeroką drogę wodną, upstrzoną łodziami rybackimi, a na brzegach - szałasami z desek.

Atmosfera w samochodzie zrobiła się gęsta, niemal intymna. Nick złapała się na tym, że ścisła razem kostki nóg, a kolana trzyma złączone. Zgodnie z matczyną nauką, jak siedzieć w towarzystwie chłopca. Przyglądała dłonią włosy i usiłowała nie zerkać na Charliego. Ale kiedy słuchała odgłosu sunących po drodze opon, jej myśli powróciły do obiadowego stołu.

To przecież nie były ostentacyjne, niezręczne, brzydkie awanse. Jak tego mężczyzny z „Havana Special”. To był cichy atak. Ta dłoń, wślizgująca się pod rąbek jej

spódnicy, lekko rozsuwająca na boki jej kolana. Kciuk muskał wewnętrzną stronę uda, zataczając na skórze Nick niewielkie, spiralne kręgi.

Wiedziała, że gdyby przymknęła oczy, umiałaby sobie wyobrazić, że to dłoń Hughesa. Dyskretna i natarczywa zarazem. Taka, jaką zapamiętała.

Nalała wtedy wszystkim więcej wina, lekko unosząc się na krześle, żeby dosięgnąć reszty kieliszków; odrobina trunku pociekła na biały, lniany obrus po babci. Przez cały ten czas Charlie nie odrywał oczu od gospodarza i podtrzymywał rozmowę o kiepskim stołówkowym jedzeniu, chichocząc z żartów Hughesa. Nick posmutniała, widząc, jak mąż kiwa potakująco głową, jak kąciki jego niebieskich oczu marszczą się w uśmiechu. Ale jednocześnie zaparło jej dech w piersiach. Poczwała się jeszcze bardziej pijana i silna.

Nie zdołała powstrzymać się od rzucenia okiem na Elise, która z kolei nie odrywała wzroku od Charliego. Zastanawiała się, czy kobieta coś podejrzewa, czy może już zdażyła przywyknąć. Ludzie mówią przecież, że można się przyzwyczaić do wycia syren alarmów przeciwlotniczych. Człowiek czeka podobno na nieuchronne, potem próbuje udawać, że nic nie słyszy, aż wszystko się kończy i można swobodnie zacząć kłąć.

Teraz Nick ścisnęła kolana jeszcze mocniej. Powinna była zostać w domu! Powinna leżeć na swoim pomoście, słuchać Counta Basiego i myśleć o wyszykowaniu się na dzisiejszy wieczorny piknik oficerski.

I wtedy powrócił do niej widok radia, tak starannie owiniętego papierem, i ciężkiej książki kucharskiej, pełnej niezakupionych składników... Nick oparła głowę o szybę samochodu, przymykając oczy.

Usiłowała przypomnieć sobie, kiedy Hughes ostatni raz zabrał ją na lunch. To było jakiś czas przed wojną. A teraz tylko ciągle problemy z pieniędzmi, jakby rzeczywiście klepali biedę. W sumie Nick nie przejmowała się ząadto finansami, no, niezupełnie, nienawidziła tylko tego wiecznego omawiania wszystkiego i rozważania. Potem i tak to Hughes zawsze podejmował decyzję, a ona pozostawała z wrażeniem, że równie dobrze mogłaby być ścianą. Męczyło ją to i skłaniało do lekkomyślności. Kiedy zamarzył się jej żółty kostium, po prostu zatelegrafowała do swojego pełnomocnika i w tajemnicy poprosiła o pieniądze. A potem, w drodze do domu, oderwała etykietkę, wyrzuciła ją na pobocze i okłamała męża co do ceny. Tyle zachodu przez jakiś cholerny kostium kąpielowy! Który przez to wszystko, co gorsza, jeszcze bardziej się jej podobał.

Tak czy inaczej, pieniądze to pieniądze, a oni przynajmniej je mieli. Nick pomyślała o Helenie i niedawnym telefonie od kuzynki. Pisywały do siebie regularnie w ciągu ostatnich paru miesięcy, wymieniały listy pogodne (o ile nie banalne) i - przynajmniej ze strony Nick - nieco kłamliwe. Ale kiedy Helena w zeszłym tygodniu zamówiła zamiejscową z Hollywood, Nick wiedziała już, że coś się stało. Zdawało jej się, że małżeństwo ciotecznej siostry tylko pogorszyło jej już i tak skromne warunki życiowe; Helena, a mówiąc bardziej precyzyjnie: Avery Lewis, chciała sprzedać za gotówkę mały domek na Wyspie. Informacja potwierdziła podejrzenia Nick, że mąż Heleny to naciągacz. Nie omieszkała podzielić się z kuzynką tym spostrzeżeniem i w efekcie ta popłakała się do słuchawki po drugiej stronie trzeszczącej linii

telefonicznej, tłumacząc, że Avery chce zainwestować w jakieś filmowe przedsięwzięcie. W jakąś bzdurę kategorii B.

W nadziei, że ją zawstydzi i Helena zrezygnuje z pomysłu, Nick wypomniła, że gdyby nie jej ojciec, nie byłoby dzisiaj czego sprzedawać. A siostra ugięła się, mówiąc, że widać będą musieli zorganizować te pieniądze w inny sposób i że, oczywiście, Nick ma rację. Wściekła Nick odłożyła słuchawkę i powiedziała mężowi, że jej zdaniem najlepiej byłoby pojechać do Hollywood i sprawdzić, co tam się wyrabia, ale Hughes, naturalnie, musiał jej przypomnieć, że bilety na drugi kraniec kraju są drogie. Zirytowana Nick całymi dniami pozostawała w agresywnym nastroju, uparcie odmawiając robienia zakupów

- Gdzie jesteś? - Głos Charliego Wellsa sprowadził ją z powrotem do samochodu. Przez otwarte okna wpadało ciepłe powietrze.

- Och, po prostu daleko - odparła. - Czuję się trochę zmęczona po tym wczorajszym winie.

Zaparkujemy i stąd już pójdziemy spacerem - powiedział Charlie, zatrzymując samochód dbok starego hiszpańskiego fortu, który służył niegdyś jako strażnica.

Restauracja mieściła się w jednym z rozpadających się kolonialnych budynków, stojących po obu stronach wąskich, brukowanych uliczek starego miasta w St. Augustine. Wnętrze było mroczne, z niskim stropem. Nick zastanawiała się, jak wiele innych kobiet przyprowadzał tu Charlie.

- Zamówię dla nas obojga, jeśli nie masz nic przeciwko - powiedział.

Nick machnęła ręką.

- Proszę bardzo. Nawet nie wiedziałabym, od czego zacząć.

Kiedy kelner przyniósł wino, zakryła dłonią kieliszek.

- Chyba podziękuję.

- Ależ musisz! - odparł Charlie. - Nie można jeść tapas bez wina.

- W takim razie tylko odrobinę. - Ustąpiła, cofając dłoń. Stolik był niewielki, ich kolana niemal się pod nim

stykały, ale Charlie nie próbował się narzucać. Wprawiło to Nick w stan nieokreślonego niepokoju.

Małe dania rybne i mięsne okazały się jednocześnie słone i pikantne, tłustawe i ostre. Po brodach skapywały im sosy i w którymś momencie Nick zmuszona była oblizać palce.

- Zachowuję się jak dzikuska - oświadczyła radośnie. Miał rację z tym winem!, pomyślała i podsunęła w jego stronę kieliszek.

- Jak dzikuska to wyglądasz z tą opalenizną - powiedział Charlie ze śmiechem i nalał ponownie.

- Po raz pierwszy w życiu jestem opalona zimą - stwierdziła Nick.  
- Bardzo ciężko nad tym pracowałam.

- No cóż, moim zdaniem, dla takiego efektu było warto. Wszyscy chłopcy z okrętu ostro się w tobie podkochują.

- Naprawdę? Przecież ja ich prawie nie widuję.

- Raz wystarczy - odparł Charlie. - Opowiadano mi o tobie, ale musiałem zobaczyć cię na własne oczy, żeby się przekonać.

Nick wiedziała, że mężczyzna kłamie. Wcale nie należała do typu, od którego marynarzom miękły kolana, ale i tak poczuła, że się rumieni.

- Nie wstydz się - powiedział Charlie z szerokim uśmiechem.
- Nie wstydzę się. Zresztą sama nie wiem... - zawahała się. - No cóż, może nieco się zawstydziłam.
- Czy ten cholerny szczęściarz, za którego wyszłaś, nigdy nie prawi ci komplementów?
- Nick nic nie powiedziała. Opuściła wzrok na swoją brudną serwetkę.
- No dobrze już, dobrze. Przestaną ci dokuczać. Zamówmy kawę.
- Kelner przyniósł gęsty napar w malutkich, obtłuczonych filiżaneczkach. Takiej kawy Nick nie miała okazji pijać w rodzinnych stronach.
- Marokańska - wyjaśnił Charlie. - Filtrują ją dwukrotnie i dodają do niej kardamon. Stąd ten aromat.
- Popijali w milczeniu, małymi łykami, wsłuchując się w odgłos szcękających na zapleczu naczyń.
- Taka jestem zmęczona! - powiedziała Nick, kolistym ruchem poruszając fusy na dnie filiżanki. - Mogłabym spać bez końca...
- Chcesz wracać?
- Chyba tak będzie lepiej. W przeciwnym razie zasnę przy tym stoliku na sto lat i skończę jak Rip van Winkle.
- Podejrzewam, że obsługa nie miałaby nic przeciwko - roześmiał się Charlie.
- Może to rzeczywiście wcale nie najgorsze wyjście? Przynajmniej po przebudzeniu czekałoby mnie coś smacznego do jedzenia.
- Chciałem ci pokazać, skąd przyplywa łódź z najlepszymi krewetkami - powiedział Charlie. - Ale to chyba może poczekać.



- Po pierwsze, musiałabym wcześniej wstać - powiedziała Nick. -  
A poza tym jedna lekcja dziennie wystarczy.

Wysunęła głowę za okno samochodu, pozwalając, żeby wiatr nieco ochłodził jej rozgrzane winem policzki. Gdyby była sama, chwyciłaby powietrze pełnymi haustami, pozwalając słonawej bryzie przewietrzyć ją do czysta, ale nie chciała robić tego przy Charliem.

Od czasu do czasu czuła na sobie jego wzrok i wiedziała, że mężczyzna ma ochotę jej dotknąć.

Samochód skręcił na podjazd i Charlie przekręcił kluczyk w stacyjce; stygnący silnik klekotał. Nick oparła się o drzwiczki, nasłuchując cykania świerszczy w sztywnej bagiennej trawie wokół domów. Szyja zwilgotniała jej od potu. Czuła, że wewnętrzna strona kolan lepi się do winylowego siedzenia. Charlie położył dłoń na jej udzie. Popatrzyła. Przesunął się na miejscu kierowcy, omijając drążek zmiany biegów, żeby znaleźć się bliżej. Nick się nie poruszyła. Zdawało się, że mężczyzna szuka czegoś w jej twarzy, więc zastanawiała się, co też w niej widzi. Przysunął się jeszcze, wyciągniętym ramieniem chcąc ją do siebie przygarnąć, ale nogawką spodni zaczepił o przekładnię biegów i musiał przerwać zabiegi, żeby się uwolnić.

Nick niemal zachciało się śmiać. Czuła się zupełnie tak, jak gdyby obserwowała rozpaczliwe wysiłki akro-baty. Charlie pociągnął ją na siebie, próbował przesunąć bliżej środka siedzenia, ale ona ani drgnęła. Słyszała jego ciężki oddech. Wreszcie udało mu się przełożyć jedną nogę ponad drążkiem i dopadł Nick, wciskając ją w kąt siedzenia. Pomyślała, że dziwnie muszą wyglądać

w oczach wścibskich sąsiadek, które na pewno obserwowały sytuację ze swych kuchennych okien. Teraz nareszcie naprawdę będą miały o czym gadać!

Charlie sunął po jej szyi ustami, pozostawiając wilgotny ślad wzdłuż obojczyka. Nick było za gorąco, i od wina, i od słońca, i od odgłosu świerszczy, których cykanie nagle zaczęło przyprawiać ją o mdłości. Zaczęła go odpychać, ale on szarpał się z nią teraz i przygwałdził całym swoim ciężarem, jedną dłoń wsuwając jej pod letnią sukienkę, drugą szarpiąc za ramiączka.

- Przestań - powiedziała. - Jest za gorąco.

Charlie nie słuchał, albo nie dosłyszał, i Nick zastanowiła się, czy rzeczywiście wypowiedziała tę myśl na głos. Odepchnęła go ponownie, tym razem mocniej, ale zdawało się, że nie robi mu to różnicy. Szarpał za gors sukienki i w powietrze wystrzelił tuzin maleńkich, obciągniętych materiałem guziczków.

Nick wymacała za plecami klamkę i pociągnęła. Oboje wytoczyli się prosto na podjazd.

Leżała płasko na plecach, w sukience, która rozłożyła się wokół niej jak wachlarz, i walczyła z nieodpartą wesołością. Zebrała dłonią rozdarty gors i usiłowała zdusić rodzący się w gardle śmiech, ale nic z tego nie wyszło. Mimo że wolną dłonią zakryła usta, było już za późno - łzy zaczęły jej spływać po twarzy, kiedy z trudem łapała oddech, zaśmiewając się i krztusząc z tego śmiechu na zakurzonej ziemi. Groziło, że ten śmiech rozerwie ją na strzępy. Charlie siedział obok, bardzo zły i wyraźnie wyprowadzony z równowagi, co z kolei rozśmieszyło Nick jeszcze bardziej. Podniósł się i stał teraz z czerwoną i spoconą twarzą, piorunując ją wzrokiem.

- Przepraszam. Tylko że... O rany! - Zaledwie tyle udało się Nick wykrztusić, zanim znów zaczęła się śmiać.

- Suka! - syknął Charlie. - Jesteś zwyczajną, cholerną flirciarą. - Kopniakiem sypnął w nią żwirem, a potem zawrócił do samochodu i trzasnął drzwiami.

A Nick leżała, trzymając się za brzuch ze śmiechu. Patrzyła, jak auto odjeżdża, a drobinki kurzu tworzą niewielkie wiry w promieniach słońca.

Resztę popołudnia spędziła, przygotowując pomidorowy auszpik, który obiecała przynieść na oficcerski piknik w Green Cove Springs tego wieczoru. Zupełnie o nim nie pamiętała, do chwili, kiedy zobaczyła wynotowany odręcznie przepis na kontuarze obok lodówki. Potrzebny był wywar według receptury jej matki i odrobina żelatyny Knox. Nagle ten auszpik wydał się Nick strasznie ważny, może i najważniejszy w świecie. Z wyteżoną uwagą zabrała się do pracy.

Podpiekła kości i obrała warzywa. Uważnie obserwowwała wywar, redukując go do esencjonalnego bulionu. Udusiła pomidory, przetała je, wymieszała całość i przelała do cynowej formy w kształcie ryby, którą przysłano jej z północy z resztą rzeczy. Potem wstawiła ją do lodówki, żeby galareta się ścięła, i poszła się szykować.

Nick wrzuciła podartą sukienkę do kosza z praniem i właśnie zakładała kolczyki z perłami, kiedy pod domem rozległy się pokasływania i rżenia podjeżdżającego buicka. Nieco się przypudrowała i przyjrzała własnemu odbiciu. Z lustra spojrzała na nią Porządna Żona Porucznika. Włosy schludnie ułożone, żółty, bawełniany sweterek narzucony na ramiona i zapięty na dekolcie.

Zaledwie odrobina szminki i żadnego rózu. Nick przeszła do kuchni i wpadła prosto na Hughesa. Oboje, zaskoczeni, aż odskoczyli.

- Witaj - powiedziała, zerkając na męża tylko przez moment, a potem znów wbijając wzrok w podłogę.

- Witaj - odparł Hughes cicho. - Wezmę prysznic i się przebiorę. Nie chcemy chyba się spóźnić?

- Zrobiłam auszpik - oznajmiła Nick. - I tym razem będę w butach. - Popatrzyła nań i dostrzegła, że wzrok mężczyzny mięknie. - To chyba najlepsza galareta, jaką udało mi się zrobić w życiu.

- Dziękuję - powiedział.

Przez chwilę przyglądali się sobie, a potem Hughes zawrócił w stronę sypialni. Nick się nachmurzyła. Usłyszała płynącą pod prysznicem wodę i na palcach ruszyła w stronę tego odgłosu; drzwi były lekko uchylone, żeby nie zaparowała łazienka. Przez szparę patrzyła, jak jej mąż przeciąga się i mydli, jak wmasowuje szampon w jasne włosy. Naprawdę jest cały złocisty!, pomyślała, nagle zdając sobie sprawę z upływu czasu od chwili, gdy widziała go po raz ostatni nagiego w dziennym świetle. Teraz była tak blisko, a on nawet nie wyczuwał jej obecności! Nick zbierało się na płacz, poszła jednak tylko do kuchni, zobaczyć, czy auszpik stężał.

Wyjęła go ostrożnie z lodówki, nie chcąc zepsuć gładkiej powierzchni, i zachwyciła się idealnym kolorem. Był jak jasnopomidorowy basen pływacki. Ostrożnie dotknęła od góry palcem, żeby sprawdzić jędrność, auszpik zaprężynował, a Nick wyrwało się westchnienie satysfakcji. Wybrała półmisek i powoli odwróciła formę, a następnie uniosła ją i zobaczyła idealnie zastygniętą

galaretę w kształcie ryby, która połyskiwała i mrugała do niej okiem. Nick wzięła swoją ulubioną kuchenną serwetkę z nadrukowanym biało-niebieskim holenderskim wzorem, i nakryła półmisek. Uniosła go ostrożnie i ruszyła w kierunku samochodu.

Nie była pewna, czy to ona zaczepiła o coś obcasem, czy półmisek po prostu wysunął się jej z rąk, ale zanim zdążyła zareagować, przechylił się, a galaretka zsunęła się i rozprysła na małe, nieregularne kawałki po zielono-białym linoleum. Fragment wpadł pomiędzy palce jej stopy. Nick wbiła wzrok w poplamiony sandał z żółtej skóry, spojrzała na strzępy czerwieni rozplływające się w ciepłym powietrzu, a gdy nogi odmówiły posłuszeństwa, osunęła się na ziemię. Potem schowała twarz w dłoniach i się rozplakała; gwałtowny szloch szarpał nią jak atak bolesnej czkawki.

Hughes wybiegł pędem z sypialni, w rozpiętej białej koszuli, z włosami jeszcze wilgotnymi po kąpieli. Nick podniosła wzrok. Zapłakana i drżąca, wyciągnęła przed siebie rękę, wskazując panujący wokół rozgardiasz.

- Nie udało się! - zawołała. - Nie udało! Nie wiem, jak to się stało. Byłam za mało ostrożna.

- Cii... - powiedział, przykucając i obejmując ją ramionami. Przytulił twarz do jej włosów. - Kochanie, to nieważne. Naprawimy to. Nie płacz. To da się uratować.

Objął ją w talii i pomógł wstać. Zaprowadził do kuchennego stołu.

- Usiądź, kochana. Ja się tym zajmę. - Wziął miskę i uważnie pozbierał do niej wszystkie kawałki auszpiku, które nie zdążyły się jeszcze rozpuścić. - Jest idealny. Popatrz Nicky.

- O Boże! - powiedziała tylko, zerkając do naczynia na porwane, lśniące strzępy galaretki. - Obrzydlistwo.

- Nieprawda. To najładniejsza galaretka na świecie. Każdy facet pozielenieje z zazdrości, że mam taką pomysłową żonę - powiedział Hughes z uśmiechem. - Kochanie, proszę cię. Wszystko będzie dobrze.

- Nie jest dobrze, Hughes. Naprawdę, ale to naprawdę, nie jest dobrze - odparła Nick, zakrywając dłonią twarz.

- Ale będzie - powiedział, odejmując tę dłoń i obracając ku sobie podbródek żony. - Przepraszam. Nasze życie jest urocze. Ty jesteś urocza, a ja będę dla ciebie lepszym mężem. Zajmę się tobą, kochana. Obiecuję.

- Hughes - wykrztusiła Nick. - Hughes, proszę. Ja chcę wracać do domu.

- Zabiorę cię do domu, Nick - powiedział. -1 wszystko będzie dobrze.

## 1947, LUTY

Nick siedziała w kuchni i paliła, nieuważnie słuchając programu o ptakach i pocierając napięty jak bęben brzuch. Wyrzała na podwórze za domem, podobnie jak jej brzuch stwardniałe i senne. Tu i tam jakiś wróbel z nadzieją dziobał nieustępliwą ziemię. Po reklamie bromo-seltzer ponownie odezwał się lektor.

*Wracamy do pani Kay Thompson, która czyta nam fragmenty przełomowego dzieła Winfrid Alden Stearns „Ptactwo Nowej Anglii”, zachwycające miłośników ptaków już od ponad sześćdziesięciu lat.*

Z radia popłynął kobiecy głos z silnym nowoangielskim, nosowym brzmieniem.

*Lelek jest ptakiem należącym do rodziny szczególnej pod wieloma istotnymi względami, a zwyczaje ma tak osobliwe, że z jego tajemniczymi zachowaniami splotło się wiele przesądów tyleż ponurych, co śmiesznych. Ma jednak sporo cech sympatycznych i godnych podziwu, wśród których wyróżniają się jego rodzicielska czułość i małżeńska wierność.*

Nick sprawdziła bezy w piekarniku; po ostatnim roboczym lunchu w jakiejś francuskiej restauracji Hughes

dostał dosłownie bzika na ich punkcie. Dziwne, że wszystkich upodobań nabierał z dala od niej. Nick nigdy nie przestały zaskakiwać te nagłe odmiany gustu, podczas gdy zaledwie tego samego ranka jej mąż wyjeżdżał z domu jako w miarę znajomy osobnik. Ale, mimo drobnych, choć niespodziewanych zachcianek, naprawdę czuła, że zna go teraz lepiej. A może po prostu poznała lepiej ich małżeństwo? Zaczynała się powoli uczyć, że to dwie zupełnie różne rzeczy. Co za brzydkie, poślednie słowo: kompromis, pomyślała. Mimo to życie zaczęło się toczyć lżej, jak skrzypiące drzwi, w których ktoś wreszcie naoliwił zawiasy. Tyle że Nick płaciła za tę sytuację ustępstwami.

Kiedy wrócili do domu, do Cambridge, Hughes kupił jej ten dom. Nick myślała, że może mogliby zamieszkać w Tiger House, choćby tylko przez jakiś czas. Żeby zmyć z siebie gorące, zatechłe powietrze Florydy. Ale Hughes sprzeciwił się natychmiast.

- Ja nie mógłbym tam pracować, Nicky - zapowiedział przy obiedzie w ich tymczasowym mieszkaniu na Huron Avenue. - A moich rodziców o pieniądze prosić nie będziemy.

I znalazł zatrudnienie jako radca prawny w kancelarii Warner & Stackpole, gdzie pracował jego ojciec. A potem, w lutym, znalazł ten dom. „Zaprojektowany przez pierwszą kobietę-architekta, która uzyskała dyplom na MIT”, powiedział. Nick wiedziała, że po to, by ją zachęcić do pokochania tego miejsca. Potrafiła spojrzeć na siebie oczami Hughesa: trudna, bojowo nastawiona kobieta, która na pewno świetnie dogadałaby się z tą awanturniczą pionierką. Zresztą zapewne lesbijką.



Ze sposobu, w jaki oprowadzał ją po wnętrzu - dotykając framug drzwi i szeroko rozpościerając ramiona w kuchni, żeby jej pokazać, gdzie powstanie blat roboczy - zorientowała się, że Hughes kupił miejsce, w którym ona mogłaby zaistnieć. Miejsce, do którego pasowałyby idealnie, gdzie zostałyby z niej wyssana, a przynajmniej ukryta, cała jej odmienność. I niedobrze jej się robiło na samą myśl.

Kiedy rozpakowywała pudła, odkurzała weselne srebra, odwieszala jego koszule, wyobrażała sobie, że oto ucieka do Europy i wynajmuje apartament na Polach Elizejskich albo na via Condotti, że popija małą czarną i tańczy po kawiarniach do świtu. Ale, poza kupnem bardzo drogiego kompletu francuskiej bielizny, Nick nie poczyniła żadnych kroków w kierunku wyjazdu, co najwyżej w wyobraźni. O ile zdawała sobie sprawę, że Hughes zastawia na nią pułapkę, o tyle wiedziała również, że ona go kocha. A raczej, że on ją rozpala. Jak gorączka. Gdzie by nie pojechała, i tak byłaby na niego chora. Nick nie miała pojęcia, jak do tego doszło, ale przestała z tym walczyć. I niespodziewanie, jakby ta kapitulacja przerwała jakąś tamę, on zaczął ją dostrzegać. Widzieć naprawdę.

-Jesteś niesamowita - powiedział któregoś dnia, kiedy wrócił do domu i zastał stół zasłany porządnym obrusem i zastawiony srebrem, a Nick poklepującą krągłą, różowawą pieczeń wołową, którą udało jej się tanio kupić u rzeźnika.

Innego wieczoru dotknął jej kolana pod stołem po tym, jak przygotowała nienaganny obiad złożony z zupy ogórkowej na zimno, kotletów jagnięcych, pieczonych

ziemniaków i szpinaku. Dla jego wspólnika z firmy prawniczej, na którym chciał zrobić wrażenie.

- Szczęśliwy facet z ciebie, że masz żonę, która naprawdę potrafi gotować - powiedział ten wspólnik.

- Masz szansę daleko zajść.

Hughes zabrał Nick na tańce do Bostonu, na wiosenny bal, i tulił ją do siebie, mocno obejmując ramionami w talii.

- Mógłbym się upić samym twoim zapachem - szepnął jej do ucha. - Zawsze pachniesz domem.

A kiedy się z nią kochał, trzymał jej twarz w dłoniach i spoglądał jej w oczy.

- Powiedz mi, że jesteś szczęśliwa - poprosił kiedyś.

- Chcę wiedzieć, że cię uszczęśliwiłem.

Więc Nick dbała o różne drobiazgi, wykonywała je idealnie. A pomiędzy wymyślaniem planów dla nich obojga czytała swoje książki i słuchała swojej muzyki. I miała nadzieję, że może, kiedy on poczuje, że wszystko jest porządne i zadbane... Może któregoś dnia ocknie się ze snu i zechce znów być wolny. Razem z nią.

A potem zaczęły się rozmowy o dziecku.

- Ja nie chcę dziecka, Hughes - zastrzegła się Nick pewnego wieczoru przy obiedzie, nad resztkami kotletów wieprzowych z pieprzem. - A przynajmniej nie teraz.

- Każdy chce dziecka - powiedział.

- To idiotyczna uwaga. - Nick strzepnęła z białego obrusa strzępek papieru. - A poza tym my nie jesteśmy tacy jak wszyscy - dodała cicho.

- Nick... - odezwał się. - Ja wiem, że nie tak sobie to wszystko wyobrażałaś. Ja też tak sobie tego nie wyobrażałem. No ale przecież była wojna...

- Wojna, wojna! Niedobrze mi się od niej robi. - Zaczęła zbierać talerze. - Wojna nie może być uniwersalną wymówką!

Hughes złapał ją za nadgarstek.

- Ja mówię serio, Nick. Naprawdę chcę mieć rodzinę.

- No to, Hughesie Derringer, mam dla ciebie nowinę

- powiedziała, wyrrywając rękę z uchwytu. - I też mówię serio.

- Chcę, żebyśmy przeżyli życie. Po prostu je przeżyli.

- Poszukał wzrokiem jej twarzy. - Nie możesz tego zrozumieć?

- Nie mów do mnie, jakbym była dzieckiem.

- To nie zachowuj się jak dziecko.

W jednej sekundzie z pełnego ognia jego ton zmienił się w lodowaty i między obojgiem zaległa cisza. Niebezpieczna, jak wiedziała z doświadczenia Nick.

- Wcale nie próbuję cię rozgniewać - powiedział wreszcie Hughes. - Chcę życia... Może nie dokładnie takiego samego, jak wszyscy inni, ale niezbyt skomplikowanego.

- Dziecko... - odezwała się. - Będzie komplikacją.

- Chcę coś stworzyć. Coś dobrego i prawdziwego.

- Mamy już coś dobrego i prawdziwego. Dlaczego tego nie widzisz? - Popatrzyła w jego twarz, znużoną rozmową. Próbowwała jakoś opanować zalewające ją gorąco. Tę okropną desperację, od której drżały jej nogi. - Ja tylko... - Usiadła i położyła dłoń na jego dłoni. - Och, Hughes, z dzieckiem będziemy musieli tak bardzo uważać! Nasze życie... Ono się stanie ostrożne.

- Nie ostrożne - zaprzeczył. - Przemyślane.

Nick pomyślała o tym, jak jej mąż zawsze odkładał spinki do mankietów do właściwego pudełeczka, zamiast

wrzucić je do miseczki na komodzie, albo o tym, że nigdy nie ginęły mu pochewki na jego szwajcarskie scyzoryki, w przeciwieństwie do tego, co zdarzało się większości ludzi natychmiast po przyniesieniu ich do domu.

O wszystkich drobnostkach, które tak ją zawsze wzruszały. Hughes chciał być uważny, czerpał z tego przyjemność. Chciał życia, które będzie miało idealnie dobraną temperaturę, nie za gorącą, nie za zimną. Ale Nick nie była pewna, czy zdoła przetrwać to uładzanie.

- Sama nie wiem, Hughes - powiedziała wreszcie. - Jesteśmy jeszcze młodzi. Zanim sprawimy sobie dziecko, moglibyśmy spróbować różnych rzeczy...

Jeszcze nie skończyła zdania, a już poczuła ciężar domu, który dla niej kupił, i wiedziała, że być może jest za późno.

-Jakich rzeczy? Podróży? Już byłem za granicą. Świat nie jest tam wcale lepszy niż tutaj. A poza tym zawsze możemy podróżować całą rodziną.

Nick pomyślała o Europie. O balkonach z kutego żelaza i wysokich oknach. O smaku obcej mowy na swoich wargach.

- Nie wiem, czy będę umiała być tak ostrożna, jak oczekujesz. Czy przemyślana. Czy jak tam sobie chcesz to nazwać - powiedziała.

Nick wyjęła bezy z piecyka i odstawiła je do wystygnięcia. Musiała wyciągnąć ramiona na całą długość, żeby wyłożyć ciastka na drucianą siatkę, starając się nie obijać tego wielkiego brzucha o kontuar. Cofnęła się i przyjrzała swojemu dziełu: sporym, śnieżnym kopczykom, wyrosniętym pośrodku i nieco opadającym przy

brzegach. Śliczne, to prawda, ale ona sama woli makaroniki. Nieco bardziej twarde, z kokosowymi wiórkami.

Po rozmowie na temat dziecka Hughes nie wracał już do tematu. Ale kiedy w tym samym miesiącu Nick dowiedziała się, że Helena zaszła w ciążę, opłacił kuzynce żony bilet kolejowy z Los Angeles.

- Miło będzie wam obu zobaczyć się ponownie - powiedział. - Poza tym nie jestem tak całkiem przekonany do tego... Avery'ego.

- Sama bym nie ujęła tego lepiej - odparła Nick. Wiedziała, że Hughes ma nadzieję, że widok Heleny,

ciężarnej i szczęśliwej, zmieni nastawienie Nick w sprawie dziecka, ale nie przejęła się tym zanadto. Nie widziała kuzynki od siedmiu miesięcy, kiedy to spakowały się i opuściły dom na Elm Street, i tęskniła za nią po prostu. Wyczuwała w niej również jakiś niepokój. Helena wydawała się bardzo zgaszona i znużona za każdym razem, kiedy rozmawiała o Averym i jego planach dla obojga.

Helena przyjechała do Cambridge w maju, dokładnie wtedy, kiedy konwalie zaścielały trawnik przed domem płaszczem połyskliwej ciemnej zieleni i delikatnej bieli. Nick zebrała mały bukiet i wzięła go ze sobą na powitanie kuzynki na South Station.

- Helena, słowo daję! W ogóle nie wyglądasz jak ciężarna - powiedziała, śmiejąc się i mocno przytulając, kiedy siostra wysiadła z pociągu.

- Naprawdę? Mnie się wydaje, że jestem olbrzymia.

Helena miała na sobie kostium w kolorze nieba, uszyty z jakiejś leciutkiej wełenki, a może z jednego z tych sztucznych włókien, które były ostatnim krzykiem mody.

- Wyglądasz olśniewająco. Nie mów, że i ty trafiłaś do filmu?  
- Kochana Nick! - odparła Helena z uśmiechem.  
- Nie zmieniłaś się ani na jotę. Nadal łzesz przy każdej nadarżającej się okazji bez drgnienia powieki.

Nick wręczyła bagażowemu ćwierćdolarówkę, wyjętą z czerwonej, skórzanej torebki, i wzięła kuzynkę za rękę.

- Hughes dał nam nawet na taksówkę, więc pojedziemy z klasą.  
- Och, jak dobrze być w domu! - westchnęła Helena.  
- Nawet nie wiesz, jak jestem szczęśliwa!  
- No cóż, wiem za to, jak szczęśliwa jestem ja. - Nick zamachała ręką na wolną taksówkę. - Zmieniłam się całkiem w gospodynię idealną. Będziesz potem musiała zbadać moją głowę. No chodź, jedziemy do domu. Lunch i wino czekają.

Kiedy dojechały, Helena poszła się odświeżyć w pokoju gościnnym, a Nick ustawiła mały, okrągły stolik w oranżerii i zaczęła szykować sałatkę z tuńczyka. Po chwili Helena zeszła na dół; zdążyła już zdjąć swój niewielki, błękitny kapelusik i jasne loki opadały jej teraz na ramiona. Twarz miała różową i pulchną, jak w reklamie świąt Bożego Narodzenia.

- No cóż, ciąża naprawdę ci służy, trzeba przyznać  
- powiedziała Nick. - Ile to już? Trzeci miesiąc?  
- Czwarty - poprawiła ją Helena, siadając przy zielonym blacie z formiki. - A przynajmniej tak mi mówił lekarz. Ale nie ufam mu do końca. Moim zdaniem to chyba zwykły konował - westchnęła. - Avery mówi jednak, że wszystkie znane aktorki do niego chodzą, więc...  
- Znanym aktorkom potrzebne są wyłącznie aborcje

- stwierdziła Nick. - Naprawdę, powinnaś tu wrócić i sobie też zafundować. Mogłabyś odwiedzić doktora Mon-ty'ego.

- Myślałam, że doktor Monty nie żyje - zaśmiała się Helena.

- Ależ skąd, łaskawa pani. Żyje i całkiem dziarsko podszczypuje tyłki pielęgniarek. - Nick przyjrzała się kuzynce i powróciła do układania sałaty na talerzach.

- Hughes ma na to ochotę.

- Na podszczypywanie pielęgniarek?

- Gdyby o to chodziło! Nie. Na dziecko. Helena się uśmiechnęła.

- Wiesz, to nie wyrok śmierci. W sumie to całkiem przyjemne.

- Wszyscy tak mówią. Och, Heleno, czy ty mnie widzisz zagrzebaną po łokcie w brudnych pieluchach? Hughes już i tak na dobre przykuł mnie do kuchenki. Czego chce jeszcze?

- E tam, przestań udawać, że go nie kochasz. - Helena rozpostarła ręce i objęła nimi całą kuchnię. - I tego wszystkiego.

- Oczywiście, że go kocham - odparła Nick. - Ja tylko myślałam, że to wszystko będzie nieco ciekawsze.

- Małżeństwo to spokojna przystań - powiedziała cicho Helena. - I już nigdy nie będziesz sama.

- Nie mówię o małżeństwie - uściśliła Nick. - Tylko o życiu. - Wyjrzała za okno, a potem szybkim ruchem obróciła się do kuzynki. - To znaczy... Pomyśl choćby o Elm Street. Mogłyśmy robić dokładnie to, na co miałyśmy ochotę, i nikt niczego od nas nie wymagał. Tęsknię nawet za tymi okropnymi kartkami na jedzenie. Chciałabym

tego samego dla nas, dla mnie i Hughesa. Bez tej ciągłej sztywności i poprawności. Czasami mam ochotę zedrzeć z siebie ubranie i wybiec całkiem nago na ulicę z dzikim wrzaskiem. Po prostu dla jakiejś, cholera, odmiany!

- Wtedy była wojna, a nie prawdziwe życie - powiedziała Helena.  
-1 wcale wszystko nie wyglądało tak różowo...

Nick przypomniała sobie Fena i westchnęła.

- Masz rację. Kretynka ze mnie. - Zmusiła się do uśmiechu. - Wystarczy tego. Kochanie, może nalałabyś wina? Stoi tuż obok ciebie, na tym śmiesznym blacie zaprojektowanym przez Hughesa.

- Naprawdę kupił ci piękny dom - stwierdziła Helena, napełniając dwa niewielkie pojemniki po dżemie, które Nick uratowała z ich mieszkania.

- Tak. Piękny dom dla dobrej żony. - Nick zaatakowała nożem seler. - Nie powinnam tak mówić, to wredne. Ale, tak czy inaczej, niech szlag trafi facetów.

- Nick, naprawdę jesteś niemożliwa. Oczekujesz zbyt wiele. To jak wyklócanie się z Bogiem, jak kiedyś mawiała mama.

- A Avery? - zapytała Nick, dotknięta nagle stoicy-zmem kuzynki. - Czy on jest wszystkim, czego pragniesz? Czy Bóg jest tak cholernie zadowolony z was dwojga?

- Mieszkamy w wynajętym mieszkaniu - odparła Helena z namysłem. - Chciałabym mieć własny dom. No, ale z drugiej strony, to przecież uroczy, mały bungalow. Z zapasowym pokojem, kiedy pojawi się dziecko.

- Czasem bywasz tak gapowata, kochanie - powiedziała Nick, odkładając nóż na deskę do krojenia. - Ja pytam o twojego męża, a nie o warunki mieszkaniowe.



- Och. - Zdawało się, że Helena ucieka oczami przed wzrokiem siostry. - No tak... Sama nie wiem. Z tym chyba podobnie jak wszędzie.

- Boże, Heleno, jesteś bardziej tępa niż nóż do papieru. - Nick miała ochotę trzepnąć ją po głowie łądogą selera. - Co jest takie samo jak wszędzie?

- Nick, on nie jest jak inni mężczyźni, wiesz? To znaczy... Jest przecież artystą.

- O czym ty, u licha, gadasz? Avery nie jest żadnym artystą. On sprzedaje ubezpieczenia, na litość boską!

- Tak, żeby zarabiać na życie. Ale jego prawdziwą pasją jest film - powiedziała Helena, zaglądając do swojego słoiczka, jakby czegoś w nim szukała. - W sumie podchodzi do tego bardzo metodycznie. Widzisz, on ma swoją kolekcję...

Nick podeszła i usiadła obok kuzynki.

- Kolekcję?

-Tak, no cóż... On miał kiedyś taką przyjaciółkę, aktorkę, i ona była bardzo dobra, bardzo utalentowana i bardzo piękna. I mieli razem zrobić film. Ona miała w nim zagrać główną rolę, a on miał zorganizować pieniądze, ale potem... No cóż, potem ktoś ją zabił i jego to po prostu kompletnie złamało. Zmieniło wszystko.

- Rozumiem. - Nick faktycznie miała wrażenie, że zaczyna rozumieć, kim naprawdę jest ten cały Avery Lewis. - To brzmi szalenie dramatycznie.

- No tak, owszem - przyznała Helena. - I jemu wydawało się, że się z tym nie upora. A potem poznał mnie i zrozumiał, że nie musi przez to wszystko przechodzić sam. Widzisz, on się postanowił poświęcić i przybliżyć światu jej talent. Więc zaczął gromadzić tę kolekcję. Ku jej pamięci.

Nick z trudem przyjmowała do wiadomości to, co słyszy. Helena potrafiła być czasem łatwowierna, ale nie była przecież kompletną idiotką.

- I jak on niby to wszystko robi? To znaczy: w jaki sposób udowadnia światu, że jego była kochanka dysponowała tym wielkim talentem?

- Wiedziałam, że tego nie zrozumiesz. - Helena gwałtownie uniosła brodę. - Większość ludzi nie rozumie. A upamiętnienie czyjegoś życia jest jak stworzenie dzieła sztuki. To jakby zebrać wszystko, co się z tobą wiąże, i uchwycić twoją istotę. A poza tym Avery chce zrobić film. Właśnie tym się zajmuje.

- Istota! I co jeszcze! - Nick próbowała zajrzeć kuzynce w oczy, ale ta nie chciała na nią patrzeć. - Helena, naprawdę... - Zdumiona pokręciła głową. - Wiedziałam, że tam dzieje się coś dziwnego, ale nie zdawałam sobie sprawy... On naprawdę zdołał cię przekonać, że chodzi o sztukę?

- Jesteś niesprawiedliwa - powiedziała Helena. - Może i Avery jest niekonwencjonalny, ale co w tym złego? Kocha mnie. A poza tym, Nick, on mnie rozumie. Jestem mu winna wsparcie.

- Finansowe wsparcie, chcesz powiedzieć. - Nick zobaczyła rumieniec na twarzy kuzynki i poczuła, że jej zaciętrzewienie mija. Położyła dłoń na ramieniu Heleny i odezwała się łagodnie: - Przepraszam cię. Nie zamierzałam cię krytykować. Ale, naprawdę, kochanie... To jest wariactwo. Widzisz to sama, prawda?

- Nick, on jest moim mężem. I to do tego drugim. Nie zamierzam się rozwodzić i rozglądać za numerem trzecim.

Nick przyciągnęła Helenę do siebie i przytuliła policzek do jej miękkich włosów.

- Mogłybyśmy zapytać kogoś z kancelarii prawnej Hughesa...

- Będę miała dziecko.

Nick odsunęła się i patrzyła na siostrę przez chwilę. Później powoli skinęła głową.

- Racja. Oczywiście. Będiesz miała dziecko.

*Lelek może siedzieć w krzaku, w którym ukrywał się za dnia, ale może także podkraść się blisko domu. Umie również niepostrzeżenie opaść na szczyt dachu i z nagłą gwałtownością zakrzyczeć w środku nocy, po plecach osób nieco bardziej podatnych na złowieszcze przecucia czy przesady przebiega dreszcz.*

Nick poczuła kopnięcie dziecka, bardzo małą błyskawicę przebiegającą po jej brzuchu. Zaczęła przeglądać pocztę. Na jednym stosiku zgromadziła rachunki do przejrzenia przez Hughesa po jego powrocie z pracy. Na drugim zebrała ich towarzyską korespondencję. Odpowie na nią jutro, po prasowaniu.

- O Boże! Życie jest nudne - zwróciła się do pustej kuchni.

Wiedziała, że Hughes wolałby dziewczynkę, ale chłopiec nie musiałby zawracać sobie głowy tymi wszystkimi przyziemnymi szczegółami. To on dyktowałby warunki, robiłby to, na co miałby ochotę. Byłby silny, zdecydowany i niezależny. I nie musiałby za nic przeproszać ani nawet piec ciastek, na które nie miałby ochoty.

Przystanęła.

- Na litość boską, rozchmurz się - powiedziała do siebie.

W ostatnim czasie czarne nastroje dopadały Nick coraz częściej, ale doktor Monty już dawno zapowiedział, że to pospolity objaw w czasie ciąży.

- Wiele kobiet w tym okresie odczuwa lekkie przygnębienie - dodał, nieco zbyt długo zatrzymując dłoń na jej kolanie, kiedy siedzieli w jego małym gabinecie, w uliczce odchodzącej od Brattle Street. - To całkowicie normalne, pani Derringer. To wielka zmiana dla każdej kobiety, ale mile widziana.

W zeszłym tygodniu zalecił, żeby Nick przerzuciła się na pogodniejsze lektury, podejrzliwie zerkając na *Rozważania o uczuciu piękna i wzniosłości* Kanta.

- Wiele z moich pacjentek przekonało się, że szycie według wykrojów bardzo podnosi je na duchu. Aktywność! Oto, co zalecam - powiedział głosem ociekającym otuchą.

Więc Nick wybrała się po zakupy i kupiła album z wykrojami dziennych sukienek. Nadal leżał na górze w jej pokoju, opakowany w brązowy papier.

Dotknęła palcem jednej bezy. Już wystygły. Przyniosła sobie czarną puszkę, wyłożoną pergaminem, i zaczęła delikatnie przekładać do niej ciastka, starając się nie pokruszyć czubków. Zastanawiała się, co w tej chwili robi Helena, jak sobie radzi w życiu jako matka. Ed miał już cztery miesiące, a Nick wciąż powtarzała sobie, że kuzynka na pewno jest zajęta przy dziecku. Ale nie mogła się pozbyć wrażenia, że z każdą krótką rozmową przez telefon Helena oddala się coraz bardziej. Jakby zapadała się pod wodę.

- Nie musisz do niego wracać, wiesz? - powiedziała Nick, gdy Hughes położył się już do łóżka, a one dopijały

wino, którego i tak wypiły już zbyt wiele. - Nie jesteś mu nic winna. Wiem, że tak ci się wydaje, ale też masz prawo do szczęścia.

- Naprawdę uważam, że akurat ty nie powinnaś zajmować się udzielaniem małżeńskich porad.

To był pierwszy raz w ich życiu, kiedy zaskoczona Nick wyczuła w głosie Heleny coś zbliżonego do pogardy.

- Ja tylko chcę, żebyś była szczęśliwa. - Poczwała, że zaczyna się denerwować.

- Nie masz zielonego pojęcia o szczęściu. - Helena spojrzała jej prosto w oczy. - Nic cię nie uszczęśliwia, poza tym, czego nie masz. Zawsze umiałaś wyłącznie brać. Brać, a potem i tak żądać więcej. Masz wszystko, a zachowujesz się tak, jakby to było nic. Więc skąd miałabyś wiedzieć, co mnie uszczęśliwi? Albo kogoś innego?

Nick osłupiała.

- Zapewne powinnam się ucieszyć, że nareszcie mówimy sobie prawdę - powiedziała, czując w ustach metaliczny posmak. - A skoro już nie przebieramy w słowach... Przez tę biedę zrobiłaś się tak egocentryczna, że nie jesteś w stanie wyrzec poza ten swój żaloszny mały światek. Powinnam być szczęśliwa, bo mam więcej niż ty? Na litość boską, posłuchaj samej siebie!

- Nie, to ty siebie posłuchaj. - Helena wstała. - Idę do łóżka.

Rano były przeprosiny i pożegnanie na South Station okraszone serdecznym pocałunkiem, ale po tym epizodzie Nick zaczęła się zastanawiać, jak dobrze zna, w gruncie rzeczy, duszę kuzynki.

*Podczas sezonu lęgowego ptaki odzywają się pełnym głosem, ale potem bywają rzadko, o ile w ogóle, słyszane. Ponieważ główną przesłanką wskazującą na obecność lelka w okolicy jest śpiew, znikają z naszego życia cicho i niepostrzeżenie. Naprawdę trudno określić porę ich odlotu.*

Nick wsunęła srebrny nożyk do listów, odziedziczony po matce, pod zamknięcie pierwszej koperty na swoim stosiku, tej bez adresu zwrotnego. Kiedy próbowała wyjąć ze środka kartonik, nieco drżała jej ręka. Wiedziała wprawdzie, że to zapewne zaproszenie na przyjęcie koktajlowe wydawane przez żonę któregoś ze współpracowników Hughesa albo liścik od któregoś z sąsiadów z Wyspy z informacją, jak sobie radzą jego hortensje, ale poczuła nagłą suchość w ustach. Od czasu Tamtego Listu, jak nazywała go w myślach, łapała się na strachu przy każdej przesyłce pozbawionej danych nadawcy.

- Nie bądź niemądrą gąską! - napomniała się stanowczo, lecz bez większego efektu.

Zanim zdobyła się na przeczytanie go, musiała odłożyć kartonik na stół i przez chwilę powyglądać przez okno.

*Nicky, kochana.*

*Herbatka w środę?*

*4 po południu.*

*Uściski, Birdie.*

Nick roześmiała się z ulgą. Zwyczajna herbatka, zwyczajna Birdie. Wszystko w porządku. Poczła lekkość, nawet uniesienie. Hughes niedługo wróci do domu, ona upiekła jego ulubione ciastka i niedługo urodzi im się dziecko! Wszystko w porządku. W jak największym porządku.

Tamten List nadszedł w jakiś wtorek, pięć miesięcy temu, w ten zadziwiająco chłodny wrzesień. Nick właśnie nie mogła się zdecydować, czy wyjąć z zamrażarki duszoną pieczeń, czy skoczyć do rzeźnika po kotlety jagnięce jeszcze przed powrotem Hughesa do domu. Skłaniała się ku pieczeni, bo to oznaczało, że zostanie jej dość czasu na kupno na Harvard Square jakichś nowych rękawiczek.

Otworzę najpierw pocztę, a potem zdecyduję, pomyślała. To był trzeci list na jej stosiku. Pękata, brązowa koperta. Niemal pakunek. Zaadresowany do Hughesa. Ponieważ adres wypisano ręcznie, a nie maszynowo, Nick wiedziała, że to nie rachunek. Poza tym list został przekierowany pod ten adres z bazy w Green Cove Springs, a ona bała się, że może się w nim znajdować wiadomość od Charliego Wellsa. Choćby w ramach zemsty za zachowanie Nick po ich wspólnym lunchu.

Ale gdy tylko wyczuła umieszczony w środku arkusik drogiej papeterii, wiedziała, że Charlie nie ma z tym nic wspólnego. Po pierwsze, na górze kartki zauważyła inicjały. E.L.B. Marszcząc brwi, Nick spojrzała niżej, na tekst zapisany eleganckim, pochyłym pismem.

*Wiem, że mówiłam, iż więcej nie napiszę.*

*Świat już nie płonie. Ale ja nadal cię kocham.*

*Chcę, żebyś to wiedział, gdziekolwiek jesteś.*

*Zresztą wszyscy zasługujemy na szczęście.*

Nick wsunęła dłoń do koperty i wyjęła z niej mosiężny klucz z okrągłą główką, przyczepiony do plakietki z napisem: „Claridge's. Pokój 201”.

Klucz był masywny, a plakietka taka gładka... Nick potarła kciukiem lśniący mosiądz, pozostawiając na nim

lepłą smugę. Spojrzała na własny kciuk, który nagle wydał jej się tłusty, matowy i brudny. „Pospolite dłonie”, powtarzała matka, wmasowując wieczorem masło w jej palce. „Coś, co nie przystoi żadnej damie”.

Nick podniosła kartkę i przeczytała ją ponownie, odcyfrowując linijka po linijce, szacując, usiłując zdecydować, który wyraz coś oznacza, a który został dopisany tylko po to, żeby połączyć w całość te niosące jakąś informację.

Mało słów nieważnych, uznała. Bez „że”, „iż” i „ja” też można by się obyć, chociaż wówczas przekaz straciłby na naturalności. *Zresztą wszyscy zasługujemy na szczęście.*

- O Boże! - powiedziała Nick, kiedy dotarło do niej znaczenie tych słów, tej papeterii, tego ciężkiego, mosiężnego klucza. - O Boże...

Oparła głowę na blacie i próbowała się rozplakać, ale łzy nie chciały popłynąć. Patrzyła na swój oddech, najpierw pokrywający mgłą formikę, a później znikający z jej powierzchni.

Po chwili Nick podniosła głowę i wyprostowała plecy. Znow przesunęła dłońmi po Tamtym Liście. Zostawiła na blacie klucz, wzięła do ręki gruby, kremowy kartonik i poszła do stojącego w oranżerii barku, zmieszała sobie martini i wypła jednym haustem.

A potem przygotowała kolejne. Kiedy wypła drugie, znow spojrzała na list. *Świat już nie płonie. Ale ja nadal cię kocham.* Zrobiła sobie trzeci koktajl, tym razem pozwalając trzem oliwkom opaść na dno kieliszka. A potem, z Tamtym Listem w jednej dłoni i martini w drugiej, Nick przeszła do salonu, gdzie ogień, który



rozpaliła na kominku wczesnym popołudniem, teraz trzaskał i sypał iskrami.

Usiadła na niskiej, haftowanej ławeczce przed kominkiem i spojrzała po raz ostatni.

*Wiem, że mówiłam, iż więcej nie napiszę.*

A potem wrzuciła Tamten List na nadwątlone ogniem polana i patrzyła, jak zwija się i powoli zamienia w popiół.

Została przed kominkiem, obracając w palcach nóżkę kieliszka, zahipnotyzowana płomieniem. Potem wstała i powoli poszła do biblioteki. Wyjęła notes z adresami i zamówiła międzymiastową.

Czekając, aż operator ją połączy, wyjęła z pudełka na stoliku z telefonem papierosa. Zapaliła go i zapatrzyła na niewielkie wykuszowe okno, które sprawiało, że biblioteka była ulubionym pomieszczeniem Nick w tym domu. Za oknem ciepłego pokoju drapały o ramę niskie gałęzie jesionu.

Telefonistka poleciła jej czekać.

Nick dopijała resztki martini.

- Pieczeń - powiedziała do siebie pijanym głosem. Zanim po drugiej stronie linii odezwała się Helena,

Nick zdążyło już ogarnąć odrętwienie.

- Nick? - Głos Heleny trzeszczał.

- Och - odezwała się Nick, nagle zdziwiona, że rozmawia z kuzynką.

-To ty?

- Tak, tak. To ja. - Z trudem odnajdowała słowa. *Ale ja nadal cię kocham.*

- Co u ciebie? Wszystko w porządku?

- Nie. Nie całkiem - poprawiła się Nick. - Ja... Nagle

po prostu za wszystkim zateęskniłam. Pamiętasz nasz mały domek na Elm Street? I jak nam tam było tego pierwszego lata?

- Tak. - Helena jakby się zawahała. - Nick, co się dzieje? Czy z Hughesem w porządku?

- Hughes to Hughes - powiedziała Nick. - Nic. Po prostu ogarnęła mnie nostalgia za naszym poprzednim życiem. To wszystko. Wiele bym dała, żeby znów znaleźć się w tamtym domu, pracować pończochy w tamtej paskudnej, małej łazience. Pamiętasz, jak ostatnia para zwyczajnie mi się rozpadła na wieszaku nad wanną? Jak wróciliśmy i znaleźliśmy tam tylko mały kopczyk brązowego pyłu? I urządziliśmy mu pogrzeb w ogrodzie?

- Tak, pamiętam. A potem puściliśmy z gramofonu *Sonatę Księżycową*.

- No właśnie. No właśnie - powiedziała Nick, przeczesując dłonią włosy. - Zapomniałam już, co puszczałyśmy.

- To było to - odparła Helena. - A potem narysowałam ci na nodze kreskę ołówkiem do brwi, ale wyszła ^ strasznie nierówna.

- Tak. I musiałam się namęczyć, żeby ją zmyć. - Nick zapaliła kolejnego papierosa. Wiatr szarpał okienną ramą.

- Kochanie, czy ty coś piłaś?

- Tak, martini. A może trzy? - Nick roześmiała się śmiechem, który zabrzmiał jak odgłos przeciągania widelcem po blaszanej puszcze.

- Przepraszam cię, kochana. Chciałam tylko porozmawiać z tobą. Porozmawiać o czymś z tamtych czasów.

- Jesteś pewna, że nic ci nie jest?

- Tak, tak. Muszę już kończyć. Do widzenia, Heleno.

- Do widzenia, Nick. Napisz do mnie niedługo. Nick odłożyła słuchawkę.

- Do widzenia - powiedziała ponownie, tym razem do cichego pokoju i wiatru szumiącego w gałęziach jesionu.

Tego wieczoru położyła się wcześniej, skarżąc się na ból głowy, i płakała, dopóki nie zasnęła, podczas gdy Hughes jadł w kuchni zupełnie samotnie. Ale następnego wieczoru, kiedy wrócił do domu, była już gotowa.

Założyła swoją czerwoną sukienkę z szantungu, tę samą, którą miała na sobie wtedy, w Klubie 21, a włosy ułożyła u fryzjera na Harvard Square. Zrobiła steki, tłuczone ziemniaki i pikantną zieloną fasolkę. Przygotowała martini. Kiedy jej mąż stanął w drzwiach, dzbanek właśnie pokrywał się szronem na marmurowym blacie barku.

Wyszła do frontowego holu i wyjęła mu z ręki aktówkę.

- Lepiej się czujesz? - zapytał, całując ją w czoło.

- Znacznie - odparła. - Przejdź do salonu. Przygotowałam koktajle.

Hughes przyjrzał się uważniej, dostrzegając i włosy, i sukienkę.

- Co to za okazja?

- Wyjątkowa - odpowiedziała Nick, przechodząc przez jadalnię w stronę barku. Aktówka ciążyła jak ołów.

Drżącą dłonią naląła martini, ocierając jednocześnie wódczane łzy, które pociekły po kieliszkach. Postawiła szkło na srebrnej tacce, razem z oliwkami. Cofnęła się i spojrzała na koktajle, nie mogąc się nadziwić, że coś może wyglądać tak czysto, a jednocześnie mieć w sobie tyle trucizny.

Przygładziła włosy, wzięła tackę i ostrożnie przeszła przez długą oranżerię; wysokie obcasy stuknęły rytmicznie o wykładaną kaflami posadzkę. Kiedy weszła do salonu, zobaczyła, że Hughes siedzi w swoim głębokim, niebieskim fotelu i spogląda wyczekująco.

Nick spokojnym gestem odstawiła tackę na stolik obok. Podała mężowi jeden z kieliszków, a sobie wzięła drugi.

- Hughes, zdecydowałam... - urwała. - Uważam, że powinniśmy mieć dziecko. Chcę dziecka.

Hughes odstawił kieliszek. Wstał, a potem objął Nick ramionami.

- Kochanie - szepnął w jej włosy. W powietrze wzbił się ostry zapaszek lakieru. - To wielka nowina.

- Tak - powiedziała po prostu.

- Wiedziałem, że tego zechcesz. Wiedziałem, że zmienisz zdanie i też go zapragniesz.

Coś twardego i czystego, co mieszkało do tej chwili w jej wnętrzu, marzenie, które być może zrodziło się w sypialni pokojówki w dzień ślubu jej i Hughesa, roztrzaskało się i roztopiło w gorączce krwi.

**DAISY**

## 1959, CZERWIEC

To lato Daisy już na zawsze zapamiętała jako lato, kiedy znaleziono zwłoki. Było to jednocześnie lato jej dwunastych urodzin i pierwszego pocałunku, tuż obok starej piwniczki na lód, w której teraz trzymało się wszystkie rdzewiejące rowery. Ale to pierwsze muśnięcie ust ustami bladło w porównaniu z poruszeniem śmiercią. Kiedy natknęto się na to ciało, za kortami tenisowymi, w pierwszej chwili nie wiadano nawet, co to jest. Ot, przykryty brudnym, podróżnym kocem sporawy tłumok, z którego sterczało coś, co wyglądało jak parzydełkowiec zwany żeglarzem portugalskim.

Czerwiec zaczął się dla Daisy jak każdy inny. Dwa dni po jej urodzinach matka załadowała bagażami samochód i ruszyły w dwugodzinną trasę do promu w Woods Hole. Kłóciły się o stacje radiowe. Matka powiedziała, że *The Clovers* jeszcze ujdą, bo brzmią jak prawdziwa muzyka. I że nie rozumie, dlaczego cała muzyka utraciła ostatnio swoją poezję. A poza tym, że nie cierpi słowa „kociak”. Daisy uśmiechnęła się pod nosem z wyższością.

Na promie matka kupiła dla niej kawę z mnóstwem mleka. Sama zawsze pijała taką bez dodatków, gorzką. „Młoda dziewczyna powinna nauczyć się pić kawę, ale z kofeinowym roztrzęsieniem nie jest jej do twarzy”.

- Tylko kropelkę - zwróciła się do mężczyzny w białej czapce, który serwował napoje za kontuarem z nierdzewnej stali. Spojrzał zdziwiony, ale zrobił, co mu kazała. Mężczyźni właśnie tak zwykle reagowali na matkę Daisy.

A ona często zastanawiała się, jakąż to niewidzialną mocą dysponuje ta kobieta, skoro robi na nich takie wrażenie. Daisy też zresztą zawsze wykonywała jej polecenia. To dlatego, że matka zawsze była nieco szalona i Daisy wiedziała, że lepiej się jej nie sprzeciwiać, chyba że naprawdę chce się oberwać po uszach. Ale przecież ci mężczyźni nigdy nie dostaliby po głowie, skądże. A poza tym zawsze przy jej matce jakby trochę głupieli. Nie, raczej się jej bali. A jednocześnie zachowywali się tak, jakby przez całe życie marzyli o spełnieniu jej zachcianek.

Daisy nawet zapytała o to matkę pewnego razu. A raczej zapytała ją, czy uważa, że jest ładna, bo miała niejasne przekonanie, że ta dziwna władza wiąże się jakoś z jej wyglądem.

- Uroda, tak naprawdę, wcale się aż tak bardzo nie liczy - odparła matka. - Mężczyźni lubią natomiast, kiedy ma się to „coś”.

I dzieląc się z córką tym skrawkiem informacji, uśmiechnęła się porozumiewawczo, uśmiechem, który kazał Daisy zachować milczenie. Ale w głębi ducha dziewczynka nie przestawała się zastanawiać, kto jeszcze ma to „coś” i skąd się to „coś” bierze. Pomyślała o swoich ulubionych aktorkach, ale matka jakoś nie

przypominała ani Audrey Hepburn, ani Natalie Wood. Nie była nawet tak naprawdę ładna, więc może to nie o „to” chodziło? Zresztą ona, Daisy, też nie była do matki podobna. Miała niebieskie oczy i blond włosy ojca.

Na dwunaste urodziny matka zabrała ją do kina Nickelodeon na Harvard Square, na seans *Przeminęło z wiatrem*. Kiedy piękna Vivien Leigh, z rozjarzonymi zielonymi źrenicami, zapowiedziała Mammy, że nie tknie śniadania, matka nachyliła się do Daisy.

- Podczas zdjęć do tego filmu ona oszalała - szepnęła jej do ucha. - I to widać w jej oczach. Można dostrzec, jak się rozlatuje wewnątrz.

Daisy również wydawało się, że widzi ten proces. Ale tak naprawdę, pomyślała później, matka ma dokładnie takie same oczy. Czy ona także popada w szaleństwo, zupełnie jak ta szalona Vivien Leigh? Może to właśnie było „to”?

Jeśli tak, nie ma o co się zabijać.

Przyjechały do Tiger House późnym popołudniem. W samochodzie było gorąco i lepko, a po kawie Daisy czuła się jak wydrażona. Kryty cedrowym gontem dom, który posrebrzał od ciągłych ataków morskich sztormów, położony był na działce, która zajmowała długość dwóch przecznic - fakt, który nie przestawał zadziwiać Daisy. Posiadłość zaczynała się na tylnym podjeździe od strony North Summer Street, która wiła się między rozrzuconymi to tu, to tam innymi domami, aż wreszcie otwierała na ich własny trawnik za domem.

Od frontu dominowała piętrowa kolumnada z werandą, wyglądająca na North Water Street. Po drugiej



stronie przecinającej ich teren uliczki spadzisty frontowy trawnik prowadził do niewielkiej szopy na łódź i rozklekotanego pomostu.

Prababka Daisy zażyczyła sobie tutaj „bungalowu”, takiego zwykłego, krytego gontem, jakie ludzie spoza Wyspy stawiali jako domki letniskowe. Ale pojawiła się konieczność wydzielenia kuchni, letniej i zimowej, a potem dodania oranżerii (dla światła) i jeszcze paru sypialni, na wypadek weekendowych przyjęć, i w efekcie oryginalne plany domu zaczęły się rozrastać. Aż coś, co zostało zaplanowane jako pudełkowaty wiejski domek zajęło niemal całą tylną połowę parceli. Domowi nazwę nadał pradziadek Daisy, zawołany myśliwy, polujący na grubego zwierza, ze szczególnym upodobaniem do tygrysów, który szczerze podziwiał pierwszego prezydenta Roosevelta. Wielka tygrysia skóra, z głową i tak dalej, zajmowała poczesne miejsce w zielonym saloniku.

Parkując na podjeździe i wyłączając silnik, matka Daisy westchnęła głęboko. Spojrzała na kępę przydymionych herbacianych róż tuż przy domku cioci Heleny, po sąsiedzku. Ciocia i wujek Avery wynajęli go komuś, co oznaczało, że przez całe lato wszyscy będą się musieli gnieździć w wielkim domu.

- Mogła przynajmniej znaleźć ludzi, którzy nie wieszaliby prania na podwórku... - powiedziała matka tonem, który oznaczał, że mówi sama do siebie. „Retoryczny”, tak go nazywała. „To znaczy, że nie oczekuję komentarza”.

Daisy myślała, że to nawet fajne, tak wszyscy razem: ona, matka, ciotka i Ed. No i ojciec, oczywiście, kiedy przyjedzie z miasta. Ale matka miała odmienne zdanie.

Wujek Avery bowiem potrzebował pieniędzy na swoją kolekcję (tyle wiedziała Daisy), na coś związanego z kinem, chociaż do końca nie było wiadome, o co tak dokładnie chodzi; myśląc o tych zbiorach, dziewczynka wyobrażała sobie wielką salę z gablotami pełnymi filmowych taśm. Jej matka jednak bardzo się o to wszystko złościła, a Daisy widziała nawet, że ojciec próbował ją w tej sprawie uspokajać. Matka rzuciła wtedy: „Ta cholerna Helena i ten jej cholerny mąż!”, zanim się zorientowała, że Daisy stoi w drzwiach. Popatrzyła na córkę tymi swoimi zielonymi oczami, nie rozjarzonymi jak u Vivien Leigh, ale płaskimi i chłodnymi jak ziarna bobu. A potem zatrzasnęła drzwi i Daisy nie dowiedziała się już niczego więcej.

Matka wyciągnęła z bagażnika niewielką kraciastą walizkę.

- Nie zapomnij rozpakować tych sukienek, żeby się nie pogniosły  
- powiedziała jeszcze, ale Daisy już odbiegła, targając za sobą walizkę do środka przez tylne drzwi i pozwalając, żeby zatrzasnęła się za nią obciążona siatką rama.

Nie mogła się doczekać, aż znajdzie się na górze, w swoim pokoju, i sprawdzi, czy wszystkie skarby, które w nim schowała zeszłego lata, są wciąż na miejscu. Kolekcja komiksów, różowa muszla w paski, którą znalazła na plaży, i ten specjalny szampon, o kupno którego ubłagała ojca. „Olśnienie! Miękkie i błyszczące włosy”.

Pobiegła długim korytarzem, który prowadził z tyłu domu do jego frontowej części, co parę kroków zaczepiając walizką o podniszczony chodnik. Tuż za drzwiami dom otwierał się dwoma przestronnymi salonami:

jednym zielonym, a drugim niebieskim, po obu stronach wejścia. Ich wielkie osiatkowane okna wychodziły na frontową werandę i leżącą dalej zatokę.

Kiedy szła w stronę szerokich schodów, Daisy kątem oka dostrzegła ciocię Helenę, która siedziała w obitym kretonem fotelu w niebieskim salonie. Na bladej twarzy malował się wyraz łagodnego roztargnienia. Daisy niemal zapomniała, że ciotka z kuzynem już zdążyli przyjechać. Zastanowiła się, gdzie też się czai Ed.

- Cześć, ciociu! - zawołała przez ramię i z łomotem wbiegła na schody.

- Cześć, moja słodka! - odkrzyknęła ciotka. - Ed? Daisy i ciocia Nick już tu są, kochanie.

Zdyszana Daisy wpadła do swojego ukochanego pokoju, gdzie stały dwa identyczne mosiężne łóżka, a na ścianach królowała tapeta w pęki różowych różyczek, którą pozwolono jej wybrać samodzielnie. Rzuciła walizkę na zapasowe łóżko i podbiegła do okna. Podniosła ramę i przyciskając nos do okiennej siatki, odetchnęła powietrzem ciężkim od zapachu oceanu, ale też słodkim od woni rosnącej tuż pod oknem albicji. Dotknęła palcami lekkich, falbaniastych zasłon. A potem podeszła do swojej skrytki.

Żeby powstrzymać z dala wścibskich osobników, takich jak jej matka i kuzyn, Daisy trzymała swoje skarby na dnie starej komody, zbyt nieporęcznej do codziennego użytku, bo ustawionej w głębi przepastnej wnękowej szafy. Zdjęła leżący na wierzchu dla niepoznaki stary, plażowy koc i wielkiego pluszowego jednorożca, którego ojciec kupił jej na kiermaszu w West Tisbury trzy lata wcześniej. Tamtego lata uwielbiała jednorożce, ale

nie udało jej się strącić czterech butelek, by go wygrać. Na próby wydała całą swoją tygodniówkę, a kiedy nic jej nie zostało, ojciec zlitował się i dał facetowi za zabawkę dwa dolary. Daisy spała z jednorożcem każdej nocy, podziwiając jego złoty róg i głaszcząc po długiej grzywie. Ale następnego roku wcisnęła go do komody, nagle zawstydzona oczami z taniego plastiku, które głupio wpatrywały się w nicość.

Pod jednorożcem leżało dziesięć komiksów z Archiem, szminka Silver City Pink, którą kupiła w tanim sklepiku na Main Street i przemyciła do domu pod bluzką, sześć pięciocentówek zarobionych przy zmiataniu alejki poprzedniego lata, para pokrytych śniedzią miedzianych klipsów, które Daisy zwinęła z kasetki na biżuterię matki, i zdjęcie rodziców w dniu ich ślubu. Kiedy cały dobytek został już przejrany, a koc i jednorożec odłożone na miejsce, Daisy zatrzasnęła szufladę. Wyłaniała się właśnie z szafy, kiedy zobaczyła za sobą Eda. Stał i się gapił.

- Cześć - powiedział.

- Ed - odezwała się Daisy, nieco bez tchu. - Właśnie zagłądałam do swojego jednorożca...

- W porządku. Wiem, że masz tam swoją skrytkę. Przyglądał się jej tym swoim dziwnym, beznamiętnym spojrzeniem, przeszywającym Daisy na wskroś.

- Co robisz w moim pokoju? Skradasz się, widzę, jak zwykle. - Wypchnęła naprzód jedno biodro i próbowała wypłaszyc spojrzeńie. Jak matka.

- Nie skradałem się - odparł. - Przyszedłem się przywitać.

- Gdybyś się nie czaił, skąd niby wiedziałbyś o mojej skrytce?

- Wiem wszystko o tym domu. - Ed wydłubał jakiś nieistniejący brud spod paznokcia kciuka.

- Och, jesteś przecież spokojniutki jak pietruszka! - Daisy tupnęła nogą w pleciony dywanik. - Edzie Lewis, nie wiesz wszystkiego. Założę się, że nie wiesz nawet, gdzie jest mój sekretny skarbczyk - powiedziała i natychmiast pożałowała swoich słów.

- Pod klapą przy zejściu, w przedniej części piwniczki na wino - odparł Ed, nie podnosząc wzroku znad paznokcia. - Nie ty jedna masz w tym domu swoje skrytki.

- I co to niby oznacza?

Ed tylko uniósł jedną brew. Daisy była wściekła.

- Naprawdę, imbecyl z ciebie. Lepiej przestań grzebać w moich rzeczach, Edzie Lewis. Mówię serio. Jak nie przestaniesz, to nie wybiorę cię na partnera do miksta w turnieju każdego z każdym.

Daisy wiedziała, że to realna groźba, która wyrze pożądaną efekt i uciszy kuzyna. Ale przekonała się, że nie jest w stanie długo się na niego gniewać. W głębi ducha cieszyła się, że go widzi, nawet jeśli Ed bywa irytujący.

- Tak czy inaczej - powiedziała Daisy, przestępując z nogi na nogę - chodźmy do Quarterdeck i zobaczmy, kto przyjechał. Chcę wypróbować rower.

- Wolałbym na piechotę - powiedział. - Jak jedziesz rowerem, to naprawdę nic nie widzisz.

- Nie mamy przecież po dziesięć lat. Nie możemy wszędzie chodzić na piechotę.

Ed milczał.

- No dobrze... Niech ci będzie. - Daisy jakoś nie

przychodziły do głowy kolejne pogroźki. - Ale teraz się wynoś. Chcę się przebrać.

Kiedy usłyszała, że Ed schodzi po schodach, zerwała z siebie letnią sukienkę i sweterek, które matka zostawiła dla niej do założenia tego ranka, i ubrała się w szorty w zieloną kratkę i w białą bawełnianą bluzkę. Stopy wsunęła w mokasyny i przejrzała się w lustrze. Matka kazała jej obcinać włosy na pazia („Długie włosy są pospolite”), ale tak naprawdę Daisy chciałaby je zapuścić, żeby móc spinać je w kucyk, który kołysałby się wokół ramion.

Nogi nadal miała zbyt blade na szorty. Jasne włosy pot skręcił wokół jej twarzy.

„Tylko konie się poca. Mężczyznom zdarza się zgrzać, a kobietom, co najwyżej, bywa ciepło”.

Wiedziała, że matka nie pochwała szortów, ale Daisy uważała, że dodają dorosłości. I tak w gruncie rzeczy wyglądała jak dziecko, jak nie przymierzając ten bobas Gerbera, z tymi swoimi wijącymi się blond włosami i oczami jak spodeczki. Potrzebowała wszelkiej możliwej pomocy.

- Do stu piorunów! - szepnęła do swojego odbicia. Gdy tylko usłyszała te słowa w ustach Scarlett O'Hary, wiedziała, że są stworzone dla niej. Dzięki nim czuła się dorosła. Oto miała własne powiedzonko, które tworzyło wokół niej atmosferę niecierplivej piękności z plantacji na Południu.

Po drodze na dół Daisy słyszała dobiegający z gramofonu jazz matki; sprzętu było wolno dotykać wyłącznie jej i nikomu innemu. Daisy miała płytę Chucka Berry'ego, którą kupiła w tanim sklepiku, ale ta leżała, jeszcze nieotwarta, w jej pokoju.

Znalazła Eda w niebieskim salonie. Gapił się na frontową werandę, gdzie siedziała jej matka z ciotką Heleną. Obejrzał się i przyłożył palec do ust.

- Helena, nie rozumiem, dlaczego pozwalasz, żeby on cię tak traktował! Naprawdę nie rozumiem - mówiła matka, odsuwając z twarzy lok czarnych włosów.

- Avery po prostu ciężko pracuje - odparła ciotka Helena głosem ściszym niemal do szeptu. - Mnie to nie przeszkadza. Ja... - urwała i dodała niemal natychmiast: - No cóż, ostatnio trochę nam się nie układa. Zdarzył się pewien incydent, zanim jeszcze udało nam się dogadać z Billem Foxem, wiesz, tym producentem. W sumie to była moja wina...

Daisy chciała posłuchać o tym ciekawym wydarzeniu,, zwłaszcza że miało miejsce w Hollywood, ale matce było chyba obojętne.

- Twój mąż to dureń - powiedziała. Nawet nie próbowała zniżyć głosu. - To cholerny dureń. Miał szczęście, że w ogóle zgodziłaś się za niego wyjść.

Daisy zerknęła na Eda. Minę miał obojętną, ale oczy pociemniały mu ledwie zauważalnie. Jak wtedy, kiedy na czymś się koncentrował.

- Och, sama nie wiem - powiedziała ciotka Helena i chociaż Daisy widziała zaledwie tył jej głowy, pewna była, że ciotka za moment się rozpłacze.

- Helena, to się już ciągnie od lat. Daisy szarpnęła Eda za ramię.

- Chodźmy - szepnęła.

Matka obejrzała się zniechęcona, zerkając w stronę okna.

- Wybieracie się gdzieś? Wy dwoje? - zapytała, jakby to, że podsłuchują, było rzeczą najzupełniej naturalną.

- Jedziemy do Quarterdeck - powiedziała Daisy szybko, idąc do frontowych drzwi. Wyszła na werandę.

Ed powoli ruszył jej śladem.

- Dobrze. Weźcie pięćdziesiąt centów z mojej torebki i kupcie sobie trochę małży. - Kiedy żadne się nie ruszyło, dodała: - Jest w kuchni - i spojrzała na Daisy z ukosa.

Ciocia Helena odwróciła twarz w przeciwną stronę. W dłoni trzymała szklaneczkę szkockiej. Odkąd Daisy pamiętała, ciocia zawsze miała w ręku szklaneczkę szkockiej. Kiedy Daisy czuła ten zapach, z karafek na barku ojca albo w jego oddechu przy pocałunku na dobranoc, zawsze przed jej oczami stawała ciocia Helena, jasnowłosa i łagodna. Ojciec zwykle pijał gin z tonikiem; Daisy wiedziała o tym, bo czasami pozwalał jej przygotować drinka. Uwielbiała barek, z jego kolekcją pałeczek do mieszania koktajli, z tęczą różnokolorowego szkła. Ozdobne karafki, kryształowe, jeszcze po jej babce, każda ze srebrną plakietką, na której zawijasami wygrawerowano nazwę alkoholu. Ojciec nauczył Daisy najpierw nalewać gin, a potem dodawać lód. „Dopełniasz tonikiem z tego szklanego syfonu i wciskasz ćwiartkę limonki, a potem pozwalasz jej wpaść do środka”. Daisy uwielbiała obserwować, jak tonik zaczynał się pienić w zetknięciu z kwaśnym sokiem.

- Chodź - powiedziała do Eda.

- Idź, Ed - dodała matka. - Dotrzymaj Daisy towarzystwa. Twoja mama i ja chcemy nadrobić zaległości.

Ed bez słowa zawrócił i wszedł do domu. Daisy poszła za nim korytarzem aż do letniej kuchni, wielkiej i jasnej, z potężnym białym piecem, którego nie wolno jej było dotykać. Pomieszczenie było bardziej widne niż



ciasnawa zimowa kuchnia, która już jakiś czas temu została przerobiona na schowek z bielizną stołową. Z holu naprzeciwko kuchni wchodziło się do oranżerii z oknem wychodzącym na podjazd i trawnik na tyłach. Wokół niej rosły niebieskie hortensje, zasadzone jeszcze przez zmarłą babkę. Matka twierdziła, że mają nadzwyczaj rzadki odcień, ponieważ babka nawoziła je fusami po kawie.

- Aż trudno uwierzyć, że nie powiedziała nic o moich szortach... - odezwała się Daisy, wyjmując matczyne portfela.

- Kto by tam dbał o twoje szorty! - odezwał się Ed.

- No cóż... - westchnęła Daisy zmieszana. Zaczęła nucić pod nosem *Poison Ivy*. - Jesteś gotowy?

Ed tylko na nią spojrzał. Jego oczy przypominały srebrzystą łuskę małych rybek w sklepie z przynętą.

- Och - powiedziała. Stuknęła mokasynem o dolną listwę kontuaru. - Jestem pewna, że nie jest tak źle. Ludzie ciągle tak gadają.

- Kto ciągle tak gada?

- No, przynajmniej ci w filmach. - Daisy popatrzyła Edowi w oczy i zastanowiła się, czy on też jest szalony. - W każdym razie chodzi mi o to, że to chyba tylko takie paplanie.

„Ludzie plotkują, ale dama nie powinna tego słuchać”.

- Nic nie wiesz - powiedział Ed. - W każdym razie: nic o Hollywood. Tam jest inaczej.

- No dobra, słuchaj, nie myślmy już o tym. Chodźmy. Możemy sobie darować rowery i pójść tam powoli, spacerem. Jeśli masz ochotę.

Przy Quarterdecku przez cały dzień roilo się od dzieciaków, które śmiały się i zajaśniały hot dogami owiniętymi

w woskowany papier i smażonymi małżami z pasiastych pudełek. Nic nadzwyczajnego, ot, buda z zadaszoną kuchnią i kontuarem do składania zamówień, ale zawsze można było spotkać tutaj kogoś znajomego. O drewniane ściany opierały się dziesiątki rowerów, a na kamiennym murku po drugiej stronie drogi siedziały rozgadane i przyglądające się sobie nawzajem grupki.

- Pójdę po małże - powiedziała Daisy, ściskając w dłoni rozgrzaną półdolarówkę. - Ty idź i znajdź jakieś miejsce.

Złożyła zamówienie u chłopaka z trądzikiem, a potem stanęła tyłem do kontuaru, żeby mieć lepszy widok. Obserwując Eda wśród grupki dzieci, poczuła lekki niepokój w żołądku. Nawet nie w tym rzecz, że był jakiś sztywny. W sumie mnóstwo dzieciaków uważało, że jest tajemniczy, wręcz odlotowy, skoro pochodzi z Hollywood i chodzi w tych swoich wyprasowanych ogrodnickach i w przeciwsłonecznych raybanach. Problem w tym, że Ed był inny. Spoglądał na ludzi wzrokiem podobnym do tego, jakim jej matka badała melony w supermarkecie. Większość ludzi tego nie dostrzegła, ale ci, którzy widzieli, trzymali się od niego z daleka. Daisy zachowanie kuzyna nie przerażało, wzbudzało co najwyżej smutek i leciutki niepokój.

Odebrała zamówienie, podeszła do miejsca, gdzie stał Ed, i przysiadła obok niego na murku. Wyjęła pulchnego małża i wsunęła go do ust. Schrupała tłustawe ciasto i poczuła miękkie wnętrze. Dobiegał ją zapach łodzi rybackich zacumowanych za Quarterdeckiem, morska bryza targała włosy; puszek na karku Daisy zaczął się jeżyć. Miała wrażenie, że właśnie w tym momencie

nadeszło lato. Z całą swoją tajemniczą mieszanką woni soli, chłodnej skóry i paliwa do łodzi.

Dostrzegła wysokiego i szczupłego chłopaka o piaskowych włosach, który rozmawiał z Peaches Montgomery.

- Co to za gość? - zapytała, szturchając Eda. Nastroszone włosy nieznajomego przypominały Daisy nadmorską trawę. Wyobraziła sobie, że jego skóra pachnie jak wnętrze jej toczka do konnej jazdy: słodyczą, solą i skórą.

- Tyler Pierce - odpowiedział Ed. - Ma czternaście lat, jeśli cię to ciekawi. Podejrzewam, że bardzo?

- Skąd go znasz? - spytała Daisy, ignorując zaczepkę.

- Wpadłem na Peaches, kiedy przeszedłem się dziś po południu do miasta. Zanim jeszcze przyjechałyście.

- No tak. I?

- Mówiła o nim - odparł.

Daisy popatrzyła na Eda, ale kuzyn nic już nie dodał. Zamiast tego wyjął ostrożnie małża z pudełka i zaczął się przyglądać.

- Do stu piorunów, Ed! Jesteś rozlazły jak rozgotowane kluchy! Co powiedziała?

- Nie bardzo słuchałem. - Ed kruszył na dłoni pokrywając<sup>^</sup> małża panierkę. - Zna go chyba skądinąd. Jego rodzina właśnie kupiła dom na South Summer.

Patrząc, jak Ed wbija paznokiec w mięso małża, Daisy obracała w myślach uzyskaną informację. Ponownie spojrzała na chłopaka i pożałowała, że nie może spiąć włosów w kucyk. Peaches czesała się w kucyk barwy karmelowej krówki. Kiedy biegała po tenisowym korcie, kiwał się z ramienia na ramię.

Na Peaches Montgomery, zdaniem Daisy, stanowczo nie warto było tracić czasu. Wiecznie się popisywała,

szastała i była strasznie afektowana. Naprawdę miała na imię Penelope, ale twierdziła, że przezwisko doskonale pasuje do jej cery: „Brzoskwińowej, jak zawsze powtarza mój tata”. Daisy nie dawała się na to nabrać ani odrobinę, ale starszym chłopcom Peaches się podobała. Nawet instruktorom tenisa przypadła do serca. Najwyraźniej Peaches miała to „coś”.

Zorientowała się teraz, że Daisy się na nią gapi, i zmrużyła te swoje skośne, małe oczka. „Tata mówi, że mają wykrój migdała”. Podeszła nieśpiesznie.

- Cześć, Daisy - odezwała się i majtnęła kucykiem z lewego ramienia na prawe. - Cześć, Ed. - Rzuciła powitanie w przybliżeniu w stronę Eda, w ogóle na niego nie patrząc.

- Cześć, Peaches - odparła Daisy.

- Właśnie przyjechałaś?

- Uhm - mruknęła Daisy.

- Słyszałam, że tego lata wszyscy będziecie mieszkać u was - powiedziała Peaches, wciąż nie patrząc na Eda. - Pewnie będzie tłok.

- Pewnie tak - powiedziała Daisy, brutalnie pakując małża do ust. - Grasz w tenisa w tym roku?

- Na pewno - potwierdziła Peaches. - Ojciec trenował mnie przez całą zimę. Wiesz, jaki on jest.

- No tak - zgodziła się Daisy. Zeskoczyła z murku i z całych sił spróbowała odrzucić na ramiona półdługie włosy.

Ed tylko patrzył na Peaches. Dziewczynka zerknęła na niego, z trudem powstrzymała jakiś grymas, a potem zawróciła w stronę grupki nawołujących ją po imieniu dzieciaków.

- Utyła - zauważyła Daisy. - Założę się, że w tym roku pobiję ją w turnieju.

- Niektórym mężczyznom może się podobać - odparł Ed.

- A kogo to obchodzi? - „Niektórym mężczyznom może się podobać”. To było coś nowego. - Jeśli będzie musiała dźwigać cały ten tłuszcz na korcie, obiegnę ją w kółko.

- Założę się, że ją pokonasz - stwierdził Ed rzeczowo.

- Dziękuję - powiedziała Daisy.

Kiedy wracali Simpson's Lane, wokół zapadał spokojny wieczór. Uliczka nie miała chodników, tylko kwitnące krzewy, które zwieszały się nad białymi parkanami i wychylały na zakurzoną drogę. O tej porze dnia panowała tam cisza. Z okolicy poznikali już nadziani państwo wybierający się na koktajle do Yacht Clubu czy wieczorni żeglarze zmierzający na Cape Pogue z piknikowymi koszami. Nie żeby pozostałe ulice były jakoś szczególnie ruchliwe, ale zdawały się przynajmniej należeć do realnego świata. Simpson's Lane równie dobrze mogłaby być wiejską dróżką prowadzącą donikąd. Letniskowa alejka.

Daisy bezmyślnie zerwała różę Pink Parfait i zaczęła obrywać z niej płatki. Jej myśli kręciły się wokół Peaches i tenisa. I wokół tego chłopaka o piaskowych włosach.

- Ona cię nie lubi, wiesz? - odezwała się, spoglądając na Eda, który szedł wolno tuż obok i wpatrywał się w oświetlone okna mijanych domów. - Znaczy: Peaches. Przyprawiasz ją o dreszcze. - Ed sprawiał wrażenie pogrążonego w transie. Jakby nic nie słyszał. - A tak w ogóle, to o czym z nią gadałeś dziś po południu? - Daisy spojrzała teraz nieco ostrzej. - Znaczy... Przecież ona

ledwie raczy odzywać się do chłopaków, którzy mają mniej niż czternaście lat.

- O tym i owym - odparł cicho Ed.

Cykanie świerszczy rozległo się głośniejsze, a od strony portu zabrzmiał dźwięk syreny przeciwmgielnej.

- Wcale z nią nie rozmawiałeś - powiedziała Daisy po chwili.

Ed nie odrywał wzroku od domów.

- Więc skąd wiesz o tym wszystkim?

Przystanął wreszcie i powoli obrócił się w stronę kuzynki.

- Szpiegowałeś ją - domyśliła się.

- Nie nazwałbym tego szpiegowaniem - powiedział Ed, a jego srebrzyste oczy patrzyły uważnie. - Raczej zdobywaniem wiedzy.

W nocy Daisy obudziła się z nienacka. Wydawało się jej, że to być może przez księżyc, zbyt jasnym światłem odbijający się w wodach portu, ale potem usłyszała płynący w górę schodów głos Billie Holiday. Zaczęła skradać się na dół w nocnej koszuli, na bosaka, i dostrzegła matkę i ciocię Helenę na werandzie, przy świecach. Miały na sobie wyłącznie halki. Jedwabne ramiączka napinały się na krągłych barkach.

Jej matka siedziała nachylona i ze skupioną miną słuchała cichego głosu ciotki. U stóp Heleny stała butelka ginu. Daisy podkradła się bliżej okna.

- Nie rozumiem - mówiła ciocia Helena. - Może jestem po prostu złą matką? Albo pozwoliłam mu spędzać zbyt wiele czasu z Averym? Nie mam pojęcia. Po prostu mam już dosyć, Nick. Mam naprawdę dosyć.

- Nasze dzieci... - odezwała się matka cicho. - Kto mógł się spodziewać, że okażą się tak od nas odmienne? A może chcieliśmy, żeby tak się stało? Popatrz na Daisy. Taka złocista... Zupełnie jak jej ojciec. Czasami, no cóż, może dziwnie to zabrzmieć, ale czasem jestem wobec niej surowa, bo czuję się w tym domu pełnym dobrych, jasnowłosych i niebiańskich istot jak intruz. Co ze mnie czyni diabolicę, jak sądzę.

- Cała Nick! - roześmiała się ciocia Helena. - Och, kochana, jak ja bym chciała mieć w sobie więcej z diablicy. A mniej tego złota i dobroci. Chociaż mam wrażenie, że i ta część mnie znika po kawałku.

- A co pojawia się w zamian? - Matka szturchnęła ciocię Helenę w ramię.

- Inni mężczyźni? )

- Nie odważyłabyś się!

- Och, tobie zapewne się wydaje, że ty jedna masz tupet, tak?

Matka popatrzyła na ciotkę, a potem napiła się ze słojeczka, krusząc lód między zębami.

- Czy ty pamiętasz tamtą okropną, grubą babę, która mieszkała obok nas na Elm Street? Tę, do której co noc przychodził inny marynarz?

Helena milczała przez moment.

- Loretta. Jak ona miała na nazwisko?

- Nadawała się na bohaterkę wyjątkowo skutecznej umoralniającej powiastki - zachichotała matka.

- A ten mały, chudy rekrut, ten chłopak z bliznami po ospie, który ciągle wył pod jej oknem jak wilk?

Matka parsknęła.

- Przestań - powiedziała. - Pęknięcie ze śmiechu i jeszcze pobudzę nasze niewinne, małe dzieci.

- Nie jesteśmy w formie - odparła Helena i wybuchła przyciszonym śmiechem.

Daisy tak długo wstrzymywała oddech, że miała wrażenie, iż za chwilę pęknie jej pierś. Ale stała jak zaczarowana. Wyglądało to zupełnie tak, jakby matka i ciotka zostały porwane przez chochliki, a ich miejsce zajęły jakieś dwie dziwne wróżki. Wydawały się takie piękne i takie inne; ruchy ich głów i dłoni w przyćmionym świetle rzucały pełne gracji, płynne cienie na drewnianą werandę. Mogły mówić, co chciały, a ona i tak by je kochała. Sama melodia ich głosów, unoszący się w powietrzu aromat połączonych perfum... To było jak miłosna pieśń. Daisy zapragnęła znaleźć się z nimi na tej werandzie, pod zbyt jasnym księżycem. Chrupać lód i pozwalać, żeby ramiączko halki zsuwało się i z jej ramienia. Chciała stać się częścią tego magicznego świata, który kobiety stwarzały za pomocą lamp naftowych i muzyki. I śmiechu. A potem, w magiczny sposób, ten widok zlał się w jedno z obrazem tamtego chłopaka. Tylera. I z zapachem paliwa do łodzi w pobliżu Quarterdecku.

Daisy powoli odwróciła się na piętach, uważając, żeby nie zaskrzypiała wypolerowana drewniana podłoga, i cicho wróciła po schodach na górę. Do swojej sypialni.



## 1959, LIPIEC

1

Zajęcia z tenisa trwały dopiero od dwóch tygodni a lipiec ledwie zaczął odciskać na wyspie pełne piętno lata, kiedy Ed przestał pojawiać się na treningach. Wychodził z domu razem z Daisy co rano, o ósmej, i wspólnie szli piechotą do klubu tenisowego. Ale potem zniknął i tyle go widziała. Aż do południa, kiedy pojawiał się znowu, odbierał ją z lekcji i maszerowali z powrotem do Tiger House na lunch.

Nie mówił ani dokąd chodzi, ani co robi w czasie tych godzin, które Daisy spędzała, uganiając się po rozgrzanym ziemnym korcie i pracując nad backhandem. Nie było sensu go pytać. Albo by odpowiedział: „To i owo”, albo nie powiedziałby w ogóle nic.

Daisy miała mieszane uczucia co do tych zniknięć. Z jednej strony niewiele ją to obchodziło. W trakcie tych porannych godzin myślała faktycznie tylko o wygranej w turnieju singlowym na zakończenie sezonu. Kiedy piekła się w gorącym słońcu wschodniego lata, kiedy paliły

ją mięśnie ud, a przedramiona twardniały jak bransoletki z plecionych rzemyków, zaciskające się na nadgarstku, Daisy koncentrowała się wyłącznie na tym, żeby w meczu treningowym doprowadzić przeciwniczkę do płaczu. Żeby jej dropszoty były niespodziewane, woleje nie do przewidzenia, jej krok pewniejszy, a wymach przy back-handzie miał regularność metronomu. Tik-tak, tik-tak, jak dobrze nakręcony, mały zegarek. Usiłowała za każdym razem uderzać piłkę środkiem rakiety. Kiedy kuzyn nie kręcił się w pobliżu, rozpraszała ją jedna rzecz mniej.

Ale jego nieobecność była również problemem. Pod koniec lata zawsze grali razem turniejowego miksta w systemie każdy z każdym. Wprawdzie Ed nie był zbyt dobrym tenisistą, ale Daisy miała dość wprawy, żeby wygrywać za nich oboje. Nawet jeśli ten mikst był nieco niepoważny, stanowił kwalifikację do turnieju singlowego. „Działanie zespołowe to dzieło Boże”, jak im powtarzała w swoim wykładzie na początku każdego sezonu ta zasuszona cnotka, pani Coolidge, więc zwykle Ed stawał w szranki mieszanego debla, bo brak udziału oznaczał automatyczną dyskwalifikację w kolejnym roku. Ale tego lata (w każdym razie) sprawiał wrażenie, że mu to zobojętniało. Dla Daisy brak Eda pod ręką oznaczał jednak, że będzie musiała podlizać się komuś innemu, kto zgodzi się zostać jej partnerem.

Ze względu na umiejętności, logiczny wybór stanowiłaby Peaches, ale Daisy nie chciała rezygnować z szansy pobicia jej dwa razy. Poza tym narażała się na wydrapanie oczu przez Trinny, żyłastą i jasnowłosą koleżankę Peaches, przy najmniejszej próbie przeciągnięcia tamtej na swoją stronę. Daisy jednak nie mogła powstrzymać

się od wyobrażania sobie wspólnej gry, że Peaches biega po korcie, tym swoim mocnym, pewnym krokiem, z kołyszącym się kucykiem, a ona sama przemieszcza się na pole serwisowe i kieruje piłkę na lewą stronę kortu, nieuchwytna w swojej pikowanej, bawełnianej sukience niczym małeńka osa (obraz ten zbladł natychmiast, kiedy znów zobaczyła Peaches na własne oczy, i miała już tylko ochotę wybić jej te skośne, małe oczka z głowy potężnym backhandem).

Jedyną inną zawodniczką, która nie była kompletną ciapą, okazała się ta nowa dziewczyna, Anita. Daisy przez parę dni obserwowała ją, zanim zdecydowała się zagadnąć. Przeciwno ewentualnej partnerce przemawiało tylko to, że miała przekłute uszy. Nie żeby Daisy miała coś do zarzucenia kolczykom. Po prostu nie mogła zapomnieć o uwagach matki na temat młodej Portugalki, która usługiwała w Yacht Clubie i najwyraźniej umawiała się ze zbyt wieloma chłopcami.

„Porządne dziewczyny nie przekłuwają uszu”. Poza tym Anita wyglądała trochę zbyt bigbitowo z tymi swoimi idealnie prostymi, czarnymi włosami i opadającą na czoło grzywką. Ale umiała posłać gładki backhand z prawej części obszaru tabu, co, jeśli chodziło o Daisy, zdecydowanie równoważyło przekłute uszy i możliwe upodobanie do walenia w bongosy.

Daisy zamierzała zagadnąć tę swoją Anitę w czasie przedpołudniowej przerwy, kiedy wszystkie dzieciaki chroniły się w cieniu na werandzie, za siedzibą klubu. Ale kiedy wracała z kortów na tyłach na wielką połąć trawnika, dostrzegła matkę grającą właśnie w tenisa z ciotką Heleną, która z wysiłku przybrała kolor czerwonej

landrynki. Matka spokojnie biegała po mączce, wzbijając stopami maleńkie obłoczki ceglanego pyłu. Jej skóra była brunatna, a włosy, zwykle lśniące czarne, nabrały od słońca miodowych pasemek. Jednak tym, co najbardziej rzucało się w oczy, był jej całkowity brak emocji. Zdawało się, że nie czuje ani odrobiny tej wściekłości, która pogania Daisy tam i z powrotem, od linii autu do siatki, że nie spala jej ta energia, która sprawia, że jej córka czuje się tak, jakby miała wyskoczyć ze skóry. Daisy nie mieściło się w głowie, że matka może trzymać raketę tak nonszalancko, zupełnie jakby to nie była broń, że w ogóle może patrzeć na swoją przeciwniczkę inaczej niż na wroga. Sprawiała wrażenie automatu o idealnej technice.

Daisy zauważyła też Tylera Pierce'a. Siedział na ławce dla widzów przed kortem. Tyler, którego włosy koloru morskiej trawy towarzyszyły jej w snach na jawie, obserwował pojedynek z wyrazem twarzy przypominającym intensywne skupienie. Daisy zastanawiała się nawet, czy do niego nie podejść i nie zagadać, czy nie powiedzieć mu, że kobieta, ta, która na chłodno rozgrywa mecz tenisa, to jej matka, ale bała się docinków, że przymila się do starszego chłopaka. Niechętnie weszła po stopniach na klubową werandę i oparła się o białą, malowaną balustradę, patrząc na zapatrzonego w kort Tylera.

Wyrwało ją z kontemplacji coś zimnego i mokrego na ramieniu. Daisy obejrzała się i zobaczyła Anitę, która uśmiechała się do niej, przyciskając szklankę lemoniady do jej skóry.

- Cześć - powiedziała i wyciągnęła szklankę w kierunku Daisy.

- Hej.

„«Hej» to się mówi do konia”.

- Jest odlotowa, nie? - stwierdziła Anita, obrzucając wzrokiem kort, z którego jej matka i ciotka zbierały teraz zabłąkane piłki.

- Kto? - zapytała Daisy, zbita z tropu nagłym pojawieniem się koleżanki i szokiem zimnego dotyku szkła na skórze.

- Ta ciemnowłosa.

- To moja matka - powiedziała Daisy, spoglądając na Anitę i mrużąc oczy. Mimo wszystko przyjęła szklanę.

- Naprawdę? Jesteście do siebie wcale niepodobne.

- Wiem. - Daisy dopadło uczucie irytacji i osaczenia. Anita stała tak blisko, że ich ramiona niemal się stykały. - Jestem podobna do taty.

- Aha - powiedziała Anita. Napila się z własnej, oszronionej szklanki. - No cóż, jestem pewna, że on też jest atrakcyjny.

- Sama nie wiem - odparła Daisy, przestępując z nogi na nogę.

Musiała przyznać, że grzywka Anity, obcięta równo nad oczami, ma w sobie coś szykownego i nieco staroświeckiego. Jak na tym zdjęciu gwiazdy filmowej z lat dwudziestych, które znalazła w jednym z albumów z wycinkami matki.

- Słuchaj, zamierzałam cię zapytać... Nie chciałabyś zostać moją partnerką w deblu?

- Jasne - odparła Anita, jakby szło o jakiś drobiazg.

- Będziemy musiały mnóstwo trenować - oświadczyła Daisy surowo. Nagle ogarnęła ją gwałtowna złość

na lekkie potraktowanie jej propozycji. - Znaczy: codziennie.

- Już i tak gramy codziennie. Ale oczywiście, czemu nie? Mogę przyjść do ciebie do domu?

- Chyba tak - odparła Daisy, zaskoczona. Nie była pewna, czy chce, żeby Anita kręciła się po Tiger House. Zastanawiała się, co powie na to matka. - Powinnyśmy wracać. Już po przerwie.

- Dogonię cię - powiedziała Anita, nie przestając patrzeć na kort. Kiedy Daisy wracała przez trawnik, matka pomachała do niej ręką.

- Cześć, Daisy.

- Cześć, mamó - odparła.

Czuła w ręku własną rakietę, jak uśpioną broń. I znów zastanowiła się nad idealnym stylem gry własnej matki.

W miarę jak mijał tydzień, Daisy unikała zaproszenia Anity do siebie, pozostając na kortach po zakończeniu treningów. Opierała się właśnie o siatkowe ogrodzenie, które oddzielało kort numer siedem od porośniętych trawą ścieżek i podmokłych terenów prowadzących do Ice Pond, kiedy tuż za jej głową metalem siatki zagrzechotał Ed.

- I jak ci idzie z backhendem? - zapytał, naśladując snobistyczny ton pani Coolidge.

- Do stu piorunów, Ed, co ty tu, u licha, robisz? - powiedziała Daisy, obracając się na pięcie i wsuwając palce w otwory aluminiowego parkanu. Ed przewyższał ją wzrostem i żeby mu spojrzeć w oczy, musiała zadrzeć głowę prosto ku słońcu. - Jeśli pani Coolidge cię przyłapie, nie ujdiesz z życiem.

- Powinnaś teraz wracać ze mną do domu - powiedział. Miał na sobie tenisowy strój, nadal idealnie świeży, pomijając buty, zabłocone i poobcierane. Jego jasne włosy lśniły odcieniem łuskanej pszenicy.

- Straszny z ciebie dzieciak - skarciła go Daisy. - Czemu po prostu nie powiesz swojej mamie, że nie chcesz grać?

- Bo za nic nie chciałbym spędzać z nią przedpołudni

- odparł Ed głosem pozbawionym jakiegokolwiek emocji.

- Chodź, zrobimy sobie spacer. Znalazłem fajną ścieżkę nad staw. Taką, o której nikt nie wie.

- Głodna jestem - powiedziała Daisy. - Wracajmy do domu. Mama robi jajka faszerowane na ostro.

- Ukradłem dwa papierosy - powiedział Ed. - Tylerowi Pierce'owi.

Daisy wyobraziła sobie, jak pali papierosa z Tylerem Pierce'em za starą piwniczką na łód w ogrodzie za domem i jak on trzyma dłoń w jej krótkich, jasnych włosach.

- Dobrze, ale się pośpieszmy. Bo umrę z głodu.

- Tak naprawdę to chyba tylko Chińczycy umierają z głodu - odparł.

- Do stu piorunów! - rzuciła Daisy.

- Powinnaś chyba przestać to powtarzać. To nie brzmi dojrzałe.

- Jakbyś się na tym choć trochę znał! - sarknęła, otwierając furtkę w ogrodzeniu i stając obok Eda na porośniętej trawą ścieżce pomiędzy kortami. - Chodźmy. Szybko.

Kiedy znaleźli się już za bezpieczną zasłoną wysokiej bagiennej trawy i kępy starych dębów, które porastały

tyły Sheriffs Meadow, Daisy zwolniła kroku. Teraz to Ed ją prowadził. Czymkolwiek zajmował się przedpołudniami, zauważyła, że opalił mu się przy tym kark.

- Za tą starą szopą musimy skręcić w lewo - powiedział, biorąc Daisy za rękę i wciągając ją głębiej w zarośla.

- Za starą szopą nic nie ma - odparła, poirytowana i głodna. - Nie chcę mieć ubłoconych butów od łożenia po bagnie. A poza tym tam są tysiące komarów.

- Nie. Jest ścieżka, którą znalazłem - powiedział Ed. - Prowadzi do takiej starej wiaty. Możemy tam wypalić papierosy.

- Myślałam, że twoim zdaniem papierosy są paskudne. I ciekawa jestem, jak je ukradłeś Tylerowi?

- Z torby do tenisa. A ukradłem je dla ciebie.

- Musisz obiecać, że jednego wypalisz równo ze mną, albo natychmiast wracam do domu. - Daisy przystanęła. Zaczepiła tenisową sukienką o krzak malin.

- To tędy - powiedział Ed, ostrożnie odczepiając bawełnę z kolca.

Doszli do rozpadającej się szopy przy nieużywanym domku letniskowym w pobliżu Ice Pond. Schodząc z uczęszczanej ścieżki, która prowadziła nad staw, minęli kamienny słupek o przeżartej porostami powierzchni. Daisy miała ochotę przystanąć i oczyścić kamień, ale Ed mocno trzymał ją za nadgarstek. Przecisnął się przez kępę zarośli i pociągnął swoim śladem. Normalnie Daisy ofuknęłaby go za to wleczenie i szarpanie, ale chciała się dowiedzieć, co kombinował w trakcie tych swoich tajemniczych poranków. A poza tym lubiła go, kiedy był właśnie taki. Kiedy miał jakiś cel i chciał jej coś pokazać,



a nie tylko snul się bez celu i gapił na ludzi, wprawiając ich w zakłopotanie.

Wyszli po drugiej stronie, na wąską, krętą ścieżkę, po obu stronach obrzeżoną dzikimi, gęstymi i wysokimi chaszczami. Powietrze było tu nieruchome i spokojne, i tylko cykanie odzywających się w upale świerszczy przerywało ciche szuranie stóp wśród wilgotnej trawy.

- Do stu piorunów! - palnęła Daisy, zanim zdążyła się powstrzymać. - Ed, jak to, u licha, znalazłeś?

- Po prostu przechodziłem - powiedział, ale z jakąś dziwną modulacją w głosie. Jakby było mu miło. - Wiedziałem, że ci się spodoba. Wiedziałem, że zrozumiesz - dodał, patrząc uważnie.

- Jest tu gdzieś jakaś polanka? - zapytała.

- Kawalek dalej.

- No, to wypalmy te papierosy tutaj - powiedziała, kładąc mu dłoń na ramieniu. Poczowała dotykiem węzłasty mięsień.

- Chodźmy jeszcze trochę - nalegał Ed. - Ta wiata jest tuż za zakrętem.

Przy następnym zakręcie stał jednak stary, spróchniały dąb. Jego korzenie wysuwały się na powierzchnię jak ramiona pływaka, który potrzebuje zaczerpnąć powietrza. Daisy oparła się o obsypującą się korę i osunęła, żeby przysiąść na jednym z korzeni.

- Jestem zmęczona. Zróbmy to tutaj. Mam nadzieję, że wzięłaś zapaliki - powiedziała.

Ed podał jej papierosa i wyciągnął kartonik z napisem „The Hideaway”. Daisy włożyła papierosa do ust i poczuła, że suchy tytoń lepi się do jej warg. Ed ostrożnie

zapalił zapałkę i podsunął powoli. Papieros nie chciał się zapalić.

- Kiedy ja zbliżam zapałkę, ty musisz wciągnąć powietrze - powiedział.

Daisy zrobiła, co jej kazano, patrząc jak końcówka papierosa syczy, a potem rozżarza się jasnym światełkiem.

- To nieprzyjemne - powiedziała. Próbowwała się zaciągać, tak jak to podpatrzyła u dziewczyn na Harvard Square, szybką czkawką oddechów, po których szarobłękitne pasma dymu wyływały się pomiędzy ich czerwonych warg, nie umiała jednak załapać, jak to się robi. Poza tym dym był gorzki i robiło jej się od niego lekko niedobrze, tak jak wtedy, kiedy wypila zbyt dużo kawy. - Chyba nie uda mi się dokończyć.

Ed wbijał wzrok w ścieżkę.

Daisy zgasila papierosa o korzeń drzewa i siedziała ogarnięta dziwnym uczuciem związanego z Tylerem niezbyt głębokiego smutku. Czy gdyby ją zapytał, powinna udawać, że lubi palenie? Kopnęła w łąkową trawę rosnącą wokół drzewa, ale zorientowała się, że brudzi sobie but. Za tą trawą leżało coś, co wyglądało na małą polankę.

- No i gdzie jest ta wiata?

- Tam - wskazał Ed. - Chcesz ją zobaczyć?

- Tak, ale potem chcę już wracać do domu. Na faszerowane jajka.

Kuzyn poprowadził ją drogą obok dębu, za kępę ka-pryfolium, w stronę polanki. Tam, na uboczu, stała drewniana konstrukcja, uginająca się pod ciężarem wilgotnego powietrza i własnych, butwiejących desek. Wyglądała jak wiata autobusowa: z ukośnym zadaszeniem, otwarta od frontu częściowo zasłoniętego przed ich wzrokiem.

- Okropne - powiedziała Daisy. - To tutaj przesiadujesz całymi rankami?

- Czasem. - Głos Eda brzmiał obojętnie.

Daisy obeszła wiatę i spojrzała na nią od frontu. Była dość głęboka. Rosły tam jeżyny, a z wnek wyglądały stare śmiecie - butelki po piwie, papierki po cukierkach.

W głębi szopy Daisy dostrzegła coś, co wyglądało na kraciasty podróżny pled.

- Tam jest jakiś koc piknikowy czy coś - odezwała się, kopniakiem posyłając w stronę kuzyna grudkę ziemi.

Ed stanął obok i mrużąc oczy, zajrzał do środka.

- Ktoś sobie zrobił piknik w tej twojej kryjówce. Milczał.

Daisy podeszła bliżej, aż stanęła w końcu pod daszkiem wiaty, zapatrzona w koc. Był wybrzuszony, a miejscami poplamiony czymś, co wyglądało jak sos czekoladowy. A potem zobaczyła portugalskiego żeglarza, którego macki wystawały spod jednego, przeżartego przez mole rogu, wciśnięte między pled a tylną ścianę.

- Tam coś jest pod spodem... - powiedziała, a jej serce przyspieszyło. - Może ktoś śpi.

Z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu Daisy nagle przypomniał się mężczyzna o twarzy Walta Disneya, który zaczął pocierać swoje okolice intymne, kiedy go wymijała przed drzwiami łazienki dla pań w Bonwit Teller. Jego usta utworzyły idealną literę O, jak u ryby. Nie wspomniała matce o tym mężczyźnie, o tym, jak stękał, a potem, tuż przed drzwiami tej łazienki, zmoczył sobie spodnie, a na ich przedzie wykwitła niewielka, ciemna plama. Zamiast tego, w sklepie obuwniczym, w dziale dla dziewczynek, przez całe pięć minut obracała w dłoniach

czerwone buty zapinane na pasek wokół podbicia, aż matka uległa i je kupiła.

- Nie wydaje mi się, żeby tam ktoś spał - powiedział Ed, wchodząc do wiaty w tym samym momencie, w którym Daisy zaczęła się cofać.

- A jednak - odparła. - Chodźmy stąd. Nie podoba mi się tutaj.

Ed złapał ją za przedramię, wciskając boleśnie palcami plecioną bransoletkę w jej nadgarstek. Daisy przystanęła. Kuzyn zrobił krok w kierunku kraciastego wybrzuszenia, pochylił się, a potem wyciągnął rękę.

- Nie rób tego - powiedziała Daisy, ale czuła się tak, jakby usiłowała mówić pod wodą.

Ed powoli uniósł skraj koca.

Wezwano obu ojców. Daisy słyszała, jak matka rozmawiała przez telefon z Bostonem.

- Cholera jasna, Hughes! Ona to widziała.

Matka urwała i Daisy usłyszała dochodzący ze słuchawki cichy szmer.

- No, tego nie są pewni. Mówi się, że to mogła być czyjaś służąca. Najwyraźniej to jedna z tych Portugalek.

Matka znów zamilkła.

- Nie, ja tego nie widziałam - powiedziała, przesuwając upierścienionymi palcami po włosach. - Nie, nie pytałam jej. Nie wiem, co robić. Szczerze. Musisz tu przyjechać. I wiesz co, Hughes? Zadzwoń do Avery'ego i każ mu wsiąść w następny cholerny samolot w tę stronę! Żadnych wymówek. Biedna matka, zupełnie sobie z tym chłopakiem nie radzi... A ta sprawa na pewno jej nie pomoże.

Daisy wykąpano w gorącej wodzie z dodatkiem soli Epsom. Matka przysiadła na pudrowo błękitnej muszli klozetowej; popijała ze swojej filiżanki czarną kawę i patrzyła. Daisy nie była do końca pewna, czego matka tak wypatruje i poczuła się niezręcznie. Czy powinna się rozpłakać? W końcu zginęła jakaś dziewczyna. Ale jakoś nie miała ochoty na płacz. Chciała porozmawiać o tym z Edem, tyle że nie widziała go od chwili, kiedy wpadła pędem do domu, zaczerwieniona, poruszona i roztrzęsiona, gnając przez pokoje, aż znalazła matkę i mogła jej powiedzieć, żeby wezwała policję.

- Gdzie jest Ed? - spytała wreszcie.

- Nie wiem - odparła matka, podnosząc się z toalety i przyklekając obok wanny. - Włosy też musimy ci umyć, dziecinko.

Daisy nie umiała sobie przypomnieć, kiedy matka zwróciła się do niej w ten sposób po raz ostatni. Czy w ogóle kiedykolwiek nazwała ją dziecinką? Nie była pewna. Ale zabrzmiało to miło i Daisy się poddała z przyjemnością, kiedy matka zaczęła wcierać w jej włosy szampon, masując czaszkę i odgarniając mydliny, które zbierały się na linii czoła.

Matka odkręciła kran i łagodnym gestem przechyliła głowę Daisy do tyłu, wprost pod strumień ciepłej wody, podśpiewując pod nosem dziecięcy wierszyk o pająku.

- No i gotowe! - oświadczyła, wyciągając ręcznik, żeby otulić nim córkę, tak jak robiła to czasem na plaży, kiedy ta z wrzaskiem wyskakiwała z wody, odrętwiała z zimna.

Daisy wtuliła się w ręcznik. Matka złapała ją za ramiona i spojrzała w milczeniu.

- Ubierzemy cię teraz w pizamę - zaproponowała wreszcie. Sztucznie wysiłonym i pogodnym tonem.

- Mamo, jest dopiero druga!

- Och, racja. - Nieszczery śmiech. - No dobrze, to chyba załóż na siebie to, na co masz ochotę.

Na dole Daisy zastała matkę w letniej kuchni, wpatzoną w leżącego na blacie kurczaka. Przez żółte zasłony w groszki napływało słońce, sprawiając, że pomieszczenie wyglądało jak jasne wnętrze cytryny.

Matka stała bez ruchu, obie dłonie zaciskając na krawędzi błyszczącego, drewnianego blatu, patrząc na surowego ptaka tak, jakby mógł się nagle podnieść i powiedzieć jej coś ważnego.

- Mamo? - Daisy zastanowiła się, czy to właśnie ten moment. Czy matka wreszcie popada w szaleństwo. Jak Vivien Leigh.

- Och. - Matka odwróciła się i uśmiechnęła. - Tak sobie pomyślałam, że na obiad zjemy dziś kurczaka. To znaczy: kiedy już przyjedzie twój ojciec. Ale chyba nie jestem głodna. A ty?

- Też nie - odparła Daisy, choć tak naprawdę umierała z głodu. Nie dość że ominął ją lunch, to zanosilo się, że nie będzie obiadu.

- To może tylko jakieś kanapki? Z sałatką jajeczną czy z ogórkiem?

- Z sałatką.

- Kochanie... Zrobiłabyś mamie taki pyszny gin z tomkiem jak dla taty. Taki, jak tylko ty potrafisz?

Daisy w zielonym salonie uważnie odmierzała gin z kryształowej karafki, kiedy usłyszała trzaśnięcie tylnych

drzwi. Pomyślała, że to może Ed, ale idąc korytarzem, ze szklanką w ręku, zdała sobie sprawę, że to wróciła ciotka Helena. Dziewczynka przystanęła i zamarła, nasłuchując dobiegających z kuchni bezcielesnych głosów. „Małe dzbanuszki mają wielkie uszy”.

- Gdzie był? - Usłyszała pytanie matki.

- Znalazłam go w biurze szeryfa. - To ciotka.

- Co on tam, u diabła, robił?

- Najwyraźniej był na miejscu, kiedy przyjechała policja. Obok... tego ciała. To znaczy: tej dziewczyny. Dlaczego nie uciekł z Daisy, nie mam pojęcia. Ale potem zaczął mówić, że chodzi tam od wielu dni. Jak się okazuje, opuszcza lekcje tenisa. - W tym miejscu ciotka zrobiła przerwę na oddech. - Policjanci zabrali go na komisariat, żeby szeryf mógł z nim porozmawiać i dowiedzieć się, czy Ed nie widział w pobliżu kogoś podejrzanego.

- No, ale gdzie on jest teraz? - W głosie matki brzmiało rozdrażnienie.

- Ciągle jeszcze na komisariacie - powiedziała ciotka. - To właśnie w tym wszystkim najdziwniejsze. Wcale się nie przejął, nawet się nie ucieszył na mój widok. Po prostu siedział na krześle w biurze szeryfa, spokojny, jak gdyby nigdy nic. Prawdę mówiąc, to niemal uśmiechnięty. A potem powiedział do mnie: „Nie martw się, mamo, wszystko będzie dobrze”. Jakby właśnie rozwiązał zadanie z matematyki, a nie natknął się na jakąś biedną, uduszoną dziewczynę... Wstyd przyznawać, Nick, ale zmroziło mi krew w żyłach. Mój własny syn... Zginęła dziewczyna, a on się uśmiecha.

- Tak. - Głos matki był niemal szeptem.

- A potem jeszcze ten szeryf... Zaproponował, że chętnie

odwiezie Eda do domu, kiedy ten przestanie być mu pomocny. Pomoc! Jak, u licha, miałby im pomóc mój trzynastoletni syn? I jeszcze ten szeryf mrugnął do mnie okiem, co, jak rozumiem, miało oznaczać, że to jakaś męska sprawa czy coś. O co mu chodziło? To znaczy, że to sprawa nie dla kobiet? Och, na litość boską! Chciałabym, żeby Avery tu był.

- Chyba obie potrzebujemy drinka - stwierdziła matka. - Kiedy Hughes tu przyjedzie, na pewno będzie wiedział, co robić.

Daisy skorzystała z okazji i weszła do kuchni.

- Przyniosłam ci drinka, mamo.

- Dziękuję ci, kochanie. Czy zgodziłabyś się przygotować jeszcze i szkocką dla cioci?

- Och, Daisy! - odezwała się ciotka, podchodząc. - Och, moja droga dziewczynko. Moje kochane biedactwo...

- Nic mi nie jest, ciociu Heleno - odparła Daisy. Czy jej słowa też mogłyby komuś zmrozić krew w żyłach? Czy powinna się rozpląkać albo zemdleć, jak to robią na filmach? - Pójdę i przyniosę ci szkocką.

Ale nie przyniosła. Zamiast tego szybko wyszła za frontowe drzwi z jakimś niejasnym zamiarem wybrania się do biura szeryfa i zażądania, żeby zwolniono kuzyna. Chociaż... Oni go tam chyba nie zamierzają zatrzymać, prawda? Rozważała tę myśl, już otwierając frontową furtkę i skręcając w stronę Morse Street.

- Cześć, Daisy. Omal nie zemdląła.

- Do stu piorunów, Edzie Lewis! Naprawdę mnie przestraszyłeś! Skąd się tu wziąłeś?

- Ukryłem się tutaj - odparł spokojnie. - I czekałem na ciebie.



Daisy trzymała dłoń na sercu, jakby w ten sposób mogła spowolnić jego bicie. A przecież jeszcze nigdy w życiu nie ucieszyła się tak na czyjś widok.

- Och, Ed. Gdzieś ty znikł?

- Nigdzie nie znikłem. To ty uciekłaś.

- Tak - przyznała. - To przez ten okropny język. - Język w kolorze stopionych winogronowych lodów, wysuwający się ze zdziwionych, woskowatych ust dziewczyny. - Ale myślałam, że biegniesz za mną.

- Nie pobiegłem. Zostałem.

Coś w tonie jego głosu sprawiło, że Daisy wsłuchiwała się w szum własnej krwi i przyjrzała się kuzynowi uważnie.

- Co się stało z twoimi oczami?

- Nic się nie stało z moimi oczami - odparł.

Ale coś było nie tak. Oczy Eda nie przestały przypominać srebrzystej łuski, ale były teraz żywe, jak te małe płatki, które śmigały między palcami stóp Daisy przy odpływie. Zastanowiła się, kiedy to się stało. Usiłowała powrócić myślami do chwili sprzed znalezienia ciała, ale nic nie mogła sobie przypomnieć.

- Słuchaj, nie możemy tutaj rozmawiać - powiedziała. - One tam w domu wariują. I jeszcze mój tata przyjeżdża. I twój też. I wiedzą o tenisie.

- Wiem. - Ed chyba się nie przejmował.

- No, nieźle wpadliśmy z tym wszystkim! I to dzięki tobie, Edzie Lewis. Jesteś głodny?

- Niespecjalnie - odparł.

Daisy ogarnęła irytacja na wszystkich ludzi pozbawionych apetytu.

- Masz jakieś pieniądze?

- Szeryf dał mi dwa dolary. Za pomoc.

- Dobrze. Możesz mi kupić cheeseburgera. Ale powinniśmy pójść od strony portu. Żeby nas nie zobaczyły.

Dopóki nie pochłonięła cheeseburgera, Daisy milczała, zajęta uważaniem, aby tłuszcz nie skapnął z woskowanego papieru na jej zielone szorty. Siedzieli na ławeczce obok promu, na uboczu tłumku otaczającego Quarterdeck. Ed wciąż miał na sobie strój do tenisa, miejscami poplamiony. Kosmyki jasnych włosów stanęły mu dęba. Ze swobodą kołysał długimi nogami, pozwalając tenisówkom szurać po żwirze.

- Powiedziałeś im o papierosach?

- Nie - odparł. - Papierosami się nie martw. Nie widzieli ich. A nawet jeśli je znajdą, pomyślą, że wypalił je morderca.

Morderca. Daisy przedtem jakoś nie pomyślała, że dziewczyna została zabita. Była po prostu martwa. Kiedy Ed uniósł koc, dobrą minutę potrwało, zanim rzeczywiście coś zobaczyła, a kiedy już do niej dotarło, minęły chyba całe wieki, zanim udało jej się ruszyć stopy z miejsca. Ale wracając myślami do tamtej chwili, Daisy zrozumiała, że oczywiście. Ktoś musiał to tej dziewczynie zrobić.

Połowa tamtej twarzy wyglądała jak zapadnięta, czy jakoś tak. A spomiędzy ciemnych, kręconych włosów wypływał ten portugalski żeglarz. Oczy dziewczyny były otwarte i wytrzeszczone, jak u żaby, spuchnięty język wysuwał się z ust. I te jej piersi! Nie licząc języka, to właśnie one przeraziły Daisy najbardziej. Jeszcze nigdy nie widziała nagich piersi, tylko u matki. Ale te w żaden sposób nie przypominały matczynego biustu. Coś było z nimi nie tak. Brakowało całych ich fragmentów, zupełnie jakby ktoś wziął foremkę do ciastek i porobił

nią odciski na skórze, pozostawiając owalne zagłębienia patrzące na Daisy niczym jakieś lepkie oczy. To w tym momencie stopy dziewczynki odzyskały zdolność ruchu.

- Morderca... - powiedziała powoli. - Wiedzą kto?

- Nie - odparł Ed. - Ale ona nazywała się Elena Nunes. Znaleźli pod zwłokami jej kartę identyfikacyjną. Pokojówka Wilcoxów.

- A portugalski żeglarz? - Daisy nadal nie mogła się połapać, skąd się tam wziął. Czy Elena Nunes przedtem pływała?

- Jaki portugalski żeglarz?

- No ten na jej głowie - powiedziała Daisy. - Wiesz, ten ściśnięty przy ścianie.

- To był jej mózg i kawałki czaszki - wyjaśnił Ed.

- Skąd wiesz? - szepnęła.

- Byłem z tym policjantem, kiedy meldował o tym szeryfowi. Powiedział: „Ten facet walił ją w czaszkę tak mocno, że mózg z niej wyleciał”.

- Powiedział tak? Że to wyleciało z jej głowy? - Daisy poczuła, że cheeseburger przewraca się w jej żołądku.

- A, i jeszcze ją dusił. To dlatego miała taką czarną szyję. - Głos Eda był przyciszony. Jak w kościele.

- Nie mieści mi się to w głowie... Nie mieści mi się w głowie, że widzieliśmy zamordowanego człowieka, Ed.

- Wiem - powiedział.

- Myślisz, że ten morderca będzie nas teraz ścigał? Może zostaliśmy naznaczeni śmiercią? - Daisy czytała kiedyś opowiadanie, w którym na czołach ofiar pojawiały się czerwone krzyże. Niczym ślady stopionej lawy.

- Nie. Ale myślę, że dzięki temu jesteśmy wyjątkowi.

## 1959, LIPIEC

2

Śladem ojca, który przyjechał do Tiger House, podążał ład. Nie minęły dwadzieścia cztery godziny, a jego przyjaciel z klubu zapisał Eda po znajomości na letni obóz dla skautów. Matka znów zaczęła gotować dla całego domu, szykować się do corocznego letniego przyjęcia i ogólnie wykazywać nieco mniej roztargnienia. Zajęła się nawet pracą w ogrodzie i pakowaniem koszy piknikowych dla ojca, który ze swej strony przejął załatwianie wszystkich spraw telefonicznych i przyjmowanie wizyt zatroskanych przyjaciół i wścibskich sąsiadów.

„Wiadomości szybko się rozchodzą. A złe wiadomości rozchodzą się najszybciej”.

Tylko ciocia Helena zdawała się uodporniona na jego organizacyjne zapęły. Wujek Avery się do nich nie wybierał.

- On nie przyjedzie, Nick - tłumaczył ojciec. - Coś w związku z tą jego idiotyczną kolekcją. Szczerze mówiąc, wcale się chyba nie przejął. Rzucił jakiś dziwny

komentarz, że takie rzeczy hartują charakter. Ten facet to naprawdę kawał wariata.

- Przeklęty gość - powiedziała matka.

Ciocia Helena, która podczas tej wymiany zdań stała obok, nie odezwała się ani słowem.

Kiedy Daisy zapowiedziała, niemal ze łzami w oczach, że musi wracać na zajęcia tenisa, matka zareagowała sceptycznie. Nawet jeden dzień, wyjaśniła dziewczynka, oznacza zaległości.

- Omal z tego powodu nie wpadła w histerię - usłyszała, jak matka opowiada ojcu o rozmowie za zamkniętymi drzwiami sypialni. - Niepokoję się. Myślę, że to trochę nienaturalne. No bo dlaczego miałyby chcieć tam wracać? Po wszystkim, co się wydarzyło?

- Ona jest po prostu zdeterminowana - powiedział ojciec. - Chce wygrać turniej i tyle.

- Mnie się wydaje, że to nie jest zdrowe. - Daisy usłyszała jakiś szelest w pokoju, jakby matka poprawiała pościel na łóżku. Miała ten zwyczaj w chwilach zdenerwowania albo zamyślenia.

- Moim zdaniem tenis oderwie ją od całej sprawy - odparł ojciec. - Robimy z igły widły. Nie chcemy chyba zepsuć jej lata tylko dlatego, że jakiś szalowiec postanowił zadusić pokojówkę...

- Hughesie Derringer, ależ ty potrafisz być niewzruszony. - Głos matki brzmiał jak szkło. - Ja bym powiedziała, że to już zrujnowało lato nam wszystkim. Jakaś okaleczona, zatłuczona na śmierć pokojówka, znaleziona przez naszą córkę.

- Wiesz, o co mi chodzi.

- No cóż, nie jestem do końca pewna. Ale z drugiej strony, wy dwoje zawsze tworzycie tandem, a ja jestem poza. Chyba nie powinno mnie dziwić, że się z nią zgadzasz.

- Nie zaczynaj od nowa. Wiesz, że to nieprawda. Daisy usłyszała kolejne szelesty.

- Nie cierpię, kiedy tak do mnie mówisz. - Głos matki ucichł i Daisy musiała przycisnąć ucho do drzwi, żeby pochwycić słowa. - Jakbym cię męczyła.

- Nie męczysz mnie. Tylko... Czasami cię nie rozumiem, Nick.

- Och, zebrało nam się na szczerłość?

- Moglibyśmy popробować.

- W takim razie... Ja mogę to samo powiedzieć o tobie.

Daisy usłyszała westchnienie ojca, a potem zaskrzypiały sprężyny. Jakby ciężko opadł na materac.

- Co mam ci powiedzieć? - odezwał się po chwili. - Jak chcesz ją trzymać z dala od tego?

- Nie wiem. Chciałabym tylko, żebyśmy byli zgodni, to wszystko. - I matka dodała: - To przez to morderstwo. Przeraza mnie.

- Chodź tutaj.

Daisy miała wrażenie, że do następnych słów minęły całe wieki.

- Gorąco tutaj. - Głos matki był zduszony. Sprężyny łóżka zaskrzypiały ponownie.

- Czekał. Nie ruszaj się. -Ja...

- Twoja skóra... - Głos ojca ucichł. - Mogę? To znaczy, czy chcesz...?

-Tak.

- Nick, ja...

- Nie, wszystko w porządku. Nic nie mów. - A potem: - Czekaj, Hughes. Nie podjęliśmy jeszcze decyzji. To znaczy: w sprawie Daisy.

- Dobrze, ale lepiej decyduj szybko.

- Chyba po twojemu będzie najlepiej - powiedziała matka niemal szeptem. - Masz rację, ta sprawa nie powinna jej zepsuć wakacji. Ale ona tak poważnie podchodzi do tego turnieju.

- Lubi wygrywać - zauważył ojciec.

Zarumieniona Daisy wróciła do swojego pokoju i wyłożyła sukienkę tenisową na zapasowe łóżko, wygładzając zagniecenie na kołnierzyku.

Musiała przyznać, że pod pewnymi względami matka miała rację. Czasami, kiedy przebijiała piłkę nad siatką, obraz, który wtedy zobaczyła, zaduch tej gnijącej wiaty, wracał do niej znienacka. Daisy zaczynało robić się słabo. Traciła orientację, jak wtedy gdy dostała udaru słonecznego i zwymiotowała do basenu Gilchristów.

Ale pierwszego dnia po powrocie poczuła się jak gwiazda filmowa. Wszyscy chcieli z nią rozmawiać o zamordowanej dziewczynie. Tłoczyli się wokół niej na werandzie klubu tenisowego, podsuwając szklanki lemoniady, częstując kupowanymi na wagę cukierkami i obiecując nowe naciągi do rakiety. Wszystko w zamian za tę historię.

- Zorientowałaś się, że ona nie żyje, jak tylko ją zobaczyłaś?

- Była tak biała jak duch?

- Zemdląłeś? Ja bym natychmiast zemdląłem.

To ostatnie rzuciła Peaches, z typowym dla niej ujęciem sprawy. Tak, żeby wszystko kręciło się wokół niej. Oczywiście, Peaches wyobrażała sobie, że natychmiast mdleje, a potem jakiś uczynny chłopak w białym stroju do tenisa wynosi ją z szopy na rękach. Jakby była dość lekka, aby ją wziąć na ręce! Ale tym razem nikt na Peaches nie zwracał uwagi. Nawet Tyler wydawał się poirytowany.

- Pozwól Daisy dokończyć tę historię! - burknął. Daisy odczuła dziwne zadowolenie i przysunęła się do

niego bliżej. Wyczuwała specyficzny zapach Tylera: skóra i pot, ale również czystość. Rzuciła mu pełne wdzięczności spojrzenie.

- To było dziwne - powiedziała. - Ona po prostu wyglądała jakoś tak inaczej. I głowę miała wykręconą w bok. Ed mówi, że została uderzona kamieniem. Może to zastępca szeryfa tak mu powiedział.

Całej grupie wyrwał się zbiorowy okrzyk.

- Ed zachował się bardzo dzielnie - ciągnęła Daisy z poczuciem lojalności i dumy z własnego kuzyna. - To on uniósł ten koc.

- Zupełnie jak w filmie - stwierdziła Anita z aprobatą.

- Moim zdaniem ty też byłaś dzielna - odezwał się Tyler.

Daisy poczuła, że oddech więźnie jej w płucach i lekko zakrztusiła się powietrzem.

- Gdybym miał młodszą siostrę, chciałbym, żeby była taka, jak ty...

Peaches uśmiechnęła się z wyższością, powracając do swojej dawnej chwały.



Anita wprosiła się do niej do domu po lekcji, a Daisy, nadal pogrążona w czarnych rozmyślaniach o Tylerze i Peaches, odruchowo się zgodziła, chociaż nie była pewna, czy to dobry pomysł. Miała nadzieję, że rodzice będą na plaży. I że ciocia Helena nie będzie się zachowywała zbyt dziwnie.

- Moim zdaniem to niesamowite i fascynujące, że znalazłaś tamtą dziewczynę. Zupełnie jak w jednej z historii o Nancy Drew.

- Wydawało mi się, że mówiłaś, że to jak film - powiedziała Daisy. Była we wrednym humorze.

- I to, i to, dwa w jednym. A nawet jeszcze lepiej, bo to się zdarzyło naprawdę.

Daisy milczała.

- Ona była pokojówką u Wilcoxów. - Zerknęła na nią Anita.

- Wiem o tym - odparła Daisy z irytacją.

- Moja babcia mówi, że pani Wilcox ostatnią pokojówkę zwolniła za kradzież.

Daisy patrzyła, jak kąciki ust Anity uniosły się lekko.

- Za kradzież czego?

- Nie wiem. Ale babcia mówi, że to pewnie wina pani Wilcox. Mówi, że jest panią domu, która nie potrafi dogadać się ze służbą.

Myśl, że Elena Nunes mogła kraść, wprawiła Daisy w przygnębienie. Zmieniła temat.

- Mieszkasz z babcią?

- Nie, tylko przyjeżdżam do niej na wakacje. Moja mama jest aktorką i latem zawsze jest w trasie - powiedziała Anita.

- Twoja matka jest aktorką? - Daisy pomyślała, że

Anita jest o wiele ciekawsza, niż jej się wydawało na początku.

- Uhm. Teatralną. W tej chwili gra w *Czarownicach z Salem* na off-Broadwayu.

- A co to takiego?

- To sztuka o procesie czarownic, chociaż moja mama mówi, że tak naprawdę chodzi o politykę.

- Och - powiedziała Daisy. Doszły już do podjazdu przy North Summer Street. - Chodź.

Wprowadziła Anitę do letniej kuchni, coraz bardziej dusznej w rosnącym upale. W lodówce czekały kanapki z mortadela, a na kuchennym blacie leżała karteczka od matki z informacją, że rodzice zrobili sobie piknik na plaży.

- Trzymaj. - Daisy podała Anicie talerz i złapała za dzbanek z lemoniadą według specjalnego przepisu matki. Prawdopodobnie jedna z kanapek miała być dla Eda, kiedy już wróci do domu, ale nie przejęła się zbyt. - Możemy to wynieść na frontową werandę.

Kiedy mijaly błękitny salon, Daisy zobaczyła ciotkę Helenę drzemiącą w swoim fotelu.

- Zabierz to na zewnątrz - poleciła Anicie. - Ja zaraz przyjdę.

Podeszła do ciotki i położyła dłoń na jej ramieniu.

- Ciociu?

Kobieta nie poruszyła się; pochrapywała cicho przez lekko rozchylone, miękkie usta. Szklanka, którą trzymała w dłoni na podołku, przechyliła się. Na granatowej letniej sukience wykwitła ciemna plama.

- Ciociu Heleno - powtórzyła Daisy, tym razem głośniejszym głosem. Lekko potrząsnęła ramieniem ciotki.

Ta otworzyła oczy i usiłowała skupić wzrok.

- Ciociu, chyba jesteś naprawdę zmęczona. Nie masz ochoty iść na górę i się położyć?

Bez jednego słowa ciotka podniosła się z trudem z fotela i znikła, kierując się w stronę schodów. Daisy patrzyła, jak wchodzi na górę, ciężko wspierając się o rzeźbioną poręcz.

- To moja ciotka - powiedziała, wracając na werandę.^ - Jest naprawdę zmęczona. To pewnie przez ten upał.

Anita w milczeniu patrzyła, jak Daisy odgryza kęs kanapki.

- To krewna twojej matki? - zapytała wreszcie, przeżuwaną.

- Uhm. Ale nie siostra. A właściwie siostra, tyle że cioteczna. Ale mówię do niej „ciociu”.

- Moja mama też ma takie swoje przyjaciółki-aktorki, które nazywa siostrami. Ale ja nie mówię do nich „ciociu” - powiedziała Anita.

Jedząc kanapkę, Daisy zastanawiała się, czy z zewnątrz ona i Anita wyglądają jak jej matka i ciotka - szykowne i kobiece, prowadzące rozmowę o nowojorskich sztukach teatralnych i zwłokach pomordowanych.

Zanim Ed wrócił do domu z zajęć dla skautów, Daisy pokazała Anicie swoją kryjówkę z komiksami o Archiem i różowymi muszlami. Pokazała jej nawet jednoroźca, a Anita się nie roześmiała. Podobała jej się jego grzywa. Kiedy do domu wszedł Ed, w tym swoim śmiesznym mundurku khaki i z bandaną zawiązaną na szyi, grały akurat w wojnę na podłodze sypialni. W szortach nogi kuzyna przypominały blade patyki.

- Cześć - powiedział.  
- Och - westchnęła Daisy. - Cześć. Anita się zerwała.  
- Hej, jestem Anita. A ty to pewnie ten chłopak, który znalazł ciało.

Ed nic nie powiedział. Stał tylko i patrzył.

- Daisy dużo mi o tobie mówiła - dodała Anita, uśmiechając się do niego.

To nie była prawda i Daisy poczuła się lekko zawiedziona koleżanką.

- Jak tam brygada głupków? - zapytała.

- W sumie jest całkiem ciekawie - odparł Ed. - Dzień spędziliśmy na Gay Head. Szukaliśmy grotów od strzał.

Pochylił się i ostrożnie położył mały, spiczasty, szary kamień obok kupki kart Daisy.

- To dla ciebie - powiedział cicho. - Tylko mnie udało się znaleźć grot.

Daisy nagle zrobiło się przykro, że była taka niemiała.

- Dzięki.

- Wow - powiedziała Anita. - Fajne.

- I mogłem użyć nowego scyzoryka - powiedział Ed, obracając w dłoni czerwony szwajcarski nóż, który kupił mu ojciec Daisy. - Wycinałem dziczki.

- Musicie przysięgać na wierność fladze i takie tam? - zapytała Anita. - Moja mama mówi, że to pranie mózgu.

Ed spojrzał uważniej.

- Nie. Pan Reading w takie rzeczy nie wierzy. Mówi, że jest renegatem i że Skauci Massachusetts nie pozwolą mu nawet zostać prawdziwym liderem ruchu, przynajmniej nie na ich zasadach. My kierujemy się

tradycyjnymi wartościami Thompsona Setona. Idziemy drogą Indian.

- Indianie są fajni - powiedziała Anita. - Wiedziałeś, że oni nie wierzą w Boga?

- Nie każdy wierzy w Boga - odparł. - Mnóstwo ludzi w Hollywood nie wierzy.

- Oboje jesteście szaleni - powiedziała Daisy. - Ale jeśli on nie jest prawdziwym liderem skautów, to nie dostaniesz żadnej oficjalnej odznaki.

- To nie ma znaczenia - stwierdził Ed. - Uczę się, jak wykonywać tradycyjne rzeźby w drewnie i jak nożem wypatroszyć królika, tak jak to robią Indianie w Gay Head. Techniki przetrwania. To o wiele bardziej przydatne.

- Zabijacie króliki? - Daisy była przerażona.

- Nie cierpią. Najpierw skręca się im kark.

- Więc naprawdę musicie je najpierw sami udusić? - Anita zdawała się zafascynowana.

- No... Po prostu ukrećmy im szyje - odparł Ed spokojnie. - Trzyma się ją, a potem szarpie mocno do tyłu. A później wieszka się królika za jedną z tylnych łap i odcina mu się głowę. Żeby się wykrwawił.

Daisy nagle zrobiło się słabo.

- Nic ci nie jest? - zapytała Anita. - Strasznie zbladłaś.

- Nie czuję się za dobrze - mruknęła Daisy. Poczowała, że mortadela podchodzi jej do gardła.

Ed patrzył na kuzynkę.

- Chyba zwymiotuję - powiedziała Daisy, wstając. Zakryła usta dłonią i wybiegła.

W łazience zwróciła kanapkę do pudrowo błękitnego sedesu.

Przez następne dwa tygodnie przygotowania do przyjęcia organizowanego przez matkę zdawały się zajmować w domu coraz więcej przestrzeni. Malutkie amerykańskie flagi walały się po jadalnym stole, czekając, aż zostaną naszyte na powitalną wstęgę. Zaproszenia z nadrukiem „Tiger House” na froncie i wydłużoną, giętką sylwetką bengalskiego tygrysa pokrywały biurko matki, a drewniane skrzynie kryjące najlepsze kryształy zostały wyniesione z piwnicy i stały teraz rzędem wzdłuż jednej ze ścian zielonego salonu. Karteczki papieru z zanotowanymi na nich numerami telefonów, adresami i nazwiskami, niektórymi przekreślonymi, fruwały po pokojach niczym wielkie mole. Miękkie woreczki ze srebrnymi sztućcami, które należało wyczyścić, leżały w stosach na blatach letniej kuchni, a haftowanej białej stołowej babki zdarzało się zwieszać z foteli i kanap, gdzie czekała, aż się nią zajmie gospoia. Telefon zaś dzwonił bez przerwy. Albo człowiek od kwiatów informował, że o tej porze roku nie znajdzie żadnych peonii w kolorze brzoskwini (zamiast tego uzgodniono białe hortensje), albo pracownik firmy Crane & Co. donosił, że tabliczki z wygrawerowanymi nazwiskami gości, do wyznaczania miejsc przy wczesnej kolacji, mogą się opóźnić o dzień czy dwa. Cudem udało się uniknąć katastrofy, jak oświadczyła całej rodzinie matka Daisy, kiedy rzemieślnik, który malował japońskie lampiony, oddzwonił, żeby powiedzieć, że wreszcie znalazł ciężarówkę, w której będzie dość miejsca na dostarczenie przesyłki na wyspę na czas.

Oczekiwanie przydawało domowej atmosferze czegoś elektryzującego i Daisy nie zdziwiłaby się, gdyby te

świeczniki i flagi, i łyżki, i widelce zerwały się nagle i pomaszerowały na przynależne im miejsca. Jak w *Dziadku do orzechów*, kiedy wszystkie zabawki ożyły, gdy ludzie położyli się spać. Czowała się zarazona magią przyjęcia i nie przeszkadzało jej ciągle napominanie, żeby nie zostawiała rakiety do tenisa walającej się pod nogami czy nie jadła na werandzie, bo okruchy zwabiają do domu mrówki. Zauważyła, że nawet Ed się włączył do przygotowań, stale sprawdzając pułapki na myszy w kuchni i w spiżarni.

I chociaż w turnieju debła Daisy i Anita przegrały, postanowiła zapytać matkę, czy jej koleżanka będzie mogła przyjść na przyjęcie. W końcu Anita nie była niczemu winna. Po prostu nie stanęła na wysokości zadania.

- Tak, tak - odparła matka z roztargnieniem, zanim podniosła wzrok znad jednej z tych swoich zapamiętałe spisywanych list. - Ale nie na wczesną kolację.

- Przecież nawet ja nie jestem na nią zaproszona - odparła Daisy głośno.

- No tak, racja. - Matka żuła końcówkę ołówka i wpatrywała się w listę. - Kiedy skończysz szesnaście lat...

Wczesna kolacja była przeznaczona dla kółka najbliższych przyjaciół rodziców Daisy, którzy mieli przyjść o szóstej i zjeść, zanim jeszcze rozkręci się właściwa impreza. Ten posiłek zdawał się spędzać matce sen z powiek w równym stopniu, co samo przyjęcie, chociaż Daisy nie umiała pojąć dlaczego. Przecież matka nawet sama go nie gotowała, tylko wytrząsała się nad kobietami, które najęła do pomocy w Vineyard Haven.

- Proste dania. - Wyjaśniała bez końca. - Proste, ale trudne do wykonania i niemożliwe do podrobienia.

Ponieważ następnego dnia po przyjęciu miał się odbyć turniej singla, Daisy trenowała zawzięcie. Znow zaczęła obgryzać paznokcie. Powrócił nawyk, który zarzuciła już całe lata temu, kiedy matka, doprowadzona do furii, zaczęła dwa razy dziennie smarować jej palce sosem tabasco.

„Ładny jest, kto postępuje ładnie”.

Złapała się nawet na tym, że płacze po każdej lekcji tenisa. Nie była pewna dlaczego, ale wiedziała, że dobrze było usiąść i wykrztusić z siebie te łzy, przygryzając zębami wilgotny kołnierzyk koszulki. Pod koniec tygodnia rozegrała z Peaches mecz treningowy do dwóch wygranych setów.

Peaches zrobiła, co chciała, wygrywając szybko i bez trudu. Pokonała Daisy przy jej własnym serwisie. Daisy czuła się jak odrętwiała, a jednocześnie, co dziwne, jej serce biło tak szybko, że miała wrażenie, iż wyrwie się z piersi.

- Zwykle idzie ci lepiej - stwierdził pan Collins, kiedy weszła do klubu. I położył dłoń na ramieniu Peaches. - Ładnie rozegrane, Peaches. Bardzo skutecznie. No dobrze, dziewczęta, uściśnijcie sobie ręce.

Daisy bez namysłu ruszyła do drzwi i wyszła na ulicę, wlokąc za sobą po ziemi rakietę. Nawet nie chciało się jej płakać. Pragnęła znaleźć się jak najszybciej we własnym domu, we własnej chłodnej, lawendowej pościeli.

Usłyszała za sobą odgłos kroków, ale nie przyśpieszyła. Nawet jeśli mnie zwiążą i poddadzą chińskim torturom, pomyślała, nie uścisknę ręki tej tłusciosze!

Za ramię chwyciła ją czyjaś ciepła dłoń.

- Hej - odezwał się Tyler. - Zaczekaj.



Daisy się odwróciła.

- Hej, nic się nie stało - powiedział Tyler. - Nie płacz.

- Nie płaczę - odparła Daisy i przyspieszyła kroku.

- No dobrze już, dobrze. Nie płaczesz - ustąpił. - Hej, czekaj. Nie leć tak.

Daisy przystanęła.

- Słuchaj... Po prostu chciałem ci powiedzieć, że moim zdaniem grałaś świetnie.

- Nie bądź kretynem - warknęła wściekle. - Przegrałam.

- To nie był przecież prawdziwy mecz - powiedział Tyler. - Rozegrałyście tylko dwa sety. A poza tym wyglądałaś świetnie. Tylko popełniłaś parę błędów, to wszystko.

- Pan Collins cię przysłał? To mówię od razu, że nie będę ścisnąć jej ręki.

Tyler się roześmiał.

- Kolczasta jesteś, co nie?

Daisy patrzyła na niego w milczeniu, wciskając czubek rakiety w żwir.

- No dobra. Dobra. Słuchaj, nie jestem szpiegiem Collinsa. Tylko wydawało mi się, że się bardzo przejęłaś. To wszystko. - Wyciągnął rękę. - Daj mi swoją raketę. Nie zasługuje na tak złe traktowanie.

Daisy wręczyła mu sprzęt, cały porysowany przy obręczy od wleczenia po ziemi. Ruszyli przed siebie.

- Nie możesz brać sobie takich rzeczy do serca. A poza tym jesteś lepszą tenisistką niż ona.

- Ale to ona wygrała - powiedziała Daisy nieco łamiącym się głosem. - Nie ja. To ona gra lepiej.

- Nie. Obserwowałem cię. Na korcie jesteś zabójcza.

- Nie dość.

- Masz w sobie więcej temperamentu. Ona jest chłodniejsza. To wszystko - powiedział Tyler. - Dwa różne style. Ale ja wolę twój.

Daisy przygryzła wargę, obracając w myślach to zdanie. Ja mam więcej temperamentu, ona jest chłodniejsza.

- W głowie mi się nie mieści, że przełamała mój serwis - powiedziała.

Kiedy skręcili w Morse Street, podekscytowanie rozgrywką zaczęło mijać i Daisy zdała sobie sprawę (z nagłym, szybkim ukłuciem radości), że Tyler Pierce właśnie odprowadza ją do domu. Zakurzony chodnik zdawał się unosić na spotkanie jej stóp. Na tle cedrowych sidingów białe okiennice domów wyglądały tak schludnie i czysto, jak świeże pranie. Daisy poczuła zapach kapryfolium, płożącego się w pobliżu czubków jej tenisówek. Miała straszliwą ochotę, by wsunąć dłoń w jego dłoń; nie mogła sobie wyobrazić niczego wspanialszego.

Tyler niósł jej rakietę na ramieniu i pod jego uniesioną ręką Daisy zobaczyła plamę potu. Odgarnął do tyłu zwilgotniałe włosy. Ładny był jak dziewczyna, z tymi swoimi wydatnymi kośćmi policzkowymi i długimi rzęsami. Ale przecież był mężczyzną, spoconym i opalonym, którego silne ręce trzymały jej rakietę zupełnie bez wysiłku!

Daisy nie poszła skrótem do North Summer Street, który prowadził na tyły jej domu. Zamiast tego wybrała dłuższą, okrężną drogę do North Water Street, gwałtownie szukając w głowie czegoś, co mogłaby powiedzieć, a co nie miałoby związku ani z tenisem, ani z Peaches. Rozmyślała o tym nawet wtedy, gdy dotarli do frontowej furtki.

- No tak... - odezwała się wreszcie, powoli otwierając zasuwkę.

- No cóż... - powiedział Tyler z uśmiechem. Podał jej raketę i podniósł oczy na dom. - Więc to tutaj mieszkasz.

- Uhm - odparła Daisy, też patrząc na dom i zastanawiając się, jak wygląda widziany jego oczami.

Tyler przesunął dłoń nad czubkami obrastających furtkę czerwonych róż. Ruch wyzwolił ciężki kwiatowy aromat.

- Duży - powiedział. - I ładny.

- Należał do mojej babki. - Daisy wciąż nie przychodziło do głowy nic ciekawego. Rozpaczliwie szukała jakiegoś drobnego kąska, który mogłaby podsunąć Tylerowi. - Kiedyś były w nim dwie kuchnie - powiedziała i natychmiast pożałowała tych słów. Co chłopaka mogą obchodzić kuchnie? - Mój kuzyn przyniósł mi z Gay Head prawdziwy indiański grot do strzały. Chcesz zobaczyć?

- Jasne. W sumie to trochę chce mi się pić.

- Och - westchnęła Daisy. - Lubisz lemoniadę? Moja mama ma specjalny przepis.

- Specjalny przepis, hm? Byłoby super.

- Chodź - powiedziała, prowadząc go frontową alejką na werandę. - Możesz tu usiąść, a ja przyniosę picie.

Nie chciała, żeby Tyler zobaczył chrapiącą w swoim ulubionym fotelu ciotkę Helenę.

Dom był cichy. W kuchni Daisy szybko nalała lemoniady do dwóch szklanek z wzorkiem z niebieskich dzwonków na obrąbku. Wracając na werandę, ostrożnie zajrzała do błękitnego salonu, ale nie było tam śladu

ciotki. Daisy włączyła stare radio na tyle głośno, żeby muzyka dolatywała na zewnątrz. Pokój wypełnił głos Little Anthony'ego, który wyśpiewywał coś o kapiących na jego poduszkę łzach. Pchnęła siatkowe drzwi biodrem i ulżyło jej, gdy znalazła Tylera tam, gdzie go zostawiła.

- Proszę. - Podała mu jedną ze szklanek. Zanim się napił, obrócił ją lekko dokoła, przyglądając się wyrytym w szkle dzwonkom.

Daisy uczyła się go na pamięć. Jego biała koszulka z kołnierzykiem miała na piersi wyszyte logo klubu tenisowego. U nasady włosów zbierały mu się kropelki potu. Sznurowadła tenisówek zawiązał porządnie, ale nie na podwójną kokardkę, jakby miał pewność, że po prostu nie mogą się rozwiązać w niewłaściwym momencie. Daisy podobał się sposób, w jaki patrzył na dzwonki na szkle. Jakby zwracał uwagę na każdy drobiazg.

- Smaczna - powiedział, odstawiając pustą szklankę na stolik z kutego żelaza, stojący między nimi. - Na czym polega ten specjalny przepis?

- To sekret mojej mamy - odparła Daisy. I o mały włos nie dodała, że matka obiecała zdradzić go jej, kiedy będzie starsza. - Chcesz zobaczyć ten grot?

- Jasne - powiedział, ale zerkał w kierunku ulicy.

- Zaraz wrócę.

Daisy pędem wbiegła po wypolerowanych schodach na górę, do swojego pokoju, i zaczęła grzebać w szufladzie ze skarbami. Przerzucała muszle i monety, które walały się na jej dnie, ale nigdzie nie było strzały. Czy na pewno ją tutaj wkładała? Rozgorączkowana, spróbowała pomyśleć. Co z nią zrobiła po tym, jak ją dostała od Eda? Anita pottrzymała ją przez chwilę, ale potem

zwróciła... Daisy zajrzała pod łóżko i zerknęła na nocny stolik, a potem, kładąc się na brzuchu, jeszcze pod pomalowany kaloryfer pod oknem. Ale znalazła tam tylko zasuszoną muchę i porzuconą pajęczynę.

Postanowiła zejść na dół, obawiając się, że jeśli przeznaczy na szukanie choć trochę więcej czasu, Tyler jeszcze gotów zrezygnować i sobie pójść. Zbiegła ze schodów, przeskakując po dwa stopnie naraz, i wypadła na werandę.

Matka właśnie pochylała się nad Tylerem i coś mu szeptała do ucha. Miała na sobie szorty w makowym kolorze, nałożone na kostium kąpielowy bez ramiączek. Jej ciemne włosy, nadal wilgotne po kąpieli, muskały policzek Tylera.

Daisy zamarła. Matka powoli wyprostowała się i uśmiechnęła.

- Cześć, kochanie - powiedziała.

Daisy wiedziała, że usta ma otwarte, ale nie mogła wykrztusić z siebie słowa. Patrzyła na Tylera, który nie przestawał uśmiechać się do jej matki.

- Daisy... Czy wszystko w porządku, kochanie? Kot odgryzł ci język?

- Szukałam grotu od strzały - powiedziała wreszcie Daisy. Gorąco ogarniało ją od samych czubków palców u rąk i rozlewało się aż na policzki, jak słoneczne oparzenie. - Co z nią zrobiłaś? - zapytała zbyt głośno.

- Co takiego? - Matka nadal się śmiała. Jakby Daisy powiedziała coś zabawnego.

- Gdzie ona jest? Nie powinnaś jej była zabierać. Nie jest twoja. Ed mi ją dał. - Tupnęła nogą, aż zabrzęczały szklanki na metalowym stoliku.

- Daisy. - Matka mówiła teraz nieco surowiej. - Nic

z nią nie zrobiłam. Włożyłam ją tylko do górnej szuflady. Żeby się nie zgubiła.

- Chciałam ją pokazać Tylerowi - powiedziała Daisy, starając się opanować łzy, które groziły powodzią. Matka zbiła ją z tropu, więc postanowiła zmienić taktykę. - O czym rozmawialiście?

- No tak... Nie denerwuj się tylko - powiedziała matka. Uśmiechnęła się i spojrzała na Tylera. - Wyjawiłam mu właśnie sekret przepisu na lemoniadę. Nie chciał mi dać spokoju.

- To prawda, nie chciałem - wtrącił się Tyler z promiennym uśmiechem. - Pani Derringer powiedziała, że tak naprawdę tylko tobie jednej może go zdradzić. A ja na to, że nie będziesz miała pretensji, bo jesteśmy przyjaciółmi i tak dalej.

- No cóż, mam nadzieję, że zrobisz teraz coś miłego dla mojej córki - powiedziała matka, miękko kładąc dłoń na ramieniu Tylera. - Żeby jej wynagrodzić ten podstęp.

- Naturalnie - zgodził się Tyler.

Daisy z rozpaczą obserwowała tę wymianę zdań. Rozpoznała swoją pozycję. Była widzem, obserwującym mecz z trybuny.

- Moim zdaniem... - Mrugnęła do niej matka. - Powinieneś zostać jej osobą towarzyszącą na przyjęciu, które wydajemy w przyszłym tygodniu.

Tyler wyraźnie nie spodziewał się takiego zadania, ale uśmiechnął się dzielnie.

- Oczywiście. Będę zaszczycony.

Daisy zapragnęła umrzeć, zapaść się pod ziemię i zniknąć. Bywała zła na matkę już wcześniej, ale w tej chwili po prostu jej nienawidziła.

## 1959, SIERPIEŃ

1

W dniu przyjęcia matka zjawiała się w pokoju Daisy o szóstej rano, odziana w zielony jedwabny szlafrok, i tonem generała broni kazała jej wstawać.

- W głowie mi się nie mieści, że jeszcze śpisz - powiedziała, ściągając z niej ciepły koc. Chłód świeżego, porannego powietrza powiał po nogach. - Kto rano wstaje, temu pan Bóg daje. A poza tym dziewczyna musi jeszcze przecież posprzątać w pokojach, na litość boską. Przecież to wiecie. Czy ja naprawdę o wszystko muszę zadbać sama?

Daisy chciała wytknąć matce, że skoro pokoje sprząta dziewczyna, to nie będzie musiała wszystkiego robić sama, ale Nick zdążyła już wymaszerować.

Daisy zeszła niepewnym krokiem do kuchni, gdzie znalazła ojca i ciotkę, oboje z zapuchniętymi od snu oczami, przy kuchennym stole. Ojciec siedział i popijał kawę; nieogolony zarost kładł się cieniem na jego szczęce. Ciotka, owinięta obszerną żółcią szlafroka, wpatrywała się tępo w filiżankę.

- Co jest na śniadanie? - zapytała Daisy.

Na samo wspomnienie śniadania ciotka Helena jęknęła i położyła głowę na blacie stołu.

Ojciec zaś uśmiechnął się i wstał, mocniej wiążąc pasek flanelowego szlafroka.

- Ach, Daisy, słoneczko moje. Czyż na twój widok nie raduje się serce? Chodź tu i daj staruszkowi buziaka.

Daisy podeszła posłusznie, a on objął ją ramionami i cmoknął w czubek głowy. Ojciec pachniał snem i czymś kwaśnym. Daisy wyplątała się z jego objęć, zerkając nań w górę przez zmrużone powieki.

- Wszyscy czujemy się trochę nie w formie. Poza twoją matką, oczywiście. W tej chwili mogłaby ją powstrzymać chyba tylko katastrofa żywiołowa - powiedział i zachichotał. - To może jajecznicza dla mojej ulubionej dziewczyny? Nie jestem pewien, czy uda mi się tak dobra jak mamie, ale spróbuję.

- Okay. - Daisy usiadła. - Czy mogę napić się kawy?

- Kawy? - Ojciec przystanął i odwrócił się do niej, potrząsając trzymaną w ręku patelnią. - A od kiedy to pijasz kawę?

- Mama pozwala mi na odrobinę. Z dużą ilością mleka.

- Mama miewa zadziwiające pomysły. - Nie wydawał się przekonany. - No, ale skoro można... Naleję ci kropelkę do kubka, a ty dopełnisz mlekiem. Zgoda?

- Zgoda. - Daisy podeszła do lodówki i wyjęła z niej zimną butelkę.

- Daisy, kochanie - usłyszała za sobą stłumiony głos ciotki. - Nalejesz i dla mnie tego pysznego mleka? Albo lepiej przynieś butelkę do stołu...



Daisy spojrzała na ojca.

- Do diabła, Helena! - powiedział ze śmiechem.

- To twoja wina, Hughes. Twoja i tego twojego whiskey sour.

- Nikt ci nie kazał wypijać dziesięciu drinków...

- Nie musiałeś wciąż mi dolewać. Wiesz, jak uwielbiam whiskey sour.

- No to chyba sekret się wydał.

- Cóż, teraz za to płacę. Kiepska sprawa, Hughes. - Głos był nadąsany, ale Daisy widziała, że ciotka z trudem opanowuje uśmiech.

Przyniosła jej i szklanke, i butelkę mleka. Ciotka przycisnęła butelkę do czoła. Daisy zastanowiła się nad dziwnym wpływem imprez na dorosłych ludzi, na przykład podczas Gwiazdki, kiedy nie obowiązują zasady. Jej ojciec i ciotka, o tej godzinie, w piżamach! I zachowują się jak wariaci. Przypomniało jej to filmy dla dorosłych, na które czasem zabierała ją matka, gdzie dorośli mówili do siebie różne rzeczy, a cała widownia zaczynała się śmiać. Z wyjątkiem Daisy, która nie widziała w tym nic śmiesznego.

W każdym razie teraz Tiger House wyraźnie zawładnęło przyjęcie i Daisy czuła, że ulega tej atmosferze, jak czasem przyływowi złości. Usłyszała, jak matka otwiera okna we frontowych pokojach, żeby je przewietrzyć. A potem zabrzmiał szcęk talerzy przerywany co chwila okrzykiem: „Niech to szlag!”.

Ed pojawił się w kuchni świeżo po prysznicu, ubrany w porządnie wyprasowane drelichy. Kiedy wszedł do środka, ciocia Helena wyraźnie starała się siedzieć prosto, a Daisy mimo to zobaczyła jego pełne dezaprobaty spojrzenie. Nagle się rozzłościła.

- Wszyscy jemy dzisiaj śniadanie w piżamach - oświadczyła władczo.

- Indianie wstawali ze wschodem słońca, żeby śniadanie upolować. - Głos Eda brzmiał chłodno.

- No to idź w takim razie na śniadanie do Indian

- odparła Daisy.

- Ed - wtrącił ojciec. - Jajeczniczy? - Miał głos jak zwykle, ale Daisy zobaczyła, że jego dłoń zawisała nad patelnią nieruchomo, a jajka zaczęły się przypalać.

- Nie, dziękuję - odparł kuzyn. Przez chwilę patrzył na jej ojca, a potem się odwrócił. - Idę sprawdzić pułapki na myszy.

Wyszedł z kuchni, pozostawiając za sobą niezadowolenie, które zatruło niezobowiązującą atmosferę.

- No cóż... - westchnęła ciotka Helena i podniosła się za stołem. - Lepiej pójdę się ubrać. Twojej matce na pewno przyda się pomoc.

- Zupę podano - powiedział ojciec, stawiając przed Daisy talerz z jajkami.

Zaledwie zdążyła włożyć kęs nieco przypalonych jajek do ust, kiedy do kuchni weszła matka.

- Daisy Derringer - odezwała się ostro. - Zdejmij stopę z tego krzesła. I co ta butelka robi na stole? Mleko się zepsuje. - Zabrała butelkę i rozejrzała się wokół.

- Skąd ten cały bałagan? Wszystkie te garnki i talerze? I szklanki?

- Ludzie muszą jeść - odparł ojciec, odstawiając patelnię do zlewu i podchodząc do matki. - Nawet żołnierze dostają śniadanie, zanim ruszą na pole bitwy.

- Ludzie muszą jeść! - Próbowała wysunąć się z jego objęć. - Ale ludzie nie muszą aż tyle pić, żeby potem

leniuchować przez cały ranek, kiedy za dwanaście godzin pojawi się tutaj stu jeden gości.

- Leniuchować! I co jeszcze? Jest wpół do siódmej, na litość boską. Porządni ludzie o tej porze twardo śpią.

Daisy obserwowała rodziców znad śniadania. Ojciec uśmiechał się do matki, która wierciła się jak ona, kiedy ktoś usiłował posmarować ją kremem do opalania.

- Po co wynajmować dziewczyny do pomocy, jeśli nie pozwalasz im wykonać pracy?

- Po prostu sprzątnij te cholerne naczynia, Hughes - powiedziała matka, zostawiając oboje w jasnej, zabałaganionej kuchni. Nad talerzem stygnących jajek.

Koło południa w domu zapanował gorączkowy har-mider. Intensywny upał sprawiał, że cięte kwiaty wędły mimo ciągłego spryskiwania przez jedną z dziewczyn, stojącą na straży z dzbankiem lodowatej wody. W upale wędli też członkowie The Top Liners, ragtime'owej kapeli, którą matka sprowadziła na Wyspę. Przyjechali nieco zdrożeni, a teraz czekali za piwniczką na lód. O ile Daisy mogła wywnioskować, po drodze trochę się chyba przejedli i matka kazała im na razie wydobrzeć na tyłach.

- Oni są zaćpani! - zawołała, kiedy ojciec przywiózł kapelę z promu.

- Żałuję, że ja nie jestem - powiedział ojciec.

- No to idź, znajdź sobie butelkę ginu i bierz się do roboty! Jeśli dzięki temu zejdziesz mi z oczu - odparła lodowatym tonem matka. - Chociaż, moim zdaniem, Helena już cię uprzedziła.

Na frontowym trawniku, po drugiej stronie North Water Street, mężczyźni w kombinezonach i podkoszulkach

wznosili podest dla orkiestry. Na palach poustawianych wokół terenu zawieszali małe flagi, latarnie i tygrysy. Zdawało się, że mają jakiś problem z wypoziomowaniem estrady ze względu na spadek trawnika w kierunku zatoki.

- Mówią to co roku i co roku im się udaje - rzuciła matka w stronę Daisy, przyjrzawszy się wysiłkom ekipy, chociaż właściwie nie zwracała się do nikogo w szczególności.

Ed gdzieś się zapodział i Daisy nudziła się mimo całego zamieszania. Przykazano jej zamieść frontową alejkę, czego nie zrobiła. Zamiast tego porwała z kuchni kanapkę i schroniła się w swoim pokoju, gdzie w skwarze południa przysnęła.

Obudził ją parę godzin później zaniepokojony głos ojca.

- Daisy? - powiedział, potrząsając delikatnie jej ramieniem. - Kochanie, nie widziałaś matki?

Daisy powoli pokręciła głową.

- Jest czwarta. Nie mogę jej znaleźć. - Ojciec rozejrzał się po pokoju, jakby się spodziewał, że matka wyskoczy zza drzwi szafy czy coś podobnego. - Hm. No cóż, jeśli ją zobaczysz, powiedz jej, że jest czwarta. Może straciła poczucie czasu? - Ojciec poklepał Daisy po nodze i wyszedł.

A ona powoli podniosła się i zeszła na dół. Dom się przeistoczył. Obrusy jej babki leżały, gładkie i świeże, na stole jadalnym, gdzie na środku schłodzone srebrne wazony pyszniły się bogactwem radośnie wyglądających hortensji i pachnącego groszku. Na zewnątrz barman, którego sztywny kołnierzyk przemoczył pot, ustawiał

swoje przyrządy i polerował kubek do lodu miękką giemzową ściereczką. Upał nadal panował nieznośny, więc człowiek do sprawiania ostryg, wynajęty do obsługi baru z owocami morza, kręcił się wokół skrzyń z lodem, a zielony przeciwsłoneczny daszek rzucał ponury cień na jego zaniepokojoną twarz.

Daisy zajrzała do błękitnego salonu, gdzie na bocznym stoliku pokrywała się kroplami potu szklaneczka szkockiej. Matki nie znalazła też ani w zielonym salonie, ani w kuchni, w której panowało takie samo szaleństwo, jak wtedy, kiedy Daisy z niej wychodziła. Dziewczyny właśnie usiłowały znaleźć jakiś sposób na schłodzenie bulionu.

- Widziałyście moją mamę? - zapytała.

Kiedy nie doczekała się odpowiedzi ani nawet żadnego znaku, że ją usłyszały, Daisy podniosła głos.

- Widziałyście moją mamę? Tata jej szuka. Zabrzmiało to nieco donośniej, niż zamierzała,

i wszystkie kobiety przerwały rozmowy, chociaż żadna nie spojrzała w jej stronę.

- Może straciła poczucie czasu - dodała zawstydzona Daisy nieco ciszej.

Jedna z dziewczyn, której ciemne włosy lepiły się do twarzy, otarła ręce o pasiasty fartuch i powiedziała, machając w stronę trawnika za domem:

- Jest gdzieś tam. Z muzykami.

Pozostałe spojrzały na dziewczynę, która przemówiła, a potem znów skupiły uwagę na wielkim garze z bulionem.

Daisy wyszła na zewnątrz przez tylne drzwi, dbając, żeby osiatkowana rama nie zatrzasnęła się za nią zbyt hałaśliwie.

Matkę znalazła za starą piwniczką na lód, w towarzystwie The Top Liners. Muzycy popijali piwo z butelek i szykowali swoje instrumenty. Matka leżała na plecach w trawie, bez butów, i wpatrywała się w niebo.

- Mamo?

Matka obróciła głowę, nie podnosząc jej, i spojrzała na Daisy.

- Kochanie - odezwała się sennym głosem, chociaż oczy miała otwarte. - Witaj.

- Tata cię szuka. Jest czwarta.

- Czwarta godzina? Mój Boże, muszę się szykować. - Matka nie zrobiła żadnego ruchu, żeby wstać. - Tutaj jest po prostu tak uroczym i spokojnie...

Daisy rozejrzała się dokoła, ale zobaczyła tylko podjazd i starą piwniczkę na lód.

- Och. - Przeszła z nogi na nogę. - To jak? Mam powiedzieć tacie, że cię znalazłam?

- Nie, nie. Nie trzeba, kochanie. Podaj mamie rękę i pomóż mi wstać, bardzo proszę. - Matka wyciągnęła obie ręce w stronę nieba.

Daisy złapała ją za ręce i pociągnęła, ale ciało stanowiło ciężar nad siły.

- Nie dam rady - stęknęła.

Matka zachichotała. Daisy zerknęła ukradkiem na muzyków, ale oni nie zwracali na nie uwagi. Brzdąkali w struny i czyścili ustniki trąbek.

- No dobrze, już dobrze. Jeszcze raz. Obiecuję, że ci pomogę - powiedziała.

Daisy zrobiła, co jej kazano, i pociągnęła znowu. Matka podniosła się z ziemi i otrzepała z kurzu spódnicę.

- Pewnie teraz będziemy musiały się sprężyć - stwier-

działa, pchając Daisy przed sobą w stronę domu. - Biegnij przodem i zacznij się kąpać. Ja przyjdę i sprawdzę, jak wyglądasz, zanim jeszcze na kolacji pojawią się goście.

- Nie jestem małym dzieckiem - zaprotestowała Daisy. - Nie trzeba mnie sprawdzać.

- Oczywiście, nie jesteś - odparła matka z roztargnieniem. - No leć już.

Z miejsca u podstawy schodów Daisy patrzyła, jak matka zbliża się do domu, zamiatając spódnicą i nucąc pod nosem jakąś nieznaną melodię.

A potem siedziała na łóżku, świeżo po kąpieli, i wachała swoje wilgotne włosy. Uwielbiała ten specjalny szampon, coś jakby połączenie kapryfolium i jaśminu, z lekką nutką zapachu soli, który nigdy nie opuszczał jej do końca podczas wakacji.

Usłyszała kroki matki, która weszła na podest drugiego piętra.

- Daisy! - zawołała. - O, dobrze, wykąpałaś się - dodała, wchodząc do jej sypialni. Matka miała na sobie szlafrok, ale włosy zdążyła już wysuszyć i szesać do tyłu w czarne, lśniące fale. - Goście niedługo się zjawiają, więc musisz czymś się zająć, aż będzie po kolacji. Ja cię proszę tylko o jedno, na wszystkie świętości. Jeśli zamierzasz iść się pobawić, nie zakładaj sukienki, którą chcesz włożyć wieczorem. Dziewczyny powinny już były przygotować kanapki dla dzieci. Masz zjeść w kuchni.

- Gdzie jest Ed?

- Nie mam pojęcia, kochanie. Ale chcę cię prosić o przysługę. Chciałabym, żebyś pomogła cioci Helenie się ubrać. Mną zajmie się tata, ale ciocia może potrzebować

pomocy z biżuterią czy z włosami. Czy z czym tam jeszcze. Zgoda?

- Zgoda - powiedziała Daisy, przyglądając się matce. Senny nastrój minął najwyraźniej i była już, jak zwykle, rześka i rzeczowa. - Gdzie tata?

- Tata się teraz ubiera. No, leć i pomóż cioci. Daisy założyła szlafrok i zeszła na pierwsze piętro.

- Ciociu Heleno - powiedziała, pukając do drzwi sypialni. Nie doczekała się odpowiedzi, więc obróciła gałkę i pchnęła drzwi do środka.

Znalazła się w jednym z przestronniej szych i jaśniejszych frontowych pokoiów, wytapetowanym w wielkie drozdy w złotych klatkach spoczywających na ukwieconej winorośli. Ale teraz pasiaste obicia wszystkich mebli niemal znikły pod stosami bezładnie porzrzucanych ubrań. Na podłodze leżały sukienki, jakby ktoś z nich wyszedł i tak je pozostawił na dywanie. Jak wędnące kwiaty. W głębi okna wychodziły na spokojną, błękitną zatokę.

Ciotka Helena siedziała przy toalecie, otoczona pudełeczkami kosmetyków do makijażu i otwartymi szminkami. Dłonie nieruchomo spoczywały na szklanym blacie.

- Ciociu Heleno? - Daisy ostrożnie wymijała porzrzucane stroje.

- Och, Daisy, kotku - odezwała się ciotka, nawet się nie odwracając. - Jakoś nie mogę porządnie nałożyć tego różu...

W odbiciu w lustrze Daisy dostrzegła, że ciotka nałożyła na kości policzkowe dwie smugi, jak wezbrane żyły, ale rozarta je bez przekonania. Na pokrywających górną wargę kobiety delikatnych, jasnych włoskach połyskiwał pot.



- Pomóc ci trochę? - zapytała Daisy. - Mama pomyślała, że może trzeba.

- O, nie wątpię - odparła ciotka. W jej głosie zabrzmiała jakaś twarda nuta.

- Mogłabym nałożyć ci róż. Tysiące razy patrzyłam, jak robi to mama.

- Och, to mogłoby być miłe - powiedziała wreszcie ciotka z westchnieniem. - Dziękuję ci, kochanie. Jesteś naprawdę słodka.

Daisy znalazła chusteczkę, porzuconą wśród kosmetyków, i wyszukawszy na niej czyste miejsce, zanurzyła ją w słoiczku z cold creamem.

Delikatnie wytarła nią róż z twarzy ciotki, a potem usunęła resztki kremu.

- Dobrze. Teraz powinnaś wciągnąć policzki - poleciła.

Ciotka zerknęła w lustrze na Daisy i zrobiła, co jej kazano. A potem ściągnęła wargi w dzióbek i zaczęła cmokać ustami. Jak złota rybka.

Daisy się roześmiała.

- Ale nie jak ryba, ciociu Heleno.

- Och, naprawdę? - odezwała się ciotka z udawanym zdumieniem.

- Przestań! - chichotała Daisy.

- Nie. Jestem pewna, że tak właśnie robią panie w „Ladies' Home Journal”.

- Nie, nieprawda - powiedziała Daisy, śmiejąc się jeszcze głośniej. - Po prostu się wygłupiasz.

- Ja się wygłupiam? Nie, skąd. Daisy, kochanie, to najnowsza moda. Rybi szyk. Mówię ci, panie za tym szaleją.

- Ciociu Heleno - odezwała się Daisy. - Przestań już.

- No dobrze, już dobrze. Będę poważna.

Ciotka znów ułożyła usta normalnie, a Daisy wzięła do ręki róż. Przesunęła środkowym i serdecznym palcem po jego woskowej powierzchni i narysowała różowawe kółeczka na wypukłościach policzków.

- Wiesz, kochana, ja naprawdę umiem nakładać róż... - usłyszała.

Zaczęła rozcierać plamki od brzegów w górę, w kierunku skroni.

- .. .tyle że czasami wszystko wydaje się takie nieistotne... I niemożliwe.

Daisy zobaczyła w lustrze, że oczy ciotki napęniają się łzami.

-Takie... Sama nie wiem... Bezsensowne.

Ogarnęła ją przemożna ochota, żeby uciec z tego pokoju i od tych dużych łez, które zbierały się w szklistych, błękitnych oczach. Ale wiedziała, że narazi się na gniew matki i z dwojga złego wołała już raczej narzekania ciotki Heleny.

- Już. - Daisy cofnęła się i udała, że uważnie przygląda się swojemu dziełu. - Wygląda ładnie.

- A więc... Która szminka? - Ciotka przesunęła dłonią nad kolekcją złotych oprawek. - Ogród o Północy, Łaskocz Mnie Różowo, Atomowa Czerwień, Homarowy Bisque? Och, widzisz teraz, o co mi chodziło? To wyczerpujące.

- Homarowy Bisque, zdecydowanie - powiedziała Daisy, przecierając chusteczką czubek szminki. Zaczęła nakładać ją na usta ciotki, ale trochę jej się nie udało i kolor wyszedł nieco poza kontur warg.

- Ja się tym zajmę - powiedziała ciocia Helena. - Najtrudniejszą sprawą był chyba sam wybór.

Skończyła i ostrożnie zamknęła wieczko szminki, ale niechcący strąciła z toaletki małe, srebrne pudełeczko, z którego na jej kolana wysypały się miniaturowe, białe groszki. Szybkim ruchem zebrała je i wsunęła do kieszeni.

- A więc, co założysz? - spytała Daisy, rozglądając się po pokoju.

Z gramofonu dobiegł na górę głos Vica Damone'a, którego Daisy uwielbiała. *Och, to cudowne uczucie, wiedzieć przynajmniej, że jesteś tak blisko.*

- A jak ty uważasz?

- Ja bym wybrała tę - powiedziała Daisy, wskazując sukienkę rozłożoną na łóżku. Granatowa, z homarami nadrukowanymi na szerokiej spódnicy. - Żeby pasowała do Homarowego Bisque.

- Zgadzam się - powiedziała ciocia Helena nagle pogodnym i zdecydowanym głosem. - Sama myślałam, że właśnie ta będzie najlepsza.

- Chcesz, żebym pomogła ci ją założyć? - Dziewczynka wygładziła spódnicę sukienki dłonią, nadal myśląc o matce.

- Nie, ptaszyno. Poradzę sobie.

Daisy zaczekała, aż ciotka wbije się w pas wyszczuplający, który wypychał ku górze jej mięsiste pośladki niczym falę przyływu. Wreszcie znikły pod obcisłą częścią garderoby. Sukienka nie stawiała aż takiego oporu i Daisy pomogła ciotce zapiąć haftkę na górze zamka.

*Często chodziłem już tą ulicą, lecz chodnik tak mnie nie unosił.*

Ciotka odwróciła się do niej twarzą i roześmiana zakręciła w kółko. Homary zamigotały pośród uwieczionych w klatkach drozdów.

Daisy też się zaśmiała i pomyślała, że nigdy przedtem nie zauważyła, jaka ciocia Helena jest ładna. Z tymi uróżowanymi policzkami wyglądała jak jasnowłosa Olivia de Havilland.

*Ludzie przystają i gapią się na mnie, lecz ja mam to zupełnie w nosie. Bo tu, na ziemi, właśnie przy tobie, udało mi się znaleźć wszystko.*

Muzyka urwała się nagle i melodię Vica Damone'a zastąpiły smutne, zmysłowe tony Julie London. Julie znów prosiła, żeby ktoś wypłakał dla niej rzekę, co często jej się zdarzało, kiedy matka była w nastroju.

Daisy usłyszała ją na schodach. Stuk-stuk obcasów w precyzyjnym, szybkim rytmie, zakłócanie wyłącznie nieznacznym wahaniem tuż przed postawieniem stopy na ziemi. Matka lekko zapukała do drzwi, a potem je uchyliła, a ciocia Helena, która nie dosłyszała kroków, teraz obejrzała się szybko.

*Mówisz teraz, że jesteś samotny...* Drzwi się otworzyły, ukazując matkę w piennej sukni z muślinu w odcieniu barwinka, naszywanej w złote tygrysy. Jej zaczesane do tyłu ciemne włosy odsłaniały blade, okrągłe szafiry, przypięte do uszu. Daisy ze zdziwieniem dostrzegła, że te szafiry mają niemal dokładnie ten sam odcień co jedwabna halka.

- Mamo - odezwała się. - Jesteś piękna.

Matka zaśmiała się, a jej bardzo czerwone usta rozchyliły się z zadowolenia.

- Helena, a pamiętasz to? - Rozpostarła fałdy sukni

i zawirowwała tak samo, jak ciotka Helena zaledwie parę chwil przedtem. - Kazałam ją uszyć ze sztuki tego materiału, który dziadek przywiózł z Indii. Pomyślałam, że może być zabawnie.

Ciotka patrzyła w milczeniu.

- Myślałam, że obijesz nim poduszki w Tiger House. Tak mówiłaś. Bo nie było go dość na dwie sukienki...

- Och, no tak - powiedziała matka, bawiąc się muślinem. - Ale poduszki to nuda. Tak czy inaczej, teraz wyszła z tego sukienka. - Mrugnęła do Daisy. - A ty? Patrzcie państwo! Wyglądasz uroczo.

Obserwując, jak usta matki obnażają w uśmiechu białe zęby, jak krągłym ruchem ręki poprawia ona ramiączko przy sukni, Daisy miała wrażenie, że patrzy na panterę albo inne dzikie zwierzę, które właśnie skończyło posiłek i zadowolone oblizuje wargi. Być może, pomyślała Daisy, to również jest właśnie to „coś”. Dzikie i piękne, a jednocześnie odrażające.

Nie mogła się zmusić, by spojrzeć na ciotkę. W jej zmiętej sukience w homary i z Homarowym Bisque na wargach.

- Kochanie, czy ciocia Helena nie wygląda absolutnie uroczo?

- Tak - odparła Daisy. Ogarnął ją gniew na matkę. - Idę się ubrać - mruknęła i wyszła z pokoju.

Na górze zdjęła z siebie szlafrok i przejrzała się w lustrze. Zastanawiała się, jak będą wyglądały jej piersi, kiedy wreszcie urosną, bo teraz stanowiły jedynie sugestię biustu, jak niedokończone szkice, które kiedyś pokazała jej matka podczas wycieczki do muzeum. Wróciła myślą do służącej Wilcoxów i jej pogryzionych piersi. A później

pogrzebała w szafie i wyjęła sukienkę na przyjęcie. Kreacja była biała, lniana, o kroju bezrękawnika, z wielkimi, sztywnymi falbankami doszytymi do szerokich ramiączek i z czerwoną, jedwabną szarfą. Matka ustąpiła i nieco odpuściła dół, więc szeroka spódnica opadała teraz dwa cale za kolano, dzięki czemu Daisy czuła się doroślej. Kiedy rozkładała sukienkę na łóżku, zobaczyła, że koło poduszki leży kartka ze sztywnej papeterii matki, a na niej mała, okrągła broszka otoczona perełkami. *Dla mojej kochanej Daisy.*

*Wiem, że będziesz najładniejszą dziewczynką na przyjęciu. Przypnij ją sobie do szarfy. Buziaki, Mama.*

Daisy poczuła przyływ miłości. Tamto gniewne uczucie w żołądku i obraz matki o wargach napinających się na obnażonych zębach przybladły.

Kiedy udało jej się już wsunąć w sukienkę, raz jeszcze przyjrzała się sobie w lustrze i westchnęła. Wciąż wyglądała jak dziecko. Znalazła w skrytce szminkę Silver City Pink, wróciła do lustra i nałożyła warstwę chłodnego, bladego różu. Wydymała usta i cmokała, kiedy do pokoju wszedł Ed.

- Twojej matce to się nie spodoba - powiedział.

- I co z tego? - odparła Daisy, ale starła szminkę grzbietem dłoni.

- Ile razy mam ci powtarzać, Edzie Lewis, żebyś się do mnie nie podkładał od tyłu?

- Nie podkładałem się. Mogłaś mnie dostrzec w lustrze - stwierdził. - Wyglądasz atrakcyjnie.

- Do stu piorunów, kto mówi „atrakcyjnie”?

- Kto mówi „do stu piorunów”?

- Nie zadawaj mi głupich pytań. Która godzina? - Wpół do siódmej - powiedział Ed, zerkając na

szwajcarski zegarek, prezent od ciotki Heleny. Kupiła mu go, kiedy zobaczyła, jak Ed dba o swój scyzoryk.

- Tyler przychodzi o ósmej.

Daisy przewróciła oczami.

- Wiem. Pytałam o to?

- Nie, ale o tym właśnie myślałaś - stwierdził Ed rzeczowo.

- Dlaczego ty zawsze uważasz, że wiesz, o czym myślę? Jesteś strasznie przemądrzały.

Kuzyn milczał przez chwilę, a Daisy nabrała ochoty, żeby uderzyć go w twarz. Bo taki właśnie był Ed: wiedział, o czym ona myśli.

- A poza tym - dodała - to jest upiorne. Właśnie dlatego nie masz dziewczyny. I co z tego, że Tyler mi się podoba? Przynajmniej mam kogoś, kto mi się podoba.

- Tak - zgodził się Ed po namyśle.

Daisy wróciła do lustra i zaczęła bawić się broszką przy szarfie.

„Najładniejsza dziewczynka na przyjęciu”.

Zobaczyła, że kuzyn przypatruje się jej w ten swój charakterystyczny sposób. Jakby była motylem przypiętym szpilką do aksamitu.

- Dlaczego on ci się podoba?

- Jak to: dlaczego on mi się podoba? - odparła.

- Wszystkim dziewczynom się podoba. Nawet mama uważa, że jest przystojny.

- Dlatego, że jest przystojny - powiedział Ed, na wpół do siebie. - Dlatego ci się podoba.

- Nie tylko dlatego. Naprawdę dobrze gra w tenisa...

- Daisy urwała. Zrobiło jej się głupio. - Sama nie wiem. Dlaczego zachowujesz się tak dziwnie?

- A więc dlatego, że jest przystojny i dobrze gra w tenisa.

- Posłuchaj, Ed, ty po prostu nie chcesz tego zrozumieć. Kiedy spodoba ci się jakaś dziewczyna, sam będziesz wiedział, o co mi chodziło.

Proszę bardzo, podsumowała w duchu Daisy, to mu da do myślenia. Poczwała się bardzo dorosła.

- A skąd będę o tym wiedział, jeśli ty mi teraz nie powiesz?

Daisy patrzyła na poruszające się usta skoncentrowanego kuzyna i znów przypomniała sobie matkę. I jej drapieżny uśmiech.

- To po prostu takie wrażenie - powiedziała, mając już dość tej rozmowy. - Jak na przykład, że wolisz kanapki z szynką od tych z masłem orzechowym. Tylko silniejsze.

- Jak kanapki.

- O rety, nie jak kanapki, tylko tak, w pewnym sensie. - Ed wzbudzał w Daisy żal. Zachowywał się wprawdzie jak głupek, ale wydawał się tak szczerze zainteresowany! Nawet jeśli ona nie mogła się otrząsnąć z wrażenia, że trochę się z niej naśmiewa czy coś w tym stylu. - Kiedy go widzę, czuję się jak wtedy, kiedy gram w tenisa. Mam takie same dreszcze, a wszystko inne jakoś... znika.

- Aha - powiedział Ed. Chociaż raz to on pierwszy odwrócił wzrok. Położył sobie dłoń na sercu, jakby chciał poczuć jego bicie.

- Co ci jest?

- Nic. Po prostu myślę.

- No cóż, ja się nudzę - powiedziała Daisy. Rzuciła się na łóżko, wygładzając spódnice sukienki. - Co mamy robić?



- Moglibyśmy sprawdzić łapki na myszy - powiedział. - Dziś rano znalazłem jedną zdechłą. Pyszczek miała otwarty jak do krzyku.

- To obrzydliwe. Edzie Lewis, robi mi się niedobrze.

- Moglibyśmy iść, poszpiegować dorosłych. Pewnie wszyscy siedzą już przy kolacji.

- Oni są nudni. - Daisy machnęła nogami, uderzając podszwami stóp o mosiężne pręty ramy łóżka. - Och, zresztą, niech ci będzie - ustąpiła. - Chyba nie mamy nic lepszego do roboty.

Zacząła schodzić po schodach, ale Ed położył dłoń na jej ramieniu i delikatnie ją przytrzymał. Przytknął palec do ust.

- Musisz iść, opierając ciężar ciała na piętach - szepnął. - Tak właśnie Indianie podkradają się do tropionej zwierzyny.

Wysunął się przed nią i bezszelestnie ruszył w dół schodów, na podest pierwszego piętra.

Daisy przez resztę drogi naśladowała go, aż dotarli do podwójnych drzwi, które łączyły jadalnię z niebieskim salonem. Tam przystanęli i zaczęli nasłuchiwać odgłosów pobrzękującego szkła i sreber stukających o porcelanę, których niemal nie dawało się oddzielić od rozmowy.

Bliskość zgromadzonych na kolacji gości sprawiała, że Daisy aż się bała oddychać, niepokojąc się, że oddech mógłby zdradzić ich obecność. Popatrzyła na Eda. Swobodnym gestem opierał się o ścianę, tuż obok jednego skrzydła drzwi.

- ...wygląda uroczo. Gdzie, u licha, udało ci się zdobyć te słodkie małe flagi? - Daisy usłyszała piskliwy głos pani Smith-Thompson.

- Och, mieliśmy je od lat - odparła matka.

- .. .przecież znasz Nick - wtrącił się łagodny głos ojca Daisy.

- No, oczywiście - odparł pan Pritchard i się roześmiał.

- Zrobiła je kiedyś jedna z tych Portugalek, które pracowały u mamy - dokończyła myśl matka.

- A skoro już jesteśmy przy młodych Portugalkach...

- Tym razem przemówiła pani Pritchard. - Czy wy coś, u licha, rozumiecie z tej sprawy z pokojówką Wilcoxów?

- Och, Doiły! - odezwała się karcąco pani Smith-Thompson. - Doprawdy... To nie na rozmowę przy kolacji...

- Nic mnie nie obchodzi, że to rozmowa przy kolacji

- odparła pani Pritchard. - Nie mogłam się doczekać, aż o tym z Nick pogadam, i trzymałam język za zębami tak długo, jak tylko człowiek może wytrzymać.

- A wszyscy wiemy, że nie jest to łatwe - dodał ojciec Daisy.

Wokół stołu rozległy się wybuchy śmiechu, które na moment zagłuszyły rozmowę.

- Okropne. - Daisy usłyszała głos ciotki.

- ...biedne dzieciaki...

- No, ale mówiąc poważnie... - Pani Pritchard udało się przekrzyczeć wrzawę. - Stawiam dziesięć do jednego, że Frank pchał łapy pod spódnicę tej dziewczynie.

- Dolly! - syknęła pani Smith-Thompson.

- Och, na litość boską, Caro, nie bądź taką cnotką! Wszyscy wiemy, że lubił sobie pozwalać ze służącymi.

- To prawda - przyznał pan Pritchard. - Dolly ma rację. I nawet się z tym specjalnie nie krył.

- Muszę się zgodzić - powiedział pan Smith-Thompson. - Poza tym ma okropnie wybuchowy charakter. Myślałem, że przyłoży mi w nos, kiedy pokonałem go w klubowym turnieju remika w Reading Room zeszłego lata.

- Sam ci zaraz przyłożę w nos, jeśli uważasz, że coś cię ominęło - roześmiał się ojciec Daisy.

- Moim zdaniem wszyscy jesteście niesprawiedliwi - wtrąciła pani Smith-Thompson. - Wobec mnie Frank zawsze zachowywał się jak prawdziwy dżentelmen.

Pani Pritchard parsknęła.

- A co ty sądzisz, Hughes? - zapytał pan Pritchard. Ojciec nie odpowiedział od razu. A potem odezwał się cicho, ale stanowczo.

- Moim zdaniem jego i tę dziewczynę na pewno coś łączyło.

- Aha! - wykrzyknęła pani Pritchard. - Wiedziałam.

- Dlaczego mówisz to z takim przekonaniem? - To był głos matki.

- Pamiętasz, jak przyjechałem w czerwcu, żeby przygotować łódź?

- No, owszem...

- No cóż, potem poszedłem na drinka do Reading Room...

- Ta robota wywołuje pragnienie - roześmiał się pan Pritchard.

- Rory, nie przerywaj mu - napomniała go pani Pritchard.

- Szedłem do domu. Musiało już być jakoś tak koło dziesiątej, gdy mijalem The Hideaway.

- Nie mów mi, że bywasz w The Hideaway, Hughes - wtrąciła pani Smith-Thompson.

- Caro, nie wygłupiaj się! - skarcił ją pan Smith-Thompson. - Nikt z naszych znajomych nie bywa w The Hideaway.

- Możesz spać spokojnie, Caro. W tej spelunie moja stopa nigdy nie postąpiła - odparł ojciec. - Szedłem po prostu do domu, skręciłem w Simpson's Lane i zobaczyłem, że na wprost mnie wychodzi stamtąd Frank z tą dziewczyną. Nie chciałem, żeby się zorientował, że go widzę, więc zwolniłem kroku i trzymałem się za nimi, zachowując dystans.

Daisy słuchała słów ojca i czuła, że włoski na rękach stają jej dęba. Pomyślała o zapalkach Eda, tych z The Hideaway. A potem o poplamionym kraciastym kocu, o dziewczynie, o tej fioletowej, galaretowatej masie, która wylewała się z jej głowy... Wszystko to stanęło jej przed oczami i musiała przyłożyć dłoń do ust, żeby uspokoić oddech. Popatrzyła na Eda. Poblądł, ale stał i nie odrywał wzroku od drzwi.

- W głowie mi się nie mieści, że mi nie powiedziałaś. - W głosie matki brzmiało oburzenie.

- Do świętej Anielki! - odezwała się pani Smith-Thompson. - Więcej tego człowieka na obiad nie zaprosimy.

- Możesz się nawet założyć o ostatni grosz. Nie zaprosimy go na pewno - odparł pan Smith-Thompson.

- A mimo wszystko... - powiedziała pani Smith-Thompson. - Jestem pewna, że Frank nie był jedyny. Wiecie, jakie są te dziewczyny. Próbowала złowić grubą rybę, ale po drodze przytrafiło jej się wiele płotek...

- Moim zdaniem to okropna uwaga - odezwała się gniewnie matka. - Biedna, głupia dziewczyna... Pewnie się w nim zadurzyła.

Zapadło milczenie.

- W każdym razie sugerujesz, że nie chodzi wyłącznie o Franka Wilcoxa, prawda? - Ton głosu matki miał w sobie szorstkość.

- Nick ma rację - zgodziła się pani Pritchard. - Rzecz sprowadza się do tego, że wśród nas pojawił się morderca...

- Ciarki. Normalnie przechodzą mnie ciarki - powiedziała pani Smith-Thompson. - Ale...

- Wychowałam się na tej wyspie - przerwała jej matka. - Helena też. Hughes, to tutaj za ciebie wyszłam. To tutaj wszystkie te dobre rzeczy... Nie tak miało być.

- Urwała. - Co się z nami stało?

- Och, Nick, moja droga - odezwała się pani Pritchard. - Jestem pewna, że znajdą tego kogoś.

- Dolly ma rację - dodała pani Smith-Thompson.

- A tymczasem nie powinniśmy o tym rozmawiać. Nie w tak uroczy wieczór...

- Ależ oczywiście, nie powinniśmy o tym rozmawiać.

- Matka Daisy mówiła teraz nieco zbyt głośno. - Bo wtedy się okaże, że będziemy musieli się nad tym naprawdę zastanowić. Zastanowić, wśród jakich ludzi żyjemy...

- Ktoś chce jeszcze wina? - Głos ojca brzmiał pogodnie. - Caro, ty już nic nie masz w kieliszku. Rory?

Daisy usłyszała ciche skrzypnięcie i zobaczyła, że Ed ukradkiem opuszcza pozycję przy drzwiach. Chciała pójść w jego ślady, ale konieczność zachowania ciszy spowalniała jej ruchy. Kiedy znalazła się w holu, już go nie było. A tak chciała go wypytać o te zapalki! Była przerażona. Szukała na górze, a potem wokół domu, ale kuzyn znikł.

Kiedy pojawiła się Anita, Daisy właśnie przetykała ostrygę. Przez jakiś czas, zanim rodzice i ich goście wyszli na trawnik, czekała na werandzie, a potem zajęła miejsce przy bufecie z owocami morza i zmusiła człowieka z daszkiem, żeby otwierał dla niej jedną ostrygę z Wellfleet za drugą, ignorując grupkę osób, które cierpliwie czekały na swoją kolej.

- Hej, śliczna - powiedziała Anita. - Znajdzie się jedna dla mnie?

Daisy obejrzała się i wytrzeszczyła oczy na widok koleżanki w czerni. Matka Daisy prędzej by chyba zabiła córkę, niż pozwoliła jej założyć coś czarnego, więc dziewczynka poczuła ukłucie zazdrości.

- Skąd masz tę sukienkę?

- Och, mama mi ją kupiła w Nowym Jorku, jak była w trasie. Ale twoja też mi się podoba. Czerń i biel. „I świec nie trzeba, bo noc światłość czyni”. - Ostatnie słowa Anita zadeklamowała z szerokim gestem prawej dłoni, na moment zastygając w efektownej pozie. A potem znów spojrzała na Daisy. - Dopelniamy się.

- Och - powiedziała tylko Daisy. Trochę jej było żal Anity. - W każdym razie szukałam Eda, ale gdzieś znikł.

- Naprawdę? Myślisz, że ktoś go porwał? - Anita sięgnęła po jedną z ostryg.

- Nie, nie. Nikt go nie porwał.

Anita wypiła sok, który zebrał się w muszli. Rozejrzała się.

- Fajna impreza.

Występ The Top Liners trwał już w najlepsze, a muzyka zdawała się jeszcze rozjaśniać świecący na mroczniejącym niebie księżyc. Białe smokingi pływały w morzu

sukienek w pastelowych odcieniach różu i lawendy, beżowych jedwabi i pudrowo błękitnego lnu. Jasne głowy nachylały się wdzięcznie w stronę ciemnowłosych partnerów. Grzechot lodu w niskich szklaneczkach z drinkami i od czasu do czasu portowa syrena przebijały się przez muzykę. Jakiś światek musnął powietrze tuż obok ramienia Daisy. Światła japońskich lampionów, kołyszących się na niewidzialnych metalowych drutach, sprawiały, że wszystko inne tonęło w nocy.

- Myślisz, że uda nam się zwinąć kieliszek szampana?

- Nie ma mowy - powiedziała Daisy. - Matka zabiłaby nas obie.

- Szkoda.

- Cześć, dziewczynki. - Za nimi stanął ojciec. - Dobrze się bawicie?

- Cześć, tato. - Daisy pomyślała, że w smokingu ojciec wygląda jak William Holden. - To jest Anita.

- Miło mi - powiedział i pochylił się, ściskając dłoń dziewczynki.

- I co sądzisz o naszym przyjęciu?

- Absolutnie cudowne, proszę pana. Prawdziwa bomba.

- To dobrze. - Ojciec Daisy zachichotał. - Zaraz... Co pijecie, dziewczęta? Jestem pewien, że barman może zmieszać wam kilka Shirley Tempie.

- Byłoby uroczo - powiedziała Anita.

- Okay - westchnęła Daisy. Poszły za ojcem w stronę baru.

- Tak po zastanowieniu... - odwrócił się w ich stronę. - Może odrobinę zmieszanego z wodą wina? Czy tak nie byłoby fajniej?

- Tak, prosimy. - Anita aż zatchnęło.

Ojciec uniósł dłoń.

- Po dwie krople wina w dwóch kieliszkach wody dla tych młodych dam. - Daisy zobaczyła, że tata robi oko do barmana. - Ale tylko ten jeden drink, rozumiemy się? A teraz idźcie posłuchać zespołu.

Daisy i Anita, uważnie trzymając kieliszki, poszły w stronę podium dla orkiestry. Przystanąły z boku, obserwując muzyków. Pary krążyły po drewnianym parkiecie. Któraś z kobiet zdjęła szpilki i tańczyła z mężem na miękkiej trawie; mężczyzna, w wieczorowym obuwiu, nieco się ślizgał na wieczornej rosie. Śmiali się i mocno podtrzymywali za ramiona, żeby nie stracić równowagi. Na ich widok również Daisy naszła niepohamowana ochota na śmiech i dziewczynka powoli zaczęła zapominać o wszystkim, co stało się w domu. Zauważyła, że wprost na nią spogląda grający na banjo muzyk. Odważymnia spojrzenie, a wtedy on się uśmiechnął, a Daisy przeniknął przyjemny dreszcz. Przez chwilę wydawało jej się, że spuchnie z dumy do rozmiarów tego wielkiego księżyca, a zaraz potem pięknie, ale głos matki sprowadził ją z powrotem na ziemię.

- Kochanie. Patrz, kogo znalazłam.

Daisy obejrzała się i zobaczyła, że matka trzyma za rękę Tylera i ciągnie go w ich stronę. Tyler, ubrany w biały smoking, z włosami gładko zaczesanymi przy głowie, gapił się na zwiewną suknię pani domu.

Daisy przepełniało piękno wieczoru i uczucie ogólnej życzliwości do tego stopnia, że nawet nie przejęła się faktem, że przeniesienie wzroku z matki na córkę zajęło Tylerowi dobrych kilka sekund.

- Witaj - powiedział z uśmiechem.



- Witaj - odparła, czując się jak w filmie. Jakby to był ten moment, w którym chłopak spotyka dziewczynę i wszystko na świecie nareszcie się układa.

- Hej! - pisnęła Anita. - Wyglądasz strasznie sztywno w tym stroju.

- Moim zdaniem wygląda uroczo - powiedziała matka.

- Dziękuję pani. Pani również ślicznie wygląda.

- Jesteś bardzo miły, Tyler. Jak ci się podoba broszka Daisy?

- Jest śliczna. - Zupełnie jakby się zafiksował na komplementy.

- No cóż... - odezwała się matka po chwili. - Bawcie się dobrze, dzieci. Ja muszę znaleźć tatę Daisy i upewnić się, że nie zostanie porwany przez żadną lisicę ani nikogo w tym guście. - Poklepała Tylera po ramieniu i ponad jego głowę mrugnęła do Daisy.

- Dopiero przyszedłeś?

- Tak. Ale muzykę słyhać aż na drugim końcu North Street. Naprawdę, wystrzałowa impreza.

- Absolutnie urocza - dorzuciła Anita.

- Co pijecie? - Tyler zmrużył oczy, zerkając na ich kieliszki.

- Ojciec pozwolił barmanowi dać nam trochę wina z wodą - powiedziała Daisy, czując się niezwykle dorośle.

Tyler zerknął w stronę baru.

- Twój tata jest chyba dosyć fajny?

- Owszem, jest. - Daisy odmówiła w myślach dziękczynną modlitwę do własnego ojca.

- Jest niesamowity - rzuciła Anita.

- Widziałem wcześniej Peaches. Powiedziała, że wybiera się tutaj z rodzicami.

- To dla mnie coś nowego - powiedziała Daisy ostro.

- „Dalej zwawo! hasa! hej! Buchaj, ogniu! kotle, wrzej!” - zadeklamowała Anita.

- No cóż, chyba naprawdę ostrzy sobie zęby na tę imprezę. Jutro wasz pojedynek. Będzie wielki mecz. - Tyler uśmiechnął się szeroko.

Daisy przygryzła dolną wargę. -Uhm.

- Och, nie martw się. Na pewno sprawisz jej lanie.

- Uhm - ponownie mruknęła Daisy. Nie chciała w tej chwili myśleć o tenisie. Ani o palącym słońcu, ani o zielonym korcie.

- Zobaczymy, czy uda nam się zwinąć trochę szampana - powiedział Tyler, znów zerkając w stronę baru.

- Mama Daisy... - zaczęła Anita.

- Nie, nie ma sprawy! - wtrąciła Daisy szybko. - Tylko nie wiem, jak mamy to zrobić. Bo barman raczej nam nie da.

- To żaden problem - powiedział Tyler. - Będzie niezła heca, nawet jeśli nam się nie uda.

Poszli przez trawnik w stronę baru, a zespół zaczął grać *Poor Little Rich Girl*.

*Jesteś zaczarowana, lepiej uważaj.*

- Daisy? Ju-hu, Daisy!

Daisy poznała ten głos i zeszywniała. W jej stronę szła Peaches, otulona sukienką z blad różowego tiulu, która pasowała odcieniem do wpiętej w jej włosy róży.

- Kwik, kwik! - szepnęła do Anity.

- Wygląda jak wielka butelka płynu na zgagę - odpowiedziała tamta.

- Cześć, Peaches. - Daisy przestąpiła z nogi na nogę.

Peaches spojrzała na Anitę i jej oczy nieco się rozszerzyły na widok czarnej sukienki, a potem przeniosła spojrzenie na Daisy. Rzuciła jej zdawkowy uśmiezek.

- No cóż... - Odwróciła się i udała zdziwienie na widok z dziewczętami Tylera. - No proszę, czy moje oczy widzą Tylera Pierce'a?

Daisy przewróciła oczami.

- Witaj, Peaches - powiedział Tyler. - Podoba mi się twoja róża.

Peaches przygładziła włosy.

- Mama je hoduje. Pink Parfait. To po francusku znaczy „idealny róż”. Wygrała z nimi na konkursie zeszłego lata. - Uśmiechnęła się do Tylera, pokazując zęby, które w świetle księżyca wydały się Daisy wyjątkowo podobne do końskich. - No więc co, dzieciaki, planujecie?

- No cóż... Jeśli cię dopuścimy do sekretu, będziesz musiała przysiąc na wierność sprawie.

- Uwielbiam sekrety! - oświadczyła Peaches. - Dziwię się, że nie wiesz tego, Tylerze Pierce.

- Super! - roześmiał się. - Zamierzamy zwinąć barmanowi sprzed nosa trochę szampana. Chcesz wziąć udział?

- Prowadź! - powiedziała Peaches, biorąc Tylera pod ramię.

Daisy miała ochotę wyrwać jej z włosów tę różę i podeptać. Spojrzała na Anitę.

- Nie martw się tą glizdą. Jutro będziesz miała swoją szansę - usłyszała. - Jeśli chcesz, mogę poluzować naciąg w jej rękawie.

- Zapomnij - odparła Daisy. Dotknęła palcami broszki z perełkami, którą dostała od matki. - Chodźmy.

Podążyły za Tylerem i Peaches w stronę baru. Chłopak odwrócił się do Daisy.

- Obawiam się, że barman uważnie pilnuje tych wszystkich butelek...

- Nic nie szkodzi - powiedziała Peaches. - Ojciec pozwala mi na kieliszek szampana na przyjęciach. Zapytam.

Patrzyli, jak Peaches pewnym krokiem podchodzi do baru i zamienia parę słów z barmanem, który posłusznie zaczyna napełniać dwa kieliszki. To o tym właśnie mówiła matka!, zrozumiała Daisy. To właśnie jest to „coś”, pomyślała i zachciało się jej płakać. Ona tego „czegoś” nie ma i nigdy nie będzie miała. Nikt jej nigdy nie pokocha ani nie pocałuje, a co dopiero mówić o nalaniu kieliszka szampana. Taki już jej los.

Peaches powróciła z dwoma kieliszkami.

- Proszę, Tyler - powiedziała, podając jeden.

- Och, no co ty? Peaches... - Zawahał się. - Nie mogłaś wziąć czterech?

Popatrzyła na niego w milczeniu.

- Nie ma sprawy - rzucił. - Wy, dziewczęta, możecie się napić ode mnie. Tylko lepiej chodźmy z tym gdzieś, gdzie nie zauważą nas wasi rodzice.

- Możemy iść do starej piwniczki na łód. Tej za domem - podsunęła Daisy.

- Super - powiedział Tyler.

- Super - powtórzyła Daisy, biorąc Tylera pod ramię i uśmiechając się słodko do Peaches.

Usiedli na trawniku i zaczęli grzebać w pudłach na instrumenty, porzuconych przez muzyków w trawie. Anita

bezmyślnie dmuchała w zapasowy ustnik, który znalazła w futerale na trąbkę, a Daisy wypila swój pierwszy łyk szampana z kieliszka Tylera. Wyobrażała sobie jednocześnie, że smakuje jego oddech, słodki, unoszący się w miejscu, z którego się napił... Ale szampan okazał się gorzki i palił ją w gardle. Przesunęła dłoń po ciepłej trawie. Miała ochotę zdjąć buty, jak zrobiła to jej matka, kiedy wcześniej leżała w tym samym miejscu, ale z jakiegoś powodu czuła, że to byłoby prawie tak, jakby rozebrała się do naga. Więc ich nie zdjęła.

Peaches popijała szampana drobnymi łyżkami, odwodząc w bok mały palec trzymającej szeroki kieliszek dłoni.

Anita odłożyła połyskujący ustnik i rozłożyła się na trawie, wyciągając ramiona nad głowę.

- „Jak srebrny dźwięk ma nocą głos kochanki! I jest-że słodsza muzyka na świecie?” - powiedziała w stronę nieba.

Daisy uśmiechnęła się znacząco do Tylera i oddała mu kieliszek z szampanem.

- Znakomity! - powiedział Tyler, dopijając resztę jednym haustem.

Przez moment Daisy poczuła zażenowanie; ta uwaga i ten nieokrzesany gest przy dopijaniu! Wypadło to sztucznie. Żeby zagłuszyć to wrażenie, zaczęła nucić grany przebój.

- A więc, Tyler - odezwała się Peaches, z udawaną skromnością przechylając głowę w jego stronę. - Chodzisz z kimś na stałe?

Tyler się roześmiał.

- Nie ujawniam romantycznych sekretów.

- No weź, powiedz - rzuciła Peaches.

- Jezu, Peaches, ty to wiesz, jak omamić faceta - powiedział, chowając twarz w dłonie z udawanym zawstydzeniem.

Daisy znów go pokochała.

- No dobrze - poddała się Peaches. - A co z tańcami? Tańczysz? Czy to też sekret?

- Powiem, że wolałbym raczej kolejny kieliszek...

- No cóż, to się zapewne da załatwić. - Peaches podniosła się i wyciągnęła rękę. - Chodź.

Tyler zerknął na Daisy i ujmując dłoń Peaches, wzruszył ramionami.

- Chyba pójdziemy po więcej szampana.

Daisy odpowiedziała podobnym wzruszeniem ramion, bo nie wiedziała, co innego zrobić, ale poczuła bolesny ucisk w piersi na myśl, jak łatwo się zgodził.

- Nie cierpię jej - oświadczyła gorąco Anicie, kiedy znikli jej z oczu. - Chyba nigdy nikogo nie znienawidzę bardziej.

Nad nimi unosiły się dźwięki *Sweet Georgia Brown*.

- To nudziara - odparła Anita. - Pomyśl tylko, jak cudownie będzie jutro, kiedy ją pokonasz. Ja ciągle o tym myślę.

- Być może nie uda mi się wygrać. Zresztą nie mów takich rzeczy. Zapeszysz.

Daisy zaczęła się zastanawiać, gdzie podział się Ed.

- Nie będę sterczeć bez końca za tą starą piwnicą na lód - powiedziała wreszcie. - Ominie nas cała impreza.

- Niedługo wrócą. - Anita usiadła i przysunęła się bliżej Daisy. - Chcesz, żebym ci powróżyła z dłoni? Jedna z koleżanek mamy nauczyła mnie, jak się to robi.

- Nie, dziękuję.  
- No weź! Mogłybyśmy się przekonać, czy jutro wygrasz.  
- Prosiłam cię, żebyś przestała zapeszać. - Dlaczego wszyscy dzisiejszego wieczoru byli tacy denerwujący? Daisy miała ochotę wsiąść na rower, a potem pojechać w mrok, w górę Peases Point Way, czując w uszach świst wiatru znad zatoki. - Chodźmy ich poszukać - powiedziała, stając na nogi. - Zaczynają mnie kłuć komary, kiedy tak tu siedzę.

Ruszyła wzdłuż ściany domu. Anita powoli szła za nią. Po drodze Daisy kopała niewielkie kamyki, z myśli, że niszczy swoje białe sandały, czerpiąc dziwną przyjemność. Alejka pomiędzy domem a ogrodzeniem była wąska i mroczna; światła przyjęcia oświetlały drugą stronę ulicy. Przyprawiało to Daisy o dziwne uczucie, które zdarzało jej się czasem w snach. Kiedy usiłowała krzyczeć, ale nikt nie słyszał wołania.

Z ulgą wyszła na frontowy trawnik, biorąc głęboki haust nocnego powietrza. Coś - jakiś niewyraźny odgłos - zwróciło jej uwagę. A potem ich zobaczyła. Stali na werandzie. Głowa Tylera pochylała się nad ustami Peaches, jego dłoń lekko spoczywała na jej ramieniu. Nad nimi chwiały się malowane lampion z Japonką czeszącą czarne włosy. Przez jedną chwilę Daisy się zastanawiała, jak można zapuścić je na taką długość, żeby wiły się w idealnych splotach aż do stóp.

To był spokojny pocałunek i róża Pink Parfait zaledwie drżała w lekkiej bryzie, ale uszy Daisy wypełnił nagle intensywny szum, jakby znalazła się pod powierzchnią oceanu, przyciszony i ogłuszający zarazem. Puls zaczął

jej walić jak młotem. Otworzyła usta, ale, zupełnie jak we śnie, nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

Patrzyła, jak Peaches obejmuje ramieniem szyję Tylera. Chciała się poruszyć, wiedziała, że nie powinna tak stać, ale czuła dziwną fascynację. A jednocześnie docierało do niej osobliwe wrażenie niebytu. Nagle strasznie zachciało się jej pić.

Peaches odsunęła twarz od twarzy Tylera i lekko westchnęła. To westchnienie zakłuło. Daisy cicho wycofała się za róg, na czubkach palców, jak Indianin, i przywarła do ściany domu, przykładając dłoń do klatki piersiowej, żeby uciszyć ból. Pomyślała o rozmazanym makijażu ciotki Heleny i o parze tańczącej bez butów w wilgotnej trawie. Zaczęła płakać.

„Będiesz najładniejszą dziewczynką na przyjęciu”.

W ciemnościach Anita niemal na nią wpadła. Spojrzała na Daisy, a potem wyjrzała za róg.

- Och... - szepnęła.

Daisy próbowała opanować płacz. Wściekle trąc oczy, wciskała kciuki w miękką, wilgotną skórę. Kwaśny posmak szampana uwiązał jej w gardle.

Anita uniosła skraj sukienki i spod jej rąbka odpięła białą chusteczkę.

- Kazała mi ją wziąć moja babcia - powiedziała. - Tak na wszelki wypadek.

Daisy nie była w stanie spojrzeć na koleżankę. Czuła wstyd. Chciała być jak Scarlett O'Hara - tupnąć nogą, odrzucić głowę dumnym gestem i wyjść za mąż za kogoś innego. Ale się bała. Już wcześniej wyczuwała zapach strachu bijący od jej tenisowych przeciwniczek, realny zapach strachu, który był mieszanką rdzy



i mokrej ziemi, ale po raz pierwszy czuła go na sobie. Z jednej strony Daisy chciała, żeby Anita odeszła, ale z drugiej obawiała się, że bez niej zostanie tu zupełnie sama. Z daleka dobiegały odgłosy śmiechu i pobrząkiwanie szkła.

Anita kącikiem chusteczki zaczęła łagodnie ocierać jej oczy. Dotyk chłodnego lnu na rozgrzanej skórze i ten kojący zapach wody lawendowej i krochmalu sprawił Daisy przyjemność. Poczwała na czole dłoń przyjaciółki i dotyk serdecznego palca naśladowującego zarys jej brwi. A potem twarz Anity zbliżyła się, ogromniejąc w mroku. Ciemne oczy zdawały się rosnać. I zupełnie zniemacka Daisy poczuła obce usta na swoich. Wyczuwała słonawy posmak własnych łez, mieszających się z oddechem Anity, poczuła, że włosy Anity muskają jej policzek. Odgadła ten delikatny puszek nad górną wargą. Daisy zakręciło się w głowie, a jej serce zabiło pojedynczym, mocnym uderzeniem, długim, wyczerpującym ciosem w klatkę piersiową, po którym przeszedł ją dreszcz.

Daisy odepchnęła Anitę od siebie i zobaczyła, jak koleżanka chwieje się na ścieżce i traci równowagę, ale nie przejęła się tym. Rzuciła się biegiem. Biegła w stronę światła przyjęcia, przecinając ulicę i wpadając na leżący tuż za nią pochyły trawnik. Przemknęła wśród tłumu uśmiechniętych twarzy, usiłując w tej feerii kolorów dostrzec odcień sukni matki. Muzyka przestała grać; członkowie zespołu, korzystając z przerwy, stali wzdłuż ogrodzenia i palili papierosy. Daisy odnalazła ojca przy barze i złapała go za rękaw.

- Gdzie jest mama? - Jej własny głos brzmiał dziwnie,

piskliwie i fałszywie. Jak stare pianino, które pleśniało w piwnicy.

-Daisy... - odezwał się ojciec z pobladłym nagle uśmiechem. - Co się stało?

- Gdzie mama? Chcę do mamy.

- Nie wiem, koteczku. - Rozejrzał się po trawniku. - Chyba mówiła, że pójdzie na parę minut do szopy na łódź. Trochę się ochłodzić.

Daisy rzuciła się biegiem w dół pochyłości, w stronę niewielkiej wiaty, która stała na brzegu zatoki. Usłyszała, że ojciec nawołuje ją po imieniu, ale nie zwracała na to uwagi. Wiedziała, że musi odnaleźć matkę.

Kiedy dobiegła do składziku, gdzie trzymano kapoki, lampy naftowe i inne rupiecie, usłyszała słaby odgłos bieżącej wody. Matka musiała brać prysznic na świeżym powietrzu, pod natryskiem, z którego korzystali, żeby opłukiwać się z soli po kąpieli. Daisy, zdyszana, zwolniła i truchtem obiegła szopę na łódź, niemal się potykając o porzuconą w trawie sukienkę matki.

Na stopniach prowadzących w dół, na plażę, zaskoczył ją widok trębacza, który wycierał ręcznikiem włosy. Podkoszulek lepił mu się do ciała.

- Cześć - uśmiechnął się do Daisy.

- Cześć - odpowiedziała, niepewna, czy ma biec dalej, czy się zatrzymać.

- Właśnie się wykąpałem. Gorąca noc. - Przyglądał się, nie przestając wycierać włosów.

- Aha. - Wyglądało na to, że mężczyzna chce pogawędzić i Daisy miała wrażenie, że powinna być uprzejma, ale czuła się nieswojo, stojąc obok niego tak blisko w tym półmroku. Miał na sobie podkoszulek, więc

widziała ciemne włosy kłębiące się pod jego uniesionym ramieniem. Odczekała chwilę. - Szukam mamy - dodała. - Muszę już iść.

- Uhm. - Uśmiechnął się nieśpiesznie. - Jasne.

Daisy wyminęła go i poszła w stronę przyległego boku szopy. Raz się obejrzała i zobaczyła, że mężczyzna nadal spogląda za nią, z twarzą na wpół ukrytą w cieniu.

Kiedy skręciła za róg, zobaczyła niewyraźny zarys prysznic i rosnące dokoła niego krzewy róży japońskiej. Ponad szum wody wybijał się głos matki, nucącej piosenkę graną wcześniej przez zespół.

Daisy przyśpieszyła kroku, kierując się w stronę tego głosu. A potem stanęła jak wryta. Dokładnie na jej drodze znajdował się Ed. Przyciskał twarz do drewnianego przepierzenia, które zapewniało nieco intymności pod natryskiem. Wyciągniętą dłoń opierał nad głową o deski. Stał spokojnie, jak zawsze, ale coś w jego postawie kazało Daisy skojarzyć go z wiewiórką, którą kiedyś widziała na Cambridge Common, małym zwierzątkiem o spazmatycznie dygoczącym ciele. Wścieklizna, powiedziała wtedy matka.

A może ona się pomyliła i matki wcale nie ma pod prysznicem? A może bawiono się tutaj w jakąś grę? Umysł miała otumaniony. Ramię Peaches otaczające szyję Tylera. Zbliżająca się w mroku twarz Anity. Trębacz wycierający sobie włosy.

„Dżentelmen nie zdradza romantycznych sekretów”. „Czystość jest jedną z największych cnót”. „Dzieci powinno się widzieć, ale nie powinno się ich słyszeć”.

Daisy recytowała śpiewnie porzekadła matki, wszystkie, które zdołała sobie przypomnieć, dziwnie ukojona ich powtarzaniem.

Na dźwięk jej głosu Ed się obejrzał - najpierw głową, a potem, odrywając dłoń opartą na deskach, całym ciałem. Popatrzył na nią, a Daisy odwzajemniła to spojrzenie. Stali tak przez dobrą chwilę, nie odrywając od siebie oczu. Twarz kuzyna zastygła jak maska.

- Mamo? - zawołała głośno Daisy, ani na moment nie odwracając oczu od Eda. Stała niecałe dwa metry od prysznicza, ale matka nie usłyszała jej przez szum wody.

Ed ruszył w jej stronę i przez ułamek sekundy Daisy ogarnął strach. A później już tylko nad nią stał, wyższy niż zapamiętała.

- „Ciekawość to pierwszy stopień do piekła” - powiedział cicho. Tak blisko, że Daisy poczuła jego oddech na policzku.

Jej serce załomotało raz, potem drugi. Oddychała z trudem. Przełknęła ślinę.

- „A ignorancja to pierwszy stopień do nieba”. - Jej głos brzmiał szorstko i nisko. Czowała, że zaczynają jej drzeć nogi. Żeby to ukryć, mocno zaparła się piętami w ziemię.

Ed przechylił głowę, spoglądając na nią tak, jakby usiłował podjąć jakąś decyzję.

- Co ty tu robisz? Podglądasz moją matkę, Edzie Lewis? - szepnęła wreszcie Daisy. - Zboczony jesteś? Jak pan Wilcox?

- Nie mów mi nic o panu Wilcoxie. - Głos miał twardy i płaski.

- Te zapalki... Te z The Hideaway...?

Zanim jednak zdążyła dokończyć, za plecami Eda Daisy dostrzegła śpieszącego w jej stronę ojca. Wyłonił

się zza przeciwnego rogu szopy. Prędkość jego kroków przyprawiała o panikę.

- Daisy, odsuń się od niego. Natychmiast.

Nie powiedział nic więcej. Po prostu złapał Eda i pociągnął go za sobą w kierunku plaży.

Daisy stała w miejscu i patrzyła na nich z oddalenia. Ojciec wykręcał Edowi ramię, przysuwając się do kuzyna tak, że ich twarze znalazły się zaledwie o centymetry od siebie. Nadpłynęły jakieś słowa.

- Jeśli kiedyś jeszcze... Moją żonę... - Ojciec szarpał Edem. - Powiem im...

Urwał i zastygł, jakby w oczekiwaniu odpowiedzi. A Daisy zobaczyła, że Ed, którego wyraz twarzy wcale się nie zmienił, nachyla głowę do ucha ojca. Zanim usta kuzyna przestały się poruszać, odniosła wrażenie, że twarz ojca w świetle księżyca pobladła o ton.

- Daisy?

Drgnęła na głos matki.

- Mamo! - Rzuciła się w jej stronę i przywarła do jeszcze wilgotnego ciała. Matka zdawała się chłodna i czysta, a Daisy chciała wspiąć się w jej ramiona, znaleźć na jej kolanach, wpełznąć pod skórę...

Matka objęła ją ramieniem, drugą ręką poprawiając ramięczko halki, przemoczonej, bo założonej na mokre ciało.

- Co się tutaj, u licha, dzieje? - Popatrzyła na Daisy, a potem w dół, w stronę plaży. - Co tu robi twój ojciec? Czy to on się tu darł jak jakiś wściekły kocur?

Daisy zobaczyła, że na skraju trawnika pozostał już tylko jeden z rozmówców; ojciec spoglądał na światła zatoki. Nagle zrobiło jej się wszystko jedno, czy Ed jest zboczeńcem i czy ojciec oszalał.

- Mamusiu... - Rozplakała się, przywierając do jedwabnej halki, wdychając lekki aromat konwaliowych perfum matki i morza.

- Kochanie, co się dzieje? - Matka była chyba zirytowana.

- Och, mammo! - Daisy ukryła twarz w halce. - Wszystko jest takie okropne! Nic się nie udaje. Tyler pocałował Peaches. A potem...

- Ach... Ach, rozumiem. - Matka westchnęła i pogładziła dłonią czubek głowy Daisy. - Wejdz ze mną na chwilę do środka, kochanie. Opowiesz mi, co się wydarzyło.

Szopa pachniała olejem lnianym i pleśnią. Obok piknikowego kosza leżał niechlujnie rzucony ręcznik. Matka zdjęła ze ściany dwie żółte poduszki do łodzi, usiadła na jednej ze skrzyżowanymi nogami i poklepała drugą. W półmroku Daisy dostrzegła, że włosy matki są zaledwie nieco wilgotne, a ciemne, lśniące loki nadal szesane z czoła do tyłu. Szafiry w uszach połyskiwały w promieniu światła rzucanym przez latarnię morską na Chappaquiddick, który przesuwał się za niewielkim okienkiem, na chwilę wydobywając z mroku ich twarze.

- A więc? - zapytała matka, kiedy Daisy przysiadła na drugiej poduszce. - O co w tym wszystkim chodzi?

Daisy położyła głowę na jej kolanach, czując ciepło matczynej dłoni u nasady karku.

- Widziałam ich - powiedziała cicho. - Całowali się na werandzie. Na naszej werandzie. A Peaches miała we włosach tę okropną różę, dzięki której jej matka wygrała jakiś konkurs. I objęła go ramieniem. I...

- Różę?

- Nie chodzi o różę - przerwała Daisy niecierpliwie.  
- Chodzi o to, że ja wiem, że jestem od niej lepsza. Po prostu to wiem.

- Rozumiem. No cóż, nie zawsze dokonuje się najlepszego wyboru - odparła matka. - Czasami... - urwała. Jej dłoń znieruchomiła. - Czasami ludzie po prostu czują się samotni i wtedy robią różne niemądre rzeczy.

Daisy zastanowiła się nad jej słowami.

- Ale Tyler wybrał ją. To ja chciałam jego, a on wybrał Peaches. - Ukryła twarz. - Och, mamó, po prostu chciałabym umrzeć. Jak on mógł? Dlaczego on mnie nie kocha?

- Kochanie, wiem, że to boli. Bardzo ciężko jest być młodym... I nosić w sobie pragnienie...

- Ale kiedy ty byłaś młoda, kochałaś tatę, a on kochał ciebie. Dostałaś, czego chciałaś.

- Po pierwsze, byliśmy starsi niż ty teraz. A po drugie... No cóż, poszczęściło się nam. - Matka westchnęła.

- Ja też chcę szczęścia - powiedziała Daisy.

- Będziesz miała coś lepszego. - Matka odgarnęła jej włosy z czoła. - Będziesz miała siłę. I żadna Peaches ani żaden Tyler tego świata nie będą w stanie cię zranić.

Daisy milczała. Wyobraziła sobie, że wyrasta na wielkoluda i miażdży pod stopą małą Peaches.

- A poza tym... - dodała matka rzeczowym tonem.

- Peaches to naprawdę paskudne dziewczysko.

- Wiem - westchnęła Daisy. - Ale on ją kocha.

- Kochanie, bardzo wątpię w to, czy Tyler kocha Peaches. Chłopcy już tacy są. Peaches jest łatwa, a chłopcy w tym wieku biorą po prostu to, co im się daje.

-Och, mamó, ale potem stało się jeszcze coś...

- Daisy urwała, myśląc o wielkich oczach Anity i smaku jej oddechu. - Coś naprawdę okropnego.

- Co jeszcze się stało?

- Anita. Podała mi chusteczkę, a potem... Mamo, ona mnie pocałowała!

- No proszę! - Matka się roześmiała. - A to ciekawe.

- To wcale nieśmieszne. - Daisy usiadła. - Dlaczego ona to zrobiła? Wie przecież, że kocham Tylera i że chciałam, żeby mnie pocałował.

- No tak, masz rację, to nieśmieszne - powiedziała matka, ale z jej twarzy nie zniknął uśmiech. - Anita po prostu lubi teatralne gesty. Szczerze mówiąc, Daisy, jej rodzina jest nieco narwana. Wiesz o tym.

- Nie obchodzi mnie to. Nie cierpię ich wszystkich.

- Kochanie. - Matka ujęła twarz Daisy w obie dłonie.

- Chcę, żebyś mnie wysłuchała. Powiem ci to, bo któregoś dnia te słowa mogą okazać się ważne. - Twarz matki była poważna. Wielkie zielone oczy przypominały skórę węża. - Jeśli jest w tym życiu choć jedna rzecz, której możesz być pewna, to jest nią to, że nie zawsze będziesz całowała tę osobę co trzeba.



## 1959, SIERPIEŃ

2

Daisy odkręciła z rakiety drewniany usztywniacz i przepłotła palce przez otwory siatki, poprawiając naciąg. Była jedenasta rano i słońce już paliło jej nagie ramiona, a kurz unoszący się znad ziemnego kortu tworzył wokół niej mgiełkę.

Odłożyła rakietę na ławkę dla widzów niedaleko słupka siatki i spojrzała w stronę wielkiej, chłodnej werandy klubu tenisowego, gdzie siedziała jej matka, gawędząc z panią Coolridge. Matka nieznacznie kiwała głową, słuchając czegoś, co mówiła do niej dyrektorka. W przeciwieństwie do ojca, który wcześniej rano dał dziś Daisy buziaka na szczęście, matka wyglądała świeżo, jakby przyjęcie wcale nie miało miejsca. Daisy zauważyła, że pan Montgomery szepcze coś do ucha Peaches i znów spojrzała na kort.

Poszurała swoimi tenisówkami o podłogę, a potem czubkiem rakiety otrzepała je z pyłu. Peaches zeszła po stopniach; jej koński ogon chwycił promienie słońca.

Daisy podsunęła opaskę wyżej na czoło i grzbietem dłoni otarła pot zbierający się na górnej wardze.

Udawała, że nie widzi, jak Peaches siada na ławce, wyciąga giemzową ściereczkę i poleruje już i tak lśniąca ramę rakiety.

Ona jest zimna, ja jestem gorąca. Ona jest zimna, ja jestem gorąca.

Daisy ponownie podniosła oczy na werandę. Matka patrzyła teraz wprost na nią. Delikatna linia przecinała skórę między brwiami. Pani Coolridge potrząsała już dłonią pana Montgomery'ego, uśmiechając się do czegoś, co mówił. Ich głosy dobiegały na kort zaledwie w postaci szmeru, sprawiając, że Daisy czuła się na rozpalonym prostokącie jak w innym świecie. Głowa bolała ją od upału, a w uszach słyszała leciutkie dzwonięcie.

Gorąca jak piec.

Na werandzie zapanowało niewielkie zamieszanie. Daisy zobaczyła, że pani Coolridge odwraca głowę i mrużąc oczy, zerka w półmrok budynku.

Na zewnątrz wyszedł Ed. Ominął spojrzeniem dyrektorkę, a potem zrobił kilka pewnych siebie kroków i podszedł do matki Daisy. Dziewczynka wypuściła wstrzymywany oddech. Nie widziała kuzyna od poprzedniego wieczoru i (choć nie umiała wyjaśnić dokładnie dlaczego) ucieszyła się na jego widok. Jej matka podniosła wzrok i też się do niego uśmiechnęła, a on przysunął sobie bliżej jedno z drewnianych krzesełek i usiadł. Daisy pomacała palcami grot strzały w kieszeni sukienki. Pod dotykiem kciuka i palca wskazującego wyczuwała szorstkość. Był jak niewielki odłamek koralu. Pani Coolridge zeszła na kort.

- No dobrze, dziewczęta, znacie zasady. Set przy sześciu wygranych gemach i dwóch przewagi, tie-break przy remisie - powiedziała.

Daisy czubkiem tenisówki zakreśliła na ziemi niewielki półksiężyc.

Pani Coolridge pogrzebała w kieszeni i wyjęła z niej ćwierćdolarówkę.

- Daisy Derringer, orzeł czy reszka?

Daisy spojrzała w niebo. Szerokie, błękitne i jasne. Pani Coolridge podrzuciła monetę. Ta zabłysła w słońcu.

- Orzeł.

Orzeł - ja wygrywam, reszka - ty przegrywasz. Pani Coolridge złapała monetę w dłoń i położyła na grzbiecie drugiej.

- Orzeł.

Daisy wydało się, że słyszy, jak matka coś mówi, ale nie dosłyszała co.

- Daisy? - Pani Coolridge spojrzała na nią obojętnie.

- Serwuję pierwsza.

- Peaches?

Peaches ostrym ruchem odwróciła głowę w stronę przeciwnego krańca kortu. Daisy obserwowała, jak przeciwniczka obchodzi słupek. Wzięła dwie piłki i wetknęła jedną do kieszeni, a potem przeszła przez kort w stronę środka linii końcowej.

Stojąc na linii końcowej, patrzyła, jak Peaches ustawia się w szerokim rozkroku, nisko opuszczając środek ciężkości, i przenosi ciężar ciała z jednej stopy na drugą. Świat jakby ucichł, pomijając świerszcze, które cykały zawzięcie w upale. Daisy wbiła wzrok w stopy rywalki

i w skraj jej prawego biodra, które wysuwało się lekko w stronę środka kortu.

Wysoko podrzuciła piłkę i zamachnęła się rakieta z za prawego ramienia. Widziała, że piłka leci prosto, chociaż oczy zabołały od podniesienia wzroku w stronę słońca. Zakreślając rakieta łuk, uderzyła piłkę i posłała typowy otwarty kosz, celując na backhand Peaches. Przeniosła ciężar całego ciała na prawą stopę i postawiła ją z impetem na ziemi.

Peaches złożyła się nieco zbyt późno i piłka nie wróciła nad siatką.

Ktoś na werandzie zaklaskał.

Daisy do następnego serwisu ustawiła się na lewej połowie kortu.

- Piętnaście zero. - Jej głos zabrzmiał cicho na otwartej przestrzeni.

Przy drugim serwisie uderzyła nieco bardziej zamieszanie i podkreślona piłka trafiła prosto w ciało rywalki. Mrużąc oczy, Daisy upewniła się, że Peaches jej nie odbiła, a potem odwróciła się plecami do przeciwniczki i na nowo zajęła pozycję.

- Trzydzieści zero.

Znów podcięła serwis, ale tym razem przygotowana Peaches odebrała niską piłkę, która zmusiła Daisy do pójścia na siatkę. Podbiegła i spróbowała posłać woleja na tył kortu, ale Peaches już tam stała. Odpowiedziała nieco słabszym forehandem i Daisy smyrgnęła do tyłu, z rakieta nisko opuszczoną przy lewym udzie. Jej backhand skierował piłkę wzdłuż bocznej linii kortu Peaches; waliło jej serce, kiedy patrzyła, jak rywalka wyciąga się do piłki. Wyciąga się i chybia.

Daisy wiedziała, że ten gem należy już do niej. Czuła ten smak, tę wibrację, przypominającą cykanie świerszczy w krzakach za jej plecami, w mięśniach. Odsunęła kołnierzyk sukienki i dmuchnęła pod nią, chłodząc spływający po brzuchu pot.

Peaches ustawiła się blisko bocznej linii, szykując się do backhandu. I to był błąd.

Słabość należy karać.

Daisy poczuła, że stopy instynktownie niosą ją w stronę linii centralnej, że piłka wzlatuje w górę, rakietą odwodzi, powraca łukiem, a potem uderza i posyła kulę armatnią, płasko i mocno, prosto w punkt T. Piłka pomknęła. Chcąc ją odebrać forehandem, Peaches za późno przeniosła ciężar ciała. Przy odbiciu jej nadgarstek drgnął lekko, a piłka trafiła w siatkę i opadła na pole serwisowe Peaches.

Daisy sięgnęła palcami do grotu strzały w kieszeni. Podniosła wzrok na werandę i dostrzegła lekki uśmieszek na wargach Eda. Jej matka nadal mocno trzymała kuzyna za ramię, chociaż gem już się skończył. Daisy przesunęła dłoń po twarzy, rozgrzanej i gładkiej pod dotykiem, pokrytej warstewką potu tak cienką, że niemal natychmiast znikającą.

Zmiana stron. Peaches prawie zdołała zrewanżować się pięknym za nadobne, wygrywając gema, chociaż i Daisy udało się zdobyć kilka punktów. I grały dalej, w tę i z powrotem, wet za wet, każda wygrywając własny serwis. Chwilami Daisy miała wrażenie, że wykonują jakiś wspólny taniec, spięte i sztywne. Zupełnie jak podczas lekcji z chłopcami z Park School u pani Brown; ich twarze zastygały w skupieniu, kiedy usiłowali nie nastąpić

jej na palce. Podeszwy stóp bolały, kiedy przestawała biegać, ale dopóki ślizgała się i skakała po korcie, szeroko rozstawiając nogi i napinając mięśnie ramion, żeby dodać uderzeniom siły, nie czuła cierpienia.

Daisy patrzyła na poruszającą się Peaches, patrzyła na lot piłki, ale jej umysł niemal nie angażował się w grę. Przelatywały jej przed oczyma obrazy: tamta zabita dziewczyna, Peaches i Tyler pod japońskim lampionem i pobielące kłykcie Eda, kiedy razem podsłuchiwali przy drzwiach jadalni. I grała tak, żeby te obrazy przepadły. Jeśli będzie uderzać mocniej, sięgać dalej, ruszać się szybciej, to na pewno poznikają jak trafione na strzelnicy kaczki.

Więc uderzała mocniej i ruszała się szybciej, uderzała i biegała, uderzała i biegała, aż przełamała serwis Peaches. Wygrała seta. A potem następnego gema. I jeszcze jednego, aż pozostał już tylko jeden do zwycięstwa. I- Daisy wiedziała, że go wygra, a kiedy już wygra, to już nigdy więcej nikt jej nie zrani. Będzie opancerzona na całe życie.

Przy stanie trzydzieści do czterdziestu Daisy patrzyła na Peaches ustawiającą się do odbioru podania. Kiedy rakietą rywalki dotknęła piłki, uderzenie wydało się niemrawe i Daisy natychmiast przeszła do ataku. Na backhand Peaches odpowiedziała agresywnym blokiem z odwrotną rotacją i błyskawicznie przemieściła się pod siatkę, szykując do woleja. Lecz wyraz jej twarzy zmienił się, kiedy zobaczyła, że i Daisy podbiega do siatki. Piłka przeszła na drugą stronę, a następnie Daisy wymierzyła cios ostateczny - potężny, ostry wolej w odpowiedzi na forehand przeciwniczki. Peaches

do piłki miała taką samą drogę jak do Timbaktu. Było po meczu.

Daisy pozwoliła ramię opaść na ziemię z cichym stuknięciem. Stała na rozpalonym korcie i patrzyła. Kucyk rywalki był potargany, a okrągła twarz mocno zaróżowiona, jak od uderzenia. Daisy zrobiło się przez chwilę żal zarówno Peaches, jak i - w pewnym sensie - samej siebie. Ale zaraz wpadła w objęcia matki i dyszała teraz prosto w jej bawełnianą bluzkę. Poczuła, że tuż obok przystanął Ed.

Wiedziała, że musi uścisnąć dłoń Peaches. Tyle że chciała się nacieszyć chłodnym cieniem matczynego ciała... I pustką w umyśle.

Pan Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy.

**HELENA**



## 1967, SIERPIEŃ

Helena podreptała do lustra i przyjrzała się swojemu odbiciu w porannym świetle słońca. Jej jasne, siwiejące włosy puszyły się, przypominając jakąś obrzydliwą koronę. Przypomniał się jej fragment wiersza z jednego z tomików poezji Nick. Czyjeś coś było „znakomitością i zbytkiem”. Zbytek pierza, w rzeczy samej. Kiedy wywodziły się z Elm Street po wojnie, do Los Angeles trafiła przypadkiem cała paczka książek Nick. Helena zamierzała odesłać je prosto do St. Augustine, ale kiedy nie udało jej się trafić na pocztę w pierwszym tygodniu (ani w drugim), sama zaczęła przeglądać tomiki.

Znów popatrzyła w lustro, wypychając ciężkie piersi obiema dłońmi w górę, a potem obracając się, żeby spojrzeć na nie z profilu. Pozwoliła im opaść. Spojrzała na swoje policzki, kiedyś przypominające jabłka, a teraz zwyczajnie stare i okrągłe. Delikatne linie zmarszczek skradały się w poprzek czoła, w ostrym świetle cienkiego i suchego jak papier.

Pokój, w którym się obudziła, był zdecydowanie widny i pogodny, ze swoją jasną przestrzenią i czystymi,

wykrochmalonymi kolorami. A jednak, w jakiś sposób, ją przygnębiał. Jakby oskarżał. Wprawdzie dorastała w tym rozedrganym, niemiłosiernym, letnim świetle Wschodniego Wybrzeża, ale sama nie czuła się ani czysta, ani pogodna.

Helena westchnęła. Nie było sensu rozpamiętywać różnych rzeczy. Przecież z nadmiaru myślenia, a potem z nadmiaru niemyślenia, wzięła się większość kłopotów. To dlatego budziła się teraz w pokoju z drozdami na ścianach, w domu należącym do kogoś innego.

Usiadła przy toalecie. Objęła wzrokiem zamazaną szklaną powierzchnię, zatrzymując spojrzenie na zdjęciu, na którym stała pomiędzy Hughesem a Nick. To Nick je tutaj ustawiła. Patrzyły pod słońce i oczy Heleny kryły się częściowo w cieniu rzucanym przez linię jej czoła. Nick zerknęła w bok, jakby coś z tamtej strony przyciągnęło jej uwagę. Coś, co sprawiło, że jej twarz była na zdjęciu bardziej wyrazista.

Helena lekko szturchnęła ramkę, a potem szturchnęła ją jeszcze raz, aż ta spadła na podłogę. Kiedy pochyliła się, żeby ją podnieść, zauważyła popękane szkło. Wyciągnęła zza niego zdjęcie i rozprostowała. Patrzyła jeszcze chwilę, a potem wzięła małe nożyczki do szycia, leżące na blacie stolika, i bardzo uważnie wycięła z fotografii krawędź twarzy Nick. Odsunęła zdjęcie na wyciągnięcie ręki i przyjrzała mu się uważnie, wycinając jeszcze fragment, usuwając usta i czubek nosa kuzynki. Ale ponieważ nadal nie wyglądało jak trzeba, wzięła się do pracy i wycięła z niego Nick całkowicie. Zadowolona, wsunęła zdjęcie na powrót w ramkę, a stłuczone szkło wyrzuciła do kosza na papiery.

Dopiero wtedy sobie przypomniała. Ma urodziny. Kończy czterdzieści cztery lata.

- Ciociu Heleno! - Kiedy Helena podeszła do drzwi, Daisy biegiem wypadła z kuchni. - O, nie! Mieliśmy zamiar podać ci śniadanie do łóżka. Mamo, spóźniłyśmy się! - zawołała przez ramię dziewczyna.

- Powiedz swojej ciotce, że ma nie wchodzić do kuchni. - W głosie Nick brzmiała kpiąca powaga, od której Helenie cierpła skóra.

Daisy obejrzała się i uśmiechnęła.

- No cóż, słyszałaś generałową. Nie ruszaj się stąd, a ja przyniosę tacę i dotrzymam ci towarzystwa na werandzie. - Cmoknęła Helenę w policzek. - Prawie zapomniałam to powiedzieć... Wszystkiego naj-najlepszego z okazji urodzin!

Daisy miała na sobie parę bardzo kusych szortów i bawełnianą koszulkę. Przez materiał Helena mogła dostrzec zarys sutków siostrzenicy. Biust Daisy był niewielki i spiczasty, a Helena pomyślała o własnym, ciężącym jej w dłoniach zaledwie przed chwilą. Filigranowa dziewczynka była taka jasna i złotowłosa! Jak jej ojciec. Co też Nick powiedziała kiedyś o życiu w domu pełnym istot złocistych i dobrych? Helena rozumiała, o co chodzi. To naprawdę może wyprowadzić człowieka z równowagi.

Daisy ustawiła tacę na chwiejnym, białym stoliku na frontowej werandzie. Jajka po benedyktyńsku. Tosty. Plaster melona z częścią limonki. Sok pomarańczowy.

- Ta-dam! - oświadczyła siostrzenica, rozpościerając dłonie nad tacą. - Mama przygotowuje dla ciebie urodzinową niespodziankę.

O ile Helena domyślała się właściwie, nie była to znów taka niespodzianka. Za młodu uwielbiała babkę piaskową z lukrem. Ale przestała miwać na nią ochotę już całe lata temu, choć nikt nie zadał sobie trudu, żeby ją o to zapytać. Jadła więc babkę co roku, a każdy kęs zostawiał posmak dezaprobaty.

Helena zanurzyła widelec w sosie holenderskim, a potem go oblizła. Tak, kuchni Nick nie dawało się niczego zarzucić, oczywiście gdy gospodyni za gotowanie zabierała się na serio. Sos był pyszny i kremowy, z lekką nutą cytryny.

- Kochanie, jesteście dla mnie zbyt dobre - powiedziała. - Naprawdę nie powinniście mnie aż tak rozpieszczać.

- To twoje urodziny. Każdego w ten dzień należy nieco rozpieszczać.

- No cóż. - Helena zabrała się za mufinkę. - No to kiedy tu wczoraj dotarłaś?

- Ledwie się wyrobiłam na ostatni prom. Ty nie mógł się wyrwać z pracy, ale powiedział, że za nic nie pozwoli, żeby go ominęło twoje wieczorne przyjęcie urodzinowe.

- Hm. A więc? Coś nowego na ślubnym froncie?

- Jestem pewna, że tak, ale nikt mi nic nie mówi. - Daisy roześmiała się odrobinę zbyt wesoło. - Mam tak dość tego ślubu, że płakać mi się chce. Wolałabym już raczej z nim uciec, ale sama wiesz, jak to jest. Mamy i Tylera powstrzymać się nie da. Ciągłe się ze sobą ugadują, naradzają się co do kwiatów albo muzyki czy jakiegoś innego szczegółu. A jak nas tutaj nie ma, ta dwójka całymi dniami wisi przy telefonie i knuje.

- No cóż, pewnie po prostu chcą, żeby to był dla

ciebie piękny dzień. - Helena spróbowała swoich jajek w koszulce. - Chociaż... - Przełknęła kęs i rzuciła Daisy spojrzenie kątem oka. - To dość niezwykle, że pan młody tak bardzo interesuje się całą tą banalną krzątaniem...

- Mało to męskie, zgadzam się. Ciągłe mu to powtarzam. Ale chyba powinno mi pochlebiać, że on tak się przejmuje? W każdym razie, ślub to nuda. Co zamierzasz robić w swoje urodziny?

- Och, sama nie wiem. W sumie niespecjalnie się nad tym zastanawiałam.

- Szkoda, że nie ma z nami Eda - powiedziała Daisy i upiła trochę soku ze szklanki ciotki.

Ten gest zaszokował jubilatkę. Był dokładnie w stylu Nick. Tak nonszalancki i pewny siebie, że Helena poczuła przemożną ochotę, żeby wyrwać z dłoni siostrzenicy tę szklankę. Siłą woli opanowała drżenie rąk.

- Może powinniśmy pojechać do fryzjera i zrobić ci uczesanie?

- Daisy, nie jestem zramolałą staruszką. Wciąż jestem w stanie sama umówić się z fryzjerką. - Helena usłyszała we własnym głosie kwaśną nutę.

- Nie to miałam na myśli - powiedziała Daisy. - Oczywiście, że jesteś w stanie. Ja tylko chciałam ci zafundować wizytę. Ot, taki drobiazg dla przyjemności.

- Przepraszam cię, kochana, ale nie spałam za dobrze. Musiałam wstać z łóżka lewą nogą. - Helena westchnęła. To ciągle usprawiedliwianie się było męczące, ale musiała uważać. Musiała zachowywać się pogodnie i, przede wszystkim, poprawnie. Wyprostowała plecy. - Być może masz rację. Wizyta u fryzjera... Może tego właśnie mi trzeba.

A kiedy Daisy poszła zadzwonić do salonu Shelley's w Vineyard Haven, jedyne go zakładu fryzjerskiego na Wyspie, Helena wróciła do swojego melona. Wiedziała, że to od niego powinna była zacząć śniadanie, jak zawsze robili to wszyscy, jak ona sama zawsze to robiła, ale uznała, że dziś jej wszystko jedno. Mimo wszystko to były jej urodziny, a drobny przejaw buntu sprawił Helenie przyjemność.

Nadziała na widelec kwadracik melona, wykrojony z idealną precyzją, niewątpliwie ręką Nick, i wzięła go do ust. Zaskoczyła ją słodycz owocu. Przypomniła jej się pierwszy raz, kiedy spróbowała melona w Kalifornii, niedługo po przeprowadzce. Avery zabrał ją wtedy na śniadanie do Cabana Club Cafe przy Hotelu Beverly Hills. Był rok 1945 i Helena nigdy jeszcze nie jadła śniadania poza domem. Nie wiedziała nawet, że ludzie to robią, a w każdym razie nie przy basenach. Może ewentualnie w jakichś mrocznych, zapuszczonych jadłodajniach. Jeśli się było komiwojażerem. Pamiętała, że przyniesiono jej plaster melona kantalupa. A może miodowego? Tak czy inaczej, kiedy go skosztowała, po prostu iskrzył - inaczej nie umiałaby tego opisać. Nigdy wcześniej nie próbowała takiego owocu i po tym całym wojennym racjonowaniu na Wschodzie Helena miała wrażenie, że umarła i trafiła do nieba. Albo na elegancką planetę w rodzaju Marsa.

Takie właśnie było Los Angeles podczas tych pierwszych kilku miesięcy. Wszystko okazywało się nowe, zaskakujące i obce. Avery napisał do niej, kiedy jeszcze mieszkała w Cambridge, aby poinformować o znalezieniu domu, ale kiedy odebrał Helenę ze stacji kolejowej, okazało się, że zamieszkają w gościnnym domku

u słynnego hollywoodzkiego producenta (Producent! Nawet kiedy poznała już jego nazwisko, Helena nie myślała o Billu Foxie inaczej jak o Producencie, postaci z jakiegoś scenariusza).

Siłą rzeczy ceremonia w ratuszu nie była specjalnie uroczysta, ale z drugiej strony, jak tłumaczyła sobie Helena, Avery był bardzo zajęтым człowiekiem, a śluby zdecydowanie przereklamowane. Założyła na tę okazję kremowy kapelusz, na kupno którego namówiła ją dziewczyna w Bullock's. Teraz nawet nie wiedziała, gdzie jest.

Kiedy sędzia pokoju ogłosił ich mężem i żoną, Avery zabrał Helenę z powrotem do gościnnego domku na Blue Sky Road. Przed ślubem zatrzymała się w pewnym niewielkim hoteliku, w niedużym i ciemnym bungalowu, którego niedostatki przykrywała ulga związana z początkiem nowej stabilizacji. Zaprowadził żonę do sypialni, gdzie na łóżku leżała wyszywana srebrną nicią sukienka bez ramiączek. Od wewnątrz miała podszewkę z kremowej satyny, z takim samym satynowym detalem na wstawce na lewym biodrze. Helena roześmiała się w głos. Nick, taka dumna ze swojej sukienki w wisienki! Gdybyż tylko mogła zobaczyć teraz kuzynkę!

Avery podniósł sukienkę, a Helena rozebrała się do halki, tylko przez moment czując nieśmiałość z niespodziewanej nagości przy świeżo poślubionym mężczyźnie. Wsunęła się w śliski materiał. Wszystko pasowało idealnie.

- Skąd znałeś moje wymiary? - Zachwycona Helena ledwie mogła złapać oddech.

- Zmierzyłem cię - powiedział Avery, puszcżając do niej oko. - Powiedziałem, że masz taką samą figurę

jak Jane Russell, tylko jesteś nieco niższa. - Wziął żonę za rękę i okręcił wokół jej osi. - Idealnie. Chciałbym cię teraz zabrać do miasta i się tobą pochwalić.

Zabrał ją do Ciro's. Helena jeszcze nigdy nie widziała niczego podobnego. Z zewnątrz zwyczajny i budy, po prostu bryła betonu i neonowy szyld, ale w środku klub przypominał puzderko na biżuterię. Nieduża scena, otulona złotymi kotarami i wielkimi, kryształowymi, piętrowymi żyrandolami. Marlena Dietrich z jakimś francuskim aktorem, Jimmy Stewart i jakaś otyła kobieta w wielkim kapeluszu, z zaciętym wyrazem twarzy, podobno znana autorka kolumny plotkarskiej, jak objaśnił Avery. Helena musiała powstrzymać się od szeptania: „A to kto?” przy każdym mijanym stoliku.

- Chciałbym przedstawić cię Billowi Foxowi - powiedział Avery. Nie wspominał o tym wówczas, ale chodziło, oczywiście, o Producenta. To on załatwił im stół w Ciro's.

- Coś takiego! - powiedział Producent przy prezentacji. - A więc to jest ta twoja Jane Russell...

- Nie wspominałem ci, Bill?

- Owszem, wspominałeś. Proszę, proszę. - Bill pokiwał głową z czymś, co wyglądało na uznanie.

Helena nie czuła się mniej piękna niż którakolwiek z obecnych tu kobiet. Ani grubawa, ani zbyt blada, ani przygłupia. Nie była już tą Heleną, której dom zawsze był mniejszy, a ojciec uboższy. Była jasnowłosa Jane Russell w jedwabnej sukni na podszewce, opiętej jak rękawiczka. Była czarująca.

- Witam. Miło mi pana poznać - powiedziała, wyciągając dłoń. - I jestem zachwycona domem. Bardzo dziękuję, że pozwolił nam pan tam zamieszkać.



- Domkiem gościnnym - poprawił ją Producent, przesuając czubkiem palca po półksiężycach swoich wąsów.

- No cóż... Tak, Avery i ja mamy wspólnych dawnych przyjaciół.

- Och. - Helena spojrzała na męża, ale on się tylko uśmiechnął.

- No dobrze... To teraz, dzieci, dobrze się bawcie.

- Producent wrócił do swojego stolika.

Avery pociągnął Helenę za ramię.

- My siedzimy z tyłu.

Helena przez chwilę nie ruszała się z miejsca, niepewna, czy to już koniec rozmowy.

- Aha, kochanie - dodał jeszcze Producent, nie oglądając się za siebie. - Nie zapomnij zwrócić sukni do garderoby przed poniedziałkiem.

Kiedy wyszła na podjazd, Daisy czekała już w samochodzie z zapalonym silnikiem. Helena spojrzała ponad ogrodzeniem w stronę domu. Tego, który kiedyś należał do niej. Tego, który odebrała jej Nick. Po prostu: ukradła. Teraz dom należał do młodego, bezdzietnego małżeństwa, które otoczyło go nowym, białym, drewnianym parkanem, żeby powstrzymać ucieczki psa - zwierzaka o słodkim usposobieniu, najprawdopodobniej jakiegoś kundelka. Czarny i miękki psiak zawsze machał ogonem i Helena go lubiła.

Daisy zawołała, więc Helena oderwała oczy od domu i podeszła do auta. Garbus, jak określała go siostrzenica, był mały i ciasny, w kolorze słonecznika. Helena zawsze czuła się w nim jak zwinięta w precel.

Kiedy otworzyła drzwi od strony pasażera, powitał ją z radia głos Bobby'ego Kennedy'ego, z tą jego

charakterystyczną, udawaną wymową bostońskiego bramina.

*Powinno jednak do tej pory stać się rzeczą jasną, iż bombardowanie Północy nie przyniesie końca wojny na Południu.*

- Wiesz, nigdy jakoś nie mogłam zrozumieć tych Ken-nedych - powiedziała Helena, moszcząc się na ciasnym siedzeniu. - Co za niemądry akcent! Nikt tak przecież nie mówi.

Daisy przekręciła gałkę i program informacyjny zastąpiła tandetna muzyka. Helena westchnęła, a siostrzenica puściła sprzęgło i z przerażającą prędkością ruszyła na wstecznym boczną drogą, aż do North Summer Street. Daisy nie miała na stopach balerinek; leżały pod siedzeniem. Helena skrzyżowała stopy w kostkach i poczuła się jak cnotka. Skąd to wrażenie starości?

I nie chodziło wyłącznie o Daisy. Przecież, mimo dwudziestu lat, było z niej ledwie dziecko. Helena spojrzała w bok, na profil siostrzenicy, na jej krótkie, jasne włosy, rozwiewane wiatrem. To zadziwiające, pomyślała, jak mało Daisy ostatnio zdaje przejmować się matką. A kiedy była mała, wiecznie obserwowała Nick; niemal widać było dziecięcy strach, że nie dorośnie do matczynych oczekiwań. A teraz była taka beztroska, tak swobodna! I na swój sposób traktowała Nick podobnie jak Hughes, z pewną dozą pobłażliwości. No ale z drugiej strony, Helena upomniała samą siebie, przecież to dziecko zaraz wychodzi za męża. Młoda i atrakcyjna dziewczyna znalazła sobie mężczyznę. Nie miała powodów do zmartwienia. Marzyła o tym chłopaku od lat, popisывała się przed nim trochę, ale potem ignorowała go, dopóki

sam nie zaczął za nią ganiać. Helena zachichotała. Trzeba przyznać, że Daisy okazała się wytrwała.

Zastanowiła się, czy młodzi uprawiają seks. Prawdopodobnie tak. W dzisiejszych czasach ludzie wskakują ze sobą do łóżka bez chwili wahania. Oczywiście, kiedy ona była w wieku Daisy, postępowali podobnie, ale mieli na tyle przyzwoitości, żeby się tego wstydić. W końcu Helena sama czekała na to aż do ślubu z Averym, choć nie była już wtedy dziewicą.

Nie kochali się w noc poślubną, bo oboje wypili za dużo szampana. Szczerze mówiąc, Helena poczuła wtedy ulgę. Już uprawianie miłości z Fenem było niepokojącym przeżyciem. Pierwszy mąż adorował jej ciało, nie przymierzając jak dziecko swój ulubiony domek dla lalek. A poza tym wspomnienie seksu z Fenem wymieszało się w głowie Heleny ze wspomnieniem jego śmierci, a sam akt zaczął się jej kojarzyć z czymś lekko odpychającym. Aż do ślubu z Averym.

Bo z nim łóżko okazało się zupełnie inne. Kiedy to wreszcie zrobili, szeptał do niej przez cały czas: „Moja żona, moja gwiazda filmowa”, od czego Helena poczuła się wprawdzie nieco dziwnie, ale i seksownie. Potem Avery leżał, obrysowywał palcem zarys jej piersi i patrzył na nią spod tych swoich wypukłych powiek. Oczy miał piwne, zauważyła wtedy, zdając sobie sprawę, że do tej pory nie знаła nawet ich koloru.

- Podoba mi się, że nie jesteś dziewicą, odpadło całe zamieszanie  
- powiedział. - Ale myślałem, że będziesz miała nieco więcej doświadczenia.

- Och... - Helena była zagubiona.

- Chcę, żebyś do mnie mówiła, kiedy się kochamy.

-Aha.

Avery się roześmiał.

- Nie musisz się wstydzić, kochanie. Nie przy mnie.

- Nie wstydzę się - skłamała.

Avery z poważną miną ujął w dłoń jej twarz.

- Obiecuj mi, że nigdy nie będziesz próbowała ukrywać swojej osobowości.

Helena wciąż odwracała oczy, czując oblewający ją rumieniec.

- Tam, skąd pochodzę, ludzie po prostu tak się nie zachowują...

- Wiem, skąd pochodzisz - powiedział Avery. - I całe to snobistyczne towarzystwo ze Wschodniego Wybrzeża, jak choćby ta twoja kuzynka. Ale teraz jesteś od tego wszystkiego z daleka. Możemy być, kim chcemy.

- Oni nie są snobami - powiedziała Helena.

- Nie, nie są. Masz rację. - Poglądził jej włosy. - Po prostu pragnę cię chronić. Nie chcę, żebyś przez kogokolwiek czuła się mniej warta. Rozumiesz, co mam na myśli?

Rozumiała.

- Chcę ci coś pokazać - powiedział Avery i usiadł.

Poprowadził żonę przez salonik, pod ciemne, drewniane drzwi wiodące, jak się okazało, do pokoju, który dość obojętnie nazwał swoim gabinetem, kiedy po raz pierwszy oprowadzał Helenę po domu.

Otworzył, a ona ujrzała zagracone, kwadratowe wnętrze z jednym małym oknem z boku, wpuszczającym do środka trochę światła. Na jednej ze ścian przypięto dwa wielkie plakaty. Pierwszy z mężczyzną w prochowcu, który trzyma w dłoni dymiący pistolet, i przywartą do

jego nogi rudowłosą kobietą w podartej, zielonej sukni. W poprzek górnej krawędzi plakatu biegły wielkie, czerwone litery: *Zaplata krwią*, a podtytuł głosił: „Mafia go ściga... Ona go potrzebuje... Ale takiego mężczyzny nie można powstrzymać!”.

Drugi plakat reklamował film *Przez dziurkę od klucza* („On cię widzi, kiedy śpisz”). Helena nigdy nie słyszała o żadnej z tych dwóch produkcji, ale zdawało jej się, że to typ, jaki można zobaczyć na podwójnym seansie obrazów klasy B.

Na podłodze, pod plakatami, piętrzyły się dwa stosy damskich ubrań. Jedynymi meblami w całym pomieszczeniu były szara metalowa szafka na akta, biurko zarzucone fotosami i krzesło. Pod ścianami wałały się pudła, z których wysypywały się jakieś rupiecie; Helena dostrzegła pustą buteleczkę po perfumach, szczotkę do włosów i zaczytany egzemplarz *Pani Parkington*.

- Co to wszystko tu robi? - Nie dawała jej spokoju zwłaszcza ta szczotka. Czyżby mieszkał tu jeszcze ktoś?

- Chciałbym cię przedstawić Ruby - powiedział Avery, rozpościerając ramiona szerokim gestem. Jak pastor.

- Przepraszam, ale kto to jest Ruby?

- To moja siostra bliźniaczka - powiedział, podchodząc i czułym gestem dotykając plakatu z *Zaplata krwią*.

- Nie martw się. - Odwrócił się do Heleny, która stała jak wryta w drzwiach. - Ona umarła.

Helena nic nie powiedziała, patrzyła tylko. Nagle dotarło do niej, że nic nie wie o tym mężczyźnie.

- Muszę... Nie, chcę powiedzieć ci wszystko. - Avery przegarnął dłońmi włosy, a potem popatrzył na żonę.

- Mogę?

Helena skinęła głową, choć nie opuszczał jej lęk.

- Zanim cię poznałem, moją żoną była właśnie Ruby. Nie taką oficjalną, jak ty, poślubioną w ratuszu, ale poślubioną w duszy. Piękna i utalentowana. Nauczyła mnie, jak być wolnym. Popatrz. - Wziął z biurka jakieś zdjęcie i uniósł w górę. Leżąca kobieta o mocno podkreślonych oczach i włosach wijących się wokół ramion odwracała wzrok od obiektywu. - To ona. To Ruby.

Helena musiała przyznać, że kobieta była olśniewająca. Naprawdę śliczna. Zrobiło jej się niedobrze.

- Co się z nią stało?

- Zabili ją - powiedział Avery.

- Kto? - Helena nie była pewna, czy chce wiedzieć.

- Oni wszyscy. Świat i ta cała jego wstrętna zawiść.

- Avery westchnął i usiadł po turecku na podłodze.

- Znalezione jej ciało w samochodzie, w jakiejś bocznej alejce przy Sunset. - Znowś spojrzał na zdjęcie. - Ktoś ją udusił. Gliniarze powiedzieli, że wyglądało to na napad rabunkowy, który się wymknął spod kontroli. Nazwali ją prostytutką, dziwką... Oni sami to szumowiny! Ruby nigdy by się nie sprzedała. Nigdy.

Helena czuła się jak po alkoholu. Albo jak we śnie, kiedy człowiek wie, że jest u siebie w domu, choć wewnątrz jest obce. Zacisnęła poły leciutkiego szlafroka, który kupiła na noc poślubną, i owinęła się nimi szczelniej.

- Avery, najdroższy, wracajmy do łóżka. Zimno mi.

- Pomyślała, że może, jeśli wyjdą z tego okropnego pokoju i zatrzasną drzwiami, będą mogli udawać, że nic się nigdy nie wydarzyło. Tak, wrócić do sypialni i cofnąć wskazówki zegara!

Wyraz twarzy Avery'ego się zmienił.

-Moja biedna, mała myszka... Przestraszyłem cię.

- Wstał z podłogi i wziął Helenę w ramiona. - Wiem, że trudno to pojąć od razu i może rzeczywiście brzmi to jak gadanina szaleńca. Ale musisz mi zaufać.

Jego ramiona ogrzały ją i powróciło wspomnienie gorącego szeptu, kiedy się kochali. „Moja żona, moja gwiazda filmowa”.

- Rzecz w tym, że Ruby zginęła w trakcie zdjęć do filmu. A ja zamierzam ten film ukończyć. Potrzebuję tylko nieco kapitału, żeby wykupić prawa od studia. - Słowa Avery'ego płynęły teraz wartko, niemal jakby recytacja.

- Skorzystam z dublerki, tak jak zrobiono to w przypadku *Saratogi* i Jean Harlow. Takiej, która zrozumie Ruby i ją pozna... Właśnie o to w tym chodzi. O to, żeby przywrócić Ruby światu.

- Avery... - Helena wysunęła się z objęć męża.

- Czekaj, czekaj - powiedział, chwytając jej rękę i przyciskając ją do serca. - Nie odpychaj mnie. Proszę.

- Jego oczy spoglądały z rozpaczą. Były takie smutne.

- Nigdy nie czułaś się samotna? Nie czułaś, że nie należysz do nikogo? Ani niczego? Że zaraz oszalejesz z powodu swoich pragnień?

- Pokręcił głową. - I nie mów mi, że nie, bo ja wiem lepiej. Domyśliłem się tego w tej samej chwili, w której zobaczyłem cię w tamtym sklepie żelaznym. Cały ten ból, udawanie, że wszystko jest w porządku, kiedy człowiek w środku jest jak martwy... Przeszedłem przez to samo. Pasujemy do siebie, Heleno. Możemy to razem naprawić. Nawzajem możemy się ocalić.

Helena popatrzyła na męża. Tak, znała to uczucie. Od zawsze ta grzeczniej sza, ta biedniejsza, niemająca nic

własnego. Ładna dziewczyna, o której chłopcy wiedzieli, że mogą się dobierać bez obaw, bo była zbyt przestraszona i zbyt pokorna, zbyt nieważna, żeby na nich donieść. Zawsze mówiąca „dziękuję”, za każdą najmniejszą okazaną uprzejmość. Dziękowała nawet Fenowi, jakby na nic nie zasługiwała. A przecież zasługiwała. Zasługiwała na szczęście. I teraz, z Averym, ze swoim mężem, nie będzie już nigdy musiała przechodzić przez to wszystko sama...

Po drodze do Vineyard Haven Daisy na moment zatrzymała się, żeby coś załatwić, i Helena patrzyła teraz, jak jej siostrzenica ostrożnie układa jakąś paczkę na tylnym siedzeniu, niespokojnie ją na nim poprawiając, aż uzna, że pakunek leży dokładnie tak, jak trzeba. Helena dostrzegła w tym geście cień Hughesa, jego przemyślanych ruchów. Hughes zawsze był taki ostrożny! Tam, gdzie Nick regularnie nie uważała na pieniądze, na ludzi, na cokolwiek, co nie należało do niej, on wygładzał wszelkie kanty. Na zewnątrz prezentował pełen troski i czarujący sposób bycia, ale Helena domyślała się, że pod tym wszystkim kryje się pustka. Zupełnie, jakby Hughes skrył głęboko w środku część samego siebie i tam toczył z nią swoje tajemne, wewnętrzne debaty. Nick, w związku z tym, należało chyba współczuć, gdyby cała sytuacja nie była tak niezamierzenie komiczna. Oto kuzynka Helena tkwiła w małżeństwie z jedynym mężczyzną, który, jak się zdawało, nie reagował na jej wdzięki, tak skutecznie działające na innych.

Helena jednak sympatyzowała z Hughesem, nawet jeśli nie rozumiała go do końca. Wiedziała, że karty trzeba



trzymać przy orderach. Przekonała się boleśnie, że zbyt duża wzajemna wiedza o sobie wywołuje w ludziach odruch obronny. Jednym ze sposobów Nick na nią samą, na przykład, było usunięcie z domu wszystkich leków, tak skrupulatne, że człowiek nie mógł w nim znaleźć aspiryny, kiedy bolała go głowa. Doprowadzało to Helenę do szału. Jakby usuwając leki, Nick mogła usunąć jej słabość, jakby zyskiwała jakąkolwiek kontrolę nad ciągotami kuzynki. Tak czy inaczej, pigułki nie były problemem. Już nie.

Z początku Helena starała się pomóc Avery'emu w zaprowadzeniu jako takiego ładu w zbiorze pamiętek po Ruby, choćby w ich skatalogowaniu. Ale ponieważ okazała się niezdarna (stłukła nawet buteleczkę po perfumach), cała jej pomoc tylko działała mężowi na nerwy. Więc pozwoliła mu pracować w samotności, wczesnymi wieczorami, kiedy wracał z pracy dla Sunshine Insurance.

Po'mniej więcej miesiącu udało jej się wypracować pewną rutynę. Większość poranków zajmowało jej przygotowanie śniadania, sprzątanie, zakupy, krochmalenie i prasowanie koszul Avery'ego i układanie fryzury. Ale to wypełniało czas zaledwie do drugiej po południu. Gotować nie musiała, bo Avery lubił jadać poza domem. Zadowalała go nawet jakaś obskurna jadłodajnia, jeśli akurat nie było pieniędzy, albo choćby wyjście na miasto na drinka. W efekcie Helena wyczekiwała na wieczory ze swoim mężem. Avery sprawiał wtedy wrażenie, że ożywa. Czasem zapraszał ich oboje Bill Fox i wtedy Helena mogła być dumna z Avery'ego. Kiedy mówił, zarówno kobiety, jak i mężczyźni zdawali się pochylać w jego kierunku, podobnie jak rośliny skłaniające się w stronę

słonecznego okna. Jej mąż zawsze umiał powiedzieć coś właściwego, rzucić odpowiedni komplement czy żart. A dokładnie wtedy, kiedy Helena zaczynała już myśleć, że o niej zapomniał, zaglądał jej w oczy i posyłał ten swój specjalny uśmiech, dając znać, że są w tym wszystkim razem.

Mimo to popołudnia bywały kłopotliwe. Żeby jakoś zabić czas, Helena wzięła się za księgozbiór Nick, ale wkrótce książki się skończyły. Godzinami spacerowała więc po terenie posiadłości, aż nauczyła się na pamięć każdego jej cala. Czasem wsiadała w autobus i jeździła nim aż do kolacji, niezadowolona ze sposobu, w jaki przyglądali się jej mężczyźni. Pisała też listy do Nick. Pomijając kuzynkę, nie miała żadnych bliskich przyjaciółek. A w każdym razie - już nie. Na samym początku próbowała korespondencji z siostrą Fena i niektórymi żonami jego przyjaciół, ale listy pozostały bez odpowiedzi. Wyglądało to zupełnie tak, jakby jej stare życie na Wschodnim Wybrzeżu przestało istnieć. No, ale z drugiej strony, tłumaczyła sobie, wojna oddala od siebie ludzi.

Któregoś ranka obudziła się i na nocnym stoliku znalazła fiolkę pigułek. Obok leżała karteczka.

*Dla mojej Małej Myszki.*

Po powrocie Avery'ego z pracy Helena zastukała do drzwi gabinetu.

- Co to jest? - zapytała, kiedy uchylił je nieco. Piwne oczy były zmęczone od wyteżania wzroku w ciemnym pokoju.

- Mały prezent - wyjaśnił. - Wspomniałem Billowi Foxowi, że kiedy ja ciężko pracuję, tobie trochę dłużą się dni, a on mi to polecił. Daje to niektórym ze swoich

największych gwiazd. Na mocny sen. I na dobre sny również, moje kochanie. - Puścił oko.

- Och. - Helena obracała w dłoniach buteleczkę. Receptę na etykiecie wypisał na jej nazwisko jakiś doktor Hofmann. - Nembutal. Sama nie wiem, Avery. W mojej rodzinie nigdy nie brało się takich rzeczy.

- A na ból głowy nie przyjmujesz aspiryny czy toniku?

- Chyba tak...

- To jest to samo, tyle że nie na ból głowy. Są dla pięknych, małych myszek, które mają ciężko pracujących mężów i czują się samotne. Znam twoją samotność i próbuję ci tylko jakoś pomóc. Oczywiście, nie musisz ich brać, jeśli nie masz ochoty.

- Chyba faktycznie czuję się trochę... Sama nie wiem. Bezużyteczna. Zastanawiałam się, czy nie dołączyć do tego klubu czytelniczego dla pań, o którym ci mówiłam.

Avery się roześmiał.

- Potrzebna mi jesteś tutaj. I wcale nie jesteś bezużyteczna, pomagasz mi bardziej, niż ci się wydaje. Odkąd się pobraliśmy, pracuję intensywniej niż kiedykolwiek przedtem. Na litość boską, nie porzucaj mnie teraz dla jakichś pań z klubu czytelniczego!

Helena też się roześmiała.

- No dobrze, najdroższy. Obiecuję, że cię nie porzucę. - Ale pigułki odstawiła do szafki na leki w łazience.

Tydzień później, kiedy uporała się już z codziennymi zajęciami, Helena złapała się na tym, że siedzi sama przy kuchennym stole i słucha tykania ściennego zegara w pustym domu. Zastanowiła się, czy nie napisać do Nick, ale nie dostała jeszcze odpowiedzi na swój poprzedni list.

Usiłowała w nim minimalizować kłopoty finansowe, ale milczenie kuzynki odczuwała jak policzek. Obserwując kończący okrążenie sekundnik, poczuła gniew. Pomyślała o cieniach pod oczami Avery'ego, kiedy wracał z pracy, i o wysiłku, jaki mąż wkładał w swój projekt. A ta Nick, która miała wszystko... Helena wiedziała, że nie stać ich na międzymiastową, a mimo to zdecydowała się na telefon.

Ku swojemu zdziwieniu, kiedy usłyszała głos Nick, poczuła, że przechodzi jej cała uraza; zdążyła już zapomnieć, jak bardzo kochała niegdyś śmiech kuzynki. Poza tym Nick sprawiała wrażenie szczerze ucieszonej z niespodziewanej okazji do rozmowy. Opowiedziała jakąś zwariowaną historyjkę o zakładaniu na siebie kostiumu kąpielowego i drażnieniu sąsiadek i Helena na chwilę zapomniała o zegarze i obrotach wskazówek. Wreszcie i ona zebrała się na odwagę i zapytała o możliwość sprzedaży domku.

- Avery... No cóż, w sumie, my oboje... Uznaliśmy, że to może być sensowny ruch. - Helena nie byłaby w porządku, zwalając wszystko na męża, który przecież rzucił tylko taką, jak sam to ujął, niezobowiązującą sugestię. - Wiesz, trochę u nas krucho z pieniędzmi. A w sumie kurczowe trzymanie się domu nie ma większego sensu, skoro naprawdę przydałaby się teraz gotówka.

- Chcesz sprzedać ten domek? - Helena usłyszała w głosie kuzynki nagły chłód.

- Jest mój - odparła cicho.

- Cholera jasna, Heleno! Co ty sobie wyobrażasz? Ten domek postawił mój ojciec. A teraz co? Twój mąż uznał, że możecie go, ot tak sobie, sprzedać, bo nie starcza wam pieniędzy?

- Nick, ty nie rozumiesz. - Helena czuła pod powiekami piekące łzy.

- Helena, to dom twojej matki. Jak możesz?

- Nieważne - powiedziała Helena. Słuchawka trzęsła się w jej dłoni. - Oczywiście, masz rację. Jestem pewna, że wybrniemy z tego jakoś inaczej.

Ale kiedy się rozłączyła, poszła do łazienki i wyjęła buteleczkę z przepisany lekiem. Napełniła kubek wodą z kranu i połknęła jedną, małą, żółtą pigułkę. A potem położyła się na łóżku i czekała; jej kończyny stopniowo obejmował mrowiący bezwład. Powoli zaczynała się czuć miękka jak gumka do wycierania, kiedy wszystko ogarnęła ciemność.

Obudziła się tego wieczoru ocieężała i już jedno martini w Mocambo wystarczyło, żeby się potykała, uczepiona ramienia Avery'ego. Nie miał racji, co do tych snów. Nie miała żadnych, doznała tylko rodzaju głębokiej nicości. Mimo wszystko pozwalającej skrócić godziny spędzane w domu przy Blue Sky Road. Potem pojawiły się inne leki, ciężkie, złotawe opiaty, działające jak cukier we krwi, i amfetamina, z jej tętniącą życiem wesołością.

Kiedy Helena zaszła w ciążę, poznała wreszcie tajemniczego doktora Hofmanna, który zapełniał puste godziny jej dni. Wyglądał dokładnie tak, jak go sobie wyobrażała, co ją zaskoczyło. Cienkie, srebrzyste włosy rzedły mu wysoko na czole, tworząc błyszczącą łysinę upstrzoną plamkami wątrobowymi. Brwi, ciemne i krzaczaste, tworzyły z nią dziwny kontrast. Twarz miał życzliwą, a sposób bycia roztargniony i dobroduszny.

- No więc tak, pani Lewis - zaczął, zaglądając w jakieś papiery w teczce, zapewne danych Heleny. - Czyli

teraz oczekuje pani dziecka, tak? No cóż, będzie pani musiała odstawić nembutal i, ten, aha... - Przerwał na chwilę. - Tak, demerol i dilaudid też. Opioidy zdecydowanie. I benzedrynę.

Podniósł wzrok. Helena siedziała w kompletnym bezruchu. Na wizytę założyła rękawiczki, uznając, że tak właśnie postąpiłaby Nick, ale dłonie swędziały ją nieco. Zastanawiała się, czy wyglądałoby to dziwnie, gdyby teraz je zdjęła.

- Wszelki niepokój, jaki pani odczuwała, pani Lewis, może zniknąć po urodzeniu dziecka, a wtedy leki okażą się niepotrzebne. Widywaliśmy to już wcześniej. Jednakże podczas ciąży, jeśli będzie pani musiała coś wziąć, to proszę przyjąć najwyżej połówkę lub ćwiartkę nembuta-lu. To powinno wystarczyć.

- Dobrze - przytaknęła Helena z lekkim wahaniem.

- A teraz panią zbadamy - powiedział doktor Hofmann, poklepując metalowe łóżko ze strzemionami na stopy.

Helenie udało się wytrzymać z daleka od większości leków. Wprawdzie w pierwszych kilku tygodniach sporo wymiotowała, przypisując to głównie porannym ciążowym mdłościom, i miała trudności ze snem, co, jak wyczytała, też było powszechne, ale w oczekiwaniu na dziecko przybyło jej sporo roboty. Zamówiła kilka pakietów z wykrojami z katalogu Sears Roebuck i całymi dniami siedziała, szyjąc śpioszki wszystkich rozmiarów i kolorów, pamiętając, żeby za bardzo nie faworyzować błękitu ani różu.

Zaczęła też planować podróż na wschód, do Nick i Hughesa.

- Nie widziałam jej już tak dawno, najdroższy, a kiedy

dziecko się urodzi, nie będę mogła pojechać - powiedziała Avery'emu, przymilając się do męża o sto czterdzieści dolarów potrzebne na podróż w obie strony.

- No cóż, Myszko miła, nie jestem pewien, czy to najlepszy użytek z naszych pieniędzy. Potrzebujemy jak najwięcej na projekt, wiesz o tym. Zwłaszcza że nie zgadzasz się sprzedać swojego domu.

- Ale może, jeśli zobaczę się z Nick osobiście, uda mi się ją przekonać.

- Nadal nie jestem pewien, czemu przekonywanie jej miałoby być konieczne.

- To skomplikowane. - Helena położyła dłoń na ramieniu Avery'ego. - Chodzi o sprawy rodzinne.

- Jezus! - powiedział, odsuwając jej dłoń. - Myślałem, że to ja jestem twoją rodziną. - Pokręcił głową. - Ale jeśli chcesz mnie opuścić, to trudno.

- Najdroższy... - Helenę ogarnęła rozpacz.

- Wybij to sobie z głowy. Jeśli tak bardzo pragniesz tego biletu na pociąg, niech ta zarozumiała suka, twoja kuzynka, za niego zapłaci.

Kiedy godzinę później wracały z salonu Shelley's, powieka prawego oka Heleny drżała w nerwowym tiku.

- Ciociu, tak mi przykro... - zaczęła Daisy, ale Helena nie chciała nawet spojrzeć na siostrzenicę. Przez całą drogę powrotną nie odezwała się do niej ani słowem.

Z domu dobiegały dźwięki gramofonu. Sinatra i *Something Stupid*. Helena zaśmiała się, a powieka znów zadygotała.

Kierując się w stronę muzyki, weszły do błękitnego salonu, gdzie znalazły Nick w jakiejś jedwabistej, białej

tunice, z kieliszkiem szampana w dłoni, podśpiewującą i chwiejącą się w takt melodii. Niewielkie, spienione krople kapały na dywan.

Przy barku Hughes mieszał drinka.

Powieka Heleny, mimo że przytrzymywana wskazującym palcem, drgała już teraz niepowstrzymanie.

Nick odwróciła się, nie przestając podśpiewywać. Na widok przybyłych jej twarz zastygła w wyrazie zdumienia.

- O mój Boże... - powiedziała, gwałtownie unosząc dłoń do ust i próbując ukryć śmiech. - Co, u licha, ta wariatka Shelley z tobą zrobiła?

- Och, mamó! - powiedziała Daisy, sama również wybuchając nerwowym śmiechem. - Ta kobieta jest naprawdę niebezpieczna. Biedna ciocia Helena!

- Biedna ciocia Helena, istotnie. - Nick śmiała się teraz w głos. Pojedynczy, lśniący lok jej ciemnych włosów opadł na oko. Jak na zawołanie. - Na litość boską, Daisy, czy ty próbujesz wykończyć własną ciotkę?

- Moim zdaniem wyglądasz uroczo - powiedział Hughes, uśmiechając się do Heleny życzliwie.

Helena dotknęła włosów. Były straszne. Wiedziała to już w tej samej chwili, w której Shelley z nimi skończyła. Przypominała teraz pudła, który trafił w sam środek elektrycznej burzy. Pragnęła, by rozstąpiła się pod nią ziemia. Chciała złapać za nożyczki i pociąć nimi cały ten dom i wszystkich jego mieszkańców.

- No cóż - odezwała się Nick. - Dobra nowina jest taka, że możesz z nich to wszystko splukać.

Helena stała i patrzyła na kuzynkę.

- Albo i nie - dokończyła pogodnie Nick. - W każdym



razie nic już na to nie poradzi. A wy, moje panie, zdecydowanie potrzebujecie kieliszka szampana.

- Ja chyba... - Helena wymawiała słowa powoli, tak jak się nauczyła w szpitalu. Żeby jej głos nie zdradzał wściekłości. - ...nie powinnam.

- Och, na litość boską, Heleno, to twoje urodziny! Oczywiście, że możesz wypić jeden kieliszek szampana. Albo i dziesięć, jeśli chcesz. To ci chyba dobrze zrobi.

- Nie, dziękuję - powiedziała Helena, nadal przyciskając palec do powieki. - Ale przydałaby mi się aspiryna.

Zanim odpowiedziała, Nick patrzyła przez chwilę.

- No cóż, kochanie. Obawiam się, że aspiryny nie mamy. I nikt nie powiedział nic więcej. Helena poczuła

na sobie wzrok Daisy, usłyszała cichy odgłos, z jakim siostrzenica zaczerpnęła powietrza. Nadal patrzyła wprost na Nick. Wreszcie, pokiwała głową i zawróciła na pięcie, kierując się z powrotem do holu.

- Helena...! - Usłyszała za sobą wołanie kuzynki.

- Nicky, nie zatrzymuj jej - dobiegły ją słowa Hughesa.

- Ja po prostu starałam się o odświeżoną atmosferę, cholera. Na litość boską, minęło już pięć lat. Kiedy ona wreszcie zamierza mi wybaczyć?

Helena poszła prosto do kuchni i otworzyła lodówkę. Wyjęła z półki w drzwiach butelkę szampana, odkorkowała ją i pociągnęła spory łyk. Odstawiając ją, ostrożnie i jak najciszej, rozejrzała się wokół. Popołudniowe słońce wlewało się przez okna, żółte ściany połyskiwały, nadzwyczaj z siebie zadowolone. W rogu kuchni, obok piecyka, pod starzejącą się kuchenną ściereczką z biało-niebieskim nadrukiem w holenderski wzór, stała babka

z lukrem. Helena podeszła i uniosła tkaninę. Popatrzyła na złoty, wyrośnięty wierzch ciasta z zagłębieniem pośrodku, uśmiechając się pod nosem. Wcisnęła palec w miękką, pokrytą słodkim lukrem powierzchnię i naciskała, aż paznokcie oparł się o talerz. Włożyła palec do ust i posmakowała puszystej słodyczy. Zazgrzytała zębami.

Rzucając ściereczkę obok kuchenki, Helena podniosła talerz i wyszła tylnym wyjściem, podtrzymując osiatkowane drzwi, które przymknęły się za nią bezszelestnie. Chyłkiem podreptała przez trawnik, przyciskając talerz z ciastem do piersi.

- Hej, mały! - zawołała czule, dochodząc do białego parkanu.

Czarny piesek rzucił się w podskokach przez trawę, tratując przy okazji część kwietnika, który właśnie obwąchiwał. Helena wyciągnęła rękę i podrapała go we wrażliwe miejsce za uchem. Pies zamachał ogonem.

Przechyliła się przez płotek, jak najdalej mogła, czując wpijające się w brzuch sztachety, i postawiła talerz na trawie. Pies powęszył, a potem zaczął odrywać od babki spore kęsy. Połykał je bez gryzienia.

Helena po raz pierwszy tego dnia poczuła spokój. Wręcz wyciszenie. Zaczekała, aż pies skończy jeść.

- Grzeczny chłopiec - powiedziała cicho do pełnej nadziei, zwróconej ku górze mordki. - Bardzo grzeczny chłopiec.

## 1962, LISTOPAD

Byli za drzwiami. Nie słyszała tego głosu już od dawna, ale z całą pewnością stała tam Suka. Suka i Producent. Najpierw coś powiedziało jedno, później drugie. Suka, Producent. Suka, Producent. Jak mecz tenisa. Suka i Producent grali w tenisa. Helena roześmiała się, ale spróbowała zdławić śmiech poduszką. Nie powinni jej usłyszeć!

- 'Jak to: nie ma pan klucza?

- No tak, no tak. Pani... Ach... Pani Derringer, tak?

- Zgadza się. - Suka nie wydawała się zadowolona.

- Tak. No cóż, pani Derringer, raczej nie mam zwyczaju trzymania kluczy do cudzego domu.

Ponownie łomotanie.

- Cholera jasna, Avery, otwieraj te drzwi! Helena? Jesteś tam, kochanie?

- Wie pani, mam wrażenie, że Avery'ego nie ma.

- Jak to? Gdzie się, do diabła, podziewa ten człowiek?

- Jak wspominałem pani przez telefon, nie śledzę poczynąń swoich przyjaciół. Ale nie mogę powiedzieć, żebym ostatnio go widywał.

- No cóż, panie Fox. Bo pan ma na nazwisko Fox, prawda? - Głos brzmiał teraz bardzo spokojnie. Ale ona umiała lepiej niż ktokolwiek inny udawać spokój. To dlatego właśnie była Suką. Avery miał w tej sprawie rację. - Nie chcę panu sprawiać kłopotu, ale może mógłby pan zadać sobie trochę trudu, chociaż ten jeden raz, i spróbować sobie przypomnieć, kiedy widział go pan po raz ostatni?

- No tak, no tak. Musiałbym powiedzieć, że jakieś parę tygodni temu.

- Parę tygodni?

- Może z miesiąc.

- Miesiąc? Pan chyba żartuje. Gdzie on się, do cholery, miałby podziwiać przez cały miesiąc?

- No cóż, tak, pani Derringer. Tego nie umiałbym pani powiedzieć.

- Nie umiałby pan powiedzieć...

- Nie, nie umiałbym.

- Nic nie szkodzi, panie Fox. Nie musi pan nic mówić. Proszę posłuchać, co do powiedzenia mam ja: znajdę Avery'ego Lewisa sama, ale kiedy już go znajdę, będzie miał kłopoty. Zrobię skandal, jakiego jeszcze nie widziano, i całe to miasto dowie się, co on wyrabiał na terenie pańskiej posiadłości. Pod pańskim dachem. Więc jeśli natychmiast nie znajdzie pan klucza do tego zamka, to ja wzywam policję i każę wyważyć drzwi. Nie przejechałam dwóch tysięcy mil po to, żeby pan mnie powstrzymał. Albo ktokolwiek inny. Rozumiemy się?

Punkt dla Suki. Helena przygryzła poduszkę.

- No już dobrze, dobrze, pani Derringer. Zapadła cisza i Helenie wydawało się, że chyba zapada w drzemkę. Ponownie usłyszała głos Producenta.

- Wie pani, wydaje mi się, że obilo mi się o uszy, że on przesłuchuje aktorki do projektu swojego filmu. Chyba wynajął gdzieś jakieś biuro w tym celu... W związku z tym przedsięwzięciem, rozumie pani. I, no cóż, pewnie tam można go znaleźć.

- Chcę dostać adres. I proszę mi znaleźć ten cholerny klucz.

- Jak już mówiłem, nie mam klucza. Ale ściągnę ogrodnika. Może on będzie mógł nam jakoś pomóc.

- Bardzo dobry pomysł, panie Fox.

A potem Helena faktycznie odpłynęła. To ten dilaudid. Albo demerol; nie pamiętała, który stał na nocnej szafce. Usłyszała ciche stukanie, gdzieś w swoim śnie, a potem poczuła na czole bardzo chłodną dłoń.

- Kochanie. Och, Helena!

Helena otworzyła oczy. To była ona. Czyżby płakała? Nie, Suka przecież nie płacze. Nie ma powodu, by plakać.

- Kochanie? Słyszysz mnie? To ja, Nick. Moja biedna Helena! Zabieram cię stąd.

Helena była zbyt senna, żeby odpowiedzieć, że nigdzie się nie wybiera. Nie z nią.

- Avery...

- Nie martw się teraz o nic. Proszę. Zajmę się wszystkim.

Helena skinęła głową. Nie wiedziała, czemu skinęła, po prostu chciała, żeby to gadanie już się skończyło i żeby mogła z powrotem zasnąć. Była taka zmęczona. Przymknęła oczy, ale nadal słyszała odgłosy tenisa.

- Jezu Chryste! Trzeba wezwać lekarza.

- To tylko tabletki, pani Derringer. - Producent też

był przy jej łóżku. - Poczuję się dobrze, kiedy odeśpi. Ale jeśli się pani niepokoi, mogę zadzwonić do doktora Hofmanna. To jest lekarz Heleny... hm... pani Lewis.

- Czy pan oszalał? Proszę tylko na nią spojrzeć! A oszalał pan jeszcze bardziej, jeśli pan sądzi, że pozwolę zbliżyć się do niej temu szarlatanowi. Gdzie jest telefon?

Helena była z powrotem w Tiger House. Trwało lato i lniane zasłony, uszyte jeszcze przez jej babkę, drżały na półpiętrze. Za oknem widziała matkę i ojca, którzy popijali herbatę na trawniku po drugiej stronie ulicy, razem z ciotką i wujem. Lekka bryza unosiła rondo kapelusza matki, która usiłowała przytrzymać go jedną dłonią, bo drugą balansowała filiżanką.

Łydka bolała ją w miejscu, w które kopnęła ją Nick, choć Helena nie wiedziała, dlaczego oberwała kopniaka. Przecież to Nick była nieznośna. Obiecała jej niespodziankę, a potem zabrała ją na Main Street, gdzie właśnie asfaltowano nawierzchnię. Helena patrzyła z przerażeniem, jak Nick sięga ręką i ściąga pasmo ciepłej smoły z drogi, a potem pakuje je sobie do ust. Później próbowała jeszcze zmusić Helenę, żeby ta zrobiła to samo, ale ona odmówiła, a Nick nazwała ją małym dzieckiem. Rzuciła w nią kawałkiem asfaltu, plamiąc sukienkę. Helena rozplakała się, wiedząc, że matka będzie wściekła, i zapowiedziała kuzynce, że idzie się poskarżyć. I to właśnie wtedy Nick z całej siły kopnęła ją w kostkę.

A teraz jej szukała, ale Helena schowała się za zasłonami na półpiętrze. Słyszała na dole głos dziadka.

- A, tu jesteś, diabłątko. - Dziadek zwrócił się do Nick. - Jaka psotę wymyśliłaś tym razem?

- Żadnej, dziadku.

- Czy ty masz smołę na zębach? - Helena usłyszała śmiech. - Kochana Nick! Prawdziwe półdiablę z ciebie. No cóż, nieważne. Chciałem ci pokazać, co przywiozłem z Indii. Popatrz, jakie piękne.

Helena też rozpaczliwie zapragnęła zobaczyć to coś, ale bała się zdradzić swoją kryjówkę.

- Widzisz te tygrysy? Kiedy ty i twoja kuzynka dorośniecie, każę uszyć z tego materiału sukienki dla was obu. Co ty na to?

- Jest śliczny. - Głos Nick był pełen zachwytu.

- No dobrze. To ja teraz idę do Reading Room na drinka. Tylko nie mów babci.

- Nie powiem, dziadku - obiecała Nick. A potem dodała, nieco głośniejszym głosem: - Najbardziej na świecie nie cierpię skarżypyt.

- To tak jak ja. Dobrze powiedziane.

Helena odczekała krótką chwilę, aż znów zapadła cisza, a potem wyrzwała znad balustrady schodów. Nick stała w holu, z głową lekko przekrzywioną na ramię. Helena wciągnęła policzki, a potem je wydeła, czekając, aż na języku zbierze się dość śliny. Wychyliła się przez poręcz najdalej, jak mogła, i pozwoliła kulce śliny spaść, obserwując, jak ląduje ona z przyjemnym plaśnięciem na głowie kuzynki.

Kiedy otworzyła oczy, nadal je słyszała. Za to pokój inny. Większy. Wiedziała to, bo odległość od łóżka do ściany była ogromna. A same ściany miały barwę

miętowej zieleni. Obok łóżka stała szafka nocna, ale nie stały na niej jej pigułki, tylko szklanka wody. Helena chciała po nią sięgnąć, bo zaschło jej w ustach, ale tak, by oni nie zorientowali się, że nie śpi.

- Dzwoniłem do doktora Hofmanna. Dał mi listę tego, co brała, i szczerze mówiąc, pani Derringer, jestem zdziwiony, że jeszcze nie przedawkowała. To niezły koktajl.

- Rozumiem. A czy ten lekarz, czy kim on tam jest, powiedział, po co ona bierze te wszystkie leki?

- Typowa lista. Niepokój, depresja, bezsenność, rozdrażnienie.

- Wszystko razem?

- No cóż, moim zdaniem niektóre pigułki mogły spowodować kolejne symptomy, leczone z kolei za pomocą następnych specyfików i tak dalej. Nie mogę być całkowicie pewien, skoro osobiście nie prowadziłem jej przypadku. Wydaje mi się, że przez długi czas zażywała w miarę rozsądne dawki, ale w ciągu mniej więcej ostatnich trzech lat zaczęła brać leki w ilości, którą określiłbym jako zagrażającą zdrowiu.

- Cholera jasna! Jeśli znajdę jej męża, to uduszę go własnoręcznie. A razem z nim tego przekłętego szarlatana!

- Tak. W każdym razie... Rozumie pani, że nie można tak z miejsca całkowicie przerwać podawania jej tych leków?

- Pan chyba nie sugeruje...?

- Dokładnie to sugeruję. Jeśli natychmiast przerwiemy ich podawanie, objawy odstawienia mogą ją zabić. Wie pani, muszę jeszcze raz powtórzyć z całą stanowczością,



że pani kuzynka powinna pozostać w szpitalu. Leki muszą być dozowane precyzyjnie i w regularnych odstępach czasu, z czym najlepiej poradzi sobie ktoś z doświadczeniem. Nie jestem pewien, czy hotel to najwłaściwsze miejsce, żeby uporać się z tak poważną sytuacją.

- Nie oddam Heleny do szpitala. Moim zdaniem lekarze w tym mieście już dość dla niej zrobili.

- Nie wszyscy jesteśmy potworami, pani Derringer.

- Poleciał mi pana doktor Monty, któremu ufam. I to tyle w tej kwestii. Jestem pewna, że pan mnie zrozumie. Proszę mi powiedzieć, co mam robić.

- Jak pani sobie życzy. Sporządziłem listę nowych leków - kiedy mają być podawane i w jakich dawkach. Dam pani numer do prywatnej pielęgniarki. Nie obiecuję, że pani Lewis nie będzie doznawała objawów odstawienia, które powinno się kontrolować. Koszmary senne, irytacja, wymioty, pocenie się, możliwe ataki drgawek. Wszystkiego tego można się spodziewać. Rozumie pani?

- Tak. - Głos Suki nie brzmiał teraz już tak spokojnie. - Kiedy będzie zdolna do podróży? Chcę ją jak najszybciej zabrać do domu.

- Na pewno nie przez tydzień. Może za dwa? Teraz tak... Zaczniemy od fenobarbitalu. W przypadku pani kuzynki, chociaż przyjmowała, zdaje się, głównie opioidy, to właśnie barbiturany są najbardziej niepokojące...

Helena nie chciała już tego słuchać. Pragnęła Avery'ego. Gdzie on się podział? Przecież nigdy nie wróci, jeśli Suka będzie się przy niej stale kręcić. A ona tak na niego czeka! Czeka. Czeka... A on nie wraca. Powiedział, że znalazł Ruby. Ale przecież to nie była Ruby. To był ktoś inny. Jakaś blondynka. Ruby miała rude włosy.

Pamiętała, że tak mu powiedziała. Że to nie może być Ruby, bo Ruby była ruda. A Avery odparł, że ufarbuje jej włosy na rudo. I koniec. Miał zamiar robić zdjęcia próbne. I znalazł Ruby. I powiedział, że Helena powinna się przespać, a kiedy dojdzie do siebie, ma zadzwonić do Suki i zdobyć pieniądze. Raz a dobrze. A wtedy on wróci. A teraz Suka była tutaj. Czy ja do niej zadzwoniłam? Helena nie mogła sobie przypomnieć. Ale jeśli zdobyła pieniądze, to gdzie jest Avery? Dlaczego Suka po prostu nie dała pieniędzy? Ile razy można błagać? Suka miała ją gdzieś. Zabrała jej Eda. Powiedziała, że Ed musi chodzić do szkoły. Bo jest inny. A teraz zostawił ją Avery. Bo go zawiodła. Nie zdobyła pieniędzy i pozwoliła im zabrać Eda, a teraz jeszcze Avery... On jej nie kochał!

- Cii. Kochanie, wszystko w porządku. Jestem przy tobie. Och, Heleno, nie płacz.

Nie chcę jej. Dlaczego ona sobie nie pójdzie?

- Czas na lekarstwo. Lekarz mówi, że poczujesz się lepiej.

Woda była chłodna. A potem mrok.

Elm Street. Przez siatkowe drzwi Helena widziała Nick czytającą na schodkach przy kuchni.

- Znów mi się pomieszały daty. To nie był dzień na mięso. Ale mam trochę puszkowanej kukurydzy. A przynajmniej wydaje mi się, że to kukurydza.

Nick podniosła oczy znad książki i uniosła brew.

- Niczego innego bym się nie spodziewała. Helena się zaśmiała.

- Och, przestań. Wiem, jestem beznadziejna. Ale tym razem mam dobrą wymówkę. - Otworzyła drzwi

i przysiadła obok kuzynki. - Spotkałam kogoś. W sklepie żelaznym. Nie mieli igieł gramofonowych, tak przy okazji. Cały metal idzie dla wojska. Pan Denby nawet spojrzął na mnie złym wzrokiem, jakbym była jakimś niemieckim szpiegiem.

- Może jakoś uda nam się naostrzyć tę, którą mamy. Naprawdę, straszne nudy. Puszgowana kukurydza i zdarte płyty!

- Nie chcesz posłuchać o mężczyźnie, którego poznałam?

- A mam chcieć? Co mu dolega? Płaskostopie czy po prostu jest ciotą?

- Nie bądź wredna. Pracuje dla Biura Informacji Wojennej. W Hollywood. Czy to nie ciekawe?

- Porywające, kochanie. A ma jakieś igły do gramofonu? To by mnie naprawdę zaintrygowało.

- Nie, ale zaprosił mnie na obiad. I uważa, że jestem piękna jak Jane Russell.

- Jane Russell, jeszcze co. - Nick popatrzyła na kuzynkę i się zaśmiała. Rzuciła książkę w trawę i objęła Helenę ramieniem. - Jesteś piękna. Bardzo. Ale na swój własny sposób. Nie tak, jak ta dziwaczna Jane Russell.

Helena oparła głowę o głowę Nick.

- Randka.

- Tak, randka...

- Nie byłam na randce od czasów Fena. - Helena uniosła głowę i spojrzała na kuzynkę. - Mogę cię prosić o wielką przysługę? Czy pożyczysz mi pończochy? Wiem, że to twoja ostatnia para...

- Możesz sobie wziąć moje pończochy, kochanie. Niech to będzie mój wkład w wojenny wysiłek. Trzeba

to uczcić. Wyjmij gin i szklanki, a ja pójde poszukać tych cholernych pończoch.

Kiedy Nick wróciła do kuchni z ustami wykrzywionymi w wodewilową maskę smutku, Helena już popijała gin.

- Kochanie, złe nowiny. I chyba lepiej będzie, jeśli ze mną pójdziesz.

Helena weszła za Nick do małej, zagraconej łazienki. Na zasłonce nad wanną wisiał pusty wieszak. Nick z poważną miną wskazała dno wanny, a Helena zajrzała tam i zobaczyła kupkę brunatnego proszku.

- Zdaje się, że pończochy przeniosły się do lepszego świata...

- A niech mnie licho! - Helena podniosła oczy. - Rozpadły się? To po prostu... tragedia.

- Wiem.

- I co my teraz, do diabła, zrobimy?

- No cóż... Moim zdaniem należy im się przyzwoity pochówek.

- Chrześcijański - zgodziła się Helena.

- Ja przygotuję grób, a ty wybierz muzyczną oprawę żałobnej procesji. W końcu miały być twoje, kochanie. - Nick zebrała kupkę pyłu w uniesioną spódnice.

Helena wybrała płytę, a kiedy od strony podwórza kuzynka dała jej sygnał, opuściła zużytą igłę na winyl.

Zobaczyła, jak Nick odrzuca głowę do tyłu, wybuchając śmiechem.

- Och, Heleno, uwielbiam cię! - zawołała. - *Sonata Księżycowa?* Naprawdę, jesteś nie do pobicia!

Helena otworzyła oczy i przez moment miała wrażenie, że jest sama. Pokój wydawał się taki pusty.

Swędziały ją dłonie i cała była obolała. Dlaczego poduszka jest wilgotna? Od płaczu? A potem poczuła zapach papierosowego dymu; zrobiło jej się niedobrze. Gdzieś za sobą słyszała pochlipywanie.

- Tak, znalazłam go. To wszystko było takie wstrętne... Mieszka z jakąś zdziwą w zapadłej dziurze. Trzeba było zobaczyć jego minę, kiedy otworzył drzwi. Taki był cholernie zadowolony z siebie, jakby się mnie spodziewał.

Helena wstrzymała oddech. Suka mówiła o Averym. Musi słuchać uważnie! Nie wolno jej teraz zasnąć.

- Hughes, musimy sprzedać ten domek. Nie, nie stać nas na to. On podał swoją cenę, a ja ją przyjąłam. I nic się na to nie poradzi. Ona może żyć z tego, co zostanie. A my będziemy musieli płacić za szpital. I za szkołę Eda.

Helena poczuła wszechogarniający spokój. Avery dostał pieniądze. Teraz po nią wróci. Wszystko dobrze się ułoży.

- No a co innego możemy zrobić? Myślisz, że mnie się od tego nie robi niedobrze? Najchętniej bym go zabiła. Najgorsze jest to, że koniec końców, dostał, czego chciał. Nawet nie próbuj zaczynać ze mną rozmowy o tym bydlaku Foxie! Pieniądze ze sprzedaży domku mojego ojca pójdą prosto do jego kieszeni. Pamiętasz tę całą historię z „kolekcją”? No to powinieneś zobaczyć ten smutny, mały jarmark w ich domu. To jakaś pieprzona kapliczka. Żałosna.

Suka nie przestawała pociągać nosem.

- Nienawidzę samej siebie za to, że zostawiłam ją na jego łaskę i niełaskę.

Ach, ona i to całe jej świętoszkowate uzalanie się nad sobą! Już dawno przeżułaby Helenę i ją wypluła... Gdyby nie Avery.

- Pozałatwiałeś wszystko? Tak? I co doktor Monty powiedział? Hughes, ja wiem, że Monty to dureń, ale to nasz własny dureń. Przynajmniej znajdzie dla niej miejsce w porządnej, szanowanej instytucji, gdzie Helena otrzyma pomoc, dopóki nie odzyska sił.

Co ta Suka znów kombinuje? Przecież Avery nie pozwoli jej mnie zabrać. Nie wolno się tym martwić.

- No cóż, porozmawiamy o tym, kiedy wrócę do domu. Co powiedzieli w szkole? Och, na litość boską! To tylko chłopięce wygłupy. Jesteś dla niego zbyt surowy. Tak, jesteś. Biedny chłopak czekał i czekał, że ktoś go zabierze na wakacje, a tu nikt nie przyjechał. Już to samo wystarczy, żeby człowiek nabrał ochoty na porozrabianie.

Ed. Jej dziecko. Suka mówi o Edzie. Jakie wakacje? Szkolne? I coś o bilecie na samolot. Bilet na samolot dla Eda. Żeby wrócił do domu. To już Święto Dziękczynienia? Och, znów nie stanęła na wysokości zadania. Jak mogła być tak głupia? Ale i Ed był dla niej okrutny. I usiłował zniszczyć projekt Avery'ego. Fakt. Tyle że nie była to jego wina. To ona zawiodła swoje dziecko. To wszystko przez to, co kiedyś zobaczył. Przez tę zabitą dziewczynę. Nie, coś nie pasuje... Zabita dziewczyna była później. Helena potrzebowała swoich pigułek. Dlaczego Suka nie chce jej dać kolejnej?

- Bill wydaje przyjęcie. - Avery siedział na podłodze gabinetu; przed sobą rozłożył fotosy młodych aktorek. - Przyjęcie dla jakichś bardzo ważnych ludzi. A wiesz, że zdaniem Billa jesteś bardzo piękna? I tak się zastanawia, czy nie przyszłabyś na jego imprezę w charakterze ozdoby? Oczywiście zapłaci.

- Jak to: zapłaci? Co to znaczy, Avery? - Helenie zrobiło się bardzo zimno.

- Nie, nie, nie. Nie o to chodzi - odparł Avery, dostrzegając wyraz jej twarzy. Wstał i objął żonę ramieniem. - On po prostu chce, żebyś się tam pokazała, wypła kieliszek szampana, pogadała z niektórymi gośćmi. Czy ty nie zdajesz sobie sprawy, jak jesteś olśniewająca? Nie wiesz, że ludzie zgodziliby się płacić, żeby na ciebie popatrzeć?

- Nie wierzę. Avery się roześmiał.

- Nie rozumiesz Hollywoodu, moja słodka. Ale właśnie to w tobie uwielbiam. Niemal piętnaście lat, a ty nadal pozostajesz czysta i świeża.

- Mamo?

Helena obejrzała się i zobaczyła w progu Eda. Jego postać niemal wypełniała ramę niskich drzwi. Kiedy on zdążył tak urosnąć?

Avery odsunął od siebie żonę i spojrzał na nią z wyrzutem.

-Dlaczego on ciągle się na nas gapi? I dlaczego wiecznie się skrada pod drzwiami?

- Avery.

- Ed. To, co się dzieje między mężczyzną a kobietą, między dwojgiem kochających się ludzi, to rzecz prywatna. Ich własna. Rozumiesz? To się nie dzieje dla ciebie, żebyś mógł się gapić jak jakiś podglądacz.

-Avery - powtórzyła Helena ostrzej. - Przestań. - Obejrzała się na Eda. - Przepraszam cię, kochanie, jeszcze nie zdążyłam go zapytać. Avery, Ed chce się dowiedzieć, czy może pomóc ci w pracy. Ma już trzynaście lat i chce być przydatny. I wie, jak ciężko tyrasz.

- I nie jestem podglądaczem - dodał Ed. - Prowadzę obserwacje naukowe. Ty też zajmujesz się zbieraniem informacji.

Avery popatrzył twardo na syna. A później powoli pokiwał głową, jakby nagle podjął jakąś decyzję.

- Dobrze. Widzę, że wyrastasz na mężczyznę. Mężczyznę, który ma prawo do pracy, wolności i tworzenia. Tak uważam.

Żołądek Heleny ścisnął nieznany niepokój.

- Avery, nie chcę, żebyś pokazywał mu zdjęcia sam-wiesz-czego. Proszę cię. A ty, Ed, musisz też zadbać o lekcje. Nie życzę sobie, żebyś przez cały dzień tkwił zamknięty w jakimś ciemnym pokoju.

- Nie, Myszko. Jeśli Ed chce być mężczyzną, to będę go traktował jak mężczyznę. On i tak nieuchronnie zmierza ku dorosłości.

Ed stał w drzwiach, patrząc na ojca. Helena nie umiała odczytać wyrazu jego twarzy. Być może to jednak był zły pomysł, pomyślała, patrząc na nich dwóch, a potem na pokój. Z jego żółknącymi plakatami i rozpadającymi się ubraniami.

Nie chciała, żeby jej syn oglądał te makabryczne fotosy z miejsca zbrodni. Ale pragnęła, żeby spędzali ze sobą więcej czasu, to prawda. Nigdy nie byli blisko w rodzinie; Avery zawsze traktował syna jak irytujący dodatek do Heleny. Postanowiła wtedy, że ponownie zabierze Eda do Tiger House na lato, żeby wyrwać go stąd choć na jakiś czas, z dala od Avery'ego. By dać mu pograć w tenisa i pobawić się z Daisy. I żeby to wszystko nie wymknęło się spod jej kontroli.

-A teraz, synu, chciałbym porozmawiać z twoją



matką na osobności - odezwał się Avery. - Tylko nie wyobrażaj sobie, że się nie zorientuję, że słuchasz.

Ed wyszedł, a Avery odczekał, żeby się upewnić, czy chłopak znikł naprawdę. Potem odwrócił się do żony.

- A więc... Pójdiesz na przyjęcie do Billa?

- Tak. O ile to nie jest... No nie wiem. Coś dziwnego.

- Tylko jeśli dziwakami można nazwać mężczyzn, którzy chcą popatrzeć na moją piękną myszkę.

- Avery...

- Posłuchaj. Chcę z tobą porozmawiać o czymś jeszcze. Dzwonił doktor Hofmann. Powiedział, że ostatnio nie odnawiałaś żadnych swoich recept. Niepokoi się. I ja też.

- No bo ja po tych pigułkach jestem taka zmęczona! A i Ed to już nie małe dziecko. Nie mogę go odesłać, żeby się pobawił ani zamykać go w jego pokoju. Może czegoś ode mnie potrzebować. A po tych lekach głowa nie działa mi jak trzeba.

- Ed to już teraz mężczyzna, moja kochana. Czy nie tego dotyczyła nasza rozmowa przed chwilą? Oboje potrzebujemy cię wypoczętej i w formie. Ja się zajmę Edem.

- Kochanie, ja już po prostu nie chcę ich dłużej brać. Uważam, że nie są mi potrzebne. Pamiętasz, jak byłam w ciąży i potem? Nie brałam pigułek i nic mi nie dolegało.

- Możesz robić, co chcesz, Heleno. Zawsze to wiedziałaś. Tylko mi obiecaj, że na tym przyjęciu będziesz się dobrze zachowywać. Jeśli nie będziesz wypoczęta, odbije się to na twojej twarzy i Bill będzie rozczarowany. Weź to pod uwagę.

Helena skinęła głową. Pomyślała, że może weźmie

jedną tabletkę, ale przed samym przyjęciem. Potem już koniec. Zresztą teraz już wcale nie zasypiała po lekach, chyba że brała ich sporo. Za to potem robiło jej się niedobrze. Chociaż od jakiegoś czasu wiedziała, że jej nie służą, nie przykładła do tego większej wagi. Ale teraz dłonie jej drżały, a serce galopowało w sposób, który ją przerażał. Czasami nie mogła sobie przypomnieć różnych rzeczy. Na pewno nie będzie brać, kiedy pojedzie do Tiger House. Wiedziała, że Nick tego nie pochwała, a ciężko coś ukryć, kiedy mieszka się z innymi pod jednym dachem. Jeśli będzie się czuła niedobrze, zawsze może napić się whiskey. Jak wszyscy w jej rodzinie.

- Proszę, proszę - powiedział Bill Fox, trochę później tego wieczoru, kiedy otworzył ciężkie, rzeźbione drzwi willi. - Tak myślałem, że to może ty. Więc powiedziałem sobie: „Może sam otworzysz drzwi i ładnie zaprosisz do środka Jane Russell?”. Nie ma to jak osobiste powitanie, prawda słonko?

- Witaj, Bill. - Helena nie cierpiała Producenta. Zawsze obiecywał Avery'emu różne rzeczy, a potem zmieniał warunki. Ale demerol nieco pomagał jej opanować niechęć.

-No, czyż to nie piękna suknia? Obciska cię we wszystkich właściwych miejscach. A jest ich wiele. - Mrugnął. - Chodź do środka.

Helena miała na sobie dopasowaną niebieską suknię z połyskliwego materiału, uszytą samodzielnie z książki z wykrojami otrzymanej od Nick na Gwiazdkę. Obcasy jej butów stukały na wypalanych kaflach posadzki, kiedy szła śladem Billa przez sklepiony hol, w stronę tarasu.

Mężczyźni w białych smokingach serwowali gościom

szampana w wysokich kieliszkach ze srebrnych tac - kilku aktorkom, które Helena widywała z Billem już wcześniej, w towarzystwie grupy starszych mężczyzn. Założyła, że ci panowie to biznesmeni.

Słońce zachodziło czerwienią nad wzgórzami i Helena oparła się o barierkę z kutego żelaza, wdychając wieczorne powietrze. Tutaj, w willi, było jakoś inaczej. Jaśniej, widniej. Daleko od ciasnego gościnnego domku z jego po-zaciąganyimi zasłonami. A przecież to zaledwie odrobinę wyżej, na wzgórzu. Helena czuła zapachy z położonego pod domem sadu. Jabłka Anna, drzewa cytrynowe Eureka i Sweet Lemon, pomarańcze Valencia i Blood.

- Masz tu kieliszeczek szampana, słonko - powiedział Bill Fox, gestem przyzywając kelnera. - Pięknie tutaj na górze, nieprawdaż? - Idąc za wzrokiem Heleny, popatrzył na sad. - Moja pierwsza żona... Uwielbiała drzewa owocowe.

- Naprawdę?

- Naprawdę. - Bill Fox nachylił się bliżej. Jego dłoń zatrzepotała na jej udzie. - Ty też je kochasz?

"Helenie przypomniał się wieczór, kiedy oboje z Averym, pijani, zakradli się do sadu, by ukraść z niego trochę owoców. To było tylko parę jabłek, które zresztą i tak okazały się niedojrzałe. I pamiętała swój żal, że nie było z nimi Nick. To była dokładnie taka eskapada, za jakimi przepadała kuzynka.

- Tak, lubię je. - Helena odsunęła się o parę cali.

- Proszę, proszę. Ale chyba nie jesteś onieśmielona, słonko, prawda?

- Bill, dlaczego mam być onieśmielona? Znamy się od tak dawna.

- To prawda. Jesteśmy jak rodzina. Ty i ja. I Avery. No i nie zapominajmy o naszej drogiej zmarłej. Ruby. Ona też należy do rodziny.

Helena dostrzegła, że przygląda im się jedna z młodych aktorek. Vicky czy Kiki.

- To twoja dziewczyna? - Szturchnęła Billa Foxa łokciem. Producent odwrócił się i spojrzał.

- Moja dziewczyna? Och, ja już chyba ostatnio jestem za stary na dziewczyny. Nie mógłbym się w nich połapać. Poza tym one się robią coraz chudsze. Wolę, kiedy bardziej przypominają ciębie, kotku. Takie okrągłe i miękkie.

Helena sięgnęła po kolejny kieliszek szampana.

- Przepraszam - powiedziała. - Muszę iść przypudrować nos.

W łazience popiła następną pigułkę wodą ze szklanki przygotowanej dla gości. Pożałowała, że nie ma z nią Avery'ego. W domu Billa Foxa była zaledwie kilka razy w ciągu tych wszystkich lat i nigdy bez męża. Zastanowiła się, ile Bill mu zapłaci; miała nadzieję, że sporo. W głowie jej się nie mieściło, że Avery chciał, żeby ona tu przyszła. Bill zawsze zbyt swobodnie pozwalał sobie z rękami, choć nie bardziej z nią niż z innymi. A teraz był stary. Wydawał się Helenie stary już wtedy, gdy go poznała, w Ciro's, z tymi swoimi posiwiałymi włosami. Teraz na policzkach miał jeszcze plamy wątrobowe, a dłonie niczym stara wiedźma. Zadrżała. Ma po prostu ładnie wyglądać i być miła, a potem wrócić do domu i położyć się spać.

Znacznie później znalazła się z Billem Foxem sam na sam. Wszyscy już wyszli, ale ona tego jakoś nie zauważyła, zatopiona w rozmowie z jedną z aktorek, która uskarżała

się na konieczność robienia kariery przez łóżko. Największe obiekcje kobiety, jak się zdawało, nie dotyczyły samego seksu, tylko tego, że po nim nie zapraszano jej na kolację. Helena kiwała głową i piła. A potem piła jeszcze więcej. Dziewczyna gdzieś odpłynęła, a Helena została sama z gospodarzem na balkonie. Wiedziała, czego chce Producent. Wiedziała to przez cały wieczór. Nie potrzeba było do tego żadnego geniuszu. Uśmiechnięty Bill opierał się o ramę sięgającego posadzki okna.

W drodze do gościnnego domku Helena potknęła się na jednym ze stopni i wykręciła sobie kostkę. Bill Fox złapał ją pod ramię.

- Uważaj, słonko - szepnął.
- Po co idziemy do mnie? - Nie bardzo pamiętała.
- Tam ci będzie wygodniej.
- Avery - powiedziała.
- Wyszedł, słonko. Pracuje, nie pamiętasz? Nie pamiętała.

W sypialni Bill chciał zostawić włączone światło.

- Chcę na ciebie patrzeć. Chcę widzieć, za co płacę. Choć nie muszę tego robić, odkąd skończyłem szesnaście lat - zachichotał.

Helena też się zaśmiała, chociaż wiedziała, że żart nie był przeznaczony dla niej.

Producent poruszał się nad nią i sapał. Brakowało mu tchu. Starość. Helenie chciało się śmiać z tego starucha, któremu bardziej potrzebna była pielęgniarka niż igraszki na sianie. Ale wiedziała, że tylko by go rozzłościła, a wtedy ani ona, ani Avery nie zobaczyliby swoich pieniędzy. Więc zamiast tego pozwoliła mu dyszeć do woli, podczas gdy sama patrzyła w ścianę.

- Jesteś prawdziwą dziwką. - Kaszlnął jej do ucha. - Zawsze to wiedziałem.

Powoli dochodził. Wyczuwała to.

- Mamo?

Ciało Heleny zeszywniało jak deska. Odgłosy wydawane przez Producenta, to światło i to łóżko zawirowały razem jak rozlana woda, znikająca w odpływie. Nie, to niemożliwe.

- Mamo?

Jak mogła zapomnieć o synu? Zepchnęła z siebie Producenta tak mocno, że ten spadł za krawędź łóżka, sapiąc i pokaszując. Helena usiadła, zakrywając piersi ramieniem.

Ed stał w drzwiach, ubrany w piżamę, a Helena zastanowiła się, jak mogła wcześniej pomyśleć, że syn wygląda na wysokiego. Był przecież zaledwie chłopcem. Ale oczy miał nieruchome, twarde. Patrzył na matkę z ciekawością raczej niż z lękiem czy gniewem.

- Ed... - odezwała się Helena, ale zrozumiała, że nie ma mu nic do powiedzenia.

Chłopak popatrzył na Producenta, który teraz zerkał znad krawędzi materaca. Jego ubranie leżało za daleko, żeby mógł wstać bez obnażania nagości.

- No, synu... - zaczął.

- Nie jestem pańskim synem - stwierdził Ed rzeczowo. - I powinien pan stąd pójść. Moja matka nie czuje się dobrze.

- Ja tylko... No tak, tak. - Producent też chyba nie wiedział, co robić.

A Ed nie ruszał się z miejsca. Stał bez ruchu, dopóki starszy pan nie odważył się dać susa w bok. Producent złapał swoje ubranie i zwiął. Helena zapewne

wybuchnęłyby śmiechem na ten przejaw tchórzostwa w obliczu trzynastoletniego chłopca, gdyby właśnie nie pękało jej serce.

- Ed, kochanie... - zaczęła, kiedy po Producentcie nie został ślad. Okryła się prześcieradłem. Chciała wyciągnąć do syna rękę w geście dobrej woli, ale sam zamiar wykonania go wydawał się groteskowy. - Twój ojciec, kochanie. .. Pracował bez przerwy, od tak dawna... - urwała. Nie umiała synowi niczego wyjaśnić.

- Rozumiem - powiedział Ed. - Sprawy zawodowe. I zostawił ją samą w oświetlonym pokoju.

Helene obudził głos z radia.

*Autobus wiozący grupę młodych działaczy na rzecz praw obywatelskich, zmierzający do Birmingham w stanie Alabama, został we wtorek po południu zaatakowany w pobliżu Anniston.*

Nerwy miała jak ze szkła, głowa pulsowała jej bólem. Ale nie mdliło jej już tak bardzo i przekonała się, że jest w stanie siedzieć bez zawrotów głowy. Sięgnęła po dzbanek i nalała sobie trochę wody. Płyn smakował słodko i cytrynowo, więc wypła go chciwie i dołała więcej.

- Helena?

Helena podniosła oczy i w progu zobaczyła Nick.

- Jak ty się czujesz, kochana?

- Głowa mnie boli.

- Och, kochanie, wróciłaś do nas. Do świata żywych. - Kuzynka przeszła przez pokój i przysiadła na skraju łóżka. - Nie odzywałaś się przez wiele dni. Zastanawiałam się, czy w ogóle kiedyś jeszcze usłyszymy twój głos.

Usiłowała wziąć Helene za rękę, ale ta odsunęła dłoń.

- O co chodzi?
- Chcę zobaczyć Avery'ego.
- Rozumiem. - Nick opuściła wzrok i zaczęła się bawić rąbkiem prześcieradła. - Wydaje mi się, że Avery nie przyjedzie, kochanie.
- Chcesz chyba powiedzieć, że nie pozwalacie mu przyjechać. Czy on w ogóle wie, gdzie jestem?
- Nie, nie sądzę. - Twarz Nick miała maskę łagodnego współczucia.
- Nie waż się tak na mnie patrzeć! Nie potrzebuję twojej litości. Chcę porozmawiać z mężem.
- Kochanie, jedziemy do domu. Nie czułaś się dobrze. Chcemy, żebyś wyzdrowiała i znów zamieszkała z nami, z Hughesem i ze mną. Tęskniłam za tobą. I nie chcę się dłużej obywać bez ciebie.
- Helena zaśmiała się gorącym, płytkim, szarpiącym płuca śmiechem.
- Tęskniłaś?
- Tak, Heleno. Tęskniłam za tobą, chcę...
- Ty chcesz, ty chcesz. - Skóra znów zaczynała swędzieć i Helena miała ochotę zedrzeć ją z siebie paznokciami. - A co z moimi pragnieniami?
- Heleno, na litość boską! Bądź rozsądna, kochanie. Naprawdę chcesz wracać do tego okropnego domu i siedzieć tam sama jak palec?
- Nie jestem sama. Jestem mężatką. O ile nie zapomniałaś.
- Oczy Nick pociemniały o ton.
- Nie zapomniałam. - Jej głos brzmiał teraz chłodno. - Ale wygląda na to, że zapomniał o tym twój mąż.
- Nie mów tak! - Helena poczuła, że przechodzi jej



gniew. - Wiem, że Avery nie jest ideałem, jak ten twój święty mężulek. Ale ja chcę z nim porozmawiać.

- Nie - wycedziła Nick. - Nie. Przykro mi, kochanie, ale nie mogę na to pozwolić. A przynajmniej nie teraz.

- Nie możesz mnie u siebie więzić. Nie możesz mi zabronić bycia z Averym.

- Nie jesteś uwięziona. Ale staram się ciebie chronić i nic mnie nie obchodzi, co na to powiesz.

- Och, wiem, że cię nie obchodzi. Avery od początku miał rację. Nigdy ci na mnie nie zależało. Nie tak naprawdę. Rzeczywiście jestem twoim cieniem. Służę jako tło, na którym wypadasz lepiej, a mnie pozostają same ochłapy, kiedy już skończysz. Ale nie mogę mieć nic własnego. Do szału by cię to doprowadziło, prawda?

- Jak możesz tak do mnie mówić? - Helena ujrzała, że oczy Nick rozbłysły. - Kocham cię. Nie rozumiesz tego?

- No cóż... Ja za to nie kocham ciebie. Już nie.

- Nie czujesz się dobrze, moja droga - powiedziała Nick, wstając z łóżka i przechodząc przez pokój do drzwi: - Wiem, że tak nie myślisz.

Helena dosłyszała z sąsiedniego pokoju płacz kuzynki. I choć świadomość tego nieco ją zabolęła, pojawiło się zadowolenie.

## 1967, SIERPIEŃ

Po numerze z psem sąsiadów Helena próbowała przyczesać jakoś tę potworną szopę na głowie, ale niespecjalnie jej się to udało. Położyła się więc na szezlongu w swoim pokoju i przysnęła, budząc się jakiś czas później, kiedy ktoś zapukał do drzwi. Słońce zniżało się już nad wodą, na frontowym trawniku buczały chrząszcze. Trawa, już od paru tygodni zbrązowiała, była wypalona długim, upalnym latem.

- Helena! - Usłyszała ciche nawoływanie Nick. - Mogę wejść, kochana?

Helena westchnęła.

Nick nie czekała na odpowiedź (skądże!), po prostu otworzyła drzwi i zajrzała do środka.

- Nie chcę się kłócić. Nie w twoje urodziny.

Helena popatrzyła na nią bez słowa. Naprawdę, zebrało się tyle rzeczy, których już nie mogła Nick powiedzieć, że trudno jej było w ogóle odzywać się do kuzynki. Nawet wymieniać z nią drobne uprzejmości czy godzić na małe ustępstwa.

- Nie kłóćmy się - powiedziała. Czowała się znużona.

- Przyniosłam ci coś. Gałązkę oliwną i prezent. Mogę wejść?  
- Oczywiście, że możesz wejść - powiedziała Helena. - To twój dom.

Nick udała, że nie dosłyszała ostatniej uwagi. Pod pachą niosła paczkę owiniętą brązowym papierem. Na nocnym stoliku, obok szeszlona, położyła małą, białą tabletkę.

- Znalazłam aspirynę. - Popatrzyła na Helenę tak, jakby oczekiwała, że ta zacznie skakać i śpiewać z radości.

- Dziękuję - powiedziała Helena. W złożonych na kolanach dłoniach mocno ścisnęła książkę.

- I chciałam wręczyć ci urodzinowy prezent. Przed obiadem. - Nick położyła obok niej paczkę.

Helena czekała z nadzieją, że kuzynka wyjdzie, nie każąc jej otwierać prezentu i udawać wdzięczności.

- No proszę cię, kochanie, otwórz. Jestem całkiem dumna ze swojego pomysłu. - Nick uśmiechnęła się jednym z tych swoich uśmiechów zdobywcy.

Niespodziewanie Helena złapała się na tym, że odwzajemnia uśmiech. Wzięła paczkę do ręki i rozerwała papier, spod którego wyłonił się starannie poskładany materiał: niebieski muślin wyszywany w złote tygrysy. Rozwinęła go i zobaczyła sukienkę, długości do kolan, dopasowaną w talii. Ze spódnicą w kształcie dzwonu.

- Wykorzystałam jeden z twoich starych wykrojów, ale troszkę ją podrasowałam i przerobiłam. Jak ci się podoba?

Helena ostrożnie dotknęła materiału. Był piękny.

- Podoba ci się?

- Tak, oczywiście.

- Och, wiedziałam, że będziesz zadowolona. Hughes martwił się, że nie, bo to była kiedyś moja sukienka, ale ja mu wytłumaczyłam, że dziadek przywiózł ten materiał dla nas obu, a ja, przywłaszczając go, postąpiłam samolubnie. Tak, wiem, że byłam samolubna, kochanie. Przepraszam cię. - Nick złożyła obie dłonie w błagalnym geście.

- Kiedyś mówiłaś, że miałaś zamiar zrobić z niego poszewki na poduszki - powiedziała Helena, z trudem opanowując wyrzut w głosie.

- Och, wiem. Wiem. I uszyłam sukienkę. No cóż, przeprosiłam, bo naprawdę mi przykro. - Nick przez chwilę patrzyła w sufit, a Helena widziała, że kuzynka usiłuje nie dać się wyprowadzić z równowagi. Uśmiechnęła się w duchu na ten widok. - W każdym razie, kochanie, jestem po prostu zachwycona, że ona ci się podoba.

Helena położyła sukienkę na kolanach i wygładziła materiał dłonią.

- No cóż - podjęła Nick, bo Helena nadal milczała. - Chyba cię teraz z nią zostawię. Muszę iść, wyszykować się na twój urodzinowy obiad. - Przystanąła, a potem się odwróciła. - Och. Zapomniałam ci powiedzieć. Bardzo mi przykro, kochana, ale wygląda na to, że twoje urodzinowe ciasto ktoś ukradł. Dasz wiarę? To musiał być któryś z tych chłopaków z sąsiedztwa. Szukaliśmy wszędzie, ale jakby się zapadło pod ziemię. Przedziwna historia. Przepraszam. Wiem, jak uwielbiasz babkę z lukrem.

- Niesamowite - powiedziała Helena. Nick podeszła do drzwi.

- Naprawdę strasznie lubię ten pokój - powiedziała. - Zawsze go uwielbiałam... A zwłaszcza te drozdy. - Cicho zamknęła za sobą drzwi.

Helena opadła na oparcie szeszlona. Boże, jakże ona nienawidziła Nick! Najgorsze było jednak to, że równocześnie za nią tęskniła. Kuzynka była urocza, zabawna i okropna zarazem. I nie chodziło o to, że Helena nie chciała jej wybaczyć. Po prostu nie mogła. Nick posunęła się za daleko. Helenie tak naprawdę zależało w życiu tylko na jednym. A ona to zniszczyła.

- *Dlaczego uważa pani, że ona jest od pani silniejsza?*

- *Wcale tak nie uważam.*

- *Jeśli nie jest od pani silniejsza, to jak zdołała pozbawić panią męża?*

- *To jedna z osób, które dostają to, czego chcą. A ona uznała, że ja popełniłam błąd.*

- *Kim są ci ludzie, którzy dostają to, czego chcą? Dlaczego czuje pani, że do nich nie należy?*

- *Bo nie jestem idiotką, doktorze. Wiem, jaki jest świat.*

- *A jaki według pani jest świat?*

- *Świat jest okrutny dla niewinnych.*

- *A pani jest niewinna?*

- *Byłam. Tak. Wiem, że byłam.*

Słyszała ich z dołu. Zdaje się, że przyjechał Tyler. Helene dobiegł jego głos, a potem śmiech Daisy. Ten specyficzny śmiech, którym śmieją się dziewczyny, kiedy ktoś, w kim są zakochane, mówi im miły komplement.

Helena włożyła pas wyszczuplający, a potem popatrzyła na leżącą na łóżku sukienkę. To oczywiste, że Nick wydało się rzeczą właściwą, by obdarować ją czymś, co kiedyś należało do niej. Czymś używanym. Helena zamierzała wyrzucić prezent do kosza na śmieci, ale wiedziała, że wszyscy będą się martwić. Jeszcze gotowi pomyśleć, że znów nie jest w formie. A dla niej sukienka mogła po prostu trafić na dno szafy i leżeć tam sobie do końca świata.

Ale patrząc na rozłożone na łóżku błękit w odcieniu wieczornego nieba i idealnie wyhaftowane tygrysy, Helena zaczęła się wahać. Podniosła sukienkę i wsunęła ją przez głowę, zapinając suwak na boku. Pasowała idealnie, to musiała przyznać.

Przeszła przez pokój w stronę toaletki i popatrzyła w lustro. Sukienka harmonizowała z odcieniem jej oczu i przez moment Helena pożałowała, że Avery nie może jej zobaczyć w tym stroju.

„Kocham cię”, powiedziałby. „Moja gwiazdo filmowa”.

Zamknęła oczy i wyobraziła go sobie z wyciągniętymi ku sobie ramionami. Rzuciłaby się w nie, a on przytuliłby ją mocno.

Helena otworzyła oczy i popatrzyła na siebie, stojącą tak w niebieskiej sukience pośrodku pokoju. Tak, zdecydowała, jednak będzie ją nosić. Ta sukienka została dla niej po prostu stworzona, tygrysy bardzo do niej pasowały. Koniec końców tygrysy idealnie oddawały jej nastrój.

- *Mówi pani: bratnie dusze. Ale jeśli tak, to pani zdaniem: dlaczego mąż nie odwiedza pani tutaj?*

- *Bo nie wie, gdzie jestem.*

- Rozumiem. A dlaczego?

- Bo ona nie chce mu powiedzieć. Zapłaciła mu, żeby się trzymał z daleka.

- A dlaczego pani mąż miałby się godzić na coś takiego? Dlaczego miałby przyjąć pieniądze za porzucenie żony?

- Potrzebował pieniędzy, doktorze. Na coś, nad czym pracował całe życie. To dla niego rzecz najważniejsza.

- Więc pani jest mu zbędna.

- Nie do końca wiem, co mam na to odpowiedzieć...

- Dlaczego?

- Bo pan mówi tak, jakby on miał jakiś wybór. A on go nie miał.

- To nie był wybór?

- Nie. To ona miała wybór. Ale nie my.

- Ciociu Heleno? - Daisy stuknęła do drzwi.

Co to niby jest, stacja Grand Central? Dlaczego nie mogli zostawić jej w spokoju choć na parę chwil?

- Tak, ptaszyno? Co mogę dla ciebie zrobić? Siostrzenica uchyliła drzwi i rozejrzała się po pokoju.

Zupełnie jak Nick.

- Mam dla ciebie niespodziankę.

- Doprawdy? Co też to może być, kochanie? Już chyba dość byłam dzisiaj rozpieszczana.

Helena usłyszała, że Daisy coś szepcze za drzwiami i odwróciła się z powrotem do lustra.

- Cześć, mamó.

Podnosząc oczy, dostrzegła, że w progu staje jej syn. Przystojny, że aż zapierało dech.

- Ed, najdroższy... - Helena poderwała się, żeby się

z nim przywitać, ale złapała się na wahaniu i przystaje parę kroków od niego. - No cóż, to faktycznie niespodzianka.

- Wiem - powiedziała Daisy, popychając Eda przodem i wchodząc do pokoju. Robiła tak od zawsze: dotykała go, rozstawiała po kątach. Zupełnie jakby między nimi nie było żadnych barier. Helena bardzo jej tego zazdrościła. - Udało nam się, prawda? Ty przywiózł go z miasta.

Helena zobaczyła, że Ed się odwraca i patrzy na kuzynkę. Twarz miał pokerową, jak zawsze, choć matka dostrzegła w jego spojrzeniu cień łagodności. I zastanowiła się, nie pierwszy raz, czy jej syn nie kocha się czasem w Daisy. Wiedziała, że to niedokładne określenie. Chodziło o coś innego, czego nie umiała do końca ująć w słowa. W każdym razie Helenie to nie przeszkadzało.

- Zajęcia Eda otoczone są wielką tajemnicą, ale udało mi się go złapać. - Daisy aż promieniała z dumy z powodu udanego spisku.

-Wszystkiego dobrego, mamó. - Ed podszedł do Heleny i cmoknął ją w policzek. Pocałunek nie był ani ciepły, ani zimny. Nie nazwałaby go zdawkowym, choć w sumie nie było to dalekie od prawdy.

- Bardzo jesteś zajęty pracą, kochanie?

- Edzie Lewis, gdzieś ty się podziewał? - Daisy tupnęła nogą w udawanym gniewie. - Próbowałam cię łapać w biurze setki razy, ale mówiono mi, że podróżujesz w interesach. Co to niby za interesy ma poza własnym biurem analityk rynku? Myślałam, że wy wszyscy siedzicie w lochach albo po piwnicach, ślęcząc nad cyframi.

- Gospodynie domowe w Iowa - powiedział Ed, spoglądając na kuzynkę. - I ich odczucia na temat najnowszego modelu hoovera.



- Kochanie, najpierw droga do Iowa, a później z powrotem, na moje urodziny? No cóż, nie mógłbyś mnie ująć bardziej. - Helena niepewnie dotknęła dłonią policzka syna. Był tak blady, jakby przez całe lato chłopak w ogóle nie widywał słońca.

- No cóż - odezwała się Daisy, zerkając to na jedno, to na drugie.  
- Chyba powinnam już iść i trochę pomóc mamie. Wiecie, jaka jest, kiedy szykuje obiad. Nie róbcie beze mnie niczego niegrzecznego! - rzuciła przez ramię, machając im ręką.

Ed popatrzył za odchodzącą Daisy i ponownie odwrócił się do matki.

- Co się stało z twoimi włosami? - W przeciwieństwie do Nick, Ed z niej nie kpił. Wydawał się szczerze zaciekawiony.

Helena się roześmiała.

- Obawiam się, że nastąpiło małe nieporozumienie z fryzjerką. Daisy mi ją zafundowała, bo dziś rano czułam się nieco przygnębiona.

- Ale dlaczego ona uznała, że coś takiego poprawi ci humor?

- Och, Ed, ona chyba nie chciała, żeby tak wyszło.

- Helena podeszła do lustra i przyklepała uczesanie.

- Przywitałeś się już z ciotką Nick? - Próbowwała mówić lekkim tonem, ale nie przestawała obserwować twarzy syna w lustrze.

- Jeszcze jej nie widziałem. - Minę miał nieodgadnioną.

- To miłe, że Tylerowi udało się zdążyć na obiad. Wiem, jaki dobry kontakt ma z całą rodziną. Zwłaszcza z twoją ciotką. - Helena opuściła wzrok na kolekcję leżących na toalecie szminek, usiłując wyszukać kolor,

który pasowałby do sukienki. Wybrała Catch-Me-Coral. -  
Chociaż muszę przyznać, że czasem się zastanawiam, jak w tym  
wszystkim czuje się Daisy. Z tym bzikiem Tylera na punkcie Nick.

- Tak - powiedział Ed. - Gapi się na nią bez przerwy.

- Nie jestem pewna, jakbym się czuła jako panna młoda, gdyby  
mój ukochany w takim stopniu zwracał uwagę na kogoś innego. Nawet  
jeśli tym kimś byłaby moja matka. - Helena nałożyła szminkę, a potem  
wyprostowała się na stołeczku, żeby sprawdzić efekt. - No, ale z  
drugiej strony Daisy jest taka słodka! Nigdy by się nie przyznała, że ją  
to rani.

- Co ty mi tutaj usiłujesz powiedzieć, mamó?

- Nic - odparła Helena, odwracając się do syna. - Po prostu nie  
chciałabym patrzeć, jak Daisy dzieje się krzywda. To wszystko. Ty  
zresztą też chyba nie, jak sądzę.

- Nie - odparł. - Nie pozwoliłbym na to.

- Oczywiście, że byś nie pozwolił. - Helena urwała i udała, że  
poprawia coś przy sukience. - Tylko wiesz Twoja ciocia Nick... No  
cóż, ona potrafi być uparta, kiedy uważa, że ma rację. Czasem takim  
ludziom trzeba pokazać palcem, jak niebezpieczne może być ich  
postępowanie. Rozumiesz, o co mi chodzi?

Ed patrzył na nią i milczał.

Helena odwróciła się na stołku w stronę lustra, po raz ostatni  
przyglądała włosy i założyła kolczyki z perłami.

- Gotowe - powiedziała. Klepnęła się po kolanach i spojrzała na  
Eda w lustrze. - Dołączymy do reszty? - Usiłowała zdobyć się na swoją  
najlepszą kopię stuwatowego uśmiechu Nick, tego „sama radosna  
przyjemność

i roziskrzzone oczy". Koniec końców jednak wydało się jej, że po prostu wyszczerzyła zęby.

- *A pani syn? Powiedziała pani, że w ostatnich latach nie byliście sobie bliscy. Dlaczego? Czy to przez męża?*

- *Nie. Syn to nastolatek. Nie sądzę, żeby nastoletni chłopcy miewali zbyt wiele czasu dla własnych matek.*

- *Rozumiem.*

- *Dlaczego pan tak na mnie patrzy?*

- *Nie jestem pewien, czy zgadzam się z pani oceną.*

- *Na litość boską, doktorze. Nie wiem.*

- *A mnie się zdaje, że pani wie. Powiedziała pani, że zrobił się mniej komunikatywny po tym, jak znalazł zwłoki jakiejś zamordowanej osoby kilka lat temu, tak?*

- *Powiedziałam, że moim zdaniem to go mogło przerazić. Chyba po tamtych wakacjach zrobił się nieco cichszy, ale Ed zawsze był inny. Wiem, że tutaj uważa się, że to brzydkie słowo, ale ja nie widzę nic złego w tym, że ktoś nie przypomina kropka w kropkę wszystkich wkóło.*

- *Czy panią martwi, że on zdaje się różnić od innych chłopców w jego wieku?*

- *A co ja przed chwilą powiedziałam?*

- *Zdawało się pani chyba, że ja mogę tego nie aprobować. A to każe mi wierzyć, że pani sama nie czuje się do końca komfortowo z tą myślą.*

- *Przypuszczam, że jest pan po prostu o wiele mądrzejszy ode mnie, doktorze.*

- *Proszę pani, ja tu jestem po to, żeby pani pomóc. Zdaję sobie sprawę, że przybyła pani do nas nie całkiem*

*z własnej woli, ale po wspólnie spędzonym czasie uważam, że jest pani co najmniej bardzo nieszczęśliwa. A ludzi, którzy są nieszczęśliwi, uważa się za nieczu-jących się dobrze. Musimy znaleźć jakiś sposób, żeby mogła pani poczuć się lepiej. Rozumie mnie pani?*

*- Żeby mogła być wolna.*

*- Jeśli tego pani chce.*

*- Być może kiedyś faktycznie przeszkadzało mi, że nie był taki, jak inne dzieci w jego wieku. To znaczy: Ed. Ale uważam, że ma on szczególną wewnętrzną siłę. Moim zdaniem został stworzony do wielkich rzeczy. Wielu niezwykłych ludzi dokonuje wspaniałych rzeczy.*

*- Uważa pani, że syn jest niezwykły.*

*- Tak. Niezwykły. I silny. Przede wszystkim silny.*

Stół został przystrojony do obiadu małymi wazonikami różowych astrów. Na talerzu jubilatki ustawiono niewielką koronę ze złotego papieru. Trzymając Eda pod ramię, Helena weszła do niebieskiego salonu, gdzie wszyscy zebrali się na koktaj. Poza Nick. Jej podśpiewywanie słyhać było z kuchni. Daisy, ubrana w cienką, letnią sukienkę, drukowaną w motyw winorośli, siedziała Tylerowi na kolanach, podczas gdy Hughes opowiadał im jakiś dowcip.

- Aha! - powiedział, kiedy dostrzegł przybyłych. - Co mogę podać naszej uroczej jubilatce?

- Kieliszek szampana zapewne mi nie zaszkodzi. Hughes nalał szampana i wręczył kieliszek Tylerowi, który przyniósł go Helenie.

- Wszystkiego najlepszego, ciociu Heleno - powiedział, podając jej szeroką szampankę. Miał na sobie swój

codzienny strój: spodnie khaki i koszulę w pionowe prążki, z podwiniętymi rękawami. Zięć idealny.

- Dziękuję ci, Tyler. To naprawdę przemiłe z twojej strony, że przywiozłeś Eda na moją małą uroczystość.

- Cała przyjemność po mojej stronie, ciociu. Nick wiedziała, jak bardzo się ucieszysz, a Daisy nie ustąpiła, dopóki nie udało się go namierzyć. Gdzieś ty był, stary? W Iowa? Gospodynie domowe i odkurzacze?

- Tak - odparł Ed. - Gospodynie domowe i odkurzacze.

Helene zaskoczyło okrucieństwo w wyrazie twarzy syna. Przez moment miała dziwne wrażenie, że Ed zaraz rozerwie narzeczonego Daisy na strzępy.

Tyler nieco się cofnął.

Patrzyła na tych dwóch jeszcze przez moment, a potem upiła łyczek szampana.

- Absolutnie przepyszny.

- Wiecie, zdaje się, że nie cierpię przyjęć z obiadem - powiedziała Nick, wchodząc do salonu. Nadal miała na sobie tę białą, jedwabną tunikę, którą założyła po południu. - Siedzę zamknięta w gorącej kuchni, kiedy tutaj wszyscy sobie żartują i bawią się beze mnie.

- Biedne moje kochanie - powiedział Hughes. - Naprawdę musimy przestać przymuszać cię do takich rzeczy.

- Tak, mamo. Wszyscy wiemy, jak strasznie nienawidzisz proszonych przyjęć - powiedziała Daisy. - Co za oszustka!

- Och, śmieJCie się, ile chcecie, ale ja wiem swoje. Gotować zaczęłam tylko po to, żeby pokochał mnie twój ojciec. Żalodne, nieprawdaż?

-No cóż, podziałało - powiedział Hughes, idąc ku żonie przez salon.

Przed oczyma Heleny pojawił się zapomniany obraz Nick i Hughesa, jeszcze sprzed ich małżeństwa. Stali na drodze przed domem. Nick wołała coś do Heleny, podczas gdy Hughes obejmował ją ramieniem, patrząc na nią tak, jakby nie mógł uwierzyć we własne szczęście.

- Jeśli o mnie chodzi, zgadzam się z Nick - powiedział Tyler, przeczesując dłonią włosy i uśmiechając się tym swoim chłopięcym, krzywym uśmiechem, który doprowadzał Helenę do szału. - To nie tylko nie w porządku wobec niej samej, ale i wobec nas. Takie pozbawianie nas jej towarzystwa.

- Aleś ty cwany, Tylerze Pierce! - powiedziała Daisy, patrząc na niego spod rzęs. - Jeśli nie będziesz uważał, zmienisz się niedługo w naczelnego bawidamka.

- Przynajmniej zawsze będę wiedział, co powiedzieć.

- Broń Boże, żeby miało być inaczej - powiedziała Helena.

Przy stole obiadowym Helena przywdziała swoją koronę. W tej samej chwili, w której rzecz znalazła się na jej głowie, zapragnęła ją zdjąć, ale pomyślała, że ten gest traciłby wrogością. Więc siedziała w niej i czuła się jak idiotka.

- Ostatnie pomidory tego lata - powiedziała Nick, stawiając przed każdym talerz.

Czerwień miąższu zaskoczyła Helenę. Była taka jaskrawa, wręcz połyskliwa, na tle nieprzyzwoicie jasnej, porcelany. Pokój ucichł na chwilę. Słychać było tylko szcęk widelców.

- Nigdy nie uwierzycie, kogo spotkałam w Morning Glory Farm - przerwała milczenie Nick. - Tego obrzydliwego gada Franka Wilcoxa. Zakupy robił, czy jakieś inne bzdury, z tą swoją nową żoną. Która, nawiasem mówiąc, wygląda, jakby miała dwanaście lat. Wszystko ją oszołamia.

- Nie wiedziałam, że Wilcoxowie się rozwiedli - powiedziała Helena.

- Och, jasne, że się rozwiedli. Ona zabrała swoje rodzinne pieniądze i związała z nimi po tej całej historii ze służącą.

Ed podniósł oczy znad talerza.

- Nie wiedziałem, że on się tu jeszcze kręci.

- Ja też nie - przyznała Nick. - Ale spotkałam go. We własnej osobie. Wiecie, dziwne to było, ale wściekłam się na jego widok.

- Nie myślałam o tym wszystkim od lat - powiedziała Daisy, odkładając widelec.

- No cóż, nigdy ci tego nie mówiliśmy, bo byłaś za młoda, ale Frank Wilcox prowadził się z tamtą dziewczyną. Jakże się ona nazywała? Twój ojciec ich widział.

- Wiemy - odparła Daisy. - Kiedy o tym rozmawialiście, podsłuchiwaliliśmy pod drzwiami jadalni.

- A, łobuzy! - powiedziała Nick. - Rany boskie, człowiek nie może już odbyć żadnej rozmowy na osobności?

- Rozmawiałaś o tym z pięcioma innymi osobami, mamó. Na osobności się to raczej nie działo. - Daisy zjadła kęs pomidora.

- Frank Wilcox zabrał mnie na tańce pewnego lata, jeszcze przed wojną - powiedziała Helena. - I zaczął sobie trochę za wiele pozwalać w samochodzie, w drodze

powrotnej do domu. Do niczego nie doszło, oczywiście, ale miałam wrażenie, że mogłoby. O ile rozumiecie, co chcę powiedzieć.

- Rozumiemy - odparła Nick.

Helenie przypomniały się podszczypujące ją dłonie. Niedobre dłonie. Następnego dnia na swojej skórze znalazła nieznaczące sine ślady.

Przyłapała na sobie wzrok Eda. Minę miał nieporuszoną.

- Mnie się natomiast w głowie nie mieści, że nigdy nie znaleziono sprawcy - odezwała się Daisy.

Helena zobaczyła, że Ed i Hughes wymieniają spojrzenia. Wcale niekoniecznie przyjazne, pomyślała.

- Nie jestem pewien, czy to by zrobiło różnicę - powiedział Hughes. - Zło już i tak się stało.

- Jak możesz mówić coś takiego, tato? Oczywiście, że to by zrobiło różnicę. Ta biedna kobieta... Przecież należy jej się jakaś sprawiedliwość. Ktoś powinien zostać za to ukarany.

- Moja dziewczynka-podżegaczka - wtrącił Tyler.

- Daisy ma rację - odezwała się Nick po namyśle. - Może to by coś pomogło. Ktoś powinien zostać ukarany.

- Nie to miałem na myśli - powiedział Hughes.

- Wiem, kochanie - odparła Nick miękko. - Wiem, co miałeś na myśli.

- No cóż... Tak czy inaczej - powiedziała Daisy, zerkając na Tylera. - To było tego lata, kiedy się w tobie zakochałam. A ty miałeś czelność całować się z Peaches Montgomery, draniu jeden. - Jej uwielbienie dla narzeczonego było wyczuwalne. Ciężkie i słodkie, jak oblana lukrem babka.



- W latach pięćdziesiątych miałem jeszcze fatalny gust - powiedział Tyler, puszczając do niej oko.

Nick się zaśmiała.

- Naprawdę, Ty, ona jest wprost nieznośna!

- No dobrze, już dobrze. - Tyler uniósł ręce w górę. - Przyznaję, to był błąd. Ale w tobie też się zakochałem tamtego lata. W jakiś sposób. Nawet jeśli byłem zbyt wielkim idiotą, żeby zdać sobie z tego sprawę. - Spojrzał na Daisy. - A już na pewno w twojej rodzinie. W tym wszystkim. - Uniósł kieliszek. - Toast za Derringerów i Lewisów. Dziękuję wam za ocalenie mnie przed wiekuistą nudą.

- Racja! - Hughes uniósł kieliszek. -1 za naszą piękną Helenę. Wszystkiego dobrego z okazji urodzin!

- Dziękuję, dziękuję, moi drodzy - powiedziała Helena, dotykając korony. - Chciałabym każde kolejne, cudowne urodziny spędzać właśnie tutaj. Z wami wszystkimi.

- *Wydaje się pani dzisiaj bardzo szczęśliwa.*

- *Tak. Syn przyjechał mnie odwiedzić. Cudownie było go widzieć. Tak bardzo wyrósł. Aż mnie to trochę przeraża.*

- *Ile czasu minęło, odkąd widziała go pani po raz ostatni?*

- *Ja... Nie jestem dokładnie pewna. Te tabletki, wie pan...*

- *Straciła pani przez nie mnóstwo czasu.*

- *Tak.*

- *Jak się pani z tym teraz czuje?*

- *No cóż, nie czuję się z tego powodu winna, jeśli chciał pan, żebym przyznała właśnie coś takiego. Byłam wtedy bardzo wyczerpana.*

- Nie usiłuję pani zmuszać do przyznawania niczego. Pamięta pani ostatni raz, kiedy widziała swojego syna?

-No cóż, nie bardzo. Mam jednak wspomnienia z czasów, kiedy był nastolatkiem. Ale potem ona wysłała go do szkoły i już go nie widywałam.

- „Ona” to znaczy: pani kuzynka, Nick.

- Tak.

- Czuła pani, że ona go pani odebrała?

- Dokładnie. To było do przewidzenia. Ale nie mam zamiaru wciąż na to narzekać, już to ustaliliśmy. To przeszłość. Jak pan mówi, robiła to, co uznała za słuszne. Ale tak bardzo miło było zobaczyć go dzisiaj. Zmienił się, jest... Taki bardziej rzeczywisty, zdaje mi się.

- W jaki sposób?

- Jest szalenie opanowany, co moim zdaniem stanowi zaletę.

- Co pani ma na myśli, mówiąc „opanowany”?

- Sama nie wiem. Nie mówi o swoich uczuciach. -I to jest, pani zdaniem, korzystna cecha?

- Nie wiem. Powiedziałam tylko, że jest opanowany.

- Powiedziała też pani, że nie mówi o swoich uczuciach.

- Doktorze, w takich słownych gierkach nigdy nie byłam dobra.

- No dobrze. Jak syn odbiera pani pobyt u nas?

- Tak naprawdę, to nie wiem. Powiedział, że jestem niezdrowa. I że nic nie szkodzi. Był chyba trochę zaciekawiony szpitalem.

- Jest wobec pani opiekuńczy?

- Nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Nie, chyba

*nie bardzo. Jest szalenie opiekuńczy - o ile jest to właściwe słowo*  
- *wobec mojej siostrzenicy, Daisy.*

- *A pani zdaniem, co on czuje do pani?*

- *Nie wiem. Jak już mówiłam, jest bardzo...*

- *Tak, opanowany. Powiedziała pani wcześniej, że aż panią przeraża, jak bardzo wyrósł. Dlaczego to panią przeraziło?*

- *Nie wiem, czemu tak się stało, po prostu tak to odebrałam. Wydaje się silniejszy, niż zapamiętałam.*

- *Powiedziała pani kiedyś, że siła jest cechą, którą chciałaby pani u niego zobaczyć.*

- *Tak. Dobrze jest być silnym. Silni ludzie dostają, czego chcą. Nauczył mnie pan tego w czasie jednej z naszych pierwszych sesji.*

- *Nie wydaje mi się, żebym coś takiego miał na myśli.*

- *A jednak. Ale chyba, widząc go teraz, nabieram przekonania, że raczej Ed pożre ewentualnego przeciwnika niż przeciwnik Eda.*

- *I to panią uszczęśliwia?*

- *Tak, doktorze. To mnie uszczęśliwia.*

Deseru nie było, oczywiście, ale Hughes postawił na stole kryształową karafkę pełną porto.

- *Ktoś ma ochotę na kieliszeczek przed snem?*

- *Sama nie wiem - powiedziała Nick. - Wino było strasznie ciężkie.*

- *Och, daj spokój, Nick - powiedział Tyler, leniwym gestem kładąc dłoń na jej ramieniu. Jakby to nic nie znaczyło. - To przecież przyjęcie.*

- *Heleno, kochanie? - Nick miała uprzejmą minę, ale Helena widziała, że to sprawdzian.*

- Nie, dziękuję - odparta. Nigdy zresztą nie przepadała za porto.  
- Ciociu Heleno, byłabym zapomniała - odezwała się Daisy. - Twój prezent, ten właściwy. Ale wszyscy musimy przejść do salonu.

- Wiesz co, Daisy? - powiedziała Nick. - Helena ma już chyba dość prezentów jak na jeden dzień...

Daisy przewróciła oczami.

- Tato? Potrzebuję twojego wsparcia.

- To ja będę transportował porto - powiedział Hughes wesoło. - Ruszamy w drogę.

Bawił się dzisiaj zdecydowanie dobrze.

- No już, ptaszyno - powiedziała Helena. Położyła na stole obie dłonie i podpierając się nimi, podniosła się z krzesła. - Jak sobie życzysz.

- Tak, ptaszyno. - Tyler podał Daisy rękę, zapewne nadal ciepłą ciepłem Nick. - Ruszajmy zatem.

Daisy plasnęła go po tej dłoni.

- Idźcie wszyscy przodem, ja dołączę za moment. Towarzystwo wróciło do niebieskiego saloniku.

- Heleno, a może miałabyś ochotę na coś innego niż porto? - zapytał Hughes.

- Och - westchnęła. - Nie wiem, czy powinnam. Hughes zrobił nieco zboląłą minę i zerknął na Nick,

która lekko wzruszyła ramionami. Helena zaśmiała się w duchu. Oni wszyscy byli tacy zabawni!

- Szkocką? To twoje urodziny.

- Masz rację. To moje urodziny. Poproszę o szkocką. - Uśmiechnęła się słodko do Nick, a kuzynka odwróciła wzrok. Helena po raz pierwszy od dawna czuła się przytomniejsza, bardziej lotna. I przyjemnie jej było z tym wrażeniem.

Nick podeszła do jednego z wielkich okien i położyła dłonie na siatce.

- Lato się kończy. W powietrzu już niemal czuje się jesień, prawda?

- Lubię jesień - odparła Helena. - Dla mnie zawsze ma zapach zmian.

- Naprawdę? - Spojrzała Nick. - Ja tam nie wiem. Dla mnie pachnie śmiercią. Wszystkie te gnijące, mokre liście...

- To przecież to samo - powiedział Ed.

- To dość makabryczna uwaga. - Tyler wydawał się lekko zniesmaczony.

- Dlaczego?

Tyler już otwierał usta, ale tylko wzruszył ramionami i upił łyk porto.

- Ed ma chyba rację - powiedziała Nick. - Pory roku i tak dalej. Ale mnie to smuci. Nigdy nie lubiłam żadnej z tych rzeczy. Ani zmiany, ani śmierci.

- Ale ty przecież jesteś diabolicą i będziesz żyła wiecznie - odparła Helena. - Stara, pocziwa Nick, dokładnie taka, jak mawiał o niej dziadek.

- Dziękuję, kochanie. Jesteś bardzo miła.

- A ty nie? Niewiele brakowało, a bym się nabrała. - Helena usiłowała się roześmiać, ale śmiech zabrzmiał szorstko. Nawet w jej uszach.

- No cóż - powiedziała Nick. - Pewnie masz rację. I co z tego? Nie zamierzam za nic przeproszać.

- Och, nie, skąd. Oczywiście, że nie. - Helena wypła jeszcze trochę szkockiej.

- Pewnie tego byś chciała, tak?

- A czy to, czego ja chcę, ma jakieś znaczenie?

- Och, na litość boską, Heleno! Dlaczego nie powiesz wprost tego, co masz do powiedzenia?

- Nie wiem, o co ci chodzi, moja droga.

- Dobrze. Jak uważasz. - Nick pokręciła głową w sposób, za który Helena miała ochotę ją spoliczko-wać. - Może i jestem diablicą, ale cholera, jestem waszą diablicą. I lepiej do tego przywyknąć.

W pokoju zapadła cisza. Tyler wbijał wzrok w podłogę, Ed patrzył na Nick. Hughes z kolei jakby zapadł się pod ziemię. Typowe, pomyślała Helena.

- No dobrze, słuchajcie - powiedziała Daisy, wchodząc do pokoju z cienką, kwadratową paczką pod pachą, jak zwykle nieświadoma niczego. - Ta-dam! - Wręczyła pakiet jubilatce. - Tato? Wracaj tu natychmiast, jesteś mi potrzebny. Gdzie on się podział?

Helena zerwała papier z gwałtownością, która zaskoczyła ją samą. Płyta. Na okładce widniała niewyraźna sylwetka hipisa z odwróconą głową. „Van Morrison, *Blo-win' Your Mind!*” głośiły wielkie, przypominające grube kielbaski litery. Helena roześmiała się w głos i wyciągnęła płytę przed siebie, żeby wszyscy inni też mogli ją zobaczyć.

Nick zakryła dłonią usta, starając się zdusić wybuch śmiechu, i nie odrywała oczu od oczu Heleny.

- Daisy, kochanie, doprawdy... Naprawdę uważasz, że to właściwy prezent dla cioci?

- Och, nie róbcie z siebie takich wapniaczek. To nie o narkotykach - powiedziała Daisy, biorąc płytę i kierując się do gramofonu. - Musisz usłyszeć tę piosenkę, ciociu Heleno. Nazywa się *Brown Eyed Girl*. To o tobie. - Spojrzała zmrużonymi oczami. - Chociaż ty,

oczywiście, masz niebieskie. - I Daisy zaczęła się śmiać. - Och, no dobra, nieważne. Jakoś mi dzisiaj średnio idzie to wszystko, prawda? - Przyłożyła igłę do winylu.

Lekki rytm perkusji, a potem dźwięk gitary. Jak w calypso. Helena się uśmiechnęła. To była dobra piosenka, pogodna. Taka, która sprawia, że człowiek chce się czuć szczęśliwy, nawet jeśli wcale się taki nie czuje.

Daisy wzięła Tylera za rękę i zaczęli tańczyć niedbałego twista. A potem wyciągnęła dłoń do Eda i też przyciągnęła go ku sobie. We trójkę utworzyli niewielkie kółko.

Helena patrzyła na nich, na tę małą szajkę młodych Cyganiątek, którzy mieli przed sobą całą przyszłość. Nawet jej syn, czasem taki poważny, uśmiechał się i wykonywał własną wersję tańca w stylu Chubby'ego Checkersa.

Spojrzała na Nick. Kuzynka wyciągała do niej rękę. Helena westchnęła i ujęła dłoń, a Nick przyciągnęła ją do siebie i objęła w talii ramieniem.

- Jesteśmy stare wapniaczki - powiedziała.

Helena oparła twarz o miękkie policzek kuzynki i poddała się nieopisanej tęsknocie. Ponad ramieniem Nick widziała roześmiane dzieciaki. Wszystkie poza Edem. I cieszyła się, że on nie udaje. Potrzebowała go. Wprowadziła piłkę do gry i potrzebowała teraz jego siły i uczciwości.

Poczuła zapach perfum Nick i pomyślała o mokrych liściach. O tych, o których rozmawiały. Jak mogła nadal ją kochać? Nie po tym wszystkim. Helena miała wrażenie, że zaraz pęknie jej głowa. Za dużo tego było, nie do ogarnięcia. Nie mogła znieść natłoku myśli, więc po prostu przytuliła do siebie Nick. Tak mocno, jakby miał to być ostatni raz.

**HUGHES**



## 1959, LIPIEC

1

W domu dzwonił telefon.

Ilekcć Hughes odtwarzał w pamięci ten moment, mógłby przysiąc, że usłyszał pierwszy dzwonek o całą przecznicę od domu. No, ale z drugiej strony pamięć bywa zawodna. Wyraźnie zapamiętał jedynie dźwięk i wywołane nim uczucie lęku.

Szedł właśnie wolnym krokiem po Traill Street, machaniem ręki odpędzając leniwe chmary komarów, unoszące się w ciepłym lipcowym powietrzu. Było już późne popołudnie i po poranku spędzonym na mało produktywnej pracy przy sprawach klienta, wyszedł z pracy wcześniej, by zdążyć na seans *Laury* w Nickelodeonie przy Harvard Square.

To była jedna z tych rzeczy, które uwielbiał, spędzając lato w mieście. Mógł wyjść z biura i nikt go nie wypytywał dokąd. Nikogo to nie obchodziło. Kiedy rodzina była daleko, na Wyspie, doświadczał uczucia lekkości, które w codziennym życiu zdarzało mu się rzadko.

Obiady

jadał sam, w kuchni, robił jakąś kanapkę albo stek, kiedy chciało mu się gotować, a później szedł do gabinetu i czytał, a jeszcze później zasypiał na wąskim, pojedynczym łóżku. Do sypialni, którą dzielił z Nick, zaglądał tylko po to, żeby zmienić ubranie.

Kiedy to robił, miewał wrażenie, że znalazł się w wymarłym mieście. Zdjęcie Daisy w srebrnych ramkach na komodzie, spinki do mankietów w niebieskiej porcelanowej miseczce, na łóżku idealnie równo ułożone poduszki. Wszystko to zdawało się należeć do życia innego człowieka. Czasem zastanawiał się, rozglądając się po domu, co by o tym wszystkim, o nim samym, pomyślał jakiś archeolog. Jakby go opisał? Człowiek, który buty miał wypastowane, a skarpetki poskładane równiutko. Człowiek, który kochał swoją rodzinę. Czy to faktycznie o nim? Kiedy siedział w swoim gabinecie, zdecydowanie lepiej rozumiał, kim jest. I to go uspokajało.

Ostatnio nawiedzało go natarczywe wrażenie, że dzieje się coś złego. Zauważał je czasami, albo w drodze do pracy, albo kiedy coś czytał, i łapał się na tym, że musi przerwać swoje chwilowe zajęcie, dopóki uczucie nie minie. Nie umiał go określić dokładnie; przypominało lęk, ale nie było nim do końca. Wiedział, że w jakiś sposób wiązało się z Nick, z jej utratą. Ale przecież on jej nie stracił, chociaż czasami wyobrażał sobie taki scenariusz. Od samej myśli robiło mu się niedobrze, jak na odgłos łamiącej się kości.

A potem, kiedy szedł ulicą tamtego letniego popołudnia, usłyszał dzwoniący w domu telefon i ogarnął go ten sam niepokój. Jakby w jego umyśle rozdzwonił się alarm.

Wszystko zaczęło się miesiąc wcześniej, na początku lipca, kiedy Nick i Daisy pojechały do Tiger House na lato, a on dołączył do nich na weekend, by przygotować łódź. Oczyszczył „Gwiazdę”, sprawdził kadłub i olinowanie żaglówek, szukając wszelkich uszkodzeń, a potem poszedł na drinka do Reading Room, gdzie rozegrał dwie partie remika i wypił trzy giny z tonikiem, zostając dłużej, niż początkowo zamierzał.

Nadal nie czując zmęczenia, postanowił przejść się wzdłuż zatoki, żeby pooddychać zapachem oceanu i popatrzeć na linię świateł od strony Chappaquiddick. Kiedy dotarł do Yacht Clubu, wszedł do środka, a potem wyszedł na pomost i postął tam, nasłuchując odległych syren przeciwmgielnych i przyglądając się zarysowi przepływającego w pobliżu promu „Chappy”. Uwielbiał Wyspę. Czasami zastanawiał się, czy gdyby on i Nick przeprowadzili się tutaj zaraz po wojnie, tak jak ona chciała, sprawy nie potoczyłyby się inaczej. Pomyślał o Nick - w domu, być może szykującej się już do łóżka, o cichym westchnieniu, z którym siadała przy toalecie u schyłku wieczoru. Spojrzał na ciemniejącą wodę i wyparł z głowy pewną myśl.

Ruszył wzdłuż Simpson's Lane; to była najspokojniejsza trasa. Podobało mu się, że nadal pozostała zwykłą ścieżką ubitej ziemi, chociaż na Wyspie wszystko inne się zmieniało. Myślał właśnie o tym, kiedy doszedł do zakrętu i zobaczył Franka z tą dziewczyną, wychodzących z The Hideaway. Jej ciemna głowa opierała się na jego ramieniu.

Zaskoczony Hughes zwolnił kroku. Lepiej, żeby go nie widzieli. Patrzył za odchodzącymi, niepewny, czy

ruszać dalej, ale w końcu zdecydował się zmitrężyć trochę czasu na papierosa. Palił i usiłował uporać się ze zdziwieniem. To nie oczywiste implikacje zbijały go z tropu. Raczej chodziło o to, że wszystko tak dziwnie wyglądało, ta nieostrożność Franka. Każdy, kto zobaczy tę parę, zaraz się zorientuje, co się dzieje, a Wyspa stanowi małą społeczność. Wszyscy znają wszystkich. Człowiek nie mógł tak po prostu spacerować ulicą, ostentacyjnie obnosząc się z własnymi sekretami. A jeśli był na tyle głupi, to i tak wiedział, że za parę chwil będzie o tym mówić cała okolica.

Hughes zdusił stopą niedopałek i skierował się w stronę domu. Kiedy zbliżał się do tylnego podjazdu, tego od strony North Summer Street, zobaczył Eda, czy raczej zarys jego sylwetki. Za stojącym chłopakiem Hughes znów zobaczył Franka Wilcoxa z tą pokojówką, tym razem pogrążonych w najwyraźniej intymnej rozmowie. W pierwszej chwili zdziwił się, że Edowi udało się wymknąć z domu o tak później porze, nie wzbudzając niczyich podejrzeń. Ale myśl szybko wyparowała mu z głowy, kiedy zobaczył, że chłopak skrada się w stronę pary jak kot, po cichu, trzymając się skraju chodnika w pobliżu ligustrowego żywopłotu oddzielającego dom od ulicy. Frank i dziewczyna skręcili w Morse Street, w kierunku klubu tenisowego, a Ed ruszył ich śladem. Chłopak zatrzymał się na moment i schylił, podnosząc coś z miejsca, gdzie wcześniej stał Frank, a potem też znikł Hughesowi z oczu za rogiem.

Hughes stał bez ruchu i czuł się jak dureń. Pomysł pójścia za Edem, który z kolei podążał śladem Franka, wydał mu się idiotyczny. Ale czy miał inny wybór? Nie

mógł przecież pozwolić temu chłopakowi śledzić pary dorosłych, zwłaszcza że spodziewał się, co tamci kombinują.

Zdecydował się przyłapać Eda i odprowadzić go z powrotem do Tiger House. Ruszył w stronę rogu, ale kiedy skręcił, Morse Street okazała się pusta. Hughes truchtem przebiegł ją do końca i skręcił w zarośniętą ścieżkę, która prowadziła wzdłuż kortów tenisowych aż na Sheriff's Meadow. Odczekał chwilę; przed sobą słyszał czyjeś kroki.

Ścieżka była jedną z tych, z których korzystało już niewiele osób, od czasu kiedy poprowadzono prawdziwą drogę na łąki od strony Pease's Point Way. Kiedy szedł tamtędy, w ciepłe nocy unosiły się nad nim zapachy nietkniętej roślinności. Nisko wiszący księżyc słabo oświetlał drogę i Hughes musiał stąpać ostrożnie, żeby nie potknąć się o niską gałąź czy wystający korzeń.

Kiedy dotarł do zapuszczonej wiaty, w bok od Old Ice Pond, przystanął ponownie. Miejsce na pobarszkowanie z dziewczyną, która nie jest żoną, wydawało się dobre jak każde inne. Hughes nasłuchiwał przez chwilę, uznał jednak, że szopa jest pusta. Rozejrzał się, szukając jakiegoś śladu. Stał teraz na skraju łąk. Przed sobą miał tylko mokradła, po obu stronach gęste zarośla. Nic z tego nie wyglądało na szczególnie prawdopodobną kryjówkę. Buty zaczynały mu wilgotnieć na rozmięklej ziemi i Hughes zaklął pod nosem. Kiedy już znajdzie Eda, postanowił, nieźle mu nagada za to szukanie wiatru w polu. O ile uda mu się go znaleźć.

Miał już zamiar dać sobie spokój i zaczekać na powrót chłopaka w domu, kiedy usłyszał gdzieś w krzakach

ciche szuranie stóp. W bok od ścieżki. Usiłował dostrzec coś pomiędzy zaroślami. Widział niewiele, ale wyraźnie słyszał oddalające się kroki. Cholera! Hughes zaczął przeciskać się przez chaszczę, osłaniając twarz, żeby nie podrapać jej o kolce.

Wyszedł po drugiej stronie i znalazł się na krętej ścieżce, z obu stron porośniętej zdziczałym żywopłotem. W powietrzu wisiał ciężki zapach kapryfolium i Hughesowi nagle przypomniało się, jak po raz pierwszy pocałował Nick przed domem jej matki, po potańcówce. Opierała się o ścianę domu, lekko wtulona w masę kwiatów, które pięły się po kratownicy. Zapach kapryfolium miał już na zawsze kojarzyć mu się z jej osobą.

Hughes doszedł do jakiejś polanki i przystanął jak wryty. Księżyc wisiał już nieco wyżej. W starej szopie, na uboczu, zobaczył Franka Wilcoxa. Ze spodniami opuszczonymi do kostek, mężczyzna rytmicznie pompował dziewczynę, która odwracała od niego głowę. To Frank kierował tą głową, używając jej jako punktu podparcia.

A pomiędzy Hughesem i rozgrywającą się sceną stał Ed, odwrócony do niego plecami. Chłopak nie robił najmniejszego hałasu, ale Hughes widział jego prawą rękę poruszającą się w górę i w dół w gorączkowym rytmie.

Jezu Chryste, pomyślał. Jezu Chryste! Kurwa mać.

Podszedł do Eda, najciszej jak umiał, i wyciągnął rękę, chwytając siostrzeńca Nick za ramię. Dłoń chłopaka zastygła w bezruchu, ale poza tym nawet nie drgnął. Żadnego okrzyku zdziwienia, żadnej szarpaniny. Hughes usłyszał odgłos zasuwanego rozporka, a potem Ed się odwrócił. Na widok zupełnie obojętnej twarzy, mężczyzna

aż się skrzywił. Podniósł palec do ust, a potem wskazał na ścieżkę. Ed odczekał chwilę, nie opuszczając oczu, a później ruszył z powrotem ścieżką w stronę kortów.

Hughes, wściekły, milczał przez całą drogę, obserwując tylko nieśpiesznie idącego przodem chłopaka. Ale kiedy znaleźli się na ulicy, szarpnięciem odwrócił Eda do siebie.

- Coś ty tam, u licha, wyrabiał?

- Nie jestem zboczeńcem - odparł Ed rzeczowo.

- Nie byłbym tego taki pewien - powiedział Hughes. - Znaczy...

Na litość boską, jak mogłeś?

Ale Ed stał tylko z dziwnie pustymi oczami. Hughes nie potrafił odgadnąć, co się dzieje w jego głowie, lecz pamiętał, że w wieku Eda też wyczyniał rozmaite dziwactwa. Czując się potem dość parszywie.

- Posłuchaj - odezwał się, postanowiwszy zmienić taktykę. - To normalne, że myślisz o takich rzeczach.

- O jakich rzeczach? Jezu!

- O mężczyznach i kobietach. Ed milczał.

- Kiedy miałem tyle lat co ty, podobała mi się taka jedna dziewczyna... - Hughes wcale nie był pewien, czy dobrze mu idzie.

- Frank Wilcox wcale mi się nie podoba. Dziewczyna też niespecjalnie.

Czy ten dzieciak jest przygłupi? Hughes usiłował mówić spokojnym tonem.

- Staram ci się wyjaśnić, Ed, że nie wolno szpiegować ludzi po nocy. Zwłaszcza w taki sposób. Znaczy... Dobry Boże!

- Nie szpiegowałem ich.  
- Myślę, że obaj wiemy, co tam robiłeś.  
- Prowadziłem obserwacje naukowe.  
- Obserwacje naukowe tak nie wyglądają. - Hughesa znów ogarnęła złość. - A widok nie był przyjemny.

- A miał być?

Ton głosu chłopaka brzmiał dość neutralnie, ale Hughes miał wrażenie, że Ed się z niego nabija.

- Słuchaj, ja wiem, że u was w domu nie wszystko jest w porządku, a twój ojciec...

- Nie mów o moim ojcu - powiedział Ed i Hughes wreszcie wyczuł odrobinę złości.

- Posłuchaj... - zaczął.

- Ja się tylko staram zdobywać wiedzę - przerwał mu Ed. - O ludziach. O tym, co w nich siedzi.

Hughesa zatkało.

- Przepraszam, ale co rozumiesz przez „co w nich siedzi”?

- Prowadzę sporo takich naukowych obserwacji. Odkrywam rzeczy, których inni nie badają. - Ed patrzył na niego uważnie. - To wcale nie jest przyjemne.

Sposób, w jaki Ed to powiedział, jakaś nowa intonacja w jego głosie sprawiła, że po plecach Hughesa przeleciał dreszcz. Działo się tutaj coś bardzo niedobrego.

- To znaczy? - zapytał powoli.

- Na przykład - powiedział Ed - wiem o twoich listach. Tych od tamtej Angielki. Evy.

Hughes przez chwilę zupełnie nie mógł złapać powietrza. A potem poczuł przyływ adrenaliny. Eva. To się nie może dziać. Myśli mu zmiotniały, spierwotniały. Zbliżył się do chłopaka i załapał go za kołnierz, przysuwając



twarz do jego twarzy. Tak blisko, że poczuł zapach szamponu i potu.

- Coś ty, kurwa, powiedział? - Własny głos, cichy i zimny, zabrzmiał w uszach Hughesa jakoś dziwacznie.

- Listy - odparł Ed szybko, jakby nakręcała go ich wzajemna bliskość. - Te, które chowasz w piwnicy.

- Listy, które chowam w piwnicy... - Gniew emanował z Hughesa niczym smród. - Moje listy. Ty mały skurwielu. - Miał ochotę rozerwać szczeniaka na strzępy. Czuł, że nie da rady się powstrzymać. A potem... Nick. Musi się zastanowić. Zmusił umysł do wysiłku. Wreszcie, pokonując niewyobrażalny wprost opór, puścił chłopaka.

- Nie, Ed - powiedział spokojnie. - Według mnie żadnych listów nie znalazłeś. I nic nie wiesz. - Popatrzył na niego. - Moim zdaniem jesteś żalonym gówniarzem, którego przyłapano, jak się onanizował, podglądając seks dwojga obcych ludzi. To smutna historia. Taka, po której ludzie myślą sobie: „Co za popaprany, zagubiony dzieciak”. A potem zaczynają myśleć o innych rzeczach. Na przykład o tym, że dzieciak jest być może zbyt niezrównoważony, żeby tak biegać sobie bez opieki. I o innych sprawach. Rozumiesz, o co mi chodzi?

- Wcale nie jestem niezrównoważony - powiedział Ed, nie odrywając wzroku od Hughesa. - No i zawsze mogę wypytać o wszystko ciocię Nick. Może ona będzie umiała wyjaśnić mi sprawę tych listów.

Hughes powoli pokiwał głową, a potem trzepnął chłopaka ręką na odlew. Raz. Mocno, aż ten poleciał na chodnik. Ed dotknął dłonią wargi, ale się nie podnosił.

- Wstawaj - powiedział Hughes.

Kiedy Ed wykonał polecenie, złapał go za twarz i obejrzał z obu stron. Nie było śladów krwi.

- Wracaj teraz do domu i nie budź matki. - Jego głos brzmiał ochryple, jakby Hughes nabiegał się po zimnie. - I nigdy więcej nie próbuj mi grozić.

Ed tylko patrzył. Nie rozplakał się, nie kpił, nie jęczał, że został pobity. Lekko przechylił głowę na bok, a potem zawrócił i ruszył z powrotem wzdłuż Morse Street. Do domu.

Kiedy Hughes dotarł na miejsce, w domu panowała cisza. Od razu poszedł sprawdzić listy. Trzymał je w piwnicy, w pudełku z narzędziami, pod warsztatem. W miejscu, w którym na pewno ani Nick, ani Daisy nie miałyby czego szukać. Kiedy podniósł tackę z różnymi gwoździami i śrubkami, znalazł je pozornie nietknięte. Piękna, kremowa papeteria Evy, ułożona w schludny stosik. Wziął do ręki pierwszy leżący na górze.

*Southampton, 2 marca 1945 Drogi Hughesie,*

*Kiedy to piszę, Ty zapewne przewracasz się bezsennie w koi gdzieś na Atlantyku, podczas gdy ja tkwię przy swoim nudnym biurku i wciąż marzę o tamtym magicznym steku, który jedliśmy w zeszłym tygodniu.*

*Muszę przyznać, że ten sposób uczczenia mojego rozwodu dał mi poczucie swobody, ale i zgorszył mnie nieco. Szampan i stek! Co by na to powiedziało Biuro Racjonowania? Ale nieważne. Jestem teraz kobietą upadłą i czuję się z tym znakomicie.*

*Moja przyjaciółka zgodziła się udostępnić nam swój dom w Devon następnym razem, kiedy dostaniesz*

*przepustkę. To tylko maty wiejski domek, ale nie potrzeba nam niczego większego niż łóżko. Ja nie umiem ugotować nawet jajka (przejmiesz się tym?), więc kuchnia jest nam zbędna. Będziemy chodzili nago jak dzień długi, a ja będę się na Ciebie rzucać przy każdej nadarzającej się okazji.*

*Hughes, nie jestem pewna, czy dam radę znieść całe to szczęście. Proszę, proszę, uważaj na siebie. Smutku wokół jest tyle, że aż przeraża. Wiem, że to brzmi nieco dramatycznie, ale nic nie mogę na to poradzić. Świat przecież płonie. Po prostu wracaj do mnie szybko.*

*Całuję, Eva*

Hughes starannie schował list do koperty, a potem zabrał cały stosik na górę, do swojego gabinetu, gdzie z ciężkim sercem zamknął listy w biurku, wsuwając klucz do kieszeni.

Nikomui nie powiedział o tym incydencie i w miarę, jak mijały dni, próbował spojrzeć na całą sprawę z dystansu. Ed naprawdę był zagubiony, pozbawiony prawdziwego ojcowskiego autorytetu, i pewnie zwyczajnie odreagowywał, tłumaczył sobie Hughes. To tylko dziecko. Przechodzi jakąś dziwną, aczkolwiek też nieco nienaturalną, fazę dorastania. Wszystko się dobrze ułoży. Hughes wrócił do miasta, do swoich leniwych popołudni i spania w gabinecie. Wciąż jednak powracał myślami do Franka i tej pokojówki. Do listów i do Nick.

W domu dzwonił telefon. Hughes dotarł do frontowych drzwi i przekręcił klucz w zamku. Serce mu waliło,

kiedy wbiegał, przeskakując po dwa stopnie, na podest schodów, a potem do biblioteki. Podniósł zimną, czarną słuchawkę.

- Halo?

- Hughes, dzięki Bogu! - To była Nick.

- Co? Co się stało?

- Chodzi o Daisy. Ona i Ed znaleźli zwłoki. Hughes oparł się o ścianę. Dłoń przycisnął do piersi.

- Cholera jasna, Hughes. Ona to widziała!

- Kogo? - Czuł się tak, jakby nie mógł oddychać.

- No, tego nie są pewni. Mówi się, że to mogła być czyjaś służąca.

Najwyraźniej to jedna z tych Portugalek.

- Czyja służąca? - zapytał.

Ale wiedział, kim była dziewczyna. Nie było sensu dłużej udawać.

## 1944, GRUDZIEŃ

Chociaż było już po Bożym Narodzeniu, na stacji kolejowej nadal panowała atmosfera świątecznego ożywienia. W powietrzu niemal wyczuwało się zapach sosnowych gałęzi. Ludzie mijali Hughesa, tworząc żywe, bezładne, wyczekujące tło. Jakaś ładna kobieta z sił pomocniczych WRNS, w szarym płaszczu, z naszytymi na jego rąbek dzwoneczkami, przeszła obok, pobrząkując i chociaż na moment wprowadzając go w lepszy humor. Uciekł mu właśnie pociąg do Londynu i Hughes stanął przed przygnębiającą perspektywą spędzenia po raz kolejny jednego z trzech cennych dni przepustki na pokładzie „Jonesa”.

Wyszedł na ulice Southampton, ale poczuł się tylko gorzej. Niemcy bombardowali miasto bezlitośnie, więc teraz jego najbardziej rzucającą się w oczy cechą był kręty labirynt metalowych szkieletów, od stacji aż po doki i ich krajobraz pełen torów, wież i dźwigów. Zabudowania zmieniły się w zbiorowisko ruin, poszarpane, czarne kształty sięgające nieba. Ale najmocniej wstrząsały Hughesem prowadzące donikąd klatki schodowe. Zdawały

się być wszędzie, bezsilnie obnażone przez odstrzelone tyły kamienic. Wychodząc na miasto, Hughes uczył się wbijać wzrok w chodnik...

Ale i tak Southampton wyglądało lepiej niż Hawr, gdzie dopiero co odstawili całą dywizję zmotoryzowaną. Francuski port oberwał tak mocno podczas kontrofensywy, że „Jones” zmuszony był po aprowizację płynąć dalej, do Anglii, zamiast wracać od razu do domu.

Hughes zawrócił do doków i skierował się do kantyny Czerwonego Krzyża, gdzie przynajmniej można było dostać kawę, która nie była jakąś letnią lurą, i nawet

pączka, a potem popatrzeć na wolontariuszki w blado-niebieskich kombinezonach.

Długa kolejka w środku kazała mu znowu przekląć własnego pecha. Hughes miał już zamiar odpuścić sobie to miejsce i iść w diabły, poszukać jakiegoś pubu, kiedy usłyszał wołanie Charliego Wellsa.

- Derringer! - Charlie stał w połowie kolejki i machał ręką, żeby Hughes podszedł. - Myślałem, że siedzisz w pociągu do Londynu. Co się stało? Uznałeś, że uroki Southampton są zbyt pociągające, żeby je sobie darować?

- Uciekł mi ten cholerny pociąg - powiedział Hughes, ignorując mężczyzn utyskujących za jego plecami na tych, którzy pchają się poza kolejnością.

- Ach, no popatrz. Możesz iść na miasto ze mną i z chłopakami. Może się czegoś nauczysz.

- Idź do diabła.

- Ha! - Charlie poklepał go po plecach. - Nie bądź taki delikatny. Słuchaj, musimy ci pomóc trochę wyrosnąć z krótkich spodenek. Może przynajmniej uda się pozbawić cię tego sztywnego kołnierzyka.

Hughes nie miał cierpliwości do Charliego. W ogóle ostatnio nie miał cierpliwości do niczego. Nie widział Nick od trzech miesięcy. Boże Narodzenie było żałosne, bo przez całą drogę z portu marynarki wojennej w Brooklynie „Jonesem” niespokojnie miały fale, świąteczny indyk był mrożony, a sos żurawinowy smakował jak słodkie, czerwone siki. Hughesowi robiło się niedobrze od tych wszystkich nieszczęsnych, zburzonych miast, od portów, w których zawsze wiało jak cholera, i od choroby morskiej, która jakoś nigdy nie chciała przemijać. Kiedy widział we Francji chłopców z armii, schodzących z okrętu po dziesięciu dniach na Atlantyku, nie mógł się nie zaśmiać pod nosem. Ich twarze miały odcień zupy z zielonego groszku. No, ale z drugiej strony mogli pozielenieć na myśl o forsownym marszu na spotkanie Niemcom. W samym środku zimy.

- Poruczniku Derringer.

Hughes obrócił się i zobaczył za sobą komandora Lindsaya. Tak jak Hughes, mężczyzna miał na sobie codzienny mundur.

- Panie komandorze.

- Cieszę się, że na pana wpadłem. Jak rozumiem, wybiera się pan do Londynu. Trzydniowa przepustka?

- Tak, panie komandorze, ale uciekł mi pociąg. Wygląda na to, że do jutra się stąd nie ruszę, sir

- Spóźnił się pan na pociąg, tak? - Komandor Lindsay potarł palcem górną wargę, co miał zwyczaj robić, kiedy zastanawiał się nad rozwiązaniem problemu. Za pierwszym razem Hughes pomyślał, że komandor daje mu do zrozumienia, że pobrudził sobie twarz, i parokrotnie powtórzył ten gest, aż w końcu Lindsay spytał go ostro, co go tak, u diabła, swędzi. - To niedobrze - dodał. - Mam

przesyłkę, która musi trafić dziś przed wieczorem do centrum dowodzenia marynarki. Porucznicy Wilson i Jacks zapewne są już w drodze do Londynu, jak mniemam?

- Tak, sir. Chyba udało im się zdążyć.

- Właśnie. No cóż, poruczniku, może uda nam się upiec dwie pieczenie na jednym ogniu, że się tak wyrażę. Zamienię słówko z Brytolami i zobaczę, czy nie mają jakiegoś wolnego kuriera. Może przetransportują pana do Londynu jeszcze dzisiaj.

- Byłoby świetnie, panie komandorze.

- Niech pan się napije kawy, poruczniku, tylko proszę się sprężyć. Spotkam się z panem na zewnątrz.

- Dziękuję, sir.

- Panie Wells. - Komandor Lindsay skinął głową Charliemu, a potem zawrócił na pięcie i ruszył w stronę drzwi.

- Marylandzki kutas - mruknął Charlie po jego odejściu. - Zawsze chodzi tak, jakby miał kij w dupie.

- Dostałeś patent oficerski? To nie bądź taki wrażliwy

- powiedział Hughes, szczerząc zęby w uśmiechu.

- Weźmy już tę kawę - powiedział Charlie, marszcząc brwi. Ale twarz rozjaśniła mu się niemal natychmiast, bo zobaczył piersiastą dziewczynę z Czerwonego Krzyża, odwracającą się, żeby ich obsłużyć. - Tak czy inaczej

- dorzucił - nie jestem pewien, czy w Londynie jest coś, czego nie znajdę tutaj. - Puścił oko do wolontariuszki, która odpowiedziała uśmiechem.

Hughes się roześmiał. Zaczynał się czuć o niebo lepiej.

Sztab Królewskiej Marynarki Wojennej był jedną z niewielu nienaruszonych miejskich budowli



użyteczności publicznej. Hughes czekał w holu, a komandor Lindsay poszedł porozmawiać ze swoim brytyjskim odpowiednikiem. Zgiełk i zamęt tej placówki przypomniały mu stację kolejową, tyle że bez tej całej bożonarodzeniowej oprawy, co sprawiało mu ulgę. Wysłał list do Nick na dwa tygodnie przed Gwiazdką, licząc, że dotrze do niej na czas. Nie wiedział, co w nim napisać, poza tym, że ją kocha i tęskni. Nie mógł przecież pisać o tym, co robi ani gdzie był i dokąd się wybiera.

Rok czynnej służby minął mu na życiu, w którym czas się zatrzymał. Dzielilo się ono na świat, który zostawił za sobą, i to drugie miejsce, w którym akurat się znajdował. Wśród ciągłych, wstrząsających okrętem wybuchów bomb głębinowych, wystrzeliwanych z miotaczy, bladych twarzy załogi w czerwonej poświęci światełek gotowości bojowej, zygzakowatego kursu przez Atlantyk przy całkowitym zaciemnieniu, odkodowywaniu wiadomości do chwili, kiedy człowiek ma wrażenie, że zaraz wypłyną mu oczy. Nick żyła w tym prawdziwym świecie, w miejscu, o którym mógł czasem śnić, kiedy udawało mu się opuścić łańcuchy koi. Ale tego, gdzie on się znalazł, nie wolno było nawet wspominać, a co dopiero szczegółowo opisywać.

- Poruczniku Derringer.

Hughes podniósł wzrok. Minęło parę chwil, zanim dotarło doń, że osobą towarzyszącą komandorowi jest kobieta. Miała na sobie bryczesy, przydużą kurtkę do konnej jazdy i buty, które wyglądały na lotnicze. W pierwszej chwili Hughes nie mógł określić jej wieku, ale kiedy podeszła bliżej, zobaczył czoło, gładkie pod masą ciasno upiętych włosów, i uznał, że jest mniej więcej w wieku Nick.

- Poszcęściło się panu, poruczniku. Ta oto kurierka, Eva Brooke, też ma przesyłkę do Londynu. - Hughes miał wrażenie, że dostrzega w kącikach ust przełożonego ślad uśmiechu.

- Panie komandorze - powiedział Hughes. Spojrzał na dziewczynę. - Panno Brooke.

- Pani Brooke - poprawiła głosem dźwięcznym jak dzwon.

- Proszę mi wybaczyć, pani Brooke.

- No dobrze, poruczniku. Proszę to przekazać komandorowi porucznikowi Napierowi w Cytadeli Admiralicji. I proszę zadbać, żeby otrzymał przesyłkę, zanim rozpocznie pan zwiedzanie.

- Tak jest, sir.

Komandor Lindsay zwrócił się do młodej kobiety.

- Pani Brooke...

- Komandorze. - Kobieta zaszalutowała zgrabnym ruchem.

Opuścili budynek i przeszli na tyły, na dziedziniec zasypany gruzem z okolicznych zabudowań. Grupa chłopców porównywała tam swoje kolekcje szrapneli. Jeden z nich miał podbite oko. Na ten widok Hughesa ogarnęła dziwna lekkość. Coś w rodzaju zawrotów głowy.

- Zapewne nie będzie mi to potrzebne - powiedziała pani Brooke, rzucając hełm motocyklowy na tylne siedzenie i z obrzydzeniem spoglądając na auto. Potem otworzyła drzwi od strony kierowcy i wsiadła do środka.

- A czym pani zwykle jeździ?

- Motocyklem - odparła. I obdarzyła Hughesa cierpkim uśmiechem.

- Tak, rozumiem - powiedział. - A jakiego typu?

- A zna się pan choć trochę na motocyklach? - Nie.

- Tak właśnie myślałam - powiedziała pani Brooke i zwolniła sprzęgło, wycofując samochód z dziedzińca. Dwukrotnie zatrąbiła na chłopców, którzy rozproszyli się jak chmara gołębi.

Hughes przesunął dłonią po desce rozdzielczej.

- Daimler. Niemiecki.

- Bardzo pan spostrzegawczy. Zawsze pan taki bystry? Hughes spojrzął na kobietę. Wciąż patrzyła prosto przed siebie.

- Nie zawsze. Ale miewam dobre chwile.

-No cóż... Mieliśmy tu fabrykę General Motors, dopóki Luftwaffe nie zajęła się nią zniemacka i raczej głośno.

- Niemcy miewają dziwne upodobania. - Hughes poklepał się po kieszeni na piersi, sprawdzając, czy wsunął do niej zawczasu szczoteczkę do zębów. Miał kilka dolarów ekstra w kieszeni płaszcza, ale przeznaczył je na zapasy biblioteczne. - No więc, co pani dostarcza do Admiralicji?

- Ten cholerny samochód, da pan wiarę? Najwyraźniej w zeszlotygodniowych nalotach stracili kilka sztuk.

- Odwróciła się do Hughesa. A on zauważył, że oczy ma niemal dokładnie w tym samym odcieniu brązu, co włosy.

- Nie chcę być niemiła, ale wydaje mi się, że Marynarka Królewska nie marnowałaby cennej benzyny tylko po to, żeby przewieźć do Londynu jakiś list. Nawet dla pana.

Powoli zostawiali za sobą ruiny Southampton. Otwierała się przed nimi droga z obu stron obrzeżona martwymi, zimowymi polami.

- Dlaczego to pański komandor nie zabrał listu? - zapytała pani Brooke po jakimś czasie.

Jej głos naprawdę przypominał kościelny dzwon. Hughes pomyślał o kurantach z St. Andrews, na Wyspie, gdzie on i Nick brali ślub. Przez głowę przeleciała mu, jak jasne, gorące pasmo światła, niespodziewana myśl

o nagim ciele żony.

- Chyba ma w mieście jakąś dziewczynę.

- A tak. Przysłowiowa kochanka w każdym porcie.

- Czyżby pani tego nie pochwałała?

- Ani nie pochwalam, ani nie potępiam. Tyle że to straszny banał. To wszystko - powiedziała.

- Nie jestem pewien, czy skłonność do banału to najgorsze przestępstwo - odparł Hughes.

- Nie uważa pan tak? Moim zdaniem to chyba najgorsze, co się może człowiekowi przytrafić w życiu.

- Każdy chce udawać, że się czymś wyróżnia, chociaż wcale tak nie jest. Wszyscy jesteśmy tacy sami.

Hughes pomyślał o „Jonesie”. O dwustu marynarzach i dwunastu oficerach. O dwustu dwudziestu mężczyznach dygocących od wybuchów bomb głębinowych.

- Jakie to straszne, że pan tak myśli, poruczniku - powiedziała, a w jej głosie pojawiła się irytująca miękkość. -1 proszę mi mówić po imieniu. Eva. Nie jestem pewna, czy zdołam znieść tę panią Brooke przez następne trzy godziny.

- A gdzie jest teraz twój mąż? - Hughes współczuł biedakowi.

- Tak do końca to nie jestem pewna - odpowiedziała. - Ostatni raz, kiedy się widzieliśmy, był w Północnej Afryce.

- On też jest w marynarce?

- Tak - westchnęła.

Hughes umilkł. Uznał, że chyba nie da rady wysłuchać monologu na temat pana Brooke'a, który nieuchronnie nastąpi po tym westchnieniu. Chociaż nigdy nic nie wiadomo, zwłaszcza z dziewczyną, która jeździ motocyklem. Położył głowę na oparciu siedzenia i wyjrzał za okno.

- Jesteś stąd?

- Kiedy wy, Amerykanie, mówicie „stąd”, nigdy nie jestem do końca pewna, co macie na myśli.

- Z okolicy - powiedział Hughes, przesuwając dłonią wzdłuż przedniej szyby. Ta jej maniera lekkiej zarozumiałości zaczynała mu działać na nerwy.

- Z Hampshire? Nie - odparła.

Hughes patrzył, jak wraz z jego oddechem na szybie pojawiają się i bledną niewielkie koła mgły. Na zewnątrz, dokoła nich, nisko wisało metaliczne niebo. Wyciągnął z kieszeni zapalniczkę Zippo i zaczął otwierać ją kciukiem, wsłuchując się w rytmiczne klikanie stali.

- A ty skąd pochodzisz? - zapytała wreszcie Eva jakby z rezygnacją, poddając się konieczności prowadzenia rozmowy.

- Z Cambridge w stanie Massachusetts - odparł Hughes, myśląc o matce i ojcu, objających się samotnie po wielkim domu.

Do matki też pisywał listy pełne dobrych myśli, optymizmu i wiary w wygraną. Trochę mu się robiło niedobrze od samego ich tonu, ale matka była tak wściekła, kiedy się zaciągnął, że Hughes traktował korespondencję jak rodzaj obowiązku. Wyobraził sobie czytającą matkę, na szeszlengu, z dłońmi zaciśniętymi ze złości w pięści.

W oddali dostrzegł ptaki podobne do mew o intensywnie czarnych głowach. Patrzył, jak krążą, i pomyślał o niemieckich samolotach i o oceanie. Pomyślał też o Hawrze i zastanowił się, gdzie teraz jest tamta dywizja i ilu z chłopaków zostało już poszatkwartych przez panzery, ilu dorobiło się odmrożeń, a ilu któregoś dnia „Jones” odwiezie z powrotem do domu, przez Atlantyk. Słuchając odgłosu silnika wibrującego pod maską, zapadł w drzemkę.

Kiedy się ocknął, szyba była zaparowana. Sięgnął do kieszeni płaszcza i znalazł paczkę lucky strike'ów. Nieco uchylił okno i wsunął papierosa do ust.

Obrócił się do Evy i poczęstował ją papierosem.

- Och tak, dziękuję - powiedziała i po raz pierwszy zaczęła wyglądać na swój wiek. Jak młoda kobieta, ucieszona perspektywą zapalenia tytoniu.

- Ile masz lat? - zapytał Hughes, zapalając papierosa i podając go Evie.

- Dwadzieścia cztery - odpowiedziała.

Przez otwarte okno wpadał ostry zapach mokrej trawy i martwych liści.

- Dlaczego postanowiłaś zostać kurierem? - Zaciągnął się leniwie własnym lucky strikiem, dawno tak nie zrelaksowany.

- Dlaczego o to pytasz?

- Z oczywistego powodu - odparł.

- No tale. To odpowiedź musi być chyba równie oczywista.

- Dla rozrywki?

- Tak, ale... Nie podobało mi się, że tkwię w jednym miejscu.

- Dałbym teraz wszystko za to, żeby tkwić w jednym miejscu - powiedział Hughes.

- Nie mówię o jakichś konkretach. Sama nie wiem. Po prostu całkowita stagnacja, prawdę mówiąc. - Ton był stanowczy, ale Hughes miał wrażenie, że dziewczyna zaraz się rozpłacze.

Spod spinek wysunęły się jej włosy, wijąc wokół twarzy i szyi, i Hughes dostrzegł, że jest w gruncie rzeczy atrakcyjna, jeśli pominąć te bryczesy i źle leżącą kurtkę. Dłonie na kierownicy wydawały się bardzo drobne; nagle zapragnął zobaczyć jej nadgarstki. Wyobrażał sobie, że są delikatne jak u ptaka.

- A więc masz swój motocykl i możesz w każdej chwili pojechać, gdzie chcesz. O to chodziło? - Wydmuchał dym do wnętrza auta.

- Cóż, nie wygląda to aż tak różowo.

- Pewnie twojemu mężowi miło jest wiedzieć, że robisz swoją robotę. Że w pewien sposób walczysz z nim ramię w ramię, że się tak wyrażę.

- Och, to mężowie lubią takie rzeczy? Nigdy nie znałam się na tym zbyt dobrze. - W jej głosie zabrzmiała pogarda. - Czy to właśnie robi twoja żona? Wykonuje swoją część roboty?

- W pewien sposób - powiedział Hughes, zerkając spod oka. Nie spodobał mu się jej ton. - Istnieje. Mnie to wystarczy.

- Jakie urocze.

Hughes zignorował komentarz.

- Musi być naprawdę wspaniała, ta twoja żona, jeśli sama jej egzystencja niesie ci taką pociechę.

- Bo jest.

Eva popatrzyła i nagle zrobiła się niewymownie smutna.

- A, do diabła! - rzuciła, znów wbijając wzrok w drogę. Kilka minut jechali w milczeniu. Jezus, ależ ona jest kolczasta!

- Jak daleko jeszcze? - spytał.

- Już niedługo. - Jej głos znów brzmiał bardzo czysto i absolutnie rzeczowo.

Hughesowi ulżyło.

- Nigdy nie byłem w Cytadeli Admiralicji - powiedział. - Jak tam jest?

- Och, wiesz, mapy i inne takie. Wszyscy są tam bardzo zabiegani.

Zapalił kolejnego papierosa.

- A co robisz w sylwestra?

- Zapraszasz mnie?

- Co? - Hughes poczuł, że policzki palą go nieco. Jak dziewczynę.

- Nie, po prostu spytałem.

- Nie przejmuj się tak. Żartowałam tylko - powiedziała i uśmiechnęła się chytrze.

Hughes się roześmiał. Dziwny ptak był z tej Ewy Brooke. Coś jak aktorka grająca naraz milion różnych ról.

- Sama nie jestem jeszcze pewna - dodała. - Może spędzę sylwestra z rodziną. Mam dwa dni przepustki.

- Aha - powiedział Hughes.

- Ale twój komandor mówił, że ty masz trzy dni. Jestem pewna, że będą jakieś tańce. O ile szukasz rozrywki.

Hughes milczał.

- Co to za mina? Nie lubisz tańców?

- W tej chwili chyba niespecjalnie. Przypominają mi o żonie. - Pomyślał o Nick i jej sukience z wycięciem w kształcie serca. Lubił tę sukienkę.



- Ojej - westchnęła Eva. - Naprawdę jesteś zadurzony. Będziemy musieli sprawdzić, czy uda nam się temu zaradzić.

To w tym momencie Hughes postanowił zamknąć buzię na resztę podróży.

Kiedy dotarli do Londynu, Eva zaczęła prowadzić ostrożniej, manewrując tak, żeby omijać zaparowane samochody, wozy straży pożarnej i ogólny śmietnik. Dziwnie jakoś było po jednym zbombardowanym mieście znaleźć się zaraz w następnym, oddzielnym tylko pofałdowanymi polami i od czasu do czasu jakąś wioską. Kiedy mijali to, co zostało po dawnym sklepie Dunhilla, Hughesowi przypomniała się jego ostatnia wizyta w Londynie, tuż przed wojną. Przyjechał ze swoją akademicką drużyną wioślarską, a w tym sklepie złożyli nieco pijacką wizytę, by zaopatrzyć się w cygara, w oczekiwaniu na wygraną z angielskimi rywalami. Teraz pozostał po nim tylko szyld, oparty o stos gruzów.

- Cholerni Niemcy - powiedział. - Popatrz tylko na to.

- Tak - zgodziła się. - Czasem człowiek ma wrażenie, że płonie cały świat, prawda?

Zaparkowali i Eva umieściła swoją służbową przepustkę za przednią szybą, opierając ją lekceważącym gestem o szkło.

- I tak nie jestem pewna, czy to coś da - powiedziała bardziej do siebie niż do Hughesa.

Ruszyła dziarskim krokiem w stronę Cytadeli Admiralicji, wielkiego betonowego bunkra z kwadratową wieżyczką i strzelnicami. Jak rodem ze średniowiecza.

- Ślicznie tu, prawda? - powiedziała, obdarzając Hughesa uśmiechem.

Zauważył, że znalazła chwilę, by pociągnąć usta szminką i ogarnąć włosy. Kiedy ona to zrobiła? Naprawdę myślała, że odrobina koloru odwróci uwagę od źle leżących ubrań? A mimo to było w tym staraniu coś seksownego. Hughes nie był pewien, czy kiedykolwiek przedtem widział kobietę w bryczesach.

Okazali swoje papiery strażnikom przy obu wejściach, do budynku i na klatkę schodową, a potem zeszli kilka pięter w dół, do podziemi. Eva zdawała się znać drogę. Kiedy dotarli na odpowiedni poziom, skręciła w korytarz. A potem w następny. Musieli precyzyjnie się obok paru oficjeli z marynarki, którzy wyciągali mapy z szuflad w ciężkich drewnianych szafach. Biały telefon na jednej ze ścian dzwonił zawzięcie, dopóki nie odebrała go jedna z wrenek. Hughesowi przypominało to pomieszczenia na „Jonesie” pod pokładem - ciemno, ciasno, stal i pomalowany na zielono beton. Wreszcie dotarli do wejścia do sali dowodzenia, całej obstawionej workami z piaskiem, gdzie ponownie musieli okazać przepustki.

W środku całą wielką czarną ścianę ozdabiała mapa wskazująca na położenie U-Bootów i ruchy alianckich konwojów. Przed nią znajdował się metalowy chodnik, po którym tam i z powrotem przechadzały się kobiety z WREN, przesuwając znaczniki to tu, to tam, w miarę jak lokalizację obiektu wywoływano z poziomu sali. Hughesowi zrobiło się niedobrze, gdy zobaczył, jak blisko czarnych znaków znajdowały się niektóre konwoje. Na okręcie człowiek miał tylko ładunki głębinowe, które - chociaż wystrzeliwane bez przerwy - rzadko w coś

trafiały. Wiedziało się niby, że one gdzieś tam są, te łodzie podwodne, że czają się gdzieś w pobliżu, ale skoro nie dawało się ich zobaczyć, można było nadal mieć wrażenie bezpieczeństwa. A przynajmniej czasami. Eva miała rację. Cytadela cała składała się „z map, z tego wszystkiego i masy bieganiny”. Ale z bliska uwaga dziewczyny nabrała innego, złowieszczego znaczenia.

Do Hughesa podszedł jakiś komandor porucznik.

- Jak rozumiem, ma pan dla mnie przesyłkę, poruczniku. - Oczy mężczyzny zdawały się przewiercać go na wskroś.

- Komandorze Napier - odezwał się Hughes, salutując. - Tak jest, sir. - Wyjął i przekazał kopertę.

Komandor milczał, więc Hughes zasalutował ponownie. Napier skinął mu głową, odwrócił się i po prostu odszedł. Eva gawędziła z jakimś oficerem. Właśnie wybuchnęła śmiechem i odrzuciła głowę do tyłu; jej kręcone włosy groziły rozsypaniem się na ramiona. Hughes zastanowił się, czy powinien na nią zaczekać. Uznał, że niegrzecznie byłoby wyjść ot tak, bez pożegnania, po tej długiej, dziwnej jeździe, ale czuł też, że tak będzie po prostu lepiej.

Po raz ostatni rzucił okiem na mapę, po czym skierował się z powrotem w stronę strażników przy drzwiach, zasalutował im i wyszedł. Stał na korytarzu, nie pamiętając, czy trafił tutaj z lewej czy z prawej strony holu. Zdecydował, że chyba z lewej, i nagle poczuł, że ktoś ściska go za ramię.

- Chyba nie sądziłeś, że cię porzucę na pastwę samotnego sylwestra, co? - powiedziała Eva.

Hughes nie umiałby dokładnie określić dlaczego, ale zalała go w tym momencie fala ulgi.

Cudem znaleźli taksówkę, przy czym upierała się Eva, a co Hughesowi nie przeszkadzało, bo dopiero co odebrał żołąd. Ale kiedy powiedziała kierowcy, żeby ich zawiózł do Claridge's, na chwilę spanikował. Widząc jego minę, Eva po prostu się roześmiała.

- Nie bój się. Nie mam zamiaru naciągać cię na kolację, poruczniku. Moja rodzina wynajmuje tam pokój.

W Londynie Eva zdawała się przechodzić kolejną metamorfozę. Była swobodniejsza, mniej marudna czy smutna, czy co jej tam przedtem dolegało. W taksówce wyjęła z włosów spinki i wsunęła je do kieszeni kurtki.

Hughes nie zapytał, czym zajmuje się jej rodzina, skoro stać ją na utrzymywanie pokoju w Claridge's, ale w sumie niewiele go to obchodziło. Wystarczyła mu okazja zobaczenia hotelu, w którym zatrzymywali się wszyscy. Włącznie z jego bohaterem Churchillem.

Kiedy zatrzymali się przed wejściem, uśmiechnął się szeroko. Okazałe wejście było wysoko obłożone workami z piaskiem, dokładnie tak samo, jak sala dowodzenia w Cytadeli, zupełnie jakby w mieście nie czyniono różnic między pracą a zabawą. I tak samo, jak w Cytadeli, Eva pewnym krokiem przeszła przez hol. Jej zabawne buty stukały o wypolerowaną czarno-białą marmurową posadzkę. Hughes obejrzał sobie wielopoziomowy żyrandol i robiące wrażenie wygodnych klubowe fotele. Nad kominkiem wisiał działający na nerwy portret niesłychanie sztywnej kobiety, ale kominek promieniował ciepłem. Dołączył do Ewy przy frontowej recepcji.

- Dobry wieczór, lady Evo - odezwał się starszy pan zza kontuaru.

Lady Eva? Kim, u licha, była właściwie ta dziewczyna?

- Dobry wieczór, Winstonie - odparła.
- Nie za chłodny dzień dzisiaj na przejażdżkę, mam nadzieję. - Wyciągnął do niej klucz doczepiony do mosiężnej plakietki z napisem: „Claridge's. Pokój 201”.
- Dziś, niestety, jechałam autem.
- Znakomicie - odparł mężczyzna. Eva odwróciła się do Hughesa.
- Winda jest tam - powiedziała, biorąc go pod ramię i prowadząc z powrotem przez lobby.
- Zdaje się, że to dość kompetentny facet - powiedział Hughes i zerknął na nią z uśmiechem. - Lady Evo.
- Tak, Winston jest nieoceniony - powiedziała, ignorując wzmiankę o tytule. - Nawet w żartobliwej konwersacji.
- Stanęli przed drzwiami windy.
- Muszę tylko wziąć szybką kąpiel i zrzucić z siebie te ciuchy - powiedziała Eva. - A potem postawię ci drinka w Causerie.
- Hughes wysunął łokieć spod jej dłoni.
- Powinienem chyba zaczekać na dole - powiedział, czując się nieco głupio. - A poza tym to ja stawiam drinka tobie.
- Nie wygłupiaj się - zaprotestowała. - Nikt nie czeka w holu. - Wepchnęła go do środka.
- Windziarz, nie odrywając wzroku od sufitu, zatrzasnął wewnętrzną kratę.
- Kiedy zbliżali się do pokoju 201, Hughes zatrzymał się i odmówił zrobienia choć kroku dalej.
- Posłuchaj, ja tu po prostu posiedzę na zewnątrz. I nie mów mi, że na korytarzu też się nie czeka.
- Pomyślą, że jesteś zboczony - powiedziała Eva.

- Albo że jesteś moim kochankiem i czekasz na sygnał. Ale jeśli tak sobie życzysz.

- Jezu! - westchnął tylko i szybko wszedł do pokoju. Kiedy znalazł się we wnętrzu, obrzucił wzrokiem

czeczotowe szafki i pluszowy dywan, przeklinając w duchu sam siebie. Eva oznaczała kłopoty, ale tyle wiedział od początku, jeśli miał być ze sobą szczery. Pomyślał o Nick, dzielącej ten okropny wynajęty dom na Elm Street z Heleną, i poczuł się winny. Nie powinno go być w tym miejscu. Ale wiedział też, że chce tu być, a jego poczucie winy wynika z niemyślenia o żonie.

- Usiądź - powiedziała Eva, wskazując mu kremowy fotel.

Hughes stał.

- Nie wygłupiaj się - powiedziała. - Masz, możesz sobie to poczytać, żeby czymś się zająć. - Podała mu egzemplarz „The Illustrated London News”.

Artykuł na pierwszej stronie mówił o ofensywie w Ardenach, zaciekle toczonej w Belgii, w koszmarnych warunkach pogodowych. Hughes znów pomyślał o dywizji, którą wysadzili w Hawrze. Rzucił się na fotel i przeczesał dłońmi włosy.

- Zajmie mi to sekundę! - zawołała Eva z łazienki, a on podniósł wzrok. W zamykających się drzwiach mignęła zielona marmurowa umywalka.

Usłyszał, jak Eva odkręca krany, a potem odgłos lecącej wody. Naprawdę powinien stąd wyjść. Mógłby zjechać na dół, do baru, i tam poczekać.

Zamiast tego przerzucał strony gazety. Zaczął czytać jakąś historię o tym, jak to rodziny w Londynie radzą sobie z zaopatrzeniem na święta i wynajdują pomysły

sposoby wyczarowania babeczek bakaliowych z racji żywnościowych. Aż zgłodniał. Zastanowił się, co Nick jadła na Boże Narodzenie. Była u jego rodziców, a ich kucharka, Susan, wykazywała spory spryt, kiedy szło o zaopatrzenie na czarnym rynku. Tak przynajmniej napisała mu Nick, z ukrytą w słowach nutką zawiści. Nick miała żarłoczny apetyt na życie, niełatwy do pogodzenia z racjonowaniem i ograniczeniami. Hughes zachichotał, wyobrażając sobie, jak próbuje oszczędzać kartkowe masło, żeby wystarczyło na spód do ciasta. Była niecierpliwa, czasem nawet przesadnie, ale właśnie to go w niej pociągało. Od początku. Jej przekonanie, że cały świat ma na wyciągnięcie ręki. To i ta jej dziwna bezbronność. Oszłomiły go, kiedy zobaczył Nick po raz pierwszy, i sprawiły, że zapragnął stać się częścią tego wszystkiego, co sobą obiecywała. Tyle że teraz nie czuł się już tak silny, mimo że ona pozostała niezmieniona. Fakt, który wprawiał go w niepokój.

Hughes usłyszał pluskania i podśpiewywanie. To było śmieszne. Wstał i podszedł do stojącego przy oknie, wypolerowanego biurka, z zamiarem napisania do niej karteczki. Że się spotkają się w barze. Wziął do ręki pióro, a z pudełka wyjął kilka arkuszy hotelowej papeterii. Ale złapał się na tym, że nie wie, jak zacząć. „Droga Evo” czy po prostu „Evo”, czy może „Pani Brooke”? A może po prostu bez nagłówka. Może zwykłe: „Na dole w barze”. Nie, to chyba trochę niegrzeczne. Gapił się przez chwilę na pustą kartkę, a później uniósł pióro i napisał:

*Czekam na jaśnie panią w barze,  
Hughes*

Uśmiechnął się. To ją wkurzy, pomyślał. Ale kiedy pochylał się, żeby położyć kartkę na poduszce, gdzie

na pewno rzucałaby się w oczy, usłyszał otwierające się drzwi łazienki. Kiedy się odwrócił, zobaczył ją w progu, naga jak ją pan Bóg stworzył, na tle kafelków łazienkowej podłogi.

- Witaj - powiedziała.

Dobrą chwilę zajęło mózgowi Hughesa zrozumienie tego obrazu. Niewysoka, blada kobieta o pięknych, ciężkich piersiach, których nie sposób było dostrzec pod obszerną kurtką. Miała szerokie biodra, figurę miniaturowej klepsydry. Końce włosów lepiły się do jej mokrych ramion. Ale Hughes nie mógł oderwać wzroku od dużego, ciemnego i obfitego krzaczka. Przemknęła mu przez głowę dziwaczna myśl, że u jego żony, u której przypominał płaską, rozpiętą na pergoli winorośl, wyglądał on zupełnie inaczej.

Eva wpatrywała się w niego szczerymi oczami, trzymając ręce opuszczone nieruchomo po bokach, bez najmniejszego śladu zażenowania. Z jakiegoś powodu strasznie go to zagniewało.

- Załóż coś na siebie - rzucił chłodno, mnąc w dłoni kartkę.

- To było do mnie? - zapytała, gestem wskazując zwiniętą kulkę papieru. - Co napisałeś?

Hughes nie zamierzał się odwracać. To by była oznaka słabości.

- Na litość boską, pani Brooke, proszę się czymś okryć. - Był wściekły, ale jego słowa brzmiały obojętnie.

Eva potrząsnęła głową, jakby z litością.

- Wróciliśmy do pani Brooke, tak?

- Nie wróciliśmy do niczego - rzucił Hughes, czując drżenie dłoni. - Jesteś panią Brooke. O czym zdajesz się zapominać.



- Proszę mi wierzyć, poruczniku, nie zapominam.

- Eva bez pośpiechu podeszła do szafy i otworzyła ją, przesuwając dłonią po ubraniach. Jakby nie umiała się zdecydować, co ma założyć.

Hughes wiedział, że nie chce (nie może!) wyjść, więc kiedy się ubierała, patrzył na własne stopy.

- No dobrze. Można powiedzieć, że jestem teraz dość przyzwoita nawet dla pastora - odezwała się wreszcie. Słowa były żartobliwe, ale głos wydawał się zmęczony.

Podniósł wzrok. I poczuł osobliwe rozczarowanie, widząc ją całą zakrytą niebieską wełną, z paskiem otaczającym talię.

- Nie mów mi tylko, że teraz nie postawisz mi drinka

- powiedziała, jakby to on był stroną, która zachowuje się nierozsądnie. - Poza tym wyglądasz, jakby i tobie alkohol mógł się przydać. Twarz ci pobladła. Mam nadzieję, że czujesz się dobrze.

Hughes miał ochotę ją spoliczkować. Ale, pomyślał, prędzej szlag mnie trafi, niż dam za wygraną i pozwolę się upokorzyć byle dziewczynie, która nie potrafi nie wyskakiwać od razu z ubrania.

- Chyba faktycznie potrzebuję drinka - odparł, zdobywając się na lekki ton. - Nie co dzień narzucają mi się kobiety.

Patrzył, jak na twarz Evy wypełza rumieniec. Sprawilo mu to odrobinę satysfakcji.

- Tak, jestem nawet w stanie pojąć, dlaczego to robią

- odparła cierpko. - Bo sam zachowujesz się jak niemądra uczennica.

Hughes otworzył drzwi, a Eva zgarnęła z biurka torebkę i wyszła na jasno oświetlony korytarz.

- Do Causerie - zakomenderowała. - Mają tam bar kanapkowy i można jeść, ile się chce. W cenie wypitych drinków.

- Niezły układ - powiedział Hughes. Zdecydował, że postawi jej drinka, a potem wyniesie się stamtąd do diabła i poszuka punktu Czerwonego Krzyża, w którym będzie mógł przenocować.

- Wiesz, wszystko dlatego, żeby ominąć restrykcje cenowe. Na granicy legalności.

Sala tonęła w różu i zieleni. Pod jedną ścianą stał stół bufetowy, zastawiony mięsem i wędzonymi rybami, fasolą i różnymi daniami na podgrzewaczach. Powitał ich kelner.

- Lady Evo, dobry wieczór - odezwał się. - Stolik dla dwojga?

- Tak, proszę - odparła, wyciągając szyję i zerkając za plecy mężczyzny. - Może ten w kącie? - Wskazała ręką, w której trzymała torebkę.

Stolik stał obok okna szczelnie zasłoniętego kotarami. No tak, zaciemnienie. Kelner odsunął Evie krzesło. Hughes usiadł naprzeciwko, ale zaraz się poderwał.

- Przepraszam - powiedział.

- Naturalnie - odparła, marszcząc brwi.

Hughes wrócił do holu i zapytał o toalety. W łazience dla panów usiłował załatwić potrzebę w jednej z kabin, ale zdał sobie sprawę, że wcale tak naprawdę nie musi. Zapiął zamek przy spodniach i wyszedł do rzędu marmurowych umywalek. Posługacz odkręcił kurki i podał mu małą kostkę mydła. Hughes opłukał dłonie pod ciepłą wodą i spojrzął do lustra. W myślach odtworzył ciało Evy, ten ciemny trójkąt między jej nogami. Zachowałem się jak skromniś, zdał sobie nagle sprawę i zrobiło mu się nieco wstyd. Przypomniał sobie jej oczy, to spoczywające

na nim niedwuznaczne spojrzenie. W wyrazie twarzy Evy nie było niczego uwodzicielskiego, żadnego zerkania spod rzęs, jakie widywał u flirtujących dziewczyn. Po prostu naga czystość. Dotarło do niego, że chodzi właśnie o tę prostotę. Czy uczciwość. Nieważne. Jakby tego nie określać, ona wprawiała go w zmieszanie.

Poza Nick nigdy nie widział nago żadnej kobiety. Nie kompletnie nago, pomijając parę francuskich pocztówek. U żony jej piękno i nieprzewidywalność sprawiały mu przyjemność, jakby nigdy, do ostatniej chwili, nie miał pewności, czy ją zdobędzie. Tak to właśnie między nimi wyglądało. Nigdy nie wyciągała ręki pierwsza, tak jak zrobiła to Eva. I nagle wydało mu się to dziecinne, nieuczciwe i bardziej niż tylko trochę męczące. Całe to udawanie i gra, którą uprawiali.

- Proszę pana? - Posługacz podsunął mu ręcznik do wytarcia rąk. Hughes zdał sobie sprawę, że stoi jak idiota, a woda płynie.

- Dziękuję. - Wziął ręcznik i wytarł dłonie, a potem wyszedł z łazienki i z powrotem znalazł się na sali Causerie.

Kiedy wrócił do stolika w kącie, znalazł czekający nań gin z tonikiem.

- Nie wiedziałam, co lubisz, ale pomyślałam, że to bezpieczny wybór. Coś jak ziemniaki z mięsem wśród koktajli - powiedziała Eva.

- Świetnie, dziękuję.

- Jesteś głodny? - Zapytała ugrzecznionym tonem.

- Jeszcze nie bardzo.

- Tak - powiedziała. - To był długi dzień. W takim ogólnym zamieszaniu człowiek potrafi stracić apetyt.

Hughes nie odpowiedział; szczerze mówiąc, nie wiedział, jak zareagować. Jak człowiek ma rozmawiać z dziewczyną, która w jednej chwili zdejmuje przed nim ubranie, a w następnej prowadzi konwersację w babcinym stylu? Zamieszał drinka srebrnym mieszadełkiem, głównie po to, żeby czymś zająć ręce.

- Posłuchaj - powiedziała wreszcie Eva. - Przepraszam, jeśli wcześniej zachowałam się niewłaściwie. Moje sprawy... No cóż, ostatnio potoczyły się trochę nietypowo... - urwała.

- Nieważne - powiedział Hughes, wciąż mieszając drinka. - Nie mówmy już o tym.

- Nie, ja naprawdę cię przepraszam. - Położyła palce na drugiej dłoni Hughesa, ale szybko wycofała rękę, kiedy podniósł na nią wzrok. Zaczęła bawić się serwetką pod kieliszkiem z koktajlem. - Widzisz, rozstaję się z mężem.

- Rozumiem.

- Nie, nie rozumiesz - powiedziała, z pasją drąc koronkę serwetki. - Ja nie próbuję zastawiać na ciebie pułapek. Nic z tych rzeczy. Nie o to chodzi. Po prostu cała ta historia sprawiła, że zrobiłam się nieco lekkomyślna.

- Nie ma o czym mówić. - Hughesowi zrobiło się żal tej jeżdżącej na motocyklu dziewczyny z wyszukanym tytułem i nieudanym małżeństwem. - Naprawdę, nie musisz mi nic tłumaczyć.

- Dziękuję - powiedziała. Upiła łyk drinka. - Tak w sumie, to nic mi nie jest - ciągnęła. - Nie chcę, żebyś sobie pomyślał, że jestem jakąś stukniętą babą, która rzuca się w ramiona każdego żołnierza. Ja po prostu go nie kocham. To znaczy: mojego męża. I uważam, że lepiej nie udawać.

- Nie musisz mnie przekonywać - odparł Hughes.

- Wiem. Ale z jakiegoś powodu chcę cię przekonać. Rozumiesz?

Hughes poczuł, że coś w nim mięknie. Zdał sobie sprawę, ile ją kosztowała taka szczerość i zawstydził myśli, że odebrał ją jak coś brudnego. Chciał wrócić i zrobić wszystko od początku. Tyle że tym razem wyciągnąłby do niej rękę i dał do zrozumienia, że wszystko w porządku.

- Rozumiem - powtórzył cicho.

- Kiedy zawierasz małżeństwo, zawsze wybierasz najlepszą osobę ze swojego kręgu, a potem modlisz się do Boga, żeby ten krąg nigdy się nie rozrósł - powiedziała Eva. - Ale on zawsze się poszerza, wiesz?

- Tak. - Dokładnie rozumiał, o co jej chodzi. - A więc twój krąg się rozrósł.

- Świat się rozrósł.

- Ja nie wiem, czy mój świat jest większy - powiedział Hughes z zastanowieniem. - Ale, z drugiej strony, tak szczerze, niewielu rzeczy jestem ostatnio pewien. Co jest nieco zabawne, bo miałem tę cholerną pewność, kiedy się w to wszystko pakowałem.

- Nasza wojna trwa dłużej niż wasza - stwierdziła Eva. - Mieliśmy więcej czasu, żeby się napatrzeć, jak wszystko się rozlatuje.

- Włącznie z twoim małżeństwem.

- Włącznie z moim małżeństwem - powiedziała. - Skończyło się.

- Oderwała już koronkę od lnianej serwetki. - Boże, ależ to był banal! Wojenna panna młoda i tak dalej.

- Nie - zaprzeczył. Teraz to on wyciągnął rękę i dotknął jej nadgarstka. - Nie, to ja się myliłem. Ludzie bywają różni.

Uśmiechnęła się do niego, a Hughesowi ścisnęło się serce.

- Mogłabyś przestać się już znęcać nad tą serwetką.

- Wyszczrzył zęby.

- Och - powiedziała Eva. - No tak. - A potem: - Czy ty kochasz swoją żonę?

- Kocham - powiedział Hughes, nie zdejmując dłoni z jej ciepłej skóry. - Ale w tej chwili nie chcę rozmawiać o mojej żonie.

- Oczywiście.

- Myślałem, że zabierzesz mnie na tańce - dodał.

- Oprowadzisz po mieście i tak dalej.

Roześmiała się.

- Wy, Amerykanie, jesteście tacy bezpośredni! -Wiem, zupełnie nie mamy hamulców. Wszystko

przez te rozległe przestrzenie i proste życie.

- Tutaj jest muzyka. Na sali balowej. Jeśli naprawdę masz ochotę potańczyć.

- O ile twój karnecik nie jest zbyt pełen.

- Jakoś tak się złożyło - powiedziała - że mój karnecik świeci pustkami.

Po kilku kolejnych drinkach Hughes znalazł się na sali balowej, tuląc Evę pod tymi wszystkimi francuskimi stiukami i ozdobnymi lustrami w takt *We'll Meet Again* granego przez niewielką orkiestrę. Nie sięgała brodą jego ramienia, więc odwracała głowę, a Hughes, żeby zobaczyć zarys jej profilu, musiał patrzeć w dół.

- Jak zareagował twój mąż, kiedy mu powiedziałaś?

- zapytał przyciszonym głosem, jakby omawiali jakiś sekret.

- Nie wiem. Wysłałam mu list dopiero wczoraj - odezwała się w klapę jego munduru.

Hughes zastanawiał się, czy Eva kiedykolwiek kochała męża i czy kocha go nadal w tej chwili, mimo wcześniejszego wyznania. Sytuacja przyprawiała go o lęk. Może istniał jeszcze ktoś inny? Tego nigdy nie da się wyczuć z kobietami. Ale w głębi serca Hughes wiedział, że okłamuje samego siebie. Żeby jego pożądanie nie musiało niczego oznaczać.

- Myślisz, że kiedyś znów wyjdiesz za mąż? - Czekaając na odpowiedź, poczuł małe ukłucie adrenaliny.

- Nie - odparła po chwili. - Nigdy już nie wyjdę za mąż.

O wiele później obejmował ją w mroku sypialni, w pościeli skłębionej wokół ich stóp. Patrzył na niewyraźny kontur swojego munduru, zawieszzonego na krześle przy biurku. Dłonią obrysowywał kształt jej piersi i czuł zapach mydła kąpielowego unoszący się znad jej wilgotnej skóry. Było tak cicho. Przez chwilę brakowało mu odgłosów bomb głębinowych na „Jonesie”. Chciał usłyszeć głos Evy, ale bał się tego, co powie. Bał się tego, co pragnie od niej usłyszeć. Więc nie mówił nic i o nic nie pytał, aż przelatujące nad głowami pociski V-2 rozerwały ciszę.

- Jest północ - powiedział. - Już Nowy Rok. -Tak.

- Może w tym roku skończy się wojna?

- Być może.

Czuł między nimi niewypowiedziane. Eva odwróciła głowę i spojrzała, a jej twarz była ostatnią rzeczą, jaką zobaczył przed snem.

Obudził się wcześnie, z wyraźnym uczuciem, że się dusi. Wstał i ubrał się po cichu. Rozsunął nieco ciemne kotary i zobaczył, że Nowy Rok ma odcień szarości, z bladym słońcem barwy uryny usiłującym przebić się przez zasłone chmur. Wyszedł, nie patrząc na Evę, pozwalając, by za jego plecami bezszelestnie zatrzasnęły się drzwi.

W hotelu panowała cisza; jedyny odgłos w holu wydawały podeszwy jego butów na marmurowej posadzce. Na zewnątrz Hughes odetchnął głęboko wilgotnym, zimnym powietrzem, wcisnął ręce w kieszenie i ruszył przed siebie.

Brudne i złamane miasto o tej godzinie emanowało brzydotą. Hughes żałował, że niebo nie jest czyste, a powietrze ostre, jak o tej porze roku w Cambridge. Usiłował nie wracać myślami do Nick, ale im bardziej się starał, tym usilniej myślał o żonie. Nick, z tym jej uroczym uśmiechem, czekająca na jego powrót. Nienawidził sam siebie. To przez tę przekłętą wojnę, która wszystko wywraca do góry nogami! Nie da się być jednego dnia takim, a drugiego siakim, a wojna to właśnie robiła z człowiekiem. Hughesowi cholernie nie podobał się facet, na którego dziś rano spoglądał w lustrze. Słabeusz. Obiecał Nick miłość i opiekę, a zamiast tego ją zdradził. A ona mu ufała. Więcej, potrzebowała go. Kochała. Hughesa ogarnęło obrzydzenie.

Pochodził jakiś czas bez celu, a potem ruszył w stronę Piccadilly. Wiedział, że tam znajdzie Czerwony Krzyż. W środku było gwarno. Hughes spojrzął na zegarek. Ósma trzydzieści. Ustawił się w kolejce po kubek kawy i pączka, a potem usiadł przy małym drewnianym stoliku pod oknem. Pił kawę i patrzył, jak krzepnie słońce. Potem



dojadł pączka, maczając resztki w ostatnich kroplach kawy. I poczuł się lepiej. Wiedział, co powinien zrobić. Podeszedł do kontuaru, poprosił jedną z dziewczyn o ołówek i kartkę papieru i wrócił do stolika. Zaczął pisać.

*Ten list może Cię zaskoczyć i nie chcę, żebyś się niepokoiła, ale są pewne rzeczy, które chciałbym Ci powiedzieć. Wojna sprawia, że świat staje się dziwnym miejscem, a ja dziwaczeję wraz z nim. Więc pragnę, żebyś wiedziała, że cokolwiek się stanie, ja Cię kocham. Kochałem Cię, kiedy po raz pierwszy tańczyliśmy ze sobą i kiedy mi dokuczałaś, że mam dwie lewe nogi. Kochałem Cię, kiedy się oświadczałem i kiedy Ty odwróciłaś ode mnie twarz. Kochałem Cię w dniu naszego ślubu, wtedy kryjącą się na górze jak nieszczęśliwe dziecko. A bardziej niż kiedykolwiek kochałem myśl o Tobie, kiedy przekraczałem w tę i z powrotem ten przeklęty ocean, czekając i modląc się o powrót do domu.*

*Ale nie jestem już tym samym człowiekiem, który rok temu wyłynął na przeszkolenie. Zdarzały mi się rzeczy, z których nie jestem dumny i które chciałbym cofnąć. Ale pragnę do Ciebie wrócić jako człowiek co najmniej tak samo dobry jak ten, który Cię opuszczał. Nie chcę dłużej udawać, że jestem taki sam albo że Ty jesteś taka sama. Chcę być wobec Ciebie uczciwy.*

*I jeśli to wszystko przetrwam, obiecuję, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby Cię uszczęśliwić i spróbować być takim człowiekiem, jakiego potrzebujesz.*

*Kocham Cię, Nicky. Nie rezygnuj ze mnie.*

*Hughes*

Złożył kartkę na trzy i schował do kieszeni na piersi. Oddał ołówek i wziął od dziewczyny jeszcze jedną kawę. Zimowe słońce miało teraz odcień bladego srebra. Pisząc list, czuł ulgę, ale teraz przyłapał swe myśli na powrocie do Evy. Zostawił ją bez jednego słowa. Pomyślał o chwili z poprzedniej nocy, o tym, jak zniecka poczuł, że zna tę kobietę od dawna. Nie chodziło o doświadczenie, a o intuicję. Hughes potarł oczy. Będzie musiał wrócić i wyjaśnić jej, że to pomyłka. Że oboje za dużo wypili i dali się ponieść. Że poczuli się samotni i wyłącznie ta samotność ich do siebie zbliżyła. Jeśli tego nie zrobi, nigdy już nie będzie człowiekiem, którym chce być. Ale czuł strach. Bał się spojrzeć Evie w oczy i powiedzieć, że to wszystko na nic.

Wstał i wyszedł z kantyny. Mijał sklepy, niektóre pozamykane, z oknami zasłoniętymi okiennicami, inne wciąż z nadzieją demonstrujące swoje towary przechodniom, którzy i tak kupowali niewiele. Wszedł do jednego z nich i kupił parę jasnoczerwonych rękawiczek z cielecej skóry dla Nick. Postanowił je wysłać, ale nie razem z listem. Może później, na jej urodziny.

Trafił do Hyde Parku, gdzie na tle nieba rysowały się nagie gałęzie drzew. Usiadł na ławce i patrzył na mijających go ludzi. Jakiś żołnierz obejmował dziewczynę w talii i tulił mocno, przyciskając jej plecy do drzewa. Hughes przypomniał sobie, że jest Nowy Rok. Powinienem był załatwić sobie prycę w Czerwonym Krzyżu, pomyślał, ale równie dobrze mogę to zrobić po widzeniu z Evą. Nie można tego dłużej odkładać. Strzepnął kurz z munduru i ruszył z powrotem do Claridge's.

W hotelu nie zawracał sobie głowy telefonowaniem do pokoju. Tym razem nie zawahał się przy windzie, ale wszedł do niej różnym krokiem i niecierpliwie czekał na zamknięcie wewnętrznej kraty. Chciał mieć to już za sobą.

Zapukał do pokoju 201. Eva otworzyła i stanęła w drzwiach w samym szlafroku. Popatrzył, a ona usunęła się na bok i wpuściła go do środka.

- Nie spodziewałam się, że wrócisz - powiedziała.

To nie było oskarżenie, tylko zwykłe stwierdzenie faktu, i Hughes zrozumiał, że nie obchodzi go ani list, ani wojna, ani próby zostania lepszym człowiekiem. Obchodziło go jedynie to, co czuje, kiedy jest przy niej.

- Ja też nie - powiedział. - Ale wróciłem.

- Tak - powiedziała, wyciągając do niego ręce. - Wróciłeś.

Kiedy słońce zupełnie znikło z nieba, a odgłosy V-2 wstrząsały nocą jak wybuchy fajerwerków, Hughes wyplątał się z objęć pogrążonej we śnie Ewy i wstał z łóżka. Po ciemku wymacał drogę do krzesła, na którym wisiał jego mundur, i wsunął dłoń do kieszeni na piersiach kurtki. Wyciągnął list i przesunął po nim dłonią, jakby papier mógł mu coś powiedzieć. Poszedł do łazienki i włączył światło. Po raz ostatni spojrzął na swój list do Nick, a potem podarł go na kawałeczki, które wrzucił do muszli klozetowej. Począł, aż wszystkie znikną, wciągnięte w mrok siłą strumienia spłuczki. A potem wyłączył światło i wrócił do łóżka.

## 1959, LIPIEC

### 2

Po telefonie od Nick w sprawie zwłok dziewczyny i zamieszania w Tiger House Hughes nie był w stanie myśleć o niczym innym. Przez całą drogę do Woods Hole i potem, kiedy siedział już na upiornie oświetlonym górnym pokładzie promu, trzymając w dłoniach gorącą kawę, nie przestawał analizować w myślach sytuacji. Ledwie udało mu się zdążyć na ostatni rejs. „Island Queen” wyruszyła z portu w tej samej chwili, kiedy słońce zamigotało, a potem znikło za widnokretem, pogrążając i ocean, i niebo w ciemności.

Nick obarczyła go obowiązkiem rozmówienia się z Averym w sprawie jego przyjazdu na wschód i zajęcia się Edem i Heleną. Ale Hughes nie chciał tej wizyty. Zamiast tego miał nadzieję przekonać Avery'ego, żeby żonę i syna sprowadził do siebie. Avery, jak zwykle, okazał się skryty i nieskory do współpracy.

- Takie rzeczy hartują charakter - stwierdził, kiedy Hughes opowiedział mu o zwłokach.

- Nie jestem tego pewien - odparł Hughes. - Moim zdaniem pomijasz to, co najistotniejsze. Helena jest bardzo niespokojna i uważamy, że najlepiej byłoby, żeby rodzina była razem.

- A ty akurat wiesz, co dla mojej rodziny jest najlepsze.

- Tego nie sugerowałem. - Hughes miał ochotę trzasnąć słuchawką o stół w bibliotece. Z najwyższym trudem zmuszał się do spokoju. - Co nie zmienia faktu, że jesteś daleko stąd i być może nie rozumiesz sytuacji tak dobrze, jak mógłbyś.

- Co ty mi chcesz powiedzieć? Że nie dbam o własną rodzinę? Jestem daleko, jak to ująłeś, bo zarabiam na dom. Wszystko, co robię, robię dla Heleny i syna, żeby mogli zaznać życia, które nie jest ograniczone więzami konwenansu i podległości. Oczywiście, nie oczekuję, że będziesz w stanie to zrozumieć.

- O Jezu, Avery, przestań być takim kutafonem! Nick się martwi. Jeśli nie chcesz, żeby wracali do L.A., to może przyjedź na Wyspę, chociaż na tydzień. Jeśli nie uda ci się wyrwać na dłużej. - Hughes pomodlił się do wszystkich świętych, żeby facet odmówił.

- W tej chwili to wykluczone. Moja praca weszła w krytyczną fazę.

Hughes milczał.

- Ale... - dodał Avery, jakby ta myśl dopiero teraz wpadła mu do głowy. - ..gdybyś zechciał wysłać mi pieniądze na przelot...

- Idź do diabła - powiedział Hughes i rzucił słuchawką.

Nick miała rację co do Avery'ego od samego początku. Facet był oszustem i usiłował naciągać ich na pieniądze

od chwili ożenku z Heleną. Jedną z rzeczy, które Hughes kochał w żonie naprawdę, była niezłomna pewność, że nie ma takiej siły na niebie i ziemi, która zmusiłaby ją do dania temu gościowi złamanego centa. Nick stanowiła żywioł, z którym należało się liczyć, i czasem, w chwilach takich jak ta, Hughes dziękował za to Bogu.

Skoro Avery umył ręce w całej sprawie, Ed stał się problemem Hughesa. Ale zanim jeszcze na horyzoncie pojawiła się latarnia morska Vineyard Haven, Hughes obmyślił strategię działania, a przynajmniej jej załączek. Musi znaleźć coś, co będzie Eda jak najczęściej trzymało poza domem. Ponieważ sam należał kiedyś do skautów i pamiętał absorbujące i wyczerpujące zajęcia, w najlepszym razie wywrą na dzieciaka dobry wpływ, a w najgorszym zajmą go czymś, dopóki nie skończy się lato, pomyślał. A na razie trzeba zostać w Tiger House i mieć oko na wszystko.

Nie miał pewności, w jakim stopniu Ed był zamieszany w zabójstwo dziewczyny - może coś wiedział, a może nie. Hughes nie chciał brać pod uwagę myśli, że chodzi o coś więcej. Ale zdał sobie sprawę, że scena, która miała miejsce wcześniej tego lata, świadczyła nie tylko o tym, że Ed odreagowuje. Chłopak mógł być niebezpieczny.

Kiedy schodził po trapie, dostrzegł czekającą na niego Nick. Opierała się o samochód, wiatr od strony zatoki wciskał zieloną sukienkę między jej nogi. Była śliczna. Prawdę mówiąc, z wiekiem wyłącznie piękniała, w miarę jak rysy jej twarzy zyskiwały na wyrazistości. Hughes zastanowił się, jakim cudem nie zauważył tego wcześniej i ogarnął go smutek, że coś poszło na marne.

Nick paliła papierosa, wolną ręką obejmując klatkę piersiową i zaciskając dłoń na drugim ramieniu, jakby

było jej zimno. Kiedy Hughes doszedł do auta, postawił walizkę na ziemi i wziął żonę w ramiona.

- Ty drzysz - powiedział, wyczuwając świeżość jej skóry.

- Bo zimno - odparła gdzieś w stronę jego szyi.

- Wsiadaj. Ja poprowadzę. - Hughes włożył walizkę do bagażnika i obszedł samochód.

- Zostajesz? - odezwała się Nick. - Tak.

- Dobrze - powiedziała i zapaliła kolejnego papierosa. Milczała, kiedy manewrował, kierując się do zjazdu poza Vineyard Haven.

- Jak tam Daisy? - Przerwał milczenie.

- A jak sądzisz? - odparowała. Zgasła papierosa. - Przepraszam cię. To był okropny dzień. Choć w sumie, szczerze mówiąc, jest chyba mniej wstrząśnięta niż ja.

- Przykro mi. To musiało być dla ciebie okropne.

- Zwłoki kobiety, Hughes. I nie żadnej ciotecznej babci, która zgasła we śnie, skądże. Ta biedaczka została uduszona i kto wie co jeszcze.

- Jezu. - Hughes wziął papierosa z paczki leżącej na tablicy rozdzielczej. Miał przed oczami obraz Franka Wilcoxa odpychającego głowę dziewczyny i biorącego ją jednocześnie od tyłu. - Rozmawiałaś z nią? Z Daisy, oczywiście.

- Ona... No cóż, wiesz, jaka jest przy mnie. To przecież ja jestem złą czarownicą, nieprawdaż?

- Nie mów tak. Ona cię kocha. I podziwia.

- Ale rozmawia z tobą.

- Nie rozmawia z nikim w naszym wieku. Ma dwanaście lat. - Hughes uśmiechnął się na myśl o córce. Jego

poważna mała dziewczynka! Zawsze zmartwiona, czy uda się jej wygrać. Pamiętał, jak zabrał ją raz do West Tisbury na kiermasz, gdzie Daisy wpadł w oko pluszak stanowiący jedną z nagród. Spędziła ponad godzinę i wydała całe swoje kieszonkowe, usiłując zestrzelić cztery butelki, żeby tylko go zdobyć. Gra była ustawiona, to oczywiste, więc na koniec Hughes i tak musiał zapłacić za tę cholerną zabawkę z własnej kieszeni, choć i tak na tym zaoszczędził. Wiedział, że Daisy nie ruszyłaby się stamtąd przez cały wieczór. Dopóki by jej się nie udało.

- No cóż - powiedziała Nick. - Rozmawia z Edem. Ta dwójka trzyma sztamę na zabój. On gdzieś się włóczył, ona go kryła. Dzisiaj, po tym wszystkim, co się wydarzyło, też gdzieś znikli.

- Dokąd poszli?

- Nie mam pojęcia. Powiedzieli mi, że byli w Quarterdeck i żadnemu nie drgnęła powieka. Jakbyśmy z Heleną nie miały z tym wszystkim dość zmartwień. - Nick oparła głowę o zagłówek. - Boże, gadam jak jakaś jędra.

- Gadasz jak matka - powiedział Hughes, kładąc dłoń na jej udzie.

- Czasem się zastanawiam, czy to jakaś różnica - odparła Nick, usuwając nogę z zasięgu jego dłoni.

Była dziesiąta, kiedy dojechali do Tiger House, ale dzieci jeszcze nie spały.

- Tato! - Daisy zbiegła po schodach i skoczyła Hughesowi w ramiona.

- Idę zrobić sobie drinka - oświadczyła Nick. Ponad głową Daisy Hughes patrzył, jak żona znika w niebieskim salonie. Plecy miała wyprostowane



i poruszała się z właściwą sobie lekkością, ale ten wdzięk zabarwiony był smutkiem.

Hughes spojrzał w dół, na córkę.

- Jak się masz, kochanie?

- Umieram z głodu - poskarżyła się Daisy. - Nie było lunchu. Ed kupił mi cheeseburgera, ale to było wieki temu.

- Hm. No dobrze. Sprawdźmy, może uda nam się coś zwędzić.

Poszedł za córką do letniej kuchni, patrząc na jej podskakującą głowę. Ścisnęło mu się serce.

Zajrzał do lodówki, ale nie znalazł w niej zbyt wiele i poczuł się winny, że tak często zostawia swoje panie samym sobie. Ilekroć Nick popadała w jeden z tych swoich nastrojów, zapominała o zakupach.

- Może trochę ciepłego mleka? Niedobrze jest jeść tuż przed snem.

- Niech będzie - zgodziła się Daisy, sadowiać się przy stole.

Hughes wyjął butelkę i nalał trochę mleka do jednego z miedzianych rondelków.

- Jak się miewała mama, gdy mnie z wami nie było?

- Dobrze - odparła Daisy.

Hughes zamieszał mleko drewnianą łyżką i wlał odrobinę ekstraktu waniliowego. Sztuczka kucharki rodziców.

- Ed pomógł szeryfowi i dostał od niego dwa dolary.

- Naprawdę? A w jaki sposób Ed mu pomógł?

- Nie wiem. Był na policji i chyba wszystko opowiedział.

- Nie wrócił tutaj z tobą? - Hughes odwrócił się do córki.

- Cześć, wujku. Ed stanął w progu.  
- Witaj - powiedział Hughes spokojnie. - Słyszałem, że pomogłeś szeryfowi.

- Tak.

- To bardzo ładnie z twojej strony.

Hughes nalał mleka do kubka i podał go Daisy.

- Wiecie, że oboje powinniście już być w łóżkach. Późno jest. - Położył dłoń na ramieniu Daisy i popatrzył na Eda. Chłopak zamrugał pierwszy.

Nick czekała u stóp schodów. Podała Hughesowi gin z tonikiem.

- Powiedz matce dobranoc.

- Dobranoc, mamo.

- Dobranoc, Daisy.

Daisy poszła na górę, ale Ed nie ruszył się z miejsca.

- Ty też zmykaj, Ed.

- Dobranoc, ciociu - powiedział Ed, ale nie spuszczał oczu z Hughesa.

Ten wysunął się odrobinę przed żonę, czując, że włoski na ramionach stają mu dęba.

- Dobranoc - odparła Nick.

Hughes patrzył za Edem, aż chłopak znikł za zakrętem schodów, a potem odwrócił się do Nick.

- Gdzie Helena?

- Śpi. - Nick wskazała głową na salon. - Co powiedział Avery?

- Próbowałem, ale on nie chce, Nick - skłamał Hughes. - Szczerze mówiąc, wcale się specjalnie nie przejął. Powiedział coś dziwnego... Że takie rzeczy hartują charakter czy coś.

- Przeklęty facet - powiedziała Nick, przyciskając do czoła szkło. Obejrzeni się jak na komendę, bo od drzwi salonu dobiegło westchnienie. Helena trzymała w ręku szklaneczkę szkockiej.

-Przepraszam cię, kochana - powiedziała Nick, wchodząc za kuzynką do salonu.

Helena podeszła do karafki i dołała sobie whiskey.

- On jest bardzo zajęty... - powiedziała.

Nick spojrzała na Hughesa, ale ten tylko wzruszył ramionami. Avery to problem Heleny. Jeśli miała ochotę się łudzić, jej wybór. On miał na głowie inne troski.

Rozsiadł się w głębokim fotelu, odsuwając na bok poduszkę z wyhaftowanym na kanwie groźnym tygrysem.

- A więc, moje panie - zagaił, zakładając nogę na nogę. - Poza tym, że tu i tam pojawiają się jakiś zwłoki, jak mija wam lato? - Uśmiechnął się mimo dotkliwego znużenia.

Helena popatrzyła na niego takim wzrokiem, jakby nie pojęła pytania.

- Kochanie, jaki ty czasem bywasz wygadany... - odezwała się Nick.

Jej głos brzmiał lekko, ale pod płaszczykiem tej ładnej zielonej sukienki i koktajli, z których słynęła, u Nick dawało się wyczuć nową kruchość. Jakby coś się w niej rozpadało. Hughes chciał podejść do niej i przytulić tak, jak tulił Daisy podczas napadów dziecięcych koszmarów, kiedy zamykał w objęciach rozgrzane, drobne ciało córki.

Uderzyło go wspomnienie z początków ich małżeństwa, kiedy czekał na wezwanie do wojska. Uczył się

wtedy w szkole prawniczej i miał szczególnie trudne kontakty z jednym z profesorów, który uważał, że z Hughesa nigdy nic nie będzie, a już na pewno nie prawnik. Wracał któregoś wieczoru do domu, pogrążony w ciężkich myślach o potencjalnej życiowej porażce, lecz kiedy dotarł do frontowej furtki, poczuł nagle na sobie strumień lodowatej wody. Osłupiały i wściekły, podniósł wzrok i zobaczył Nick, która stała na frontowym trawniku i trzymała wąż ogrodowy, zaśmiewając się do łez.

- Bardzo cię przepraszam - powiedziała, najwyraźniej zachwycona swoją psotą. - Po prostu wyglądałeś zdecydowanie zbyt poważnie.

Hughes spojrział na przemoczone spodnie i buty.

- Och, kochanie. Teraz z ciebie jeszcze większa kupka nieszczęścia.

- Już ja ci to zapamiętam - powiedział wtedy. - Czekaj tylko. Któregoś dnia, kiedy będziesz się najmniej spodziewać...

Ale podszedł do niej i usiadł na stopniach, nadal ociekając wodą, i trzymał Nick za rękę, dopóki nie pociemniało niebo. A potem razem weszli do środka i zatrzasnęli drzwi przed nosem całemu światu.

- No więc... - Głos Nick sprowadził go z powrotem do salonu. - Robimy przyjęcie. Jeszcze nic, cholera, w tej sprawie nie ruszyłam.

- Tak. Zorientowałem się po lodówce. - Hughes uśmiechnął się łagodnie, żeby nie drażnić żony.

- Ach, to! - Nick machnęła ręką. - Trochę się snujemy bez celu, prawda, kochanie? - Spojrzała na Helenę. - I bawimy w Robinsona Crusoe.

- Tak - wymamrotała Helena sennie. - Snujemy się.

- Dobrze wiem, jak to wygląda. - Hughes wytarł spocone dłonie o spodnie i dopił drinka.

A potem, kiedy już się upewnił, że Helena poszła na górę, Hughes wszedł do sypialni i znalazł Nick szykującą się do łóżka. Patrzył, nie mogąc oderwać wzroku, jak wyjmuje kolczyk z płatka ucha i odkłada go łagodnym gestem na leżącą przed nią małą, welwetową poduszeczkę. Podczas toalety zawsze poruszała się nie-śpiesznie, ale Hughes potrafił przypomnieć sobie chwile, kiedy siała dokoła rzeczami - ubraniami, biżuterią, butami - pod koniec wspólnie spędzonego wieczoru, w jakiejś gorączkowej radości, że może się od nich uwolnić. Od kiedy ona jest taka ostrożna?, zastanowił się. Miał ochotę podejść, błagać o wybaczenie i kazać jej przysiąc, że go nie opuści. Ale Nick nie zrozumiałaby. Pomyślałaby, że jej mąż oszalał. Więc zamiast tego leciutko dotknął jej ramienia, a potem zszedł na dół do gabinetu, pobrząkując niewielkim kluczykiem.

*Southampton, lipiec 1945 Drogi Hughesie,*

*Cóż mam Ci powiedzieć? Mogłabym napisać: błagam, błagam, błagam, nie rób tego. Mogłabym Ci tłumaczyć, jak fałszywego wyboru dokonujesz, kazać mi ważyć -Ty czy ja. Czy mogłabym?*

*Nie mogę. Nie wyjdę ponownie za mąż. Mogłabym Ci wyjaśnić, jak nieodwołalna to decyzja, bo, kochany, taka właśnie jest. Tu nie chodzi o Ciebie. Nie chodzi o to, że nie chcę Cię za swojego męża ani że*

*mam wątpliwości, że to Ty jesteś jedynym mężczyzną, którego mogłabym kochać naprawdę. Każdym włókienkiem swojej istoty. Tu chodzi o mnie, o to, kim jestem. Wiem, że po kobiecie nikt nie spodziewa się takiego wyboru. Wiem, że powinnam być zachwycona, że gotów jesteś opuścić żonę i ożenić się ze mną, zrezygnować ze wszystkiego dla naszej miłości. Ale ja nie chcę być czyjąś żoną. Pragnę, żebyś przyszedł do mnie, bo chcesz ze mną być, a nie służyć Ci za port czy bezpieczne schronienie przed resztą tego przeklętego świata. Tylko uczciwie i czysto, Ty i ja, tak jak zawsze było między nami.*

*Powiedziałeś mi, że jeśli masz skrzywdzić żonę (dlaczego nie jestem w stanie napisać jej imienia?), to musisz dostać wszystko. Że musiałbyś wiedzieć, że będę z Tobą już zawsze. Że małżeństwo jest Twoją wersją uczciwości. Ale, kochanie, dlaczego nie możesz pojąć, że my już mamy wszystko. Jaką różnicę sprawi nam świstek papieru?*

*Zawsze Cię będę kochała, Hughesie, nieważne, co się z nami stanie. Zawsze będę przy Tobie, w bogactwie i w biedzie, w chorobie i w zdrowiu. To Ci przysięgam.*

*Ale nie mogę wtlaczać się w jakieś fałszywe ramki, żeby zadowolić innych. To by mnie zabiło.*

*Proszę Cię, wróć do mnie. Proszę.*

*Z miłością, Eva*

Hughes odłożył list i przeciągnął dłonią po włosach. Wbił wzrok w stosik korespondencji. Powinien po prostu to spalić. Zawsze wiedział, że nie należało zatrzymywać tych listów, że czytanie ich wciąż od nowa niczego nie

może zmienić. Więc po jakimś czasie przestał je czytać. Ale wiedział, że są i to się dla niego liczyło. Kiedy dni zdawały się rozciągać jak niekończący się forsowny marsz, istnienie tych kartek przypominało mu, że już raz świat otworzył się przed nim. I zaoferował mu siebie.

Teraz coś się zmieniło. Teraz się bał. Nie był pewien, czy chodzi o niego samego czy o to, co się wokół niego dzieje. O ten telefon dzwoniący we wnętrzu domu, o Nick czekającą na niego przy promie, zziębniętą i samotną. Czy o to dziwne uczucie, jakiego doznał dziś wieczorem, że listy Evy były pisane do kogoś niemającego z nim nic wspólnego. To było zupełnie tak, jakby człowiek ocknął się, słysząc gwizd odjeżdżającego pociągu, a potem zorientował, że powinien być się w nim znaleźć.

W holu zaskrzypiała podłoga i oddech Hughesa przyśpieszył. Mężczyzna wstał i podszedł do drzwi, a potem wyjrzał w mrok domu. Zdawało mu się, że widzi cień przemykający w stronę kuchni, ale kiedy do niej tam wszedł, nie znalazł nikogo. Zamknął na haczyk kuchenne drzwi, lekko kołyszące się na zawiasach, i wrócił do gabinetu.

Następnego dnia rano Hughes i Nick poszli spacerem do miasta. Nick chciała zajrzeć na pocztę, a Hughes musiał uzupełnić zapasy szkockiej, mocno uszczuplone skłonnością Heleny do kompulsywnego pochłaniania alkoholu. Dzień zapowiadał się piękny, czysty i gorący, ale na tyle wietrzny, żeby nie dokuczały komary.

- Powinniśmy popływać na „Gwieździe” - powiedział.

- Och, nie dzisiaj - zaprotestowała Nick. - Po tym, co się stało, czuję, że trzeba zostać w domu.

Pewnie miała rację, ale świeżość poranka kazała mu uznać, że być może zaniepokoił się ostatnimi wydarzeniami przesadnie. Kiedy tak szli ulicą, a Nick wymachiwała swoim francuskim koszykiem z plecionki, w którym zwykła nosić zakupy, Hughes prawie zapominał o scenie z Edem, Frankiem Wilcoxem i tą pokojówką.

- A poza tym - odezwała się - wszyscy sąsiedzi w promieniu dziesięciu mil będą chcieli poznać szczegóły.

- Powinniśmy zdjąć słuchawkę z widełek telefonu - stwierdził.

- Ten cholerny telefon! - powiedziała Nick. A potem westchnęła.

- Ale wtedy, zamiast dzwonić, mogą przyjść.

- Słuszna uwaga. To niech zostanie, jak jest. Nie mam ochoty wysłuchiwać hipotez Caro albo Dolly na ten temat.

- Tak - podsumowała Nick.

Hughes pod wpływem impulsu złapał ją za rękę. Pozwoliła. Jej dłoń była ciepła.

- Wiesz, kochanie, tak sobie myślałam... - powiedziała. - Może powinniśmy kupić coś Edowi. Jakiś chłopięcy drobiazg.

- Dlaczego?

- Nie wiem. On po prostu jakoś tak... dziczeje. Może potrzebuje nieco ojcowskiej uwagi.

- Nie jestem pewien, czy prezent coś zmieni.

- Owszem - powiedziała Nick. - Moim zdaniem on potrzebuje takiego podarunku. Od ciebie. Żeby wiedział, że ma kogoś, kogo może podziwiać.

- Jezu, Nick. Nick zabrała dłoń.

- Jeśli ty nie chcesz, sama mu coś kupię. I powiem, że to od ciebie.



- Dobrze - ustąpił.

- Myślę, że szwajcarski scyzoryk byłby odpowiedni. Żeby miał z czym zacząć u skautów.

Hughes nie wierzył własnym uszom. Miał teraz wydawać własne pieniądze na tego małego drania? A już na pewno nie chciał kupować sobie jego milczenia. Tylko tego brakuje, żeby Ed pomyślał w ten sposób!

To wszystko zaczyna się robić śmieszne! Hughes postanowił zniszczyć listy. Sprawa się skończyła, i to dawno temu, tylko on nie potrafił tego dostrzec.

Pomyślał o Evie, o ich ostatnim razie. Stała przed wejściem do Claridge's, miała na sobie te same bryczesy i nie machała, kiedy odjeżdżał taksówką. List, który mu wsunęła do kieszeni, znalazł dopiero po powrocie na pokład „Jonesa”.

*Kochany Hughesie,*

*Nic więcej do powiedzenia nie pozostało, a przynajmniej, jak sam to ująłeś, w sprawie wyrok już zapadł i nie ma od niego apelacji. Przykro mi, że tak to wszystko odbierasz, ale życzę Ci powodzenia. I szczęścia.*

*Tak jak prosiłeś, nie napiszę więcej. Bądź dobry dla Nick. Wreszcie udało mi się ją nazwać.*

*Eva*

Bezwzględnie dotrzymała słowa. Nie napisała już nigdy więcej. Ona rozumiała, że to tylko nieudany wojenny romans, taki banał. Podczas gdy on pozostawał ślepy. Jak idiota.

W sklepie żelaznym Hughes wybrał czerwony scyzoryk, wyposażony w pełen zestaw dodatków, włącznie

z pęsetą i małą kościaną wykałaczką. Być może Nick ma rację? Być może chłopakiem trzeba po prostu trochę pokierować?

Hołubił tę pełną nadziei myśl przez całą drogę do domu, aż do momentu, kiedy wreszcie wręczył Edowi podarunek.

Chłopak obracał scyzoryk w dłoniach, nie odrywając oczu od jasnego, błyszczącego przedmiotu. Zupełnie jak urzeczona sroka.

- Dziękuję - powiedział.

- Cieszę się, że ci się podoba - odparł Hughes. - Ojciec dał mi taki sam, tuż zanim zapisałem się do skautów. - Nie była to do końca prawda, ale historyjka brzmiała niezłe.

- Bardzo mi się przyda - powiedział Ed. A potem bez słowa odwrócił się i ruszył do wyjścia.

Kiedy chłopak schodził po stopniach i kierował się do furki, Hughes patrzył na niego przez siatkowe drzwi. Zaklął pod nosem. Z tym dzieciakiem naprawdę działo się coś złego, a on przed chwilą z własnej woli podarował mu nóż. Wyszedł na werandę. Ed już znikł, ale przy parkanie stała Nick, obcinając zwiędłe róże. Zarumieniona od słońca.

Do obcinania z łodyg zbrązowiałych kwiatów używała zardzewiałego sekatora; nigdy nie chowała narzędzia do pokrowca, więc morskie powietrze zrobiło swoje. Ale z różami obchodziła się ostrożnie, delikatnie odsuwając gałęzie szczupłymi, brunatnymi ramionami, żeby dostać się do więdnących kwiatów i dzikich pędów odrastających w głębi krzaków.

Za jej plecami leżał przewrócony ogrodowy koszyk, z którego wysypały się różowe płatki. Ten dziwnie

znajomy widok przypomniawsł Hughesowi zapach morza w niewielkim pokoju służącej na piętrze domu...

Nick nie założyła rękawiczek i zapewne się uklęła, bo Hughes zobaczył, jak nagle odsuwa rękę od przytrzymywanej gałązki. Spojrzała na palec i zmarszczyła brwi, a jemu wydało się w tym jasnym świetle, że w oczach żony zabłyśły łzy. Ale nie krzyknęła.

Podszedł do niej i obejrzał małą, szkarłatną plamkę w miejscu, gdzie kolec przebił skórę. Podniósł jej palec do ust. Spojrzała nań, mrużąc oczy przed słońcem. Stali tak przez chwilę, bez ruchu, jedno patrzyło na drugie bez słowa. Nick uniosła drugą dłoń ku jego twarzy. A potem wysunęła palec spomiędzy warg Hughesa i znów zajęła się ścinaniem martwych kwiatów.

Hughes znalazł mysz późnym popołudniem tego samego dnia, kiedy zszedł do swojego warsztatu w piwnicy, by naprawić pękniętą ramkę do zdjęć. Brutalnie rozplątane zwierzątko obnażało zęby jakby w pierwotnym krzyku. Z jednego oka sterczała mała wykałaczka. Hughes delikatnie wyjął patyczek, ale kiedy pochylał się, by podnieść mysz, zadrżała mu ręka. Potrwało parę minut, zanim udało mu się pozbiierać i podnieść ciało zwierzaka, ale i wówczas, gdy wynosił mysz do śmieci, musiał odwracać wzrok.

## 1959, LIPIEC

### 3

Tydzień po przyjeździe Hughesa fala upałów zagrażająca Wyspie od początku lata wreszcie nadeszła. Hughes wrócił do sklepu żelaznego, by kupić dodatkowe wentylatory do sypialni na piętrze, i przekonał się, że wyprzedano cały zapas. Powietrze w domu stało, gęste jak melasa, duszące. Na zewnątrz było jeszcze gorzej. Słońce prażyło skórę i trawę, a piasek pod nogami palił jak lawa. Delikatne kwiaty albicji opadały całymi tuzinami, tworząc na trawniku i frontowych stopniach cuchnący dywan. Wykładana kamieniami alejka pełna była pancrzyków owadów, tak kruchych, jakby stworzenia upiekły się na szybkim ogniu, próbując wpełznąć w chłód werandy.

Co dziwne, dzieci zdawały się tego nie dostrzegać, chociaż spędzały na dworze całe dni, w niesłabnącym upale. Daisy, na szczęście, jakoś niespecjalnie przeżywała sprawę tej nieszczęsnej pokojówki, z całym swoim niezwykłym przejęciem koncentrując się wyłącznie

na turnieju tenisa. Ed, zgodnie z nadzieją Hughesa, chyba na dobre wsiąkał w program skautowskich zajęć.

Hughes przekonał się, że duszne upały wywierają na niego dziwny wpływ. Nie wywoływały w nim tego rozleniwienia, jakiego doświadczała Helena, otoczona kokonem alkoholowego oszołomienia. Bardziej przypominało to gorączkę, podczas której skóra staje się zbyt wrażliwa na dotyk. Nie mógł przestać myśleć o Nick. Łapał się na tym, że gapi się na żonę niemal obsesyjnie.

Kochali się tego wieczoru, kiedy Hughes przyjechał do Tiger House, i to kazało mu się zastanowić, kiedy robili to po raz ostatni. Nie mógł sobie przypomnieć, pamiętał tylko nagłość obecnego pożądania i swoje zaskoczenie. Najpierw sprzeczali się o to, czy Daisy powinna kontynuować lekcje tenisa, ale potem coś się zmieniło. Nick wspomniała o tej portugalskiej pokojówce i zadrżała. A potem on ją tulił, próbował pocieszać, a ona z ulgą, z nadzieją na możliwe załagodzenie sytuacji, przycisnęła mokrą twarz do jego ramienia i nagle o władnęła nim jej bliskość. Hughes zorientował się, że niemal zdziera z niej ubranie, smakując sól i balsam do ciała na skórze.

Od tamtej chwili nie potrafił wyrzucić tego epizodu z myśli. Czy to przez tanto morderstwo, czy przez upał, Hughes zaczynał dostrzegać pęknięcia w starannie wypolerowanym sposobie bycia żony, szczeliny w jej zbroi. Coś niedoskonałego, niemal nieznośnie rzeczywistego. Coś, czego nie widział w niej od dawna.

Był nią pochłonięty. Dotykanie jej przypominało dotykanie odsłoniętego elektrycznego kabla. I ten szok, w połączeniu z nieznośną temperaturą, stwarzał w nim poczucie, że cierpi na jakąś szaloną odmianę udaru

ciepłego. A jednak, mimo tego wszystkiego, jakąś częścią siebie Nick wciąż zdawała się odległa. Niedostępna.

Któregoś ranka Hughes obudził się i zobaczył, że leży w ich łóżku sam. Chociaż było wcześnie, powietrze nie miało w sobie porannej świeżości i piżama lepiała się do spoconej skóry. Za oknem widział słońce wyskakujące nad wody zatoki. Kiedy Hughes schodził na dół po schodach, dom straszył ciszą. Znalazł Nick w jadalni, trzymającą w bezwładnej dłoni jakąś zapomnianą listę zakupów, nad stosem leżących zaproszeń na przyjęcie. Czytała jakiś tomik poezji, ten, który zapamiętał z początków ich małżeństwa, kiedy zdarzało jej się czytać mu coś w łóżku. Jeden łokieć oparła na wypolerowanym blacie z orzechowego drewna; usta powtarzały czytane słowa, włosy opadały na oczy. Tył domu wychodził na zachód i było tam o tej porze dnia najchłodniej, ale i tak Hughes widział pot perlący się na karku żony i wilgotne brzegi nocnej koszuli. Stał w drzwiach, pragnąc do niej podejść, ale zdawała się tworzyć tak idealną pełnię, że poczuł się jak intruz. Obserwował ją przez chwilę, a potem wrócił na górę, by się wykapać.

Jeszcze nigdy w życiu nie czuł się tak osamotniony. Jakby lepiej było nie odkrywać Nick ponownie. Ona swoje myśli, o ile jakiegokolwiek miała, skrywała za szaleństwem przygotowań do przyjęcia. Siedziała przy swoim biurku i tworzyła menu, które potem na koniec odrzucała, sporządzała plany i wykazy rzeczy z jakiejś głównej listy, bardzo często potrząsając nerwowo ręką. On oferował pomoc, a ona wysyłała go wtedy po jakieś sprawunki czy na pocztę, powiedzmy po zapas znaczków. Tak czy inaczej, w Hughesie wzbudzało to irracjonalną

niechęć do całej imprezy albo urzędu pocztowego, albo znaczków, jakby wszystkie te sprawy rywalizowały z nim w zdobywaniu uczuć jego żony.

Skupił więc swoją uwagę na „Gwieździe”, popołudnia spędzając przy szopie na łódź, piaskując kadłub i malując go ponownie na ciemną zieleń. I usiłując nie myśleć o Nick.

Żaglówka nie wymagała żadnych zabiegów po tym wszystkim, co zostało zrobione w czerwcu, ale Hughes przekonał się, że powtarzalne zajęcia go uspokajają: skrobanie i szlifowanie, stracone godziny, spędzone w strumieniach potu, kiedy przesuwiał dłonią po drewnie w poszukiwaniu wszelkich szorstkich miejsc, wdychanie ostrego zapachu farby do gruntowania. To była męcząca robota, ale kiedy zaczynał mieć jej dosyć, mógł po prostu skoczyć z końca pomostu do chłodnej zatoki, mając przed oczami wybrzeże Chappy, a w oczach łzy od piekącej soli i słońca.

A potem, któregoś popołudnia, kiedy miał już zamiar kłaść drugą warstwę farby, niebo się rozstąpiło i zaczął padać deszcz. Wielkimi, ciężkimi kroplami. Hughes zaklął i szybko zaczął wciągać żaglówkę z powrotem do szopy, wlokąc za sobą oba kozły do jej podparcia. To była jedna z tych przelotnych burz, którym zdarzało się przetaczać nad Wyspą; kończyły się równie niespodziewanie, jak zaczynały. Hughes zdecydował się przeczekać. Wziął jeden z wiszących w szopie plażowych ręczników i zaczął wycierać kadłub żaglówki. Niecierpliwił się, bo chciał zobaczyć rezultaty swojej pracy.

Rytm bębniącego o dach deszczu zakłóciło stukanie w boczną ścianę szopy, a zaraz potem pojawiła się Nick

w czerwonym kostiumie kąpielowym, z niewielkim koszem piknikowym w ręku.

- Cześć. - Uśmiechnęła się tym swoim szerokim uśmiechem. - Pomyślałam, że przyda ci się przerwa - powiedziała, wskazując lejącą się wodę. - Przyniosłam lunch.

Hughes otarł wilgoć z czoła rąbkiem koszuli, usiłując znaleźć odpowiednie słowa. Nie wiedział, dlaczego widok Nick tak go zdziwił, ale miał wrażenie, że pojawiła się przed nim zupełnie jak jakaś idea, nagle i w pełni uformowana przez umysł.

- Jesteś zaszokowany, że szłam aż od domu ubrana tylko w kostium?

To faktycznie miało coś wspólnego z kostiumem, ale również z mokrymi włosami, wijącymi się wokół jej uszu, z długimi, brązowymi nogami, znikającymi pod czerwoną bawełną, i z gołymi stopami, do których delikatnych podbić poprzylepiały się mokre źdźbła trawy.

- Nie - odparł bezmyślnie. - Wydaje się to całkiem rozsądne.

- Tak sobie właśnie pomyślałam - powiedziała Nick, stawiając kosz na podłodze. - Przypomina mi to Florydę po wojnie. I ten żółty, dwuczęściowy kostium, którym działałam na nerwy sąsiadkom.

Hughes nie miał pojęcia, o czym ona mówi. Floryda jawiła mu się jak zły sen, którego do końca nie potrafił sobie przypomnieć, ale uwaga żony przywołała jego niewyraźne zarysy. Odepchnął od siebie te myśli. Nie chciał teraz myśleć ani o Florydzie, ani o swoim smutku, ani o Evie. Chciał, żeby Nick zdjęła kostium. Żeby mógł zobaczyć ją naga.



Ona jednak rozpakowała kosz i wyjęła dwie kanapki z serem i musztardą, i shaker pełen martini.

Hughes patrzył, jak ściąga ze ściany poduszki do łodzi i siada na jednej, zgrabnie podciągając pod siebie nogi. Usiadł obok, ale nie za blisko. Nick rozlała martini do dwóch plastikowych kubeczków i podała jeden mężowi.

Siedzieli w milczeniu. Nick żuła swoją kanapkę, a Hughes zerkał na nią kątem oka i zastanawiał się, o czym ona myśli. Zastanawiał się, co ją przygnało do tej szopy, z tym piknikowym koszem, czerwonym kostiumem i pogodnym uśmiechem. Miał dziwną wizję, że roztrzaskuje ją jak orzech czy kraba. Tylko po to, żeby dowiedzieć się, co kryje w środku.

- Myślisz, że po tym deszczu upał zelżeje? - spytała.

- Nie - odpowiedział. - Nie wydaje mi się, że to taka burza.

Schłodzona wódka przyprawiła go o dreszcz; martini było idealne. Hughes siedział, myśląc o drinku i o Nick. I o zapachu farby.

Żaglówka migotała w burzowej poświacie, chwytając odbłyски wód zatoki. Nick wstała i z kubeczkiem w dłoni i podeszła do łodzi. Delikatnie dotknęła palcem wskazującym kadłuba i najwyraźniej przekonawszy się, że już wysechł, przesunęła po nim całą dłoń, dokładnie tak, jak Hughes nieco wcześniej. Napiła się martini, wysuwając nieco dolną wargę na spotkanie krawędzi kubka. A potem znów usiadła, opierając głowę o ścianę. Deszcz zelżał nieco, ale ciche bębnienie kropel o dach szopy nie ustawało.

- To zabawne, nie sądzisz? - powiedziała Nick po jakimś czasie. - Tak bardzo nie cierpiełaś siedzenia na okręcie

podczas wojny i tak bardzo nie cierpiałeś tej całej roboty, którą trzeba było wykonać przy nim później. A teraz przesiadujesz tu całymi popołudniami, sam jak palec, i zajmujesz się łódką.

Hughes spojrzał na nią, ale Nick wpatrywała się w wody zatoki. Chciał coś powiedzieć, ale przekonał się, że nie umie znaleźć odpowiednich słów. Kiedy ich szukał, ona podniosła się i strzepnęła okruszki z opalonych nóg.

- No cóż, zostawiam cię z tym wszystkim. - Zebrała kosz i kubki. Wyszła, nie oglądając się za siebie. Jasne podeszwy jej stóp migotały na tle szarych desek podłogi.

I jakby nigdy nic, Hughes znów siedział całkiem sam w szopie na łódź, nie mając nic do powiedzenia.

Ubierając się wieczorem do kolacji na Yacht Clubie, Hughes pocił się w swojej świeżo upranej koszuli. Od dawna próbowali umówić się tam z Pritchardami, a choć Hughes usiłował namówić Nick do wykroczenia się z tego obowiązku, żona pozostawała nieugięta.

- Och, Hughes, nie możemy. Wiem, że jest goręcej niż w piekle, ale naprawdę musimy iść. Oni mają u siebie teraz jakiegoś męczącego gościa i obiecałam Dolly, że trochę jej w tym wszystkim ulżę. Mieliśmy do wyboru Yacht Club albo zaproszenie ich tutaj. - Nick siedziała przy toalecie, ubrana w żółtą sukienkę, której nigdy przedtem na niej nie widział.

- No cóż, przynajmniej w ten sposób ominie mnie uzupełnianie zapasów w barku - powiedział, odwracając wzrok. - Monopolowy rachunek Heleny to wszystko, na co mnie w tej chwili stać.

- Nie bądź niemiły. - Ostro zareagowała Nick. - Z Heleną nie dzieje się nic tak złego, czego nie mógłby naprawić porządny rozwód.

- Wiesz, że to nie takie proste. - Hughes zaczynał się irytować.

- Nie chcę o tym rozmawiać - powiedziała Nick, poprawiając kolczyk. - Ona jest po prostu zmęczona.

Prawdę mówiąc, Hughes też nie chciał o tym rozmawiać. Wiedział, że nie chodzi wyłącznie o whiskey i upał. Już parę razy od swojego przyjazdu zauważył, jak Helena wyjmuje jakąś tabletkę z trzymanego w torebce srebrnego pudełeczka i wsuwa ją do ust, sądząc, że nikt nie patrzy.

Nick wzięła do ręki flakonik, ale zaraz odstawiła go na toaletkę.

- Za gorąco na perfumy - powiedziała, pochwyciwszy w lustrze spojrzenie męża.

Hughes podszedł i musnął dłonią jej obojczyk, patrząc, jak Nick śledzi jego lustrzane odbicie. Skórę miała ciepłą i lekko wilgotną w dotyku.

Nick siedziała w całkowitym bezruchu, ledwie oddychając, a jej zielone oczy lśniły jak trawa. Potem odsunęła jego rękę.

- Nie rób tego - powiedziała.

W Yacht Clubie było gwarno od brzęku sztućców i śmiechów wśród morza granatowych blezerów i jedwabnych krawatów w ukośne paski.

- Tam są - odezwała się Nick.

Dolly Pritchard podniosła się i pomachała do nich ręką ze sztucznie zboląłą miną.

- Biedna Dolly - mruknęła Nick, kierując się w stronę stolika z tyłu sali, z widokiem na zatokę.

- Jak on się nazywa? Ten ich gość?

- Henry? Hank? Nie pamiętam. To jakiś znajomy Rory'ego z pracy.

- Kolejny fascynujący wieczór i dyskusja o rodzinnej firmie Pritchardów!

Nick się roześmiała, ale szybko zakryła usta dłonią w rękawiczce.

- Och, wiem. Jeśli usłyszę chociaż jedno słowo o inwestycjach, to chyba będę musiała chlusnąć mu drinkiem prosto w twarz.

- To chluśnij, a potem wuj. Ja powstrzymam pogoń - powiedział Hughes, ciszej, bo właśnie podchodzili do stolika.

- Mój bohaterze - szepnęła mu Nick do ucha, a on stwardniał od łagodnego ciepła jej oddechu.

Nieco się za nią schował podczas prezentacji i ostrożnie przestępował z nogi na nogę.

- Nick, wyglądasz wystrzałowo - powiedziała Dolly Pritchard, ściskając rękę przybyłej. - A Hughes? Tak samo przystojny jak zawsze.

- Cześć, Doily - powiedział Hughes, cmokając ją w policzek.

Dolly Pritchard przypominała mu Eleanor Roosevelt. Była wysoka i koścista, o bezpośrednim sposobie bycia i niewyparzonym języku, bardziej od prezydentowej atrakcyjna, należąca do tych bystrych, rzeczowych kobiet, dla których pogodne wścibstwo stanowiło coś w rodzaju dogmatu. Hughes ogromnie ją lubił. W przeciwieństwie do jej męża. Nie żeby za nim nie przepadał, ale

Rory'emu po prostu brakowało radości życia małżonki. Ojciec Rory'ego Pritcharda, Rory senior, założył firmę inwestycyjną, która początkowo zarządzała wyłącznie rodzinnymi pieniędzmi. Rory junior rozwinął działalność, zajmując się finansami rodzin, które zaaprobowałby jego ojciec. Był bystrym facetem, to nie podlegało kwestii, ale potrafił też straszliwie nudzić, kiedy dorwał się do tematu interesów.

- To jest Harry Banks - powiedziała Dolly, kładąc dłoń na ramieniu swojego gościa. - Harry, to Nick i Hughes Derringerowie.

- Harry pomaga nam zaprojektować nowe biura - powiedział Rory, odsuwając krzesło, żeby jego żona mogła usiąść.

- Jeden z przedstawicieli zdolnej architektonicznej młodzieży - dodała Dolly.

Harry Banks wyglądał nieco zbyt młodo jak na architekta, nawet jak na tę „zdolną młodzież”.

- Dolly, zaraz się zarumienię - powiedział, uśmiechając się do swojej gospodyni.

- Akurat - odpaliła Dolly. - Harry, nikogo nie nabierzesz. Wątpię, żeby istniało coś, co cię przyprawia o rumieniec.

Hughes stłumił uśmiech, ale Nick parsknęła.

- O Boże, czy właśnie to musi pan znosić przez cały weekend, panie Banks?

- Harry, bardzo proszę. - Architekt uśmiechnął się do Nick, a Hughes zauważył, że facet omiata spojrzeniem jego żonę. Jej żółtą sukienkę bez ramiączek i krągłość piersi wyłaniających się lekko z pianistego materiału. - I owszem. Dolly świetnie idzie pokazywanie mi, gdzie

moje miejsce. Ale obserwowanie, jak sobie z tym radzi, to sama przyjemność.

- Gładko powiedziane, Harry - stwierdziła Dolly. - A teraz, czego się wszyscy napijecie?

Hughes zamówił dla siebie gin z tonikiem, a dla Nick martini, myśląc o zimnym termosie, który przyniosła do szopy na łódź. Nie wiedział, co próbuje jej zaoferować, przeprosiny czy sygnał łączącej ich intymności. Spojrzał, żeby sprawdzić, czy Nick właściwie odczyta jego starania, i zobaczył lekko rozchylone w uśmiechu usta, ledwie ukazujące białe zęby. Jej spojrzenie prześlizgnęło się jednak po jego ramieniu i zobaczył, że twarz żony tężeje.

Hughes obejrzał się i zobaczył Franka Wilcoxa, który szedł przez główną salę jadalną, prowadząc za łokieć małżonkę. Usta Etty Wilcox zaciskały się w cienką, wąską linijkę, ale jej mąż wyglądał, jakby odgrywał komedię. Uśmiechał się szeroko, rozdając wesołe spojrzenia wszystkim i nikomu w szczególności.

Ich stolik zamilkł i Hughes zobaczył, że oczy obecnych wbite są w nadchodzącą parę. Wszystkich, pomijając Harry'ego Banksa. Ten siedział z miną człowieka, który nie zrozumiał dowcipu.

Hughes poczuł na ramieniu czyjaś dłoń.

- Witajcie. Hughes, Rory.

Spojrzał na Franka i spróbował się uśmiechnąć.

- Frank.

- Moje panie - powiedział Frank Wilcox, uśmiechając się szerzej.

Nick popatrzyła na niego bez słowa.

- Witaj, Frank. Witaj, Etto - odezwała się Dolly.

- Dobry wieczór. - Głos Ety brzmiał ochryple, jak nieużywany od jakiegoś czasu.

Nikt nie zadał sobie trudu, żeby przedstawić Harry'ego Banksa. Frank stał chwilę wśród gęstniejącego milczenia, aż wreszcie skinął głową i ruszył w stronę swojego stolika. Jakby sprawy działały się zgodnie z najnaturalniejszą kolejną rzeczą pod słońcem. Hughes dostrzegł, że pochyla się i szepcze coś do ucha Ety, ale twarz kobiety pozostała nieodgadniona.

Spojrzał w swoje menu.

- Sola wygląda nieźle.

- No, no... - zaczęła Dolly.

- Przestań, Dolly - przerwał jej Rory. A potem dodał: - Nie wiem czemu, ale nigdy nie przepadałem za tą rybą.

Harry Banks popatrzył po obecnych z lekkim półuśmiechem.

- Chyba ominęło mnie coś szalenie ciekawego...

- Ależ skądże - powiedział Hughes.

- Wy dwaj jesteście strasznie sztywni - powiedziała Dolly, a potem odwróciła się do Harry'ego. - Ich pokojówkę niedawno znaleziono martwą. Została zamordowana. Jak sobie zapewne wyobrażasz, wywołało to spore zamieszanie.

- Dolly. - W głosie Rory'ego zabrzmiała ostrzegawcza nuta.

- Och, dobrze. To faktycznie mało przyjemny temat do rozmowy przy kolacji. Co za nudy. - Dolly skupiła uwagę na menu.

Hughes popatrzył na Nick, która cały czas milczała. Zobaczył, że żona nadal spogląda na Wilcoxów, siedzących teraz o kilka stolików dalej. Wyjęła z torebki

papierosa i Hughes nachylił się, żeby go przypalić. Jej dłoń drżała, więc przytrzymał ją delikatnie. Nick odsunęła rękę i sięgnęła po menu.

- Chateaubriand zawsze się sprawdza - powiedziała pogodnym tonem, od którego Hughesowi ścisnęło się serce.

Po kolacji rozmowa, zgodnie z przewidywaniami, powróciła do kwestii pogody.

- Ten upał... - westchnęła Dolly.

- I żadnych wentylatorów - dodał Rory.

- Czytałem, że w D.C. mają w związku z tą falą upałów więcej samobójstw - powiedział Harry Banks, zapalając papierosa. - Jakiś facet podobno przebiegł całą drogę od swojego domu do Key Bridge, wrzeszcząc, że gorąco, a potem po prostu skoczył z mostu. W samym środku godzin szczytu.

- Naprawdę? - spytała Dolly. - Słowo daję! Wiecie, słyszałam, że więcej ludzi popełnia samobójstwa w poniedziałek niż w jakikolwiek inny dzień tygodnia.

- Praca - powiedział Rory. - Nie chcą do niej wracać.

- Może to tylko kwestia monotonii - dorzucił Hughes. - Każdy poniedziałek taki sam, każdy miesiąc i rok też się niczym nie różni...

Poczuł na sobie wzrok Nick.

- No cóż, jeśli monotonia to największy problem... Człowiek musi mieć grubą skórę - powiedział Rory.

- Myślę, że właśnie o to chodzi.

- Sama nie wiem - zastanowiła się Dolly. - Nie mogę powiedzieć, żebym lubiła monotonię, ale musimy sobie z nią radzić wszyscy. To znaczy, życie nie może być jedną



wielką przygodą i emocjonującym doświadczeniem, nieprawdaż? - Odwróciła się do męża. - Przepraszam cię, kochanie.

Rory przesłał jej w powietrzu buziaka.

- No cóż, to twój wybór - powiedział Harry Banks.

- Ale życie można uczynić tak emocjonującym, jak się chce. Albo nie.

- Oto słowa prawdziwego zatwardziałego kawalera

- powiedział Rory.

- Wstydzilibyś się, Rory - zaprotestowała Dolly. - To nie małżeństwo sprawia, że życie staje się... No cóż, nużące. A przynajmniej, nie tylko ono. Chodzi o całość. Wszystkie te drobiazgi, którymi człowiek musi się zajmować każdego dnia.

- Moim zdaniem chodzi o samotność - powiedziała Nick. - I pożądanie.

- Czyżby? - powątpiewała Dolly. - Opowiedz nam o tym.

Nick się roześmiała.

- Serio. Wiem, że wszyscy uważają, że pożądanie to jakaś żalosna głupota, która przytrafia się młodym. Ale kto powiedział, że tak ma być? To znaczy, bez tego... No cóż, uważam, że to prawdziwy powód, dla którego ludzie rzucają się z mostów.

- Nigdy dotąd nie zdawałam sobie sprawy, że jesteś taką romantyczką, kochanie - powiedziała Dolly. Odwróciła się do swojego gościa. - A co ty masz do powiedzenia na ten temat, Harry?

- Ja nie miałem na myśli małżeństwa, chociaż Rory ma rację. Niewiele o nim wiem. - Harry Banks uśmiechnął się do zgromadzonych. - Ale kiedy człowiek pomyśli

o tych wszystkich męczących drobiazgach, zaczyna się zastanawiać, po co? To znaczy, dlaczego robić to, czego wszyscy od ciebie oczekują? Że niby ktoś patrzy?

Hughes roześmiał się głośno. Dolly również.

- Rozejrzyj się dokoła - powiedziała, szeroko otwierając ramiona i obejmując nimi całą salę. - Wszyscy patrzą.

Kolacja dobiegała końca. Harry Banks wyszedł zaczerpnąć świeżego powietrza, a Rory usiłował przyciągnąć wzrok kelnera, by ten podał rachunek. Nick przeprosiła towarzystwo i poszła do toalety, a ponieważ długo nie wracała, Hughes poszedł jej poszukać. Na zewnątrz powietrze było tak samo ciepłe, tylko łagodniejsze. Hughes zobaczył jakąś parę, która popijała wino obok wielkiej, malowanej, żelaznej kotwicy, ustawionej pośrodku frontowej werandy. Ruszył w kierunku pomostu. Po ciemku udało mu się dostrzec zarys dwóch sylwetek; ich głowy zbliżały się do siebie. Rozpoznał Nick, jej sposób trzymania szyi. Opierała się lekko o boczną ścianę budynku, a ku niej nachylał się Harry Banks. Jedną dłoń położył na drewnianych deskach ściany.

Harry powiedział coś, czego Hughesowi nie udało się dosłyszeć, a Nick się roześmiała. Mężczyzna nachylił się niżej. Nick nie drgnęła. A Hughesa zabolął ten widok. I wcale nie dlatego, że był nim jakoś specjalnie zaskoczony. Miał poczucie odpowiedzialności za to, co się tu działo, że to jego wina, bo sam zmusił Nick do poszukiwania intymności z obcymi mężczyznami w mrocznych kątach. A przecież wszystko powinno wyglądać zupełnie inaczej. Nick nie zasługiwała na takie sytuacje.

- Nick! - zawołał cicho.

Spojrzała spokojnie, a potem znów odwróciła głowę ku Harry'emu.

Hughes patrzył jeszcze przez chwilę, a potem zawrócił do wnętrza i zaczął na powrót żony.

Nie dotknął jej w drodze powrotnej, chociaż szła swobodnym krokiem tuż obok. Była tak blisko, że wyczuwał zapach jej mydła i jakąś kwiatową nutę, która mieszała się z jej potem. Obcasy stuknęły o chodnik. Hughes wcisnął dłonie w kieszenie. Nick przystanęła na Simpson's Lane, żeby zerwać różę z krzaka przewieszającego się ponad jednym z drewnianych parkanów.

Kiedy skręcili za róg North Summer Street, Hughes zobaczył wiszący nisko na niebie czerwony księżyc. To ten skwar sprawiał, że przybrał taką barwę, coś w atmosferze. Hughes nie pamiętał dokładnie co, ale przypomniało mu się nagle stare powiedzenie: „Czerwone niebo nocą, radość żeglarza, czerwone niebo z rana, sztorm zagraża”.

Kiedy wchodzili na podwórze za domem, Nick potknęła się, zaczepiając obcasem o krawężnik i lekko wspierając na mężu. Hughes odruchowo wyciągnął rękę, żeby ją podtrzymać, i poczuł przy sobie jej ciało. Otwarta dłoń trafiła dokładnie na jej pierś.

- Nick... - odezwał się.

- Przepraszam, kochanie. Chyba po tych martini zrobiłam się nieco niezdarna.

- Nic mnie nie obchodzi martini.

- Tak? - Ruszyła, próbując wyślizgnąć się z jego objęć.

- Stój - powiedział.  
- O co chodzi?  
- Chcę... Chcę z tobą porozmawiać. - Nie przestawał jej przytrzymywać.

- Puść mnie - powiedziała. - Przez ciebie się przewrócę.  
Pociągnął ją tak, żeby widzieć jej twarz.

- Hughes... - Unikała jego wzroku.  
- Popatrz na mnie.  
- Przestań. - Uniosła dłoń, jakby chciała go odepchnąć. A on złapał tę dłoń i poczuł, że róża, którą nadal trzymała Nick, rozpada się na wilgotne płatki w uścisku jego ręki.

- Nick.
- Cokolwiek masz mi do powiedzenia...
- Przepraszam - powiedział.
- Nie wiem, o co ci chodzi.
- Wiesz, o czym mówię. Przepraszam. Za wszystko.
- Nic mnie to nie obchodzi.
- Wydaje mi się, że to nieprawda.
- A jednak.

Popatrzyli na siebie i Hughes był niemal pewien, że ona się zaraz złamie, że go do siebie dopuści. Czuł jej wahanie; Nick balansowała na krawędzi. Czekał, ale milczała.

Nie mógł tego znieść ani chwili dłużej.

- Dość - powiedział i pocałował ją mocno. Jej usta rozchyliły się pod jego wargami. - Dość tego, ale już - szepnął w mrok.

Nick, równie szybko, jak się poddała, uwolniła się z jego uścisku, a potem pobiegła ścieżką, wymknąwszy się z jego rąk jak strumień wody.

## 1959, LIPIEC

4

Hughes obudził się następnego ranka z bólem głowy. Zdeterminowany. Chociaż było jeszcze wcześnie, Nick zdążyła już wstać. Hughes zrzucił z siebie dół od piżamy, założył szlafrok i wyszedł przed dom, kierując się w stronę natrysku na świeżym powietrzu.

Poślizgnął się lekko na rosie. Powietrze nieco się ochłodziło. Fala upałów wciąż trwała, ale już nie tak uciążliwa, jak przedtem.

Przewiesił szlafrok przez drewnianą osłonę i odkręcił kran, pozwalając wodzie spływać po głowie i ramionach, aż utworzyła niewielkie rozlewisko u jego stóp. Odrzucił głowę w tył, odgarniając włosy z oczu, i spojrzał w niebo nad sobą. Jasny błękit zaczynał nabierać głębi w porannym słońcu. Czuł zapach wilgotnej trawy i mokrych kafli. Było mu dobrze. I smutno.

Pomyślał o Nick przebiegającej przez drogę w swoim czerwonym kostiumie kąpielowym i zastanowił się, dlaczego niby szlafrok jest o wiele lepszy. Wszyscy

domownicy traktowali ten fragment ulicy, oddzielający dom od położonego niżej trawnika, jak teren prywatny i część posiadłości, chociaż można tam było wpaść w bieleńnię na pierwszego lepszego przechodnia. Nick przynajmniej miała dość rozsądku, by spodziewać się wzajemnego szoku, nawet jeśli specjalnie się tym nie przejmowała.

Wrócił do domu i znalazł żonę w kuchni. Hughes zaplanował sobie przemowę, ale Nick go zobaczyła i odezwała się, zanim zdążył otworzyć usta.

- Przepraszam - powiedziała. - Chyba wczorajszego wieczoru za dużo wypiałam...

Hughes przez moment poczuł się zbity z tropu, nie tylko dlatego, że przeprosiny żony były rzadkością, ale również dlatego, że jej słowa zamykały dyskusję. Przykro jej, to przez alkohol, wszyscy wiemy, jak bywa.

- To ja powinienem przeproszać - powiedział. - Zachowałem się jak gbur. Tylko że... Sam nie wiem, co mnie ostatnio dopadło. Wszystko wydaje mi się takie... Bo ja wiem? Inne.

Nick siedziała w milczeniu.

- Posłuchaj - dodał Hughes, podchodząc. - Nie obchodzi mnie to. Nie chcę o tym mówić. Chcę, żebyś poszła dziś ze mną popływać łodzią. Kadłub powinien być suchy.

- Dobrze - zgodziła się z wahaniem. - Daisy do południa gra w tenisa.

- Nie. Chcę popływać tylko z tobą. Zapraszam. Nick spojrzała na własne stopy. Skinęła głową, a Hughes mógłby przysiąc, że zarumieniła się lekko.

- Spakuj coś na lunch, a ja przygotuję łódź - powiedział. - Spotkamy się na przystani za godzinę.

A potem, zanim Nick zdążyła zmienić zdanie, szybko wyszedł z kuchni. Natknął się na schodzącą po schodach Daisy. Miała rozczochrane włosy, a w okrągłych, błękitnych oczach resztki snu.

Hughes porwał ją z ostatniego stopnia prosto w ramiona. Mała pisnęła.

- Tato, postaw mnie!

- Przepraszam, słonko. - Nick miała rację. Daisy zaczynała się robić bardzo wrażliwa. - Oszłomiła mnie ta śpiąca królewna na schodach.

Daisy udawała obrażoną, ale widać było, że jest jej przyjemnie.

Hughes poszedł na górę, by się przebrać. Kiedy mijał pokój Heleny, ta wystawiła głowę zza drzwi, ale na jego widok schowała się szybko, jak żółw do skorupy, i przymknęła drzwi z lekkim trzaskiem.

Na dole, w szopie na łódź, Hughes przesunął dłonią po kadłubie „Gwiazdy”, sprawdzając, czy na pewno jest suchy. Usatysfakcjonowany, przeciągnął żaglówkę w dół trawnika, na wąski skrawek plaży, i rozpoczął fałdowanie. Postawił maszt, poprawił naciąg sztagu i przyszekłował. Zamocował bom i przygotował żagiel do postawienia. Kiedy założył już szot i fał, wyciągnął z szopy połyskujące lakierem wiosła i ułożył je w łodzi. Przyniósł poduszki i dwa ręczniki i rozłożył je na słońcu, żeby pozbyły się zapachu pleśni.

Potem usiadł na ciepłych deskach pomostu, patrząc na kluczące w wodorostach stada płotek, i czekał.

Zobaczył ją, kiedy schodziła po trawniku, lekko potykając się na jego pochyłości. Z tej odległości wyglądała na dwadzieścia lat, zwłaszcza w tych makowych szortach

narzuconych na biały kostium kąpielowy bez ramiączek, z krótkimi włosami szczesnymi z czoła. Na biodrze niosła kosz piknikowy, przechylona pod jego ciężarem. Kiedy stanęła obok, dyszała.

Hughes wstał i wziął od niej koszyk.

- Dzięki - powiedziała. - Uff, już się zrobiło gorąco.

- Moim zdaniem upał nieco ustępuje - zauważył Hughes.

- Nie wydaje mi się. - Nick była sceptyczna. Zeszli na plażę, gdzie stała „Gwiazda”, błyszcząc jak

wielka, zielona, morska muszla. Hughes zepchnął żaglówkę na wodę; Nick przytrzymała ją, kiedy mocował miecz i ster. Potem podała mężowi kosz, poduszki i ręczniki. Hughes wciągnął żagiel i puścił go w łopot, a potem, wyciągając rękę, pomógł Nick wsiąść do łodzi. Jej kostki, mokre od wody, ślizgały się na sidingu, więc żeby się przytrzymać, musiała użyć obu dłoni.

Dzień był jasny i czysty. Słońce tworzyło małe gwiazdki na wzniesieniach fal. Hughes czuł, że wysycha mu grzbiet nosa; mrużył za ciemnymi okularami już piekące od soli oczy. W dłoni delikatnie trzymał rumpel. Dobra pogoda na żeglowanie, pomyślał. Spokojnie, ale nie bezwietrznie.

Wzdłuż brzegu kąpieliska przy plaży Chappy, pełnego czerwono-niebieskich pasiastych przebieralni, spacerowało już kilku porannych pływaków. Za sobą Hughes słyszał portowy dzwon, dający znak szyprowi na „On Time”, żeby prom przepłynął cieśninę.

- To idealny dzień - odezwała się Nick. - A przynajmniej tutaj. Na łódce, przy tym wietrze. Zapakowałam faszerowane jajka. Chcesz jedno?



- Jeszcze nie - powiedział Hughes. - Odłożę tę przyjemność na później.

Nick się roześmiała.

- Dlaczego mnie to nie dziwi? - Odchyliła się lekko do tyłu i zanurzyła dłoń w wodzie. - Moim zdaniem to ma się w genach. Słoną wodę. To, czy się ją lubi, czy nie.

- Naprawdę? - Hughes się uśmiechnął.

- Helena mówiła mi, że w Kalifornii nikt się nie kąpie w oceanie. Wchodzą wyłącznie do własnych basenów. Wyobrażasz sobie? Mają dla siebie cały piękny ocean i siedzą w basenach!

Hughes milczał. Słuchanie mówiącej Nick sprawiało mu przyjemność. Potrafiła sprawić, że stare idee brzmiały świeżo, nieco inaczej. Jakby patrzyła na wszystko pod odmiennym od większości kątem.

Nick wyciągnęła rękę i zdjęła mu słoneczne okulary. Chuchnęła na szkła, a potem przetarła je skrajem jasno-czerwonych szortów.

- Tak będzie lepiej - powiedziała, ponownie zakładając je mężowi na nos. - Teraz będziesz widział, dokąd płyniesz. - Przechyliła głowę i przyjrzała się uważnie. - Ray-bany. Wyglądasz w nich jak William Holden, kochanie. Jesteś tak samo przystojny.

Hughes sterował przez przesmyk w stronę zatoki Cape Pogue, niemal odciętej mierzeją.

Zbliżyli się do brzegu i Nick wyskoczyła, a zaraz potem jej śladem podążył Hughes. Razem wyciągnęli „Gwiazdę” na piasek. Ilekroć tutaj przyplływali, zawsze wybierali to samo miejsce, z niemal od razu zaczynającą się głębią. Wygodne do kąpieli, ale na tyle oddalone od przesmyku, że człowieka nie wciągał prąd. Szorty

Nick przemokły zupełnie, więc je zrzuciła i położyła się na jednym z ręczników.

- Chcesz poduszkę pod głowę?

- Nie - powiedział Hughes. - Podłożę sobie koszulę. Leżeli obok siebie, z koszem piknikowym za głowami.

Hughes podparł policzek dłonią i patrzył na Nick, na jej zamknięte oczy. Skóra na tle bieli kostiumu połyskiwała złotawo. Po chwili Nick uniosła nieco głowę.

- A teraz chcesz jajko? - zapytała.

- A co tam jeszcze masz?

- Białe wino?

- Tego mi właśnie trzeba! - powiedział.

Nick sięgnęła do kosza i wyjęła butelkę wina, którą w domu obłożyła lodem i owinęła ściereczką.

- Ty ją otwórz, a ja później wstawię do wody - zarządziła, podając mężowi korkociąg.

Hughes nalał dwa kieliszki wina i wręczył Nick butelkę. Patrzył, jak wstaje i obwiązuje szyjkę linką zakończoną niewielką kotwiczką. Zakopała hak w piasku, a butelkę puściła na wodę. Potem wyjęła niewielki pojemniczek oliwek nadziewanych pimento.

Zalewa eksplodowała w jego ustach smakiem, który zapił łykiem zimnego białego wina.

- Białe wino i oliwki zawsze smakują jak plaża - powiedziała Nick.

- To ta sól. - Hughes przymknął oczy.

- Tak. Ale również świeżość smaku.

Hughes słyszał brzęczące w upale owady i mewy, gdzieś za nimi, na wydmach, gdzie gniazdowały. Była jedenasta rano, a on nie jadł jeszcze śniadania. Wino przyprawiało o senność. Więc zaczął śnić wyścig pomiędzy

białym koniem a czarnym. Czarny koń wygrywał, ku zadowoleniu Hughesa. Miał rozdęte chrapy i zapleciony w warkoczyki ogon; biegnąc, unosił go wysoko. Hughes zagrzewał zwierzę do biegu.

Poczuł, że Nick obok niego zmienia pozycję i ze snu wyrwał go nagły wstrząs.

Siedziała zapatrzona w ocean.

Poszedł za jej spojrzeniem; trwali tak przez jakiś czas, bez słowa. A potem Hughes zrozumiał. To była właśnie jego chwila. Zaczerpnął powietrza i skoczył.

- Napisałem kiedyś do ciebie list - powiedział. - I chyba największym błędem w moim życiu było to, że nigdy go nie wysłałem.

Nick nie patrzyła.

- Co w nim było?

- Mnóstwo rzeczy. - Hughes potrząsnął głową. Po drugiej stronie przesmyku jakiś wędkarz nakładał przynętę na haczyk. - Rzeczy, które chyba powinienem był ci powiedzieć już dawno temu.

Milczała.

- Nie wiem, jak to się stało, że wszystko się... pogmatwało. Jak do tego doszło...

- Och, Hughes. - Nick spojrzała w niebo i westchnęła. - Bo tak to już bywa. Każdy, kto trochę pożył, wie o tym. Rzeczy po prostu się... zdarzają. - W jej głosie było tyle smutku.

- Ten list. Napisałem w nim, że cię kocham. Odkąd... Jezu, sam nie wiem, od jak dawna! Może odkąd zobaczyłem cię po raz pierwszy?

- Ja nie... Nie rozumiem, po co mi teraz o tym wszystkim wspominasz.

- Nick, posłuchaj...

- Boże, ależ z ciebie dzieciak. - Nick wbiła w męża oczy przypominające kamienie. - Myślisz, że ot tak pstrykniesz palcami, powiesz mi, że mnie kochasz, i wy-błagasz dla nas z miejsca happy end?

- Nie wiem - powiedział Hughes. - Nie znam innego sposobu. A może ty znasz jakiś? No bo, sama powiedz... Ludzie doczekują przecież happy endów.

Patrzyła na niego przez chwilę.

- Przez cały ten czas... - Pokręciła głową i odwróciła wzrok.

- Dokończ.

Kiedy znów na niego spojrzała, miała wilgotne oczy.

- Przez cały ten czas szedłeś przez nasze życie jak lunatyk. Czy sądzisz, że jestem głupia? Mówisz mi o listach. A co z tym: „Świat już nie płonie, Hughes”. „Wróc do mnie, Hughes”? Co z pokojem numer 201 w Claridge's? - Dygotała. - Miałeś mnie kochać. A zamiast tego spustoszyłeś wszystko. Zafundowałeś mi szarą codzienność.

Nawet się nie zdziwił, że wiedziała. To mógł być Ed. A może to ona znalazła listy. Zastanowiło go tylko przelotnie, skąd Nick zna numer pokoju. Choć teraz nie miało to już znaczenia.

- Tak - powiedział. - Tak, wszystko to zrobiłem.

I masz wszelkie powody, żeby mnie nienawidzić. A jeśli mnie nienawidzisz, jeśli naprawdę nie możesz mnie już kochać, odejdę. Albo zostanę. Cokolwiek zechcesz. - Urwał.

Wpatrywała się badawczo w jego twarz. Łzy odarły jej własną ze zwykłej, hardej urody i teraz Hughes

wyczuwał w żonie coś jeszcze. Mieszankę wahania i tęsknoty?

- Nick. Nie zostawiaj mnie samego. Milczała przez chwilę.

- A idźże do diabła, Hughes - powiedziała miękko. Później jej dłoń obejmowała tył jego głowy, sunęła

w dół karku. Była przy nim blisko. A on czuł zapach wina w jej oddechu i ciepło parujące z nagich ramion w miejscu, gdzie ich dotykał. Potem był piasek pod ich ciałami i słoneczny skwar. I blask połączonych skór.

- Powiedz mi, że mnie kochasz - powiedział prosto w nią. - A ja to naprawię. Przysięgam na Boga, że wszystko naprawię.

- Kocham cię - szepnęła. - Nigdy się nie dowiesz, jak bardzo. Ale nie wiem, czy uda ci się naprawić cokolwiek.

A potem powiedziała coś jeszcze, czego nie dosłyszał. Nie słyszał zresztą niczego, poza szumem krwi we własnych uszach. Czuł puls na jej szyi, przyśpieszający pod dotykiem jego dłoni, tak samo jak jego własny, zdyszany oddech. A ona poruszała się pod nim, odwracając na bok twarz. Potem nie patrzył już wcale. Był ślepy i mógł tylko odbierać przebiegający to przez niego, to przez nią dreszcz.

Później Nick wstała i zanurkowała w oceanie. Hughes poszedł jej śladem, sięgając po nią pod powierzchnią wody, ale była nieco poza zasięgiem jego rąk. Odwróciła się i spojrzała na brzeg, a on podpłynął do niej, tym razem powoli. Kiedy znalazł się obok, objęła go ramionami za szyję i pocałowała. Smakowała oliwkami.

- Podoba mi się kolor kadłuba - powiedziała, wskazując głową na łódkę.

- Zrobiłem to dla nich - powiedział Hughes, łagodnie muskając kciukiem jej powiekę. - Kolor ogrodowego węża...

Nick roześmiała się i zanurkowała pod fale, a potem wypłynęła na powierzchnię z głową ciemną i gładką.

- Chyba pierwszy raz ktoś powiedział mi taki komplement. Bardzo ładny. - Zaczęła płynąć z powrotem. - Czy chcesz wreszcie te jajka, Hughesie Derringer, do cholery? - zawołała przez ramię. - Czy będę musiała zjeść je wszystkie?

To był dzień, któremu nie trzeba było przyglądać się z oddalenia, żeby zauważyć jego urodę. Spokój zatoki, wznoszące się za nią wydmy i mewy, wzbijające się od czasu do czasu spomiędzy plażowej trawy, ostrzegające przed zbliżaniem się do młodych.

Potem, po lunchu i drzemce, Nick wyjęła książkę i pogрузzyła się w lekturę. Hughes patrzył na ślubną obrączkę z diamentem, połyskującą na palcu, który służył jej za zakładkę.

- Co to jest?

- Wiersze. Wallace'a Stevensa.

- Przeczytaj mi któryś.

- Nie zabrałeś żadnej książki dla siebie? - Popatrzyła na niego z grymasem dezaprobaty.

- Byłem zbyt zajęty.

- To masz pecha, kochanie.

- No nie bądź taka... Przerzuciła kilka stron.

- Pamiętasz ten? Nazywa się *Depresja na przedwiośniu*. „Kogut pieje, ale żadna królowa się nie budzi. Włosy mojej blondynki lśnią jak ślina krów niesiona wiatrem”.

- Ślina krów?

- Uważasz, że to gorsze niż ogrodowy wąż?
- Nie wiem, ale wąż jest... hm, seksowniejszym stworzeniem.

Chyba. Krowa? No cóż...

- Nie jesteś poetą, kochanie, prawda? Pomyśl tylko o przezroczystej ślinie skapującej z krowiego pyska... Jest jak pajęczyna.

- No dobrze już, dobrze! Litości.
- Ha, ha!
- Rzeczywiście. Ha, ha. Nick się roześmiała.
- Dobra, wystarczy. Więcej ci nie czytam.
- Jakoś przeżyję. Może.
- Nalej jeszcze wina i się zamknij.

Hughes wstał i wyciągnął butelkę, opróżniając ją do kieliszka Nick. Spojrzał na horyzont.

- Powinniśmy niedługo wracać.

-Tak, dzieci wkrótce wrócą do domu. A Helena... - umilkła. - Hughes, ciągle zapominam cię zapytać... To znaczy... Czy rozmawiałeś z szeryfem o Edzie?

-Nie.

- A zrobisz to?

- Tak.

- Dzisiaj? Jak wrócimy?

- Dobrze. Jeśli tego sobie życzysz.

Patrzył, jak Nick ostrożnie pakuje do kosza piknikową zastawę i książkę, i poczuł gwałtowną potrzebę ochrony jej przed wszystkim i przed wszystkimi. Wyciągnął rękę i otrzepał plamę z piasku lepiącego się do jej skóry pod kolanem. Uśmiechnęła się.

- Chodź - powiedziała, wyciągając do niego rękę. A on ją ujął i razem zeszli ze swojej plaży.

Hughes zmierzał Main Street w stronę biura szeryfa, usiłując wymyślić, co powie, kiedy już się tam znajdzie. Całe przedsięwzięcie wydało mu się nieco głupie i trochę się denerwował, choć sam do końca nie był pewien dlaczego.

Pchnął ciężkie drzwi i podszedł do ustawionego w przejściu, zabałaganionego drewnianego biurka. Jakiś funkcjonariusz, który nie mógł mieć więcej niż osiemnaście lat, gryzmolił coś w leżącej przed nim księdze zatrzymań z nieprzytomnie znudzoną miną.

- Dzień dobry - odezwał się Hughes.

- Dzień dobry panu - powiedział chłopak, zupełnie niespeszony tym, że na służbie przyłapano go na rysowaniu muszelek. - W czym mogę pomóc?

- Chciałbym się zobaczyć z szeryfem Mello. Jeśli jest u siebie.

- Mogę prosić o nazwisko?

- Hughes Derringer.

- Zobaczę, czy jest wolny.

Za szybą Hughes widział szeryfa siedzącego za biurkiem i przeglądającego jakieś papiery. - Świetnie - powiedział. - Dziękuję.

Policjant podreptał do gabinetu szefa i zamknął za sobą drzwi. Usta chłopaka poruszyły się, a szeryf Mello podniósł wzrok i popatrzył na Hughesa. Podniósł rękę w powitalnym geście i wstał zza biurka, wychodząc za młodym policjantem na korytarz.

- Pan Derringer.

- Szeryfie.

- Czym mogę panu służyć?

Hughes spojrzął na młodego funkcjonariusza. W miejscu, gdzie chłopak rano zaciał się przy goleniu, tkwił



mały, biały strzępek papieru. - Czy możemy pomówić u pana w gabinecie?

- Jasne - powiedział szeryf Mello. - Proszę przodem. Okna na tylnej ścianie pomieszczenia wychodziły na spalony słońcem, zaniedbany trawnik.

- Proszę siadać. - Szeryf wskazał Hughesowi drewniane krzesło przed biurkiem.

Siedzenie było nieco twarde i Hughes kręcił się na nim przez chwilę, zanim znalazł wygodną pozycję. - Wie pan... Przepraszam, że zawracam panu głowę. Przyszedłem tu niechętnie, pewien, że ma pan na głowie ważniejsze sprawy...

Szeryf patrzył niebieskimi, nieruchomymi oczami. Pod pachami niebieskiego munduru widniały plamy potu. Wprawiło to Hughesa w niejasny niepokój.

- To znaczy... Chodzi o syna kuzynki mojej żony, Eda Lewisa. Jego matka nieco się niepokoi tym całym incydentem z pokojówką.

- Rozumiem - powiedział szeryf. - Jak dzieciaki to znoszą?

- Nic im nie jest. Prawdę mówiąc, jest prawie tak, jakby to wszystko nigdy nie miało miejsca.

- Dzieci - westchnął szeryf. - Twardsze niż kokosy.

- Tak - zgodził się Hughes, znów wiercąc się na krześle. - Chodzi o to, że pani Lewis chciałaby się dowiedzieć czegoś o synu... Otóż, Ed, zdaje się, mówił, że jakoś panu pomógł i pani Lewis się zastanawia, a właściwie martwi, co też takiego jej syn mógł widzieć...

- Istotnie?

Hughes poczuł się tak, jakby znów miał czternaście lat i siedział przed biurkiem dyrektora szkoły.

- Tak. Więc, no cóż, jeśli mógłby pan w jakiś sposób ją w tej kwestii uspokoić, to chyba...

- Rozumiem niepokój pani Lewis o syna - powiedział spokojnie szeryf Mello. - Ale... Jak pan to ujął? Niechętnie? Tak, to było to słowo. Niechętnie rozmawiam na pewne tematy, zwłaszcza jeśli ich poruszenie grozi lawiną niesprawdzonych plotek.

- Oczywiście - powiedział Hughes, zastanawiając się, co może oznaczać taki wstęp.

- Jednak, skoro są państwo rodziną... - Szeryf rozparł się na krześle. - To zabawne, mieszkam tu całe życie. A dopiero niedawno zdałem sobie sprawę, że to określenie ma dla różnych ludzi całkiem różne znaczenia...

Hughes nie miał pojęcia, do czego zmierza szeryf, ale złapał się na tym, że odruchowo zaciska dłonie na poręczach krzesła.

- Doprawdy?

- Doprawdy. - Szeryfowi nie drgnął żaden mięsień. - W każdym razie... - dodał wreszcie. - Wie pan, tak się składa, że kiedy spytałem Eda, czy kiedykolwiek widział kogoś innego w miejscu, gdzie znaleziono tę dziewczynę, powiedział mi, że obaj często chodziliście tam na spacer.

- Rozumiem. - Hughes poczuł, że serce zaczyna mu walić jak młotem.

- Więc w sumie cieszę się, że pan do nas zajrzał. Oszczędzi mi to wizyty u państwa w domu.

-Aha.

- Chce pan mi o tym opowiedzieć?

- O spacerach? - Hughes uniósł wzrok ku sufitowi, jakby próbował sobie coś przypomnieć. - Nie

powiedziałbym, że to do końca prawda. Byliśmy na Sheriff's Meadow zaledwie raz, na początku tego lata. Odbyliśmy tam męską pogawędkę. Ojciec chłopaka jest... No cóż, nieco wycofany. Rozumie pan.

- Naprawdę? Coś z tym ojcem nie tak?

- Nie wiem, jak mam to ująć... On po prostu nie za dobrze radzi sobie z synem.

Szeryf Mello przez chwilę przyglądał się Hughesowi, a potem, najwyraźniej podjąwszy decyzję, skinął głową.

- Jasne. - Rozsiadł się głębiej w fotelu. - No cóż, Ed powiedział nam też, że chyba... Rozumie pan, nie był tego pewien... Że chyba widział tam raz kiedyś Franka Wilcoxa. Ale nie mógł sobie przypomnieć.

Hughes wstrzymał oddech, czekając, że usłyszy coś więcej, ale szeryf milczał.

- I? - Nie wytrzymał.

- I co: i? - Uśmiechnął się szeryf.

- Co na to Frank? To znaczy, o ile może mi pan to zdradzić. To nie moja sprawa...

- No cóż, proszę pana. Zdaje się, że pan Wilcox spędził wtedy cały wieczór w domu, w towarzystwie żony. To znaczy, oczywiście, tak twierdzi pani Wilcox...

- Ostatnia fraza zawisała w powietrzu jak pytanie.

- No tak.

- Zatem, krótko mówiąc, informacje Eda nie na wiele się zdały, o ile rozumie pan, co chcę przez to powiedzieć.

- Szeryf przechylił głowę. - No, chyba że pan wie coś, co mogłoby nam pomóc?

- Hm, raczej nie. Chciałbym bardzo. Ale niestety.

- Na przykład, może zna pan jakieś szczegóły z prywatnego życia pana Wilcoxa, o których my nie wiemy.

To mogą być drobiazgi. Albo może jest coś, co chciałby nam pan powiedzieć o swoim siostrzeńcu.

Hughes milczał. Za żadne skarby świata nie zamierzał pakować się w ten pasztet bardziej, niż to było konieczne.

- Widzi pan, społeczność bywa jak rodzina. Jak mówiłem wcześniej, każdy definiuje ją po swojemu. W moim osobistym przekonaniu wygląda to tak, że kiedy ktoś w rodzinie zrobi coś naprawdę złego, nie ma sensu tego ukrywać. Bo to tylko wszystko w rodzinie pogarsza.

- Naprawdę żałuję, że nie mogę panu pomóc.

- Niech i tak będzie.

Hughes wykonał ruch, jakby chciał wstać, ale zmienił zdanie. Wiedział, że nie powinien mówić już nic więcej, ale nie mógł się powstrzymać.

- Jak przypuszczam, jej bliscy czy rodzina... To znaczy tej pokojówki, Eleny Nunes. Oni też nie mieli nic do powiedzenia o tym, co zaszło?

- Nie. Niczego się od nich nie dowiedzieliśmy.

- Pewnie zbiorowo nabrali wody w usta.

- Zbiorowo nabrali wody w usta... - Tym razem szeryf roześmiał się na głos. Ironicznie. - O której ze społeczności pan mówił?

Hughes zwał na upalne popołudniowe powietrze. Nerwy miał napięte jak postronki. Powinien był pójść do szeryfa z informacją o Franku zaraz po tym, jak znaleziono martwą pokojówkę. Teraz to rozumiał, ale wtedy coś go rozpraszało. A zresztą... Wyglądało na to, że Frank ma alibi; to właśnie powiedział szeryf. Hughes nie był jednak pewien, czy w nie wierzy. Szeryf Mello nie wierzył na pewno.

Myślał o szeryfie. Znał go jeszcze z czasów, kiedy sam był chłopcem, a Rick Mello pakował ludziom do toreb zakupy na miejscowym targu. A jednak ten facet sprawił, że Hughes poczuł się winny, mimo że nie był odpowiedzialny za to, że biuro szeryfa palcem nie kiwnęło w sprawie Franka Wilcoxa. Nawet jeśli on widział tę parę, idącą w stronę kortów tenisowych, to jeszcze nic nie znaczyło.

A skoro Etta postanowiła ręczyć za męża... I jeszcze Ed. Tak to wszystko przedstawił, jakby obaj włączyli się po okolicy. A może chłopak naprawdę szczerze starał się pomóc i po prostu przesadził? Nie, Hughes czuł w kościach, że Ed ma nie po kolei w głowie. Mocno nie po kolei. Chyba nawet szeryf miał podobne wrażenie. Ta mysz z wykałaczką w oku... Hughes potrzebował drinka.

Wypił parę szybkich ginów z tonikiem w Reading Room, a potem ruszył do domu. Słońce jeszcze nie zaczęło na dobre zachodzić. Niebo znaczyły jaskraworóżowe pasma, przypominające dziecięce malunki palcami.

Kiedy zbliżał się do domu, zobaczył na frontowej werandzie Nick, nadal w kostiumie kąpielowym i szortach. Nachylała się właśnie do jakiegoś chłopaka i szeptała mu coś do ucha. Włosy dzieciaka sterczały komicznie na jego głowie jak usztywnione krochmalem. Pewnie jakiś znajomy Daisy, domyślił się Hughes i uśmiechnął się, widząc zachwyty na zwróconej ku górze twarzy. Wiedział, co czuje ten mały.

Jeszcze nie do końca gotowy na czekające go przesłuchanie, Hughes obszedł dom, wszedł tylnym wejściem i ruszył na górę. Po prysznicu i goleniu uzbroidł się w cierpliwość i zszedł, by poszukać Nick i Heleny. Akurat popijały koktajle.

- Cześć, kochanie - powiedziała Nick. - Jak ci poszło z szeryfem Mello?

Helena też podniosła łagodne, wyczekujące oczy. I, jak zauważył Hughes, zmartwione.

- Bardzo dobrze - powiedział, podchodząc do barku.

- To znaczy? - spytała Nick. - Nie bądź taki skryty. Co powiedział?

- Nic - odparł Hughes, wrzucając trzy kostki lodu do niskiej szklanki.

- Jak to: nic? Nie było cię prawie dwie godziny.

- To znaczy, że Ed nie widział niczego i nic nie wie - wyjaśnił. - Szeryf po prostu był dla niego miły. Pozwolił mu poczuć się detektywem czy coś w tym stylu.

Helena oparła głowę o uszak fotela z czymś w rodzaju ulgi.

- A więc wszystko w porządku... - powiedziała Nick. Jej głos sprowadził Hughesa z powrotem do salonu.

- Tak - potwierdził. - Wszystko jest w pełnym porządku.

## 1959, SIERPIEŃ

Kiedy zbliżało się przyjęcie, Nick całkowicie zatraciła się w drobnych szczegółach związanych z chińskimi lampionami, pastą do czyszczenia sreber i białymi hortensjami. Hughes w środku nocy stwierdzał, że żona nie śpi i przy zapalonej lampce do czytania po raz setny przegląda menu.

Jemu przypadło w udziale zachowywanie spokoju i szykowanie się na najgorsze. Ale w wieczór poprzedzający imprezę poczuł, że musi nieco odpocząć przed burzą.

Nick siedziała w jadalni i po raz kolejny polerowała srebrną zastawę do wczesnej kolacji. Właśnie skończyła karcieć Daisy za nieporządek w pokoju, więc Hughes skorzystał z okazji, żeby przypuścić atak na kuchnię i barek, a potem skierował się do szopy na łódź, zamierzając upić się tam na spokojnie whiskey sour. Zastał tam Helenę, podobnie jak on szukającą schronienia.

- Co tam masz? - szepnęła, gestem wskazując butelkę whiskey i cukiernicę, które przyniósł.

Hughes się roześmiał.

- Nie musisz mówić szeptem, Heleno. Stąd nas nie usłyszysz.

- Uwielbiam Nick, ale nie mogę znieść tego... dyrygowania - powiedziała. - No ale... Co to będzie?

- Whiskey sour.

- Uwielbiam whiskey sour. - W głosie Heleny zabrzmiała tęsknota.

- Ja też - przytaknął Hughes i z tylnej kieszeni spodni wyciągnął dwie cytryny. - Psiakrew! - rzucił, rozglądając się dokoła. - Zapomniałem o lodzie.

- I o shakerze. - Helena załamała ręce i uniosła brwi. Uosobienie rozpaczy.

- Nie. - Hughes mrugnął do niej. - Jeden trzymam tutaj, za starą kotwicą, na sytuacje awaryjne. Ale ten lód to problem.

- Mogę się wybrać na rekonesans. - Uśmiechnęła się.

- Wolno nam tak ryzykować?

- Zaczekaj. - Helena wstała i ostentacyjnie wyszła na palcach. Wzorzysta sukienka wirowała w takt jej ruchów.

Hughes dmuchnął do wnętrza shakera, żeby usunąć kurz, a potem wsypał cukier, dodał whiskey i cytrynę i zaczął czekać.

Helena wróciła wreszcie z niewielkim srebrnym kubelkiem na lód, który Nick zamierzała wykorzystać przy kolacji. Hughes widział wcześniej, jak czyściła naczynie.

- Wiem, wiem - westchnęła. - Ale musiałam. Ten drugi był za duży.

Hughes wrzucił kilka kostek lodu do shakera, a potem wstrząsnął energicznie. Rozlał koktajl do dwóch plastikowych piknikowych kubeczków.



- Pani... - Podał jeden kuzynce. Helena wypła łyk.

- Hughes, z shakerem naprawdę potrafisz czynić cuda...

Siedzieli cicho przez jakąś minutę, napawając się spokojem i wytrawnością koktajli.

- No i jak ci życie płynie? - spytał wreszcie Hughes.

- O co ci chodzi?

- Nie wiem. O wszystko. O nic.

- Wszystko i nic - powtórzyła. - Chyba się cieszę, że z tą pokojówką dobrze się skończyło. To znaczy dla Eda. Bo dla niej niekoniecznie.

- Rozumiem.

- Martwię się o niego czasami. - Helena dopiła koktajl, a Hughes ponownie napełnił shaker.

- No cóż, jestem pewien, że skauting wyjdzie mu na dobre. - Wolał uciec od tematu. - Trochę go naprostuje.

Helena podniosła czujne oczy.

- Moim zdaniem nie trzeba go naprostowywać.

- Oczywiście.

- Może nie jest jak wszyscy inni chłopcy w jego wieku, ale dlaczego miałoby to mieć znaczenie? Jest wolny.

- Wolny od czego? - Jezu, ależ ta kobieta czasem dziwaczyła!

- Wolny od... Sama nie wiem... Od oczekiwań innych ludzi? Avery mówi... - Głos ucichł. - Nieważne. - Helena wyciągnęła przed siebie pusty kubek. - Tak czy inaczej, brak nam pieniędzy.

- Aha - powiedział Hughes, udając pochłoniętego wyciskaniem cytryny.

- Hughes... - Helena zagaiła łagodniejszym tonem. - Naprawdę potrzebujemy gotówki. Nie mógłbyś wstawić się za mną u Nick?

- Porozmawiam z nią - powiedział, poklepując ją po ręce i formułując w myślach pewien zamysł. - A teraz podaj mi ten pusty kubek.

Następny ranek był trudny. Nick wstała wcześniej i wyciągnęła dzieci z łóżek, a Hughes zszedł na dół, by pomóc jej przy śniadaniu. Chciał omówić z żoną swój pomysł, ale kiedy Nick weszła do kuchni, zdał sobie sprawę, że nie jest to najwłaściwszy moment.

Zamiast tego pojechał do Vineyard Haven po muzyków. To była ragtime'owa kapela polecana przez Dolly, The Top Liners czy jakoś tak. Zaparkował przy krawężniku i obserwował, jak „Islander” dobija do nabrzeża. Pracownicy portowi kręcili się przy burcie, szykując rampę.

Patrzył, jak z promu zjeżdża kilka samochodów, a potem schodzą piesi pasażerowie. Hughes z łatwością wyłowił spośród nich muzyków; nosili drelichy i taszczyli swoje instrumenty w poobijanych, starych futerałach. Wyglądali, jakby mieli takiego samego kaca, jak on. Hughes podszedł.

- Witajcie, chłopaki.

Popatrzyli na niego i wszyscy naraz zmrużyli oczy.

- Pan jest Derringer? - odezwał się ten, który niósł banjo.

- Zgadza się. Samochód stoi tutaj.

Włożyli instrumenty do bagażnika i wsiedli do auta: trzech z tyłu, dwóch z przodu, obok Hughesa, który odpalił silnik.

- Człowieku... - Jeden z chłopaków na tylnym siedzeniu wypowiedział to słowo na bardzo długim wydechu.

- Upał, upał, upał. - Ten od banjo wystukał szybki rytm na swoim kolanie.

Wszyscy byli dość młodzi. Dwadzieścia parę lat, zgadywał Hughes. Jeden z siedzących obok niego wyglądał, jakby zasnął; odrzucona do tyłu, potargana głowa opierała się o zagłówek. Drugi (same ciemne włosy i nadąsane oczy) przesuwał dłonią po obiciu drzwi.

- Skąd wszyscy jesteście? - Hughes przyjrzał się w lusterku chłopakom na tylnym siedzeniu.

- Z okolicy - odpowiedział ten ciemnowłosy, nie przestając gładzić tapicerki.

- Taa - dodał grajek od banjo. - Stąd i stamtąd. Zewsząd. - Znów zabębnił o kolano.

Cała kapela wybuchnęła śmiechem. Hughes nie odrywał oczu od drogi. Jezus, Nick go zabije, jeśli oni pokażą się jej w takim stanie!

- Chłopcy, chcecie się gdzieś zatrzymać na cołą?

- Na cołą? - Zaśmiał się ciemnowłosy. - Nie, dzięki.

Kiedy stanęli na tylnym podjeździe Tiger House, Hughes przy siatkowych drzwiach zobaczył Nick. Jakby tam na nich czekała.

Ten od banjo zagwizdał.

- Ładny dom.

- Dzień dobry - powiedziała Nick, wychodząc im na spotkanie na trawnik. Powoli gramolili się z samochodu. - Jestem Nick Derringer. Który z was to Tom?

- To ja - powiedział ten od banjo, nie ruszając się z miejsca.

- Dzień dobry - powiedział ciemnowłosy, kołysząc się na piętach i wymachując trzymanym w ręku pokrowcem na trąbkę.

Nick popatrzyła na nich, a potem na Hughesa.

- Wszyscy macie tu zostać - przykazała. - Kochanie, chciałabym z tobą chwilę pomówić.

Kiedy weszli do domu, odwróciła się w jego stronę i oparła dłonie na biodrach.

- On są zaćpani - powiedziała zjadliwie, jakby Hughes był temu winien.

- Żałuję, że ja nie jestem - odpalił. - Ty nie musiałaś znosić jazdy w ich towarzystwie.

- Cholera! To nie jest zabawne.

- Przecież się nie śmieję. - Hughes usiłował zdusić uśmiech.

- No to idź, znajdź sobie butelkę ginu i bierz się do roboty. Bylebyś tylko zszedł mi z oczu - powiedziała Nick kwaśno.

- To są muzycy? - W holu pojawiła się mała główka Daisy.

- Daisy Derringer, idź i zamieć alejkę. Już dawno ci kazałam to zrobić. - Nick przeszła do kuchni, gdzie młode Portugalki szykowały jedzenie. - Dziewczęta, czy mogłybyście zrobić trochę mrożonej herbaty dla muzyków, którzy czekają za domem? I może parę kanapek. Ale nie z tych na przyjęcie. Jakies faszzerowane jajka ze spiżarni czy coś podobnego. Tylko, na litość boską, nie wpuszczajcie ich do środka!

Hughes stał w holu, przyciskając palce do skroni. Głowa nadal pulsowała mu bólem.

- Jak mogę pomóc? - zapytał z nadzieją, że żona zaleci mu okład z lodem i zaciemniony pokój.

Nick odwróciła się w kuchennych drzwiach.

- Mógłbyś przypilnować robotników przy ustawianiu podestu. Zadbaj, żeby nie wyszedł im krzywy, jak w zeszłym roku.

Hughes skinął głową. Na frontowej werandzie znalazł przenośną lodówkę z piwem; dostawca po prostu ją tam zostawił, nie mówiąc nikomu. Wsunął dłoń do środka, wyjął butelkę i ściągnął kapsel szwajcarskim scyzorykiem. Potem usiadł na werandzie i zaczął rozmyślać nad swoim planem dla Eda. Helena powiedziała poprzedniego wieczoru coś o wolności i to sprowokowało Hughesa do myślenia.

Ed powinien pojechać do szkoły z internatem, a Hughes za nią zapłacić. Do tego sprowadzało się wszystko. To był jedyny sposób, żeby uzyskać choć odrobinę kontroli nad chłopakiem. Jeśli Ed miał cokolwiek wspólnego z zabójstwem dziewczyny, jeśli był w jakiś sposób w nie zamieszany, sprawy nie mogły się toczyć dawnym trybem. To było zbyt ryzykowne. Ale jeśli wyśle się Eda do internatu, Hughes będzie dostawał stamtąd raporty i jakoś zdoła utrzymać rękę na pulsie. Jeśli dzieciak to tylko zasmarkany gnojek, szybko mu tam utra nosa. A jeśli to coś gorszego niż zwykła niesubordynacja, prawda wyjdzie na jaw.

Opracowanie planu poprawiło Hughesowi samopoczucie. Życie zawsze staje się znośniejsze, kiedy człowiek ma plan.

Przy płocie pętała się Daisy. Hughes się uśmiechnął, widząc, że zamiatanie alejki leży odłogiem.

- Cześć, słoneczko! - zawołał z werandy. - Gdzie twój kuzyn?

- Nie wiem - odparła, zerkając na ojca. - Znikł. Powiedział, że idzie posprawdzać pułapki na myszy.

Hughes wyparł z myśli tamten obraz. Dość już tego, da chłopakowi lekcję wolności! Schował pustą butelkę po piwie w krzaku róż i poszedł sprawdzić, jak się posuwają prace przy estradzie.

Kiedy popołudnie chyliło się ku końcowi, a domowy rozgardiasz zastąpiła cisza, Hughes poszedł na górę, by wziąć kąpiel i przebrać się do kolacji. Czesał właśnie w sypialni wilgotne włosy, gdy wkroczyła tam Nick. Też świeżo po kąpieli.

- Zaczekaj, aż zobaczysz moją sukienkę - powiedziała, wsuwając na siebie halkę. - Jest boska.

- Możesz mi z nimi pomóc? - Hughes podszedł do niej ze spinkami do mankietów i zsunął je na dłoń żony.

Naciągnęła prosto rękaw koszuli, wyrównując brzegi mankietów.

- Tak sobie myślałem... - odezwał się Hughes. - O Edzie. O tym, co powiedziałaś. Że przydałoby się go nieco naprostować.

- Tak mówiłam? Chyba miałam na myśli to, że potrzebuje ojca. Tego prawdziwego.

- No cóż, na to niewiele da się poradzić. Ale pomyślałem sobie tak: Ed mógłby pojechać do szkoły z internatem. To by go wyrwało z domu, z dala od Avery'ego.

- Och, Hughes. Ich na to nie stać. - Nick umocowała w mankiecie drugą spinę.

- Ich nie, ale nas tak. - Wziął jej dłoń w swoje i zmusił, by na niego spojrzała. - To byłoby coś. Możemy to

zrobić dla Heleny, żeby trochę jej ułatwić życie. I nie damy żadnych pieniędzy Avery'emu.

- Naprawdę możemy sobie na to pozwolić?

- Jakoś damy radę.

- Sama nie wiem... - powiedziała, lekko kręcąc głową. - Nie jestem pewna, jak na to zareaguje Helena.

- Sama mi powiedziała, że się o niego martwi. - Hughes puścił dłoń żony i zajął się wiązaniem muszki.

- Mówiła coś takiego, fakt.

- Nicky, ona jest członkiem rodziny. Przynajmniej tyle możemy dla niej zrobić. A kiedy Ed wyjedzie, sytuacja z Averym może osiągnąć... Bo ja wiem? Może ulec jakiejś sensownej odmianie.

- Tak myślisz?

- To niewykluczone. - Hughes obserwował żonę.

- Kochanie, jesteś bardzo szczodry. I bardzo kochany.

- Bo wiem, jak bardzo ją kochasz.

- Tak - powiedziała Nick. - Kocham ją. Och, Hughes, wyobraź sobie tylko, że Helena dostaje szansę na prawdziwe szczęście!

- Wszystko po kolei.

- Tak. Masz rację. To naprawdę bardzo dobry plan. Czasem bywasz zadziwiająco bystry.

- Zadziwiająco. - Uśmiechnął się do niej szeroko.

- Porozmawiam z Heleną dziś wieczorem. Przed kolacją. Hughes poszedł poszukać muzyków i powiedzieć im,

że mogą się przebrać w szopie na łódź. Nie zdziwiłyby się specjalnie, gdyby zastał ich biegających po trawniku za domem w samej bieliźnie. Mieli wyjechać ostatnim promem i Hughes uzgodnił już z jednym człowiekiem z miasta, że ten podrzuci ich na przystań.

- Kiedy skończycie, możecie znieść swoje rzeczy tutaj, a on je stąd zabierze - poinstruował muzyków.

- Jasne, proszę pana - odezwał się ciemnowłosy, nie odrywając spojrzenia od trąbki.

Hughes miał ochotę przywalić chłopakowi na odlew, ale przybrał neutralną minę i zaczekał, aż byli gotowi. Potem pozbierał puste butelki po piwie i niedopałki papierosów i odniósł je do kuchni, do wyrzucenia.

Jedna z Portugalek popatrzyła na niego i pokręciła głową.

- Zgadza się - powiedział. - Cała ta banda to nic dobrego.

Dziewczyna tylko się uśmiechnęła.

Do przybycia gości na wczesną kolację pozostało jeszcze parę minut, więc Hughes ruszył do niebieskiego salonu, by przygotować sobie drinka.

- Cześć. - Podeszedł do siedzących tam żony i kuzynki, pochylając się, żeby pocałować obie w policzki. - Ależ ślicznie obie wyglądacie!

Nick miała na sobie sukienkę koloru wieczornego nieba, ozdobioną złotym haftem. Wprost promieniała.

- Cześć, kochanie.

- Miałaś rację - powiedział Hughes. - Sukienka jest niesamowita.

Helena wstała i podeszła do barku.

- Ja się tym zajmę - zaprotestował, ale przegoniła go machnięciem ręki, więc usiadł obok Nick. Uśmiechnęła się.

- Wyglądasz... - szepnął jej do ucha.

- Jak? - odszepnęła.

- Sam nie wiem... Zabójczo.



Nick lekko odchyliła głowę do tyłu, rozchylając jednocześnie czerwone usta. Hughes zapragnął nagle pozbyć się i Heleny, i gości. Chciał tylko siedzieć z nią tutaj i wdychać jej słodycz, dopóki nie zatrzymają się wszystkie zegary.

Kiedy pojawili się Pritchardowie, a potem Smith-Thompsonowie, Hughesowi z najwyższym trudem udawało się skoncentrować na rozmowie. Po jakimś czasie przekonał się jednak, że jego szczęście nie jest czymś wyłączającym innych; zaczęło zataczać szersze kręgi, obejmując Helenę, a potem jego przyjaciół. I cały ten gorący letni wieczór, oczekujący na imprezę. Nick włączyła płytę Counta Basiego i fale jazzu wypełniały teraz jadalnię wraz z radosnym pobrzękiwaniem kostek lodu o szkło.

Patrzył, jak żona krąży wśród gości, co chwila kładąc dłoń to na ramieniu Dolly, to na talii Caro, pochylając z uwagą głowę, żeby wysłuchać czegoś, co mówi Arthur, i śmiejąc się nawet wtedy, gdy Rory rozlewa drinka na orientalny dywan. Wszystko wydawało się dobre i takie jak trzeba. Jakby miało trwać wiecznie.

Nastrój potrwał tylko do kolacji, kiedy rozmowa zeszła na Franka Wilcoxa i to cholerne zabójstwo. Dolly poruszyła temat, a Caro powiedziała coś głupiego o tej dziewczynie. Że niby chciała sobie znaleźć jakiegoś zamożnego protektora. Nick wpadła w jakiś ponury gniew i praktycznie oskarżyła własnych gości o współwinę.

Hughes próbował zawrócić rozmowę na właściwe tory, dolewając więcej wina i sypiąc żartami, ale widział wyraźnie, że dla Nick ten wieczór już jest stracony. Rozzłościło go to. Caro była miłą kobietą, ale jednak

niemądra, a jego żona nie powinna psuć wszystkim przyjęcia ze względu na jakąś nieprzemysłaną, rzuconą mimochodem uwagę.

Kiedy skończono z jedzeniem i goście wyszli na trawnik, by dołączyć do zbierających się tam pozostałych zaproszonych i posłuchać pierwszej melodii granej przez orkiestrę, Hughes zaciągnął Nick w kąt werandy.

- Nicky, co się dzieje?

- O co ci chodzi? - Nie chciała na niego spojrzeć.

- Przy kolacji.

- Przepraszam - powiedziała, mnąc w palcach materiał sukienki. - Nic na to nie poradzę. He razy pomyślę o tej biednej dziewczynie... Po prostu zaczynam się dusić.

Hughes widział, że jest bliska łez.

- Dobrze, już dobrze. Jezu. Nie denerwuj się.

- No, denerwuję się, cholera. - Prawie się na niego rzuciła. - Czemu nie możesz zrozumieć, co się stało? Nie czujesz tego? Jakby wszystko dobre... Jakby to znaczyło coś innego. Jakby wszystko zostało skażone. Nie rozumiesz?

- Nick, nie możesz... Nie możesz wpadać w obsesję. Ten człowiek to bydłę, a dziewczynę spotkała tragedia. Ale tak to już bywa. Ni mniej, ni więcej.

Nick popatrzyła na niego, jakby przemawiał w obcym języku, a potem powoli pokiwała głową.

- Oczywiście, masz rację, kochanie. Jestem niemądra. Poczuł, że wymyka mu się jeszcze bardziej, ale nic nie mógł na to poradzić.

- Powinniśmy zająć się gośćmi - powiedziała rażno, rozprostowując niewidoczną zmarszczkę na spódnicy.

- Marna to impreza, na której gospodyni dostaje ataku płaczu na werandzie. Nieprawdaż?

- Gospodyni to ideał - odparł. - Któremu być może przydałby się kieliszek szampana...

Hughes podał Nick ramię i sprowadził ją na trawnik. Poszedł do baru po dwa kieliszki szampana, ale kiedy wrócił do miejsca, w którym zostawił żonę, ta znikła.

Szukając jej w morzu ludzkich twarzy, Hughes zauważył Arthura Smith-Thompsona, zmierzającego prosto w jego stronę.

- Cześć, cześć.

- Znalazłeś bar, mam nadzieję? - Hughes poklepał go po plecach.

- No jasne. - Obaj przez chwilę obserwowali gości.

- Znałem tamtą dziewczynę. Tę pokojówkę.

Hughes spojrzał na niego, a Arthur odwrócił wzrok.

- Pracowała dla nas zeszłego lata.

- Naprawdę? - powiedział Hughes. - Nie wiedziałem. Arthur pokiwał głową.

- Tak. Elena. Ona była... - urwał i dodał cicho: - To taka dziewczyna, na którą człowiek nie mógł się nie gapić.

Nad nimi przepływała muzyka.

- Nie zdziwiłbym się, gdyby to był Frank. To znaczy, gdyby on to zrobił. - Arthur jednym haustem dopił drinka.

Hughes patrzył na niego w milczeniu.

- Taka już była. Chyba można powiedzieć, że uwodzicielska. Przyciągała człowieka i odpychała. Na zmianę.

W głosie Arthura zabrzmiała gorycz, od której Hughesowi zrobiło się niedobrze.

- Rozumiesz?

- Nie jestem pewien.

- Mam po prostu nadzieję, że Frank się na to nie nabrał. To by było dla niego najgorsze. To znaczy, Caro ma trochę racji. To była tylko kwestia czasu, kłopoty z tą dziewczyną, bo uganiała się za żonatymi facetami. I właśnie to mnie wkurza. Ludzie kręcą się w kółko i tylko patrzą, jak wszystko spieprzyć. Najpierw chcą jednego, a potem drugiego. Nigdy się nie zastanawiają, że w pokoju jest jeszcze inny człowiek, że się tak wyrażę.

- No cóż, moim zdaniem trudno biedną dziewczynę obwiniać za to, że dała się zamordować - powiedział Hughes.

- Ale te dziewczyny takie właśnie są - sprzeciwił się Arthur zapalczywie. - Wiecznie niezadowolone z tego, co mają. Zawsze chcą więcej.

Hughes popatrzył na przyjaciela. Twarz Arthura wykrzywił paskudny wyraz. Pomyślał o Evie, a potem o Nick. I znenacka zrozumiał, o co chodziło jego żonie. Musiał ją znaleźć.

- Przepraszam cię, Arthurze - powiedział. - Powinienem chyba iść zobaczyć, czy Nick nie potrzebuje mojej pomocy.

- Jasne - powiedział Arthur, prawie go nie słuchając. Przyjęcie rozkręciło się już na dobre, więc potrwalo

całe wieki, zanim Hughes zdołał przejść z jednego krańca trawnika na drugi. Co parę minut musiał przystawać i witać się wylewnie z którymś z gości. Zespół grał jakąś piosenkę Noela Cowarda i Hughes zastanowił się, poniewczasie, jakim cudem udałoby się im zagrać ragtime'y. Bez pianina? Roześmiał się. Zespół był kiepski, ale nie miało to większego znaczenia: głosy gości tworzyły jeden głuchy pomruk, kolejka do baru była długa, ale nie

za długa, a różne pary właśnie zaczynały tańczyć radośnie do każdego kawałka, który The Top Liners chciało się akurat zagrać.

Rozglądał się, wśród białych smokingów i pastelowych jedwabi, za ciemnymi włosami i niebieską sukienką Nick, ale bezskutecznie. Kiedy stanął przy barze, natknął się na Daisy i jej małą przyjaciółkę o ciemnej grzywce. Snuły się bez celu w pobliżu, kombinując zapewne, jakby tu zwędzić trochę szampana.

- Cześć, dziewczynki.

Koleżanka Daisy miała zabawny sposób bycia, teatralny i czarujący jednocześnie, i na wszystkie jego pytania odpowiadała tak, jakby występowała na scenie. Widząc to, Hughes uśmiechnął się, ale Daisy była zażenowana.

Zlitował się nad nimi i poprosił barmana, żeby dolał im do wody nieco wina, a potem pogonił do słuchania muzyki.

Wciąż ścisnął dłonie i całował policzki, ale potrzeba odnalezienia Nick zaczynała mu doskwierać coraz bardziej. W którymś momencie dostrzegł ją, stojącą obok podestu dla muzyków, pogrążoną w rozmowie z córką i tym chłopakiem, który robił do niej słodkie oczy. Ale zanim do nich podszedł, wszyscy zdążyli się rozejść. Hughesowi zdawało się, że śni sen, w którym próbuje biec, ale może poruszać się wyłącznie w zwolnionym tempie.

Miał wrażenie, że obrzuca trawnik uważnym spojrzeniem po raz setny, kiedy znalazła go Dolly Pritchard.

- Hej - odezwał się Hughes. - Szukam żony. Jak łowca skarbów. Jakoś wciąż mi umyka...

- O kurczę - powiedziała Dolly. - Niefajnie to brzmi.

- Owszem - zgodził się potulnie. - Całkiem niefajnie.

- Wiesz, wydaje mi się, że mówiła, że zejdzcie do szopy na łódź trochę się ochłodzić.

Zespół zrobił sobie właśnie przerwę i noc rozbrzmiewała tylko odgłosami śmiechów i rozmów. Hughes zmrużył oczy, zerkając w stronę przystani i niewielkiego spłachetka plaży, usiłując dostrzec, czy Nick nie moczy stóp w wodzie przy brzegu. Robiła tak czasami, gdy wypila za dużo. Mówiła, że to ją orzeźwia.

- Wiesz, palce u stóp są bardzo wrażliwe - powtarzała. - Większość ludzi je ignoruje, a przecież to one zapewniają nam codziennie pierwszy kontakt z podłożem. Jak antenki.

Hughes pomyślał o tych wszystkich drobiazgach, o tych okrucinach wyobraźni Nick, o ich setkach, tysiącach, wystarczających, żeby wypełnić każdy dzień. Jakim cudem tego wszystkiego nie zauważał? Znow pomyślał o tym, co powiedziała o zabójstwie. Że wszystko zepsuło. Nie wiedział, co miała na myśli, ale na pewno się myliła. Nie wszystko się zmieniło, nie całkowicie. Tyle tylko, że kiedy zdarza się coś takiego, człowiek musi się opowiedzieć po którejś ze stron. A jeśli chodziło o przyjaciół... Wszyscy musieli się uśmiechać i udawać jednomyślność. I to właśnie utrudniało wszystko, całe to napięcie związane z udawaniem i stwarzaniem pozorów fałszywego zrozumienia. Hughes zaczynał zdawać sobie sprawę, że jemu samemu lepiej wychodziło w życiu nieopowiadanie się po żadnej ze stron. Że zasłaniał się Evą jak tarczą. Przeciwno Nick, przeciwko przyjęciu do wiadomości, że być może sam nie jest tym, kim chciałby być. A przez ten cały czas ona była tuż obok i czekała. Jak owad zatopiony w bryłce bursztynu.

Poczuł, że ktoś gwałtownie szarpie go za rękaw. Obejrzał się. Obok stała Daisy. Oczy miała szeroko otwarte i dzikie.

- Gdzie jest mama? - Jej głos był piskliwy i pełen rozpacz.

- Daisy. - Złapał córkę za ramię, ogarnięty nagłą paniką. - Co się stało?

- Gdzie mama? Chcę do mamy.

- Nie wiem, koteczku. - Hughes znów rozejrzył się po trawniku. - Chyba mówiła, że pójdzie na parę minut do szopy na łódź. Trochę się ochłodzić.

Córka wyrwała się z jego uścisku i zbiegła na dół, ku zatoce. Zawołał za nią, ale się nie obejrzała. Z jakiegoś powodu pomyślał o telefonie dzwoniącym w domu na Traill Street, o uczuciu, z jakim przyciskał zimną słuchawkę do ucha. Przez moment się wahał, a potem szybko poszedł za córką, przepychając się wśród grupki zaczepiających go gości.

Dotarł do dłuższej ściany szopy. Mógł stąd zobaczyć na tle nieba zarys natrysku na wolnym powietrzu. Usłyszał płynącą w rurach wodę. Skoro Nick była pod prysznicem, oznaczało to, że się upiła.

Kiedy oczy przywykły do ciemności, Hughes zobaczył jeszcze coś innego. Tuż przy drewnianym przepierzeniu stał Ed i zaglądał do środka. Hughes zamarł bez ruchu. Czuł, jak w jego żyłach zaczyna krążyć chemia, która paraliżuje kończyny i tamuje oddech w piersi. A potem, zniemacka, zobaczył nadchodzącą od strony przystani Daisy. Dziewczynka zatrzymała się, mamrocząc pod nosem coś, co brzmiało jak cytaty z katechizmu, a Hughes zobaczył, że Ed odwraca się na dźwięk głosu jego córki.

Wiedział, że powinien ruszyć się z miejsca, coś zrobić, ale nogi miał jak z ołowiu.

Dwoje dzieci wpatrywało się w siebie tak, jakby porozumiewało się sekretnym, pozbawionym słów językiem. Zorientował się, że Nick pod prysznicem zaczyna śpiewać jakąś słodką melodię, którą słyszał już wcześniej tego wieczoru.

A potem Daisy głośno zawołała matkę.

- Ciekawość to pierwszy stopień do piekła - powiedział Ed.

Hughes poczuł, jak tężeją mu mięśnie. Jak cały sprężył się do skoku.

- A ignorancja to pierwszy stopień do nieba - odparła cicho Daisy.

Ed przekrzywił głowę, dokładnie w taki sam sposób jak to zrobił, kiedy Hughes go uderzył.

- Co ty tu robisz? Podglądasz moją matkę, Edzie Lewis? Zboczony jesteś? Jak pan Wilcox?

- Nie mów mi nic o panu Wilcoxie. - Głos chłopaka brzmiał twardo i płasko, ale brakowało w nim kpiny, z jaką zwracał się do Hughesa. Czy chłopak się bronił? Czy był zraniony? Hughes nie potrafił określić tego dokładnie.

- Te zapalki - powiedziała Daisy - Te z The Hideaway...?

The Hideaway. Zapalki. Szeryf. Jakby nagle puściła jakaś zapadka. Hughes poczuł, że jego mięśnie znów działają i rzucił się przed siebie.

- Daisy, odsuń się od niego. Natychmiast. Patrzył, jak córka cofa się na dźwięk jego głosu. Ed

odwrócił się i stanął naprzeciwko, zupełnie, jakby się



ucieszył. Jakby na niego czekał. Hughes złapał chłopaka za ramię i z impetem pociągnął w stronę plaży. Wykręcił mu rękę, brutalnie, czując, jak młode mięśnie i kości stawiają opór naciskowi, i przez chwilę korciło go, żeby mu tę rękę złamać. Już słyszał w wyobraźni przyjemny trzask, już widział zdumienie na twarzy Eda. Czuł nawet ogarniający go triumf. Ale z oddali dobiegały głosy jego gości, więc lekko rozluźnił chwyt i przysunął twarz jak najbliżej do twarzy chłopaka. W tej niewielkiej przestrzeni, która dzieliła ich twarze, czuł własny, śmierdzący alkoholem oddech.

- A teraz mnie posłuchaj... - wydyszał. Skóra na głowie swędziała go od potu. - Znam cię. Wiem, czym jesteś. - Próbował opanować oddech. - Tak, wiem. - Znów wykręcił chłopakowi ramię, bezlitośnie. - Więc teraz posłuchaj, co będzie dalej. Jeśli jeszcze kiedyś spróbujesz podejść zbyt blisko mojej żony, jeśli choć spojrzysz na moją córkę, tak jak to zrobiłeś dziś wieczorem, jeśli choć odetchniesz w ich stronę w sposób, który mi się nie spodoba, to zaczekam, aż którejś nocy zaśniesz, wejdę do twojego pokoju i skręcę ci kark. Skręcę go, a potem im powiem, że spadłeś ze schodów, lunatykując. - Hughesowi wydało się, że w oczach chłopaka dostrzega cień wahania. Odrobinę ustępliwości, jakby tamten rozważał usłyszaną groźbę. - Rozumiemy się?

Patrzył, jak Ed lekko się krzywi; ledwie dostrzegalny grymas, gdzieś między kącikiem ust a kątem oka. Na pewno go bolało. Hughes zaczął się prostować, gotów puścić ramię, bo powiedział już, co miał do powiedzenia, ale chłopak przysunął się bliżej i na moment przytknął usta do jego ucha.

- To były obserwacje naukowe - szepnął. - Frank Wilcox i tamta dziewczyna. Moja matka i pan Fox. Ciocia Nick i ten od trąbki. Widziałem ich.

Hughes poczuł, że opuszcza go cała energia. Po jego skórze przeleciały ciarki. Ed zamilkł na chwilę. Słyszać było tylko jego oddech.

- Tłumaczyłem ci - podjął po chwili - że nikt nigdy nie mówi, co naprawdę myśli. Nic nie jest prawdziwe. - Ed cofnął się i popatrzył na Hughesa, jakby naprawdę chciał, żeby ten coś zrozumiał. - Wydaje mi się... Nie jestem jeszcze pewien, ale wydaje mi się, że oni wszyscy źle się do tego zabierają.

Hughes czuł, że jego własny umysł się zamyka. Puścił ramię chłopaka. Ed wyprostował się, pocierając obolałe miejsce; przez moment jakby szukał czegoś w twarzy mężczyzny, a potem lekko skinął mu głową i powoli odszedł w stronę trwającego przyjęcia. Hughes nie ruszał się z miejsca, stał jak wmurowany. Dobiegały go czyjeś śmiechy. Zobaczył mrugające w jego stronę światła stojących w porcie łodzi i usłyszał z oddali stukanie lin o maszty. Trąbka zawodziła w mroku nocy. Przymknął oczy.

Nie wiedział, ile czasu tkwił w odrętwieniu, nie myśląc o niczym, z umysłem nieporuszonym i pustym. Wreszcie odwrócił się od wody. W szopie na łódź zapaliła się lampa, więc poszedł w tamtą stronę. Zobaczył siedzącą na podłodze Daisy, z głową na kolanach matki. Włosy jego żony nadal były wilgotne po prysznicu, ale Nick miała już na sobie wieczorową sukienkę, połyskującą w świetle złotą nicią.

Niezauważony, oparł się o ścianę i słuchał.

- Nie obchodzi mnie to - mówiła Daisy. - Nie cierpię ich wszystkich.

- Kochanie. - Głos Nick brzmiał serdeczniej i łagodniej niż zwykle, kiedy zwracała się do ich córki. - Chcę, żebyś mnie wysłuchała. Powiem ci to, bo któregoś dnia te słowa mogą okazać się ważne. Jeśli jest w tym życiu choć jedna rzecz, której możesz być pewna, to jest nią to, że nie zawsze będziesz całowała tę osobę co trzeba.

Hughes wzniosł oczy do nieba i wydał z siebie jakiś dziwny, żalony dźwięk. Aż do tej pory nie podejrzewał, że jest do tego zdolny. Przesunął dłońmi po oczach, a potem, prostując kręgosłup, odepchnął się od ściany, czując jak szorstka powierzchnia drewnianych desek stawia opór dłoniom.

Podszedł do drzwi i wszedł do oświetlonego wnętrza, niemal czując na swojej spoconej skórze blask latarni. Mała, poplamiona łzami twarzyczka Daisy zwróciła się w jego stronę znad kolan matki, a Nick uśmiechnęła się do niego łagodnie. Konspiracyjnie.

- Jesteście - powiedział Hughes. - Właśnie tutaj się was spodziewałem. Moje dwie ulubione dziewczyny. Tak się cieszę.

**ED**

## 1964, CZERWIEC

Noszę w sobie taki obraz Daisy: jest wczesne lato, stoimy na werandzie w Tiger House. Zapada zmierzch i właśnie wróciłem z odwiedzin u matki. W szpitalu, w mieście. Została tam dłużej, niż ktokolwiek się spodziewał, i dłużej (jestem pewien), niż ciocia Nick i wujek Hughes są w stanie wytrzymać finansowo. Szpital to dziwne miejsce. A ja właśnie przeżywam jedną z tych chwil, w których to, gdzie byłem przedtem i gdzie jestem teraz, nie łączy się ze sobą. Zastanawiam się, jak to możliwe, że dopiero co byłem tam, a teraz jestem w zupełnie innym miejscu, i dochodzę do wniosku, że przecież to wszystko nie ma sensu. A potem patrzę na Daisy i mam wrażenie, że właśnie w tej chwili, w chwili, gdy na nią patrzę, ona się przede mną otwiera. Jak kwiat. Tu i teraz, na moich oczach. „Staje się”, jakby to powiedział mój ojciec. Daisy nie wspomina mojej matki ani szpitala. Patrzy na mnie i mówi: „Reading Room? Umieram z ochoty na drinka”. A ja odpowiadam: „Jasne”. Czy coś takiego. A potem ona bierze mnie pod ramię i wyczuwam przez rękaw koszuli jej bransoletkę, i przechodzi mnie od tego

dreszcz. Schodzimy z werandy prosto w wieczór. I tak to się zaczyna.

- Zawsze miewam to osobliwe uczucie - mówi kobieta o fiołkowych oczach - że ci wszyscy ludzie tutaj to jedna i ta sama osoba.

Staliśmy przy barze w Reading Room, a Thomas czekał, żeby przyjąć od nas zamówienie. Daisy tylko się roześmiała, ale ja pomyślałem, że to ciekawa uwaga i przysunąłem się do kobiety bliżej.

- Gin z tonikiem - powiedziała Daisy. - Ed?

Nie mogłem się skoncentrować na wyborze drinka, bo wciąż myślałem, że wszyscy są jedną osobą. Sala była pełna i mężczyzn, i kobiet, którzy wyglądali, jakby mogli się urodzić w tej samej sekundzie tego samego roku, chociaż, oczywiście, się nie urodzili. Granatowe blezery, żółte blezery, szare spodnie, różowe spódnice w żółte wieloryby, żółte paski w różowe homary, bladoczerwone szorty, plecione kosze z Nantucket, niebiesko-białe krawaty w ukośne paski, żółto-fioletowe krawaty w ukośne paski, różowo-granatowe krawaty w ukośne paski. Rozbolała mnie od tego głowa.

-Ed?

Podniosłem oczy i zobaczyłem Thomasa, bębniącego palcami po wypolerowanym blacie.

- Och, do stu piorunów! - rzuciła Daisy, odwracając się ode mnie.

- On też się napije ginu z tonikiem.

Uśmiechnąłem się.

- Do stu piorunów - przytaknąłem.

Daisy odwzajemniła mój uśmiech i szturchnęła mnie łokciem. Tylko ona pozwala sobie na takie gesty.

- Olivio, czy znasz mojego kuzyna Eda? - zwróciła się do kobiety o fiołkowych oczach.

- Nie jestem pewna.

Ja, ze swojej strony, nie mogłem sobie przypomnieć, żebym tę Olivię widział wcześniej. Była ładna, ale trochę za stara na taką urodę. Oceniałem ją na mniej więcej trzydzieści osiem, czterdzieści lat, ale jej twarz przydałaby popularności nawet osiemnastoletniej debutantce.

- Ed na jesieni jedzie do Princeton - powiedziała Daisy.

Tego typu rozmowy zawsze wydają mi się nieco dziwne, ale w szkole z internatem nauczyłem się, że te wszystkie aima mater stanowią coś w rodzaju referencji dla czyjegoś charakteru. Tak to już bywa. Pod tym względem szkoła okazała się bardzo pouczająca. Dowiedziałem się w niej, jak odczytywać te drobne niuanse, które inni wychwytyją naturalnie, i byłem wdzięczny wujowi Hughesowi, że mnie tam wysłał. Chociaż, jak przypuszczam, on sam nie był tym uszczęśliwiony.

- Naprawdę? Princeton? Jak to miło. - Olivia zdawała się roztargniona, ale szybko się pozbierała i dorzuciła: -Dalej, Tygrysy!

Podobała mi się. Dostrzegłem nieco wystający rąbek jej halki i on też mi się spodobał. Olivia była taka obnażona i nieco zdeprymowana. Stałem teraz tak blisko niej, że czułem zapach jej perfum. Pachniała jak kandyzowane róże. Miałem ochotę wyciągnąć rękę i dotknąć jej włosów w niezwykłym odcieniu rudości, poczuć między palcami ich fakturę.

Daisy już podpisywała rachunek w ten swój zwykły, zamaszysty sposób - rach-ciach - a potem odsuwała go

od siebie, jakby nie mogła patrzeć nań ani chwili dłużej. Przyglądałem się tym gestom przez całe lata. W Yacht Clubie, w klubie tenisowym czy tutaj, gdzie co drugą niedzielę kobiety dopuszczano do samego Świętego Świętych.

Chętnie bym jeszcze został i pogadał z Ołivią o Fiołkowych Oczach, ale Daisy wręczyła mi drinka.

- Musimy znaleźć moich rodziców - powiedziała. - Zapłacić frycowe. Mimo wszystko to oni regulują rachunki za bar.

- Do zobaczenia - zwróciłem się do Olivii. - Miło się rozmawiało.

Uśmiechnęła się, ale już się rozglądała za kimś innym, kogo mogłaby się uchwycić w tym morzu smutku. Daisy złapała mnie za rękę.

- Przestań się grzebać, Edzie Lewis. - A potem przepchnęliśmy się przez niewielki tłumek na zewnątrz, na taras, gdzie kobiety usiłowały nie pozwolić obcasom, żeby te wpadły w szpary między deskami podestu. Tam Daisy zawahała się przez moment, nieco rozluźniając uścisk, w którym trzymała moją dłoń, a potem zauważyła ciocię Nick, stojącą w przeciwnym krańcu tarasu, niedaleko wujka Hughesa.

Ciocia Nick nie tonęła w morzu smutku. W pewien sposób fascynowała mnie nawet; było to w jakiś sposób związane z jej sposobem poruszania się. Ale nie przepadałem za nią jakoś specjalnie. Z wielu punktów widzenia, pod tą całą swoją niezwykłą powierzchownością, była zupełnie taka sama, jak wszyscy. Miałem wrażenie, że cały świat dzieli się na dwa obozy: ludzi takich jak ja i Daisy, którzy starają się żyć najuczciwiej, jak umieją,



i całą resztę, która z różnych powodów nie umiała przestać oszukiwać samych siebie.

Kiedy do nich podchodziliśmy, zobaczyłem, że wujek Hughes się wzdryga, ale widać to było wyłącznie po jego oczach. To całkiem niezła sztuczka, godna nawet mojego podziwu - ciało mówi jedną rzecz, a umysł coś zupełnie przeciwnego. I chociaż wiedziałem, że mnie nie znosi od tamtego lata z Frankiem Wilcoxem, ja nie czułem do niego awersji. Co najzabawniejsze, nawet trochę żałowałem tego wszystkiego. Nie zamierzałem go do siebie zrażać, ale nie nauczyłem się jeszcze wtedy, że pewne rzeczy zachowuje się dla siebie. Ani jak rozmawiać z ludźmi. To kolejna rzecz, w której przysłużyła mi się szkoła z internatem.

- Cześć, kochanie - powiedziała ciocia Nick, nachylając się, żeby pocałować Daisy. Poczulem perfumy, których używała od zawsze, kwiatowe, ale z jakąś alkoholową nutką. - Cześć, Ed.

- Dzień dobry - powiedziałem. Uścisnęliśmy sobie ręce z wujkiem Hughesem.

- Jak twoja matka? - zapytała ciocia Nick. Wydawało się, że rzeczywiście ją to obchodzi.

- Jest w szpitalu.

- Tak... - powiedziała ciocia Nick. - Lekarz uważa, że będzie gotowa do powrotu do domu tego lata. Jest... hm, w dobrej formie?

- Chyba tak. - Nigdy nie wiedziałem, co ludzie mają na myśli, pytając w ten sposób, poza tym, że oczekują odpowiedzi twierdzącej. Według standardów cioci Nick forma matki pozostawiała wiele do życzenia. Mama miała w sobie wiele gniewu i fatalnie szło jej ukrywanie tego faktu, mimo że wyraźnie się starała.

Podczas swojej ostatniej wizyty dobrze widziałem, że usiłuje mi coś przekazać. Chyba coś związanego z ciocią Nick. Ale, naprawdę, nie mogłem zrozumieć, skąd ten jej gniew. Przecież to nie tak, że przed pobytem w szpitalu miała mnóstwo zajęć. Obok, oczywiście, spania w mrocznym pokoju i kłótni z moim ojcem.

- Mam nadzieję... - Ciocia Nick urwała nagle. Wujek Hughes położył dłoń na jej ramieniu.

- Mamo - odezwała się Daisy. - Ed dopiero co przyjechał. Nie chce rozmawiać o szpitalu.

- No tak, przepraszam - powiedziała ciocia Nick i rozejrzała się dokoła. Zapewne po to, żeby sprawdzić, czy nikt nie słucha.

- A więc Ed - zagaił wujek z uśmiechem. - Jakie masz plany na lato?

- Będzie dotrzymywał mi towarzystwa - powiedziała Daisy, ściskając mnie za rękę, która zaczynała się już mocno pocić w tym uścisku. - To znaczy, o ile przestanie robić słodkie oczy do starszych pań. Powinniście byli go zobaczyć - uśmiechnęła się do rodziców. - Z jakim trudem oderwał się od Olivii Winston, żeby zamówić sobie drinka.

- Nie robiłem do niej słodkich oczu.

Wujek Hughes rzucił mi to swoje typowe, uważne spojrzenie, ale moja twarz pozostała doskonale obojętna.

- Och - powiedziała ciocia Nick, spoglądając ponad naszymi głowami w stronę drzwi. - Czy to nie Tyler Pierce?

Oczywiście, że to był Tyler Pierce, o czym ciocia dobrze wiedziała, skoro patrzyła wprost na niego. Ale Daisy i tak się obejrzała, ale szybko odwróciła do nas.

- Kto to jest Tyler Pierce? - zapytał wujek Hughes.

- Jeden z kawalerów Daisy - powiedziała ciocia Nick, uśmiechając się tym swoim charakterystycznym, lekko szalonym uśmiechem.

- Nie jest żadnym moim kawalerem - zaprotestowała Daisy, ale nie do końca szczerze. Zawsze się w tym orientowałem, bo jakoś nie bardzo to do niej pasowało.

- No cóż, właśnie tu idzie - zauważył wujek Hughes. On też się teraz uśmiechał, ale nie tak, jak ciocia Nick, tylko jakby rozbawiony słowami Daisy.

- Witaj, Tyler - powiedziała ciocia Nick.

- Dzień dobry państwu.

Staął tuż obok Daisy, ale ona na niego nie spojrzała. Co, w zasadzie, wyszło jej na dobre, bo on zagapił się na ciocię Nick.

Ale potem powiedział: „Cześć, Daisy”, więc musiała na niego spojrzeć.

- Cześć. - Powiedziała chłodnym tonem, ale widziałem po jej oczach, że pragnie dalszej rozmowy. - Pamiętasz mojego kuzyna Eda?

- Oczywiście.

Uścisnęliśmy sobie ręce, ale dałbym sobie głowę uciąć, że on nie miał pojęcia, kim jestem.

- Właśnie szedłem do baru - powiedział. - Mogę państwu przynieść coś do picia?

- Pójdę z tobą - zaproponowała ciocia Nick. - Kochanie? Chcesz coś?

- Nie - odparł wujek Hughes. - Mam zamiar dorwać jakąś ostrygę, zanim się skończą. Wziąć jedną dla ciebie?

- Och tak, proszę - powiedziała ciocia Nick i spojrzała na wujka takim miękkim, ładnym spojrzeniem, od którego zadrżały mi ręce.

Daisy oparta się o drewnianą poręcz i spojrzała w niebo.

- Nadal ci się podoba - powiedziałem.

- Tak Ed. Nadal mi się podoba - odparła cicho. Widziałem, jak pod jej skórą napinają się mięśnie przedramion. Nagle spojrzała na mnie. - Ale nie podoba mi się jego sposób bycia - dodała gwałtownie. - Zbyt gładki i sztuczny.

- Tak - zgodziłem się. - Jest sztuczny.

- Wiem. I czasami go za to nie cierpię. - Uderzyła podeszwą buta o deski. Miała, jak zauważyłem, żółte buty na płaskim obcasie.

- Gapi się na twoją matkę - powiedziałem.

- Co takiego? - Spojrzała na mnie, jakby nie usłyszała.

- Twoja matka - powtórzyłem. - On się na nią gapi.

- A kto się nie gapi? - zapytała Daisy. - Tak czy inaczej, to nie ma nic wspólnego z moją matką. Chodzi o to, co zaszło między nami. Spaliśmy ze sobą.

Nie wiedziałem, co powiedzieć, więc nie powiedziałem niczego. Ale sytuacja rozwijała się ciekawie. Zdecydowanie.

- Zeszłego lata, o ile cię to interesuje. Nie stój tu i nie gap się na mnie tak dziwnie!

- Nie gapię się - powiedziałem.

- Czasami nienawidzę wszystkich.

Kiedy mówiła takie rzeczy, przychodziło mi na myśl, by jej dotknąć. Ramienia, nadgarstka. Tak po prostu, żeby sprawdzić, czy jej skóra w takiej chwili zmienia właściwości. Nie dotykałem jej prawie nigdy; w zasadzie tylko wtedy, kiedy ona dotykała mnie. I nie miałem na to ochoty. Poza chwilami jak ta, kiedy Daisy pozostawała w takim właśnie nastroju. A potem zastanowiłem się,

czy byłbym w stanie coś wyczuć, gdybym jej dotknął, jak zmianę temperatury. Wiem jednak, że nie mogę, że nie wolno mi jej dotykać, kiedy się nad czymś zastanawiam.

- Chcę drinka - oświadczyła.

- Dobrze.

- Przyniesiesz mi jeszcze jeden gin z tonikiem? Wróciłem do baru, gdzie Thomas spojrzał na mnie

ze złością, ale nalał mimo wszystko. Wziąłem sobie orzeszek pistacjowy z jednej z miseczek i rozłupałem skorupkę. W pistacjach czy orzeszkach ziemnych podoba mi się właśnie to, że mają bardzo twardą skorupkę, a pod nią jeszcze jedną łupinę wokół orzecha. Jakby sama skorupka to jeszcze było mało. Rozejrzałem się po sali.

Kobieta o fiołkowych oczach znikła, ale na zewnątrz, na frontowej werandzie, zobaczyłem ciocię Nick rozmawiającą z Tylerem. Sprawiała wrażenie, że na wpół stoi w Reading Room, a na wpół na zewnątrz. Zupełnie jakby wyszła bez zastanowienia, a teraz próbowała jakoś naprawić sytuację. Tyler, sporo od niej wyższy, musiał nieco zginać kark, żeby porozmawiać z ciocią Nick. Wziąłem drinka i podszedłem do jednego z wychodzących na werandę okien. Opierając się o ścianę obok, mogłem, niewidoczny, słyszeć, o czym mówią. Najstarszy trik pod słońcem.

Przyjrzałem się ginowi z tonikiem, który trzymałem w ręku, i pociągnąłem łyk. W końcu Daisy mogłem przynieść następnego. Wbiłem zęby w kostkę lodu i poczułem, jak się w nich rozpada.

- Naprawdę się ucieszyłem, widząc tu panią dziś wieczorem - mówił Tyler. - Bo nie dalej jak dzisiaj robiłem

lemoniadę z pani specjalnego przepisu. Pamięta pani, jak mi go dała?

Ciocia Nick się roześmiała, jakby nic jej nie obchodziło to, co mówił Tyler.

- Naprawdę? Coś takiego. A kiedyż to ja ci zdradziłam swój sekretny przepis?

- Całe wieki temu. I nigdy go nie zapomniałem.

- Och cóż. To miłe.

Zapadło milczenie. Wyobraziłem sobie, że on na nią spogląda.

- Dobrze się pani bawi? - odezwał się.

- Tak, chyba tak. - Znów się zaśmiała. - Co za niemądra uwaga.

Oczywiście, że tak.

- Dobrze. Nigdy nie wiem, co pani naprawdę myśli. Jest pani jedną z tych osób...

- Jakich osób?

- Nie wiem. Trudnych do odczytania. Zawsze wygląda pani tak, jakby dobrze się bawiła, ale mnie się czasem wydaje, że... Sam nie wiem, czy to nie pozory.

- Tyler, to bardzo głęboka rozmowa. Taka, której chyba nie zdołam prowadzić po zaledwie dwóch koktajlach. - Ciocia Nick przybrała swój głos spod znaku: „Nie wygłupiaj się, człowieku”.

- No właśnie o to mi chodzi.

- To znaczy?

- Moim zdaniem pani udaje. Właśnie teraz. Widzę to.

- Mój Boże! To się zaczyna robić mocno dziwne.

- Widzę panią. - Mówił bardzo pewnym siebie głosem. A potem dodał: - Nick.

Zapadła kolejna cisza, a ja musiałem zapanować nad sobą, żeby nie wyrzeć. A potem usłyszałem ciocię Nick.

- Tyler, kochanie, puść moją rękę. Wywołasz scenę. Weszła do środka, trzymając plecy bardzo prosto, i zobaczyła mnie, stojącego za drzwiami, z boku.

- Och, Ed - odezwała się. - Gdzie jest Daisy?

- Z tyłu, na tarasie. - Spojrzałem na nią, ciekaw jej reakcji. Musiała zdawać sobie sprawę, że mogłem ich słyszeć, ale nie powiedziała nic więcej. Odeszła w drugą stronę.

Myślałem o tym i zastanawiałem się, co to wszystko może znaczyć. Mogła powiedzieć milion rzeczy, na przykład: „Tyler Pierce strasznie się upił” albo „Na litość boską, ten Tyler Pierce to kawał wariata”, albo „Miałam przed chwilą przedziwną rozmowę z Tylerem Pierce'em”. Ale ona nie powiedziała żadnej z tych rzeczy. Więc rozmyślałem nad tym. A potem poszedłem za nią na taras. Z powrotem do Daisy.

- Edzie Lewis, jesteś chyba najpowolniejszym człowiekiem na ziemi - powiedziała Daisy na mój widok. - I gdzie się podział mój drink?

Popatrzyłem na gin z tonikiem i dotarło do mnie, że większość wypilem.

- Coś mnie zatrzymało - powiedziałem.

Ciocia Nick bawiła się wyjętą z torebki chusteczką.

- Och, już dobrze - stwierdziła Daisy. - Pójdę i sama sobie przyniosę.

Patrzyłem, jak zawraca i kieruje się do baru. Z miejsca, gdzie stałem, widziałem jak zamawia u Thomasa kolejnego drinka. A potem podszedł do niej Tyler i objął ją w talii. Miałem już zamiar wracać do środka, ale zatrzymała mnie ciocia Nick.

- Ed, wujek i ja zamierzamy wrócić do domu na kolację. Zadbasz, żeby Daisy dotarła bezpiecznie? I nie

uganiaj się za paniami. Nie pozwól jej zbyt dużo pić. To nie wypada.

- Nie uganiam się za paniami - powiedziałem.

- To dobrze - powiedziała ciocia Nick, ale wcale mnie nie słuchała. - Zostawię wam dwojgu coś do jedzenia w kuchni. Kanapki? Jeszcze nie wiem. Pamiętaj, że macie zjeść, jak wrócicie.

Pochyliła się i cmoknęła mnie w policzek. Znow poczułem jej perfumy. Nieco podrażniły mi nos.

Podeszła do wujka Hughesa, który przy barze z ostrygami rozmawiał z jakimś facetem w jaskrawoczerwonych spodniach z równie jaskrawozielonym paskiem. Położyła dłoń na ramieniu wuja, a on odwrócił się i spojrzał na nią tak, jakby cały wieczór czekał na ten moment. A potem sobie poszli.

Wróciłem do środka i podszedłem do miejsca, w którym stali Tyler i Daisy. On się szeroko uśmiechał. Byłem bardzo blisko, ale mnie nie zauważyli. Czasami już udawało mi się to zrobić, tak podejść do kogoś zadziwiająco blisko, podczas gdy ten ktoś nie wyczuwał nawet, że jestem tuż obok. Nie udało mi się do końca odkryć, jak to działa, ale wiedziałem, że ma to coś wspólnego z takim nieporuszonego trwaniem. Nie tylko na zewnątrz, ale również i w mojej głowie. Wszystko musiało być ciche i puste, a wtedy było niemal tak, jakbym nie istniał.

- Jestem ci winien przeprosiny. Nie zdziwiłbym się, gdybyś mnie znienawidziła. Zeszłego lata zachowałem się koszmarnie - mówił Tyler, ale nadal się uśmiechał. Jak z dobrego żartu.

Daisy tylko na niego patrzyła.



- Okropnie się z tym czułem. Nie powinienem był pozwolić ci odejść w taki sposób.

- Tak - zgodziła się wreszcie. - Byłeś obrzydliwy.

- Przepraszam. Wybaczysz?

- Nie wiem.

- Wynagrodzę ci to.

Spojrzała, jakby chciała odpowiedzieć, ale coś kazało jej się odwrócić. Dostrzegła mnie i chyba się zdziwiła.

- Ed. Na litość boską, przestań podkradać się w ten sposób do ludzi!

- Nie podkradałem się - powiedziałem. I to była prawda, bo przecież stałem tam jak najbardziej na widoku.

- No cóż, wiesz, o co mi chodzi. - Lekko tupnęła nogą.

- Twoja matka powiedziała, że mam nie pozwolić ci za dużo pić.

- Nie potrzebuję niańki - odparła.

- On się tylko o ciebie troszczy. Prawda, Ed? - Tyler uśmiechnął się do mnie. Miałem wrażenie, że uważa mnie za lekko niedorozwiniętego. Czy coś.

- Ja faktycznie troszczę się o Daisy - powiedziałem.

Tyler zmrużył oczy, jakbym powiedział coś nieprzyjemnego. Zmienił odrobinę pozycję, nieco odchylił głowę do tyłu i przyjrzał mi się uważnie.

- No cóż, stary, nie ma powodów do niepokoju - powiedział. - Ja się nią zajmę.

Stałem tam i na niego patrzyłem.

- Och, Ed, naprawdę... - odezwała się Daisy. - Nie dziwacz już.

Czasami wydawało mi się, że Daisy świetnie mnie rozumie, że wie wszystko o mojej pracy i że ją popiera,

a przynajmniej toleruje. A może tylko to sobie wmawiałem?

- Idziemy na spacer - powiedziała. - A ty co chcesz robić?

- Nie wiem - odparłem.

- No cóż... - zawahała się. - To chyba zobaczymy się w domu.

Wzięła Tylera pod ramię. A on spojrzał na mnie. Ten szeroki uśmiech na dobre wrócił na swoje miejsce.

- Miło cię było znów zobaczyć, Ed. - Tym razem nie próbował wyciągać do mnie ręki.

- Do zobaczenia - powiedziałem.

Ja też poszedłem na spacer, wzdłuż zatoki, jak daleko się dało, a potem w górę, wokół Old Sculpin Gallery. Parę osób na rowerach czekało na ostatni prom na Chap-paquiddick. Jedna młoda kobieta, z chustką na włosach, była sama. Dłubała przy pasku sandała, najwidoczniej zerwanym i zwisającym bezwładnie z boku, ale nie dawał się przymocować. Poczulem, że zaczynam oddychać nieco szybciej. Pomyślałem, czy nie zabrać się z czekającymi, ale Chappy jest tak dzika, że pewnie po ciemku zgubiłbym się i jeszcze zaplątał w jakiś trujący bluszcz.

Poszedłem w górę North Water Street, a potem skręciłem w Morse Street. Czułem zew kortów tenisowych, ale zignorowałem tę ochotę. Nauczyłem się już, że jeśli się ciągle do czegoś powraca, to coś traci swoją magię. Zamiast tego poszedłem więc dalej Fuller Street, z jej idealnymi małymi białymi domkami, otoczonymi werandami ze wszystkich stron. Zobaczyłem kogoś, jakąś kobietę, która skręcała gdzieś przede mną. Zachowywałem się cicho, idąc z pięty, jak mnie tego nauczył pan Reading.

Jeszcze w skautach, tyle lat temu. Kiedy się zbliżyłem, dostrzegłem rudy odcień jej włosów i rozpoznałem ten sposób poruszania się, z lekko przygarbionymi ramionami. Olivia o Fiołkowych Oczach.

Otworzyła frontowe drzwi jednego z domów i weszła do środka. Trochę tam postać, aż zobaczyłem światło zapalające się w jednym z pokoiów na piętrze. Wtedy wszedłem przez frontową furtkę i schowałem się w cieniu przy bocznej ścianie domu, skąd wyraźnie widziałem okno.

A ona przeszła koło niego i uniosła ramę nieco wyżej, przeciągając jednocześnie dłonią po karku. Jakby jej było gorąco. Zdjęła sukienkę. Halkę miała różową, w odcieniu morskiej muszli. Potem na chwilę znikła i sądziłem już, że nie wróci. Ale kiedy zamierzałem odejść, pojawiła się znowu. Stała zupełnie nieruchomo przy oknie, a potem zakryła dłonią oczy. Słyszałem, że szlocha - nie dlatego, że płakała głośno, bo tak nie było, ale dlatego, że byliśmy w sumie bardzo blisko siebie. Chociaż stałem dobre trzy metry niżej.

Bardzo chciałem pójść na górę. Chciałem jej dotknąć i zobaczyć, co ma pod skórą. Była ciekawą osobą, ale miała niedoskonałości. I właśnie te niedoskonałości mnie przyciągały, bo to przez nie zerkąło na zewnątrz to, co wewnętrzne, ujawniając przeblysłk ukrywanych pod spodem sekretów. Wybrzusząca sukienkę fałda tłuszczu na plecach, zadarta skórka przy paznokciu, rozmazana szminka, oczko w pończosze.

Ale wiedziałem, że nie wolno mi wejść do środka. Jeśli nauczyłem się czegokolwiek od Franka Wilcoxa, to tego, że Wyspa jest za mała. On miał szczęście, bo Elena

Nunes była tylko czyjąś służącą. Ale Olivia należała do nas. Była nieosiągalna.

A jednak, odchodząc z podwórza pod jej domem, pozostawiając ją płaczącą cicho w samotności w tej sypialni na piętrze, miałem poczucie satysfakcji. Byłem lekki, jakby wszystko było możliwe. Jakby świat otwierał się przede mną. Nie zawsze chodziło w tym o samo działanie, czasem zaledwie o myślenie o nim. O to, żeby stanąć gdzieś samotnie w mroku i przyznać się uczciwie, czego się chce.

Słyszałem tej nocy wokół siebie ciszę, idąc tak North Water Street w stronę Tiger House. Ulica była wyludniona i dobiegał mnie wyłącznie odgłos moich własnych butów uderzających o chodnikowe płyty. Pomyślałem sobie, że to był udany wieczór. A potem ich zobaczyłem.

Przyćmione światło na werandzie rozsiewało wokół postaci cienie, a włosom Daisy nadawało blask jasnego płomienia. Stali tak blisko siebie, a jednak ich ciała nie całkiem się stykały. Szare ćmy o przykurzonych skrzydłach smyrgały w górze, a mnie przyszła do głowy dziwna myśl, że przyciąga je bijąca od Daisy jasność, a nie lampa ponad jej głową. On trzymał dłoń w jej włosach i lekko odchyłał jej głowę do tyłu. Ona stała jak na krawędzi, nie całkiem opanowana. Wyglądało to tak, jakby coś, co zaczęło się wcześniej tego wieczoru, na tej samej werandzie, miało się wreszcie dopełnić. Rozkwitnąć.

A potem on ją pocałował, a ja wiedziałem już, że będą kłopoty.

## 1967, SIERPIEŃ

Tyler odebrał mnie z lotniska; właśnie przyleciałem z Cedar Rapids. Zanim wszedłem w parne powietrze Wschodniego Wybrzeża, Ty niecierpliwie bębnił w kierownicę swojego oliwkowozielonego samochodu. W głowie nadal miałem fałdziste niziny Iowa i ten niewielki domek na farmie w pobliżu Elviry. A czysty, miejski wygląd Tylera, ubranego w wyprasowaną koszulę, nie wspominając już o winylowych, profilowanych siedzeniach auta, stanowił coś w rodzaju szoku dla organizmu.

- Bagażnik jest otwarty - rzucił, więc włożyłem tam walizkę i aktówkę. - Będziemy musieli się pośpieszyć, jeśli mamy zdążyć na ostatni prom - powiedział do mnie ze złością, kiedy wsiadłem do środka. - Nie chcę utkwić w Woods Hole.

Patrzyłem tylko na niego, obserwując odwracające się ode mnie nerwowo oczy.

Kiedy włączyliśmy się do ruchu na płatnej autostradzie Massachusetts Turnpike, spróbował ponownie.

- A więc dziś urodziny twojej matki...
- Tak - powiedziałem.
- Wiem, że Daisy się cieszy z twojego przyjazdu. Ile

to już czasu minęło, odkąd wy dwoje widzieliście się po raz ostatni?

- Dziewięć miesięcy - odparłem. Jakaś meksykańska restauracja w mieście, przed Bożym Narodzeniem. Daisy spędzała święta na Florydzie z ciotką Nick i wujkiem Hughesem. Ja w Tiger House z matką, która ciągle mówiła o jakimś zakładzie krawieckim; chciała go otworzyć, żeby móc odkupić nasz stary domek. Nie słuchałem tego zbyt uważnie. I tak zresztą wolałem Tiger House.

- No cóż, wiele się działo. Z tym ślubem i tak dalej.

Daisy zadzwoniła miesiąc wcześniej, żeby mi powiedzieć, że wychodzi za Tylera. Nawet nie byłem specjalnie zdziwiony, ale kiedy to wreszcie powiedziała, poczułem pustkę w głowie. Przez chwilę słyszałem tylko trzaski na linii telefonicznej.

- A co ze studiami? - zapytałem.

- Och, nie wiem jeszcze. Mogę wziąć sobie semestr wolnego, a potem się zobaczy. Nie jestem taka, jak ty. Gdybym mogła przemknąć przez college w trzy lata, tak bym zrobiła. Ale nie mogę i nie chcę czekać. Kocham go, Ed, i chcę za niego wyjść. Najszybciej jak się da.

- Tak - powiedziałem, chociaż myślałem zupełnie co innego.

Siedzący obok mnie Tyler włączył radio.

Odchyliłem głowę do tyłu i powąchałem winyl. Pachniał nowością, twardą i połyskliwą, która przyprawiała mnie o chęć zgrzytania zębami.

- To nowy wóz? - spytałem.

- Tak. Ładny, prawda? Buick riviera. Chociaż to pewnie wyrzucone pieniądze. - Uśmiechnął się. - Nick mówi, że przypomina jej liść lilii wodnej.

- A co mówi Daisy? Uśmiech przyblakł nieco.  
- Mówi, że to auto dla bawidamka. - Roześmiał się lekko. - I chyba ma rację. Trochę przesadziłem, ale naprawdę mi się spodobał.  
- Jaki to kolor?  
- Żółty.  
- A wydaje się zielony. Uśmiech znikł na dobre.  
- Wiem - powiedział i podkreślił głośniej radio. Prawdę mówiąc, nie byłem zapalonym słuchaczem. Ale

ta kobieta na farmie w Iowa, Anna, miała radio i tańczyliśmy do nadawanej muzyki, chociaż musiała stale kręcić gałką, żeby złapać jakiś czysty dźwięk. Radio Tylera odbierało całkiem nieźle, ale z jakiegoś powodu wszystko, co w nim grało, zdawało się brzydko pobrzękiwać. Dojeżdżaliśmy do Woods Hole.

- Uwielbiam tę piosenkę - powiedział Tyler. A potem popatrzył na mnie, jakby czekał na potwierdzenie. - The Doors. - I zaczął podśpiewywać do muzyki. *C'mon baby, light my fire...* Zastanowiłem się, jak wygląda wnętrze jego czaszki. Na szczęście dla nas obu, w połowie piosenki dojechaliśmy do promu i musieliśmy się pośpieszyć z kupnem biletów i załadowaniem samochodu.

Kiedy dotarliśmy na podjazd w Tiger House, było już niemal ciemno i przednie światła zarysowały łuk na cedrowych dachówkach. Pomyślałem o rozwalonych stodołach, które widziałem z Autostrady Lincolna. Tornada. Zimą i wczesną wiosną przeszła ich cała fala, najgorsza w historii. Porywały sklepy i domy. I zabiły małą dziewczynkę niedaleko Elviry.

W tylnych drzwiach stała Daisy.

- Zdażyliście - powiedziała, zbiegając ku nam po schodach. Była na bosaka. - Dzięki Bogu, bo już się niepokoiłam. Twoja matka dostała dzisiaj ode mnie same fatalne prezenty. Musisz mi jakoś pomóc naprawić reputację, Edzie Lewis.

Pocałowała mnie w policzek. Podobało mi się to, że nigdy się nie perfumowała; pachniała mydłem Ivory i dziecięcym szamponem z łazienki na górze.

Odwróciła do Tylera ożywioną i zarumienioną twarz.

- Cześć.

- Cześć - odpowiedział. I uśmiechnął się do niej. Zaczekałem, aż go pocałuje. Patrzyłem, jak poruszają się

ich usta. Przy krzywiźnie szczęki Daisy lekko drgnął jakiś mięsień i zastanowiłem się, jak ona to odbiera, czego szuka w tej całej ludzkiej styczności. No, ale z drugiej strony, była przecież osobą szalenie fizyczną, zawsze pchała się bliżej, więc przyszło mi do głowy, że być może nie szuka niczego. Że może zwyczajnie idzie w tę stronę, w którą pcha ją wiatr.

Pomyślałem o Annie i o saloniku jej niewielkiego domku na farmie.

- Bywam taka samotna - wyznała, kiedy poprosiła mnie do tańca. Stół nadal zagracony był resztkami kolacji.

Czułem drobne mięśnie jej pleców, poruszające się pod dłonią, którą ją obejmowałem, ale nie było w niej żadnego ognia. Sam smutek. A przynajmniej do chwili, kiedy zarzuciłem jej na głowę plastikową torbę, a wtedy całe jej życie wypłynęło na powierzchnię, a jej twarz rozjarzyła się niczym Czwarty Lipca.

Zastanawiałem się właśnie, czy to, czego zawsze szukałem, miało coś wspólnego ze znalezieniem



prawdziwego równania dla całej fizyczności ludzkiego ducha, kiedy Daisy odwróciła się w moją stronę.

- Kurczę, Ed. Nadal tu jesteś? Chodź, musimy cię zabrać do twojej matki.

Ujęła mnie pod ramię, a ja pozwoliłem jej zaprowadzić się do domu.

- Podobała ci się jazda luksusowym samochodem Tya? - Śmiała się, przeciągając słowo „luksusowy”.

Nie rozumiałem, czemu wydaje się jej to śmieszne, więc powiedziałem:

- On mówi, że jest złoty, a przecież widać, że zielony.

- Wiem. - Spojrzała na mnie. - Och, mam nadzieję, że mu tego nie mówiłeś. To go doprowadza do szału. Nawet mama uważa, że jest zielony, i twierdzi, że ten samochód to nie wiadomo co.

- Powiedział, że twoja matka porównuje auto do liścia lilii wodnej.

- Naprawdę? Jak poetycko. - Daisy zatrzymała się przy tylnych drzwiach. - A przy okazji. Mama trochę się denerwuje. Babka z lukrem gdzieś znikła. - Nachyliła się i ściszyła głos, przesłaniając dłonią usta. - Mama uważa, że zwinęli ją jacyś chłopcy z sąsiedztwa, ale ja widziałam, jak twoja matka karmiła nią psa z domu obok. - Zaśmiała się. Dyń, dzyń, jak dzwoneczek. - Chodź.

Poczułem to w tej samej chwili, kiedy wszedłem do środka. Jakby zbierało się na trzęsienie ziemi. Spojrzałem na Daisy, by sprawdzić, czy też to zauważyła, ale ona wydawała się taka sama, jak zwykle.

Zauważyłem już, że wszystkie domy miewają swoją atmosferę, coś jakby rodzaj specyficznych perfum, które wyczuwa się zaraz po wejściu. Farma Anny pachniała

czymś startym gumką i zużytym. Wypalonym. Tiger House z kolei pachniał zwykle zadbanymi przedmiotami, środkiem do polerowania drewna, krochmalem, bijącymi zegarami. Dyń, dzyń, co godzina. Tego wieczoru jednak w powietrzu unosiło się coś innego. Poczulem, że zaczynają mnie świerzbić dłonie, jak zdarzało się wtedy, kiedy zanosilo się na coś ciekawego.

Kiedy doszedłem do pokoju matki, byłem już pewien. To prawda, jej włosy wyglądały idiotycznie, jak jakieś ptasie gniazdo. Ale twarz miała naprawdę odmienioną, pełną napięcia. Coś w niej drgało spazmatycznie.

Kiedy Daisy zostawiła nas samych, matka udawała zajęta nakładaniem makijażu. Widziałem, że coś jej chodzi po głowie. Od czasu, kiedy znalazła się w szpitalu, nabrała zwyczaju mówienia jednego, podczas gdy miała coś zupełnie innego na myśli. Chyba tego właśnie ją tam nauczyli, chociaż osobiście nie byłem przekonany, czy to oznaka zdrowia psychicznego.

- Jak się czujesz mamo?

- Całkiem nieźle, kochanie - odparła. Czekałem, ale się nie doczekałem.

- Co się stało z twoimi włosami? - zapytałem.

- Obawiam się, że nastąpiło małe nieporozumienie z fryzjerką. Daisy mi ją zafundowała, bo dziś rano czułam się nieco przygnębiona.

Zauważyłem, że ma na sobie niebieską sukienkę, ale to tygrysy przyciągnęły mój wzrok. Jakoś tak połyskiwały w świetle. Matka przyklepała napuszoną fryzurę i przyjrzała się mojemu w odbiciu w lustrze.

Odwzajemniłem spojrzenie i zmusiłem ręce do bezruchu. Zaczynałem czuć lekkie zawroty głowy.

- Przywitałeś się już z ciocią Nick?

- Jeszcze jej nie widziałem - odparłem. Pomyślałem o cieście, którym matka nakarmiła psa.

- To miło, że Tylerowi udało się zdążyć na obiad. - Zaczęła bawić się jakąś złotą tubką, którą zdjęła z toaletki. - Wiem, jaki dobry kontakt ma z całą rodziną. Zwłaszcza z twoją ciotką. Chociaż...

W jej głosie było coś specyficznego, jakieś uważnie spoglądające oko. Przenikająca ten dom elektryczność.

- ...muszę przyznać, że czasem się zastanawiam, jak w tym wszystkim czuje się Daisy. Z tym bzikiem Tylera na punkcie Nick.

- Tak - zgodziłem się. - Gapi się na nią bez przerwy.

- No, ale z drugiej strony, Daisy jest taka słodka. Nigdy by się nie przyznała, że to ją rani.

- Co ty mi usiłujesz powiedzieć, mamó? Zamarła w bezruchu, a potem odwróciła się do mnie, a ja pomyślałem: „No to się zaczyna”.

- Po prostu nie chciałabym patrzeć, jak Daisy dzieje się krzywda. To wszystko. Ty zresztą też chyba nie, jak sądzę.

A więc o to chodziło. Wybrała sobie ciocię Nick na główną winowajczynię. I o to chodziło z tym ciastem. Mimo wszystko miło było zobaczyć, jak matka stara się odzyskać kontrolę nad własnym życiem. I może nawet ma rację. Może to ciocia Nick była czarnym charakterem. Nie była uczciwą osobą, to było pewne. Odkąd tylko ją poznałem, usiłowała kontrolować Daisy. A Daisy po prostu nie umiała tego dostrzec, chociaż nie była to jej wina. Pomyślałem, że ciocia Nick mogłaby zranić Daisy i cały w środku znieruchomiałem.

- Nie - powiedziałem. - Nie pozwoliłbym na to.

- Oczywiście, że byś nie pozwolił - powiedziała matka, poprawiając coś przy sukience. - Tylko wiesz... Twoja ciocia Nick... No cóż, ona potrafi być uparta, kiedy uważa, że ma rację. Czasem takim ludziom trzeba pokazać palcem, jak niebezpieczne może być ich postępowanie. Rozumiesz, o co mi chodzi?

Wiedziałem, co matce chodzi po głowie. Niezbyt dobrze szła jej ta gra. Ojciec był w tym o wiele lepszy i kiedy byłem dzieckiem, co i rusz widziałem, jak nią manipuluje. Taki rodzaj mistrzostwa długoterminowego kantu. Ale muszę przyznać, że kiedy się zorientowałem, iż stawką w jego grze są jakieś marne grosze, straciłem dla niego szacunek. Odszukanie istoty jakiejś jednej zmarłej aktorki raczej nie nadaje się na dzieło życia.

Zdecydowałem, że zanim postanowię, co zrobię z problemem cioci Nick, nieco lepiej rozpoznam teren. Zdałem sobie sprawę, że bywałem nieobecny, że tak naprawdę nie dość uważnie przyglądałem się własnej rodzinie. Po pierwsze, matka znów zaczynała tracić grunt pod nogami. Nie był to dla mnie poważny problem, ale mógł się nim stać, gdyby nagle zaczęła potrzebować opieki. A jeśli to ciocia Nick powodowała te problemy? No cóż, jakoś by trzeba było zareagować i zrobić z tym porządek. Przecież, mimo wszystko, chodziło o moją matkę.

No i poza tym, oczywiście, była jeszcze Daisy. Jako kolejna trudność.

Zacząłem zbierać informacje podczas koktajlu. Przede wszystkim zauważyłem to, że matka piła, a Tyler zachowywał się jak zwykle.

- Dziękuję ci, Ty - powiedziała matka. - To naprawdę przemiłe z twojej strony, że przywiozłeś Eda na moją małą uroczystość.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparł, chociaż widać było, że myśli coś wręcz przeciwnego. - Nick wiedziała, jak bardzo się ucieszysz, ciociu. A Daisy nie ustąpiła, dopóki nie udało jej się go namierzyć. Gdzieś ty był, stary? W Iowa? Gospodynie domowe i odkurzacze? - zwrócił się do mnie.

Musiałem w tym momencie zapanować nad sobą, żeby się nie uśmiechnąć. Gdybyż tylko wiedział!

- Tak - powiedziałem. - Gospodynie domowe i odkurzacze. - Zastanowiłem się, jak Tyler wyglądałby z plastikową torbą na twarzy. Czy ma w środku to coś, co wtedy wypłynęłoby na powierzchnię, czy też po prostu zrobiłby jeden głupi wydech i znieruchomiał?

Kiedy do salonu weszła ciocia Nick, zobaczyłem, że jego oczy suną w jej stronę jak ściągane magnesem. Najpierw obserwował ruchy jej nóg. A potem piersi. Ale przede wszystkim spoglądał na jej twarz.

Ona powiedziała coś o tym, że nie cierpi wydawania obiadów, co było nieprawdą, a Tyler całym ciałem poruszył się w rytm jej słów. Dłonie we włosach, uśmiech przemykający po twarzy, zwracające się w jej stronę biodra.

- Ja, jeśli o mnie chodzi, zgadzam się z Nick - powiedział.

Daisy spojrzała na niego, mrużąc oczy. Lepiej byłoby, gdyby udało się skłonić ją, żeby po prostu go znienawidziła. Ale wiedziałem, że na to jest już za późno.

Kiedy przyszła pora, by usiąść do stołu, ciocia Nick poszła do kuchni, a Tyler ruszył za nią, proponując, że

pomoże z talerzami. Ja się ociągałem, udając, że widzę coś ciekawego na werandzie. Ale zamiast tam zostać, ruszyłem cicho korytarzem w stronę letniej kuchni, uważając, żeby mnie nikt nie dostrzegł z jadalni.

- Znalazłam niezłą orkiestrę na wesele - mówiła ciocia Nick.

- To dobrze - odparł Tyler. - Bo chcę z tobą tańczyć.

- Tyler...

- Nick.

- To się musi skończyć. Mówię poważnie. Musiałem przyznać, że faktycznie brzmiało to tak,

jakby mówiła szczerze.

- Próbowałem. - W jego głosie nie było takiego przekonania.

- To jest okrutne, Tyler. Ja w tym nie będę uczestniczyć. - Jej głos ścichł do chrapliwego szeptu.

Zapadło milczenie, a potem ciocia Nick odezwała się zwykłym tonem:.

- Proszę, kochanie. Zabierz je do jadalni.

Nie poruszyłem się, a Tyler lekko drgnął, kiedy zobaczył, że opieram się o ścianę tuż przy kuchennych drzwiach.

- Jezu! - syknął, ale pomaszerował szybko do jadalni, nie dodając nic więcej.

Ruszyłem jego śladem. Stół ozdabiały różowe kwiaty. Moja matka siedziała na honorowym miejscu, z jakąś dziwną papierową koroną na głowie, w której wyglądała głupio i, co tu dużo mówić, nieco upiornie.

Usiadłem obok Daisy. Spojrzałem na jej twarz, na jej jasne oczy, na drobne, białe stopy pod stołem. I poczułem dziwny ból w żołądku. Przypomniał mi się grot strzały

Indian Wampanoag, który znalazłem tamtego lata, kiedy Frank Wilcox zabił Elenę Nunes. Zapisalem się wówczas niedawno do skautów i cały ranek spędziliśmy na obdzieraniu ze skóry królików na Gay Head i na grzebaniu po okolicznych klifach. To tam znalazłem ten grot. Podarowałem go Daisy i patrzyłem, jak go obraca w dłoni, pocierając kciukiem szorstką powierzchnię. I doświadczyłem tego samego bólu, tuż ponad żołądkiem. Trochę mnie to zaniepokoiło. Więc opowiedziałem jej o królikach, a wtedy ona zwymiotowała w toalecie.

- Nigdy nie uwierzycie, kogo spotkałam w Morning Glory Farm - powiedziała ciocia Nick. - Tego obrzydliwego gada Franka Wilcoxa.

To była jedna z tych chwil, kiedy zdawało mi się, że moje fale mózgowe nie trafiają w próżnię. Czy ciocia Nick czytała w moich myślach, czy cała ta rozmowa odbywała się w moim umyśle? Słyszając, że ktoś inny wymienia nazwisko Franka, na moment straciłem oddech. Trudno mi było uwierzyć, że to postać realna również dla kogoś innego.

- Nie wiedziałem, że on się tu jeszcze kręci - powiedziałem, chcąc zadać tysiąc różnych pytań. Raczej poczułem, niż zobaczyłem, że zerka na mnie wujek Hughes.

- Ja też nie - powiedziała Nick. - Ale spotkałam go tam. We własnej osobie. Wiecie, dziwne to, ale wściekłam się na jego widok.

- Nie myślałam o tym wszystkim od lat - powiedziała Daisy.

Ja natomiast myślałem o tym bez przerwy. O tamtej nocy, osiem lat temu. O nocy, podczas której wszystko

nabrało ostrości. W tamtym momencie miałem już pewnie przeczucie, na czym będzie polegało moje dzieło, ale kiedy ją zabił, nie mieściło mi się to w głowie. To było zupełnie tak, jakby została we mnie uwolniona jakaś radość. Najbardziej ze wszystkich uczuć, jakich doświadczyłem, zbliżona do miłości.

Obserwowałem ich wtedy przez całe lato i chodziłem do tej kryjówki w ciągu dnia, kiedy Daisy grała w tenisa. Po prostu po to, żeby tam pobyć, żeby pokręcić się w pobliżu i pomyśleć. Udało mi się zebrać kilka eksponatów, bransoletkę, którą najwyraźniej dziewczyna zgubiła podczas jednego z ich spotkań, paczkę papierosów, która wypadła Frankowi z kieszeni. Byłem nimi dwojgiem zauroczony. Przypominali zwierzęta, ale zwierzęta pozbawione skóry, zmieniające kształt, sapiące i jęczące. Jej głos brzmiał czasem tak, jakby śpiewała. Przede wszystkim fascynowała mnie brutalność, z jaką on ją traktował. Widziałem coś podobnego, niewiele wcześniej, w wydaniu Billa Foxa i mojej matki, ale matka zdawała się bierna, jakby jego słowa po prostu się od niej odbijały. „Naprawdę dziwka z ciebie”. Elena inaczej. Wyglądało, jakby dokładnie tego chciała, jakby to ją oswabadzało czy coś w tym stylu. Byłem jak oczarowany. Oczywiście, nieco mniej oczarowany byłem, kiedy wujek Hughes mnie tam przyłapał. Ale potem wrócił do miasta, żeby znów siedzieć samemu, co zresztą zawsze lubił najbardziej, więc nie miałem pretensji.

Tamtej nocy znów poszedłem za nimi na korty. Kłócili się po drodze; słyszałem tę sprzeczkę już wcześniej. Ona chciała, żeby zostawił żonę, on mówił, że potrzebuje czasu. Nawet ja orientowałem się, że to kłamstwo.



Musiała to rozumieć. Bardzo się rozgniewała i uderzyła go w twarz. A on pchał ją brutalnie w głąb ścieżki. Aż doszli do wiaty.

A potem zaczęła go błagać. Błąd. Tym razem to on ją uderzył. Ona się rozplakała, a Frank zaczął z niej zdzierać ubranie. W tym momencie myślałem, że skończy się jak zawsze, ale tym razem ona stawiała opór. Nie mogłem być dalej od nich niż o jakieś pięć metrów, lecz w ciemności ta ich bójka, co dziwne, wcale tak bardzo nie różniła się od seksu. On upadł na ziemię i zajęczał, bo ona kopnęła go w krocze. Zaczął przeklinać i gramolić się z ziemi. To wtedy musiał wziąć do ręki kamień, bo rzucił się na nią, ciągnąc wolną ręką za włosy, obalając na ziemię. Drugą ręką uderzył ją w głowę. Krzyknęła tylko raz. Ale on nie przestawał powtarzać: - Ty pierdolona suko... Ty pierdolona, latynoska suko. - I cały czas walił. Łup, łup.

A potem po prostu przestał. Spojrzał na kamień we własnym ręku, jakby nie wiedział, skąd ten się tam wziął. Spojrzał na nią. Słyszałem, jak dyszy. Potrząsnął nią, takim ostrożnym ruchem, jak to się robi, kiedy komuś śni się w nocy coś złego. A jej wyrwał się ni to jęk, ni to charkot. Frank bez wahania usiadł na niej okrakiem, złapał ją rękami za szyję i wydusił z niej resztkę życia.

Zanim skończył, zobaczyłem, że jej tors drgnął raz, gwałtownie. Mógłbym przysiąc, że ona chciała mu coś powiedzieć. A potem już po prostu nie żyła.

Chciałem zostać tam dłużej i zobaczyć jeszcze, co on robi, ale kręciło mi się w głowie i bałem się, że krzyknę

albo jakoś inaczej zdradzę swoją obecność. Więc, najciszej jak mogłem, na niepewnych nogach, wycofałem się stamtąd w stronę Old Ice Pond. Nie udało mi się zejść daleko. Zemdlałem.

Pamiętam, że ocknąłem się otoczony wysoką, bagienną trawą. Ziemia była wilgotna. Widziałem księżyc. Pierwsza moja myśl brzmiała: „Daisy”.

Po obiedzie wypiliśmy jeszcze parę koktajli, a matka do tego czasu zdążyła się nieźle upić. Potem wszyscy tańczyliśmy przy płycie, którą kupiła Daisy; moja matka przytulona do Nick. Z tym niesłychanym smutkiem w oczach.

Jedno po drugim, wszyscy rozeszli się do łóżek, włącznie ze mną. Ale poleżałem tylko przez chwilę, a potem wstałem. Głowę miałem pełną myśli o powrocie Franka Wilcoxa na Wyspę. Z nową żoną. Zastanawiałem się, jak ona wygląda. Ubrałem się i usiadłem przy oknie sypialni, i myślałem o tym, co wcześniej powiedziała ciocia Nick. Że czuje w powietrzu jesień. Pachnącą upadkiem, zmianą i śmiercią.

Zdecydowałem, że muszę odszukać Franka. I tak nie mogłem zasnąć. Cicho zszedłem po schodach, myśląc o wujku Hughesie i jego domowych patrolach całe lata temu. Uśmiechnąłem się do tego wspomnienia. Planowałem wyszukać Franka w książce telefonicznej i skierowałem się już do gabinetu wujka, kiedy usłyszałem ich szepty.

Dochodziły z niebieskiego salonu. A że tylko tamtędy można było przejść do gabinetu, musiałem przystanąć za drzwiami.

- Mówiłam ci. - To ciocia Nick.

- Słyszałem, co powiedziałaś, ale wcale tak nie myślisz. Nie tego chcesz. Jesteśmy do siebie podobni. Musisz przestać udawać, że tak nie jest.

Wszystkie światła na dole były wygaszone. Przesuwałem się pomalutku w stronę salonu, aż ich zobaczyłem i moje wszystkie myśli zamarły. Ciocia Nick stała plecami do oparcia wysokiego fotela, a Tyler, blisko niej, ścisnął ją za ramię.

- Nie - powiedziała ciocia Nick, nie patrząc na niego.

- Nie mów mi, że to wszystko i że już wystarczy. Że w ogóle może tego wystarczyć. Nick, nie jestem ślepy.

- Musisz z tym skończyć, Tyler. Bardzo mi przykro, jeśli odniosłeś niewłaściwe wrażenie...

- Boże, chciałbym cię pocałować!

- Nie zmuszaj mnie, żebyś skrzywdziła Daisy. - W głosie cioci Nick pobrzmiwała błagalna nuta. - Jeśli zależy ci... Chociaż na jednej z nas...

- Uważasz, że chcę ją skrzywdzić? Ależ ona nie jest taka, jak my! To niczyja wina. Po prostu tak już bywa.

- To jest czyjaś wina - odparła ciocia Nick gwałtownie. - Moja. O Boże, to wszystko moja wina!

Tyler podsunął się bliżej, chcąc ją pocałować, ale ja nie czekałem, żeby na to popatrzeć. Zobaczyłem już dość, żeby wiedzieć.

Działo się to, co zawsze się działo z ciocią Nick.

Musiałem poczekać do następnej nocy, ale udało mi się wreszcie zobaczyć Franka Wilcoxa. Znalazłem jego adres w książce telefonicznej. Mieszkał w Katama; trzeba tam było pojechać rowerem. Dochodziła północ. Księżyc

nie świecił, więc droga była bardzo ciemna, ale udało mi się trafić na jego podjazd.

To był skromny dom, nieco cofnięty od drogi, nowo postawiony, sądząc z wyglądu. Najwyraźniej Frank stracił na pozycji. Zrobiłem niewielki rekonosans i przekonałem się, że parter to jedno duże pomieszczenie z niewielką kuchnią na tyłach. Wyciągnąłem swój stary szwajcarski scyzoryk, ten, który dał mi kiedyś wujek Hughes, i wyciąłem siatkę z wejściowych drzwi. Zdjąłem mokasyny i wszedłem do środka.

Poczułem pod stopami chłód drewnianej podłogi, spokój i zadowolenie. Umeblowanie sprawiało wrażenie wynajętego, ale na półce kominka stało parę ramek z fotografiami. Jakiś ślub i wakacje, chyba w Meksyku. Trudno było powiedzieć po ciemku, ale żona Franka wyglądała na nich młodo jak Daisy.

Niewiele udało mi się zobaczyć, ale na chwilę wszedłem do kuchni i złapałem torbę na śmieci. Ot, na wszelki wypadek.

Schody wyłożono chodnikiem, więc nie miałem problemu z zakradnięciem się do sypialni. U szczytu schodów rozejrzałem się jeszcze. Było tam troje drzwi, w tym dwoje zamkniętych. Jedne musiały prowadzić do łazienki, drugie - do sypialni. Miałem z tym lekką zagwozdkę. Przyłożyłem ucho do jednych drzwi, ale niczego nie usłyszałem. Przy drugich to samo. Uznałem, że łazienka to najprawdopodobniej drzwi pośrodku, więc wybrałem te dalsze.

Przekręcając ostrożnie gałkę, aż do zwolnienia zapadki, otworzyłem je powoli. Miałem szczęście, że dom był nowy. Żadnych skrzypiących zawiasów ani spróchniałego

drewna. Ale zrozumiałem, jak głupio zrobiłem, przychodząc tu pod wpływem impulsu, bez uprzedniego zbadania terenu.

Łóżko stało zaledwie o parę kroków. Kobieta leżała bliżej; jej ciemne włosy rozsypywały się na poduszce jak wachlarz. Ręce trzymała pod głową. Spod kołdry wystawało nagie ramię. Była młoda i niespecjalnie ładna. Wyciągnąłem rękę, bardzo powoli, i dotknąłem opadającego luźno pasma jej włosów. Miały miękkość mysiego futerka.

Obszedłem łóżko dokoła, na drugą stronę, lekko mnąc w palcach torbę na śmieci. Frank leżał tyłem do żony. Miał twarz zwróconą w stronę okna na przeciwległej ścianie.

Przystając nad nim, zobaczyłem, nawet w tym słabym świetle, że ogromnie się posunął. Wydawał się słabowity, wyglądał jak starzec. Rzadkie, siwe włosy opadały skąpo na jego czoło. Pochrapywał lekko przez uchylone usta. Na poduszce, tam gdzie wyciekła z nich ślina, widniał cień.

Dopadło mnie dziwne uczucie. Zawodu? Niesprecyzowanego gniewu? Franka, bardziej niż kogokolwiek innego, uważałem za swego ojca i zawsze go sobie wyobrażałem silnego i nieugiętego do końca, z dłońmi zaciskającymi się na szyi Eleny w jednej chwili, bez wahania. A przecież teraz leżał tu i chrapał, w domu wynajętym razem z umeblowaniem, stary człowiek, kompletnie nieświadomy, że włamał się doń jakiś nieznajomy. Który patrzy, jak on śpi.

Spojrzałem na torbę na śmieci. Nie było warto. Chciałem się odezwać, zapytać Franka, co się stało, dowiedzieć

się, jak się zamienił w to nieszkodliwe, złamane nic. Ale wiedziałem, że mi nie wolno. Więc zamiast tego wyjąłem z tylnej kieszeni portfel, a z niego stary kartonik zapalek z The Hideaway, który zawsze nosiłem przy sobie. Położyłem go ostrożnie na nocnym stoliku, a potem po raz ostatni spojrzałem na mężczyznę, który mnie stworzył, i wyszedłem z pokoju.

## 1969, PAŹDZIERNIK

Pamiętam, jak raz spytałem Daisy o miłość, o to, jakie to jest uczucie, a ona stwierdziła, że to jak tenis. Myślę, że chciała powiedzieć, że podobnie się czuła, grając w tenisa, ale przez długi czas w mojej wyobraźni pojawiało się dwoje graczy, z których każdy usiłował zdobyć punkty kosztem drugiego. Mniej więcej przez ostatni rok, kiedy leżałem w coraz to nowych szpitalach, słuchając buczenia lekarzy i poćwierkiwań pielęgniarek usiłujących mnie poskładać, miałem wiele czasu na myślenie i wspomnianie. I teraz, w kolejnym szpitalu, z jego ścianami w kolorze miętowych lodów, na myśl przychodzi mi inny obraz. Są na nim kobieta, mężczyzna i mroczna klatka schodowa. A to, co się tam dzieje, jest miłością w najczystszej postaci. Bo, jak podejrzewałem od dawna, miłość jest brutalna i nagła, a szkody, jakie wyrządza, są nie do naprawienia.

To było ostatnie lato. Następne lato po mojej wizycie u Franka Wilcoxa. Wróciłem do Tiger House na początku czerwca. Daisy i Tyler wciąż jeszcze nie byli

małżeństwem. „Długie zaręczyny”, jak nazywała to ona. „Ty jest ciągle taki zajęty”, powiedziała mi raz, kiedy ją zapytałem o to w minione Boże Narodzenie, a ja usypiałem swoją czujność nadzieją, że może jednak wszystko rozejdzie się po kościach. Ale ślub został wreszcie wyznaczony, na sierpień, i w czerwcu nic nie zapowiadało nieuniknionego zerwania. Tak więc znów zacząłem wracać myślami do problemu cioci Nick.

Podczas przeprawy promem na Wyspę próbowałem znaleźć jakieś rozwiązanie. Zamówiłem kawę i wziąłem ją ze sobą na pokład. Pomyśleć. Było wczesne popołudnie, sobota, i „Island Queen” pełna była weekendowych gości i hipisów. Założyłem swoje ray-bany, żeby nie musieć mrużyć oczu, i zacząłem się głowić nad problemem.

Naturalnie, najbardziej kusilo mnie pozbycie się Tylera. Ale to było ryzykowne. Po pierwsze, był mężczyzną, co oznaczało, że musiałbym go dopaść z zaskoczenia, a i tak istniała spora szansa, że mogło się zrobić nieprzyjemnie. Po drugie, Daisy go pragnęła. Nie mogłem zrozumieć dlaczego, ale znałem to uczucie - pragnienie czegoś - i nie chciałem jej go odbierać.

Ciocie Nick mogłem dopaść łatwiej. Któregoś wieczoru, po ciemku, na pomoście Yacht Clubu, po prostu wpadłaby do zatoki. Albo zdarzyłby się tam wypadek podczas pływania. Wszyscy wiedzieli, że lubiła popływać nocą, kiedy wypijała za dużo.

Ale nie chciałem zabijać cioci. Nie dlatego, że ją lubiłem. Może miało to raczej coś wspólnego z faktem, że była tak silna. A może dlatego, że mimo całej swojej dwulicowości, przydawała naszemu życiu inspiracji?



Sam nie wiedziałem. Wiedziałem tylko, że na myśl o tym zaczynałem czuć, że tkwię w martwym punkcie.

Pamiętam, jak patrzyłem, kiedy uprawiała seks z tym muzykiem, te wszystkie lata temu. On się na niej położył, a ona oplotła go jedną nogą i łagodnie gładziła po karku. Ale ta jej mina... Nie wiadomo było - nienawiść czy obrzydzenie. Tak czy inaczej, była w tamtej chwili tak dzika, że przez moment myślałem, iż ciocia rozszarpie mężczyznę na strzępy.

Właśnie o tym myślałem, kiedy nachyliła się do mnie siedząca obok mnie dziewczyna.

- Przepraszam, masz może ogień? - zagaiła.

Sięgnąłem do kieszeni. Zawsze nosiłem przy sobie zapalniczkę na takie właśnie okazje. Przypalając papierosa spojrzałem na tę dziewczynę. Miała blade włosy i nosiła wielki słomiany kapelusz z opadającym rondem, który rzucał cień na jej ramiona. Była piegowata.

- Dziękuję - powiedziała.

I natychmiast mnie zaintrygowała. Trzymała mapę Wyspy, z rodzaju tych, które dostaje się w informacji turystycznej w Woods Hole.

- To twoja pierwsza wycieczka na Wyspę? - spytałem.

- Tak - odparła. Spojrzała na mnie spod kapelusza, takim szybkim spojrzeniem, a później odwróciła wzrok.

- Gdzie się zatrzymasz?

- W pensjonacie w Oak Bluffs.

Udawała, że się koncentruje na swojej mapie, więc nie zadawałem już żadnych pytań. Zamiast tego czekałem. Po chwili wyjąłem z torby mój wierny tomik poezji i zacząłem przerzucać jego kartki. Poczułem, że dziewczyna znów na mnie zerka.

- Och - powiedziała po chwili. - William Blake.  
- Tak - potwierdziłem, podnosząc wzrok.  
- Uwielbiam go. Ginsberg mówi, że to prorok. Patrzyłem w milczeniu.

- No cóż, w każdym razie on tak twierdzi...  
- Dlaczego prorok? - zapytałem. Roześmiała się.  
- Tak w sumie to nie wiem. I ja się uśmiechnąłem.  
- Przepraszam. Zawracam ci głowę.  
- Nie zawracasz.  
- Mam na imię Penny - powiedziała. -Ed.  
- Słuchaj, czy mógłbyś popilnować mojej torby? Muszę pójść do łazienki. - Żeby móc mnie widzieć lepiej, poprawiła kapelusz.  
- Popilnuję tej torby - powiedziałem. Patrzyłem, jak idzie w stronę drzwi prowadzących

na niższy pokład. Stopy stawiała do środka, nieco koślawo. Przysunąłem sobie bliżej jej torbę i rozpiąwszy zamek na parę cali, wsunąłem rękę do środka. Wyczułem coś jedwabistego i wyjąłem apaszkę w małe różyczki, coś, co mogłaby na siebie założyć jakaś babcia. Wsunąłem ją do kieszeni blezera na potem.

Odchyliłem się do tyłu i poczułem na twarzy słońce. Zastanowiłem się, ile w Oak Bluffs może być pensjonatów, i zacząłem na poczekaniu robić listę tych, które znałem. A potem usłyszałem syrenę promu, sygnalizującą, że zbliżamy się do przystani, i zdałem sobie sprawę, że nadal nie znalazłem żadnego rozwiązania problemu, który czekał na mnie w domu.

Słyszę buty pielęgniarki na linoleum, zanim jeszcze naprawdę ją zobaczę. Szur, szur. A potem nagle pochyła się nade mną jej twarz. Uśmiechnięta, kiedy mam otwarte oczy.

- Dzisiaj wielki dzień - mówi, wygładzając moje prześcieradło i koc. - Dzień odwiedzin.

Sprawdza moje płyny.

- Wiesz, młody człowieku? Jesteś szczęściarzem - dodaje.

Gdybym mógł, na pewno bym się roześmiał.

- Nie każdy ma taką matkę, jak twoja. Niektórych nikt nie odwiedza. Nigdy. Wstyd! - Kobieta wydmuchuje powietrze ustami i na moment znika z linii mojego wzroku.

A potem słyszę jej głos gdzieś w okolicy drzwi. Bezcielesny.

- Ale nie ciebie. Co czwartek, jak w zegarku.

Ten monolog wygłaszany jest co czwartek. Jak w zegarku. W tym momencie, nawet gdybym mógł mówić, zapewne i tak nie musiałbym odpowiadać.

- Chciałbyś posłuchać radia? - Kobieta włącza je i wychodzi z pokoju.

*Tu Ten-Ten-Wins. Daj nam dwadzieścia dwie minuty, a my damy ci cały świat.*

*Policja, prowadząca śledztwo w sprawie zamordowanego przed kilkoma dniami kierowcy taksówki z San Francisco, dysponuje dowodem, że zabójcą może być ten sam mężczyzna, który w ciągu zeszłego roku dokonał czterech innych morderstw w okolicy zatoki.*

*„The San Francisco Chronicle” otrzymała list od kogoś, kto podpisuje się Zodiak, wraz z kawalkiem*

*zakrwawionego materiału, który prawdopodobnie został wycięty z koszuli ostatniej ofiary. Policja przeprowadza badania laboratoryjne celem ustalenia, czy ślad pasuje do grupy krwi zabitego.*

*W mrożącej krew w żyłach wiadomości autor listu kpi sobie z policji, pisząc: „Tu mówi Zodiak. To ja zamordowałem policjanta na rogu Washington Street i Mapie Street. Policja San Francisco mogła mnie ująć wczorajszej nocy, gdyby porządnie przeszukała park”. Śledztwo trwa.*

Co za gra pod publiczność! Od miesiący już powtarzają tę historię i trochę się dziwię, że facet jeszcze nie został złapany. Nie jest zbyt ostrożny. I szczerze mówiąc, trochę mnie już męczy. W jego dziele nie ma żadnego sensu.

No, ale to i tak chyba lepsze niż leżenie i gapienie się w sufit. Chciałbym, żeby tu otworzono okno. Chciałbym powąchać powietrze.

Kiedy przyjechałem, w Tiger House panowała cisza, więc uznałem, że wszyscy są na plaży. Wniosłem torbę na górę, do swojego pokoju, i rozpakowałem rzeczy. Zwinąłem apaszkę Penny i schowałem ją pod poduszkę. Czytałem właśnie rozkład jazdy, szukając autobusu do Oak Bluffs, kiedy wydało mi się, że słyszę z pokoju Daisy w głębi korytarza jakiś odgłos. Wyjmowała rzeczy z szafy i rozkładała je na łóżku. Wszystkie swoje skarby. Ten wielki pluszowy zwierzak, którego wygrała na kiermaszu w West Tisbury, jakieś stare kosmetyki do makijażu i komiksy. Na podłodze stało brązowe, kartonowe pudło.

Powietrze pachniało świeżością, przepełnione wonią kwitnącej za oknem albicji.

Daisy podniosła wzrok, a zobaczywszy mnie, drgnęła lekko i położyła dłoń na sercu.

- Och, Ed - powiedziała. A potem podeszła i pocałowała mnie w policzek. - Kiedy tu przyjechałeś? Odebrałabym cię z promu, gdybym wiedziała.

- Wziąłem taksówkę - odparłem. - Gdzie wszyscy?

- Kazałam mamie wziąć Tylera na łódkę, żeby nie siedział mi na głowie, a tata poszedł do Reading Room na karty. A twoja matka... - urwała. - W sumie, to nie mam pojęcia, gdzie jest twoja matka. Jesteśmy tylko ty i ja.

- Tak - powiedziałem.

Daisy ponownie podeszła do szafy i wyjęła kolejną porcję rupieci.

- Co robisz?

- Och, sprzątam tutaj. Robię miejsce dla Tylera. Mamy zamiar wywalić stąd te dwa pojedyncze łóżka i kupić jedno porządne, podwójne na po ślubie. - Uśmiechnęła się. - Poza tym najwyższy czas pozbyć się tych śmieci.

Podszedłem do łóżka i popatrzyłem na tę kolekcję. I przypomniałem sobie złość Daisy, kiedy powiedziałem jej, że odkryłem jej schowek. Podniosłem starą buteleczkę lakieru do paznokci. A potem zobaczyłem grot strzały, prezent ode mnie, wśród rzeczy przeznaczonych do kartonowego pudła. W oczach mi pociemniało.

- Prawdę mówiąc, uwielbiam wszystko w tym pokoju. - Daisy rozejrzała się wokół. - Tę starą tapetę. I albicję. Jestem niemądra, ale trochę mi smutno, że się tu pozmienia.

- To wcale nie jest niemądre - powiedziałem. Daisy westchnęła.

- Co masz zamiar zrobić z tą swoją kolekcją?

- Och, nie wiem. Pewnie ją wywalę.

Weszła do szafy, ale zaraz wystawiła z niej głowę.

- Ty sobie wyobrażasz? Za dwa miesiące będę już starą mężatką.

Może powinnam zaprosić na ślub Peaches?

- Więc jednak zamierzasz to zrobić?

- Co zrobić?

- Wyjść za niego.

- Na litość boską, Ed, co ty wygadujesz? Oczywiście, że zamierzam za niego wyjść.

Podniosłem grot i potarłem go palcami.

- Chyba nie powinnaś - powiedziałem. Spojrzała na mnie uważnie i usiadła na łóżku.

- Ed, ja doskonale zdaję sobie sprawę, że niekoniecznie za Tyem przepadasz. Ale ja go kocham.

-Tak.

- A poza tym - dodała. - Nic się nie zmieni. Tak naprawdę.

- I tak uważam, że nie powinnaś za niego wychodzić.

- Podaj mi choć jeden sensowny powód. Pomijając to, że go nie lubisz. - Teraz już Daisy była trochę zła.

Oto moment, w którym można wszystko wyznać. Ale nie byłem pewien, czy ona jest gotowa.

- No? - ponagliła.

- On kocha twoją matkę.

- Ed, serio. Naprawdę wciąż jeszcze walcujesz ten stary temat? - Roześmiała się.

Popatrzyłem na nią.

- Czy ja cię kiedyś okłamałem?

Odwzajemniła spojrzenie, a na jej twarzy zaszła zmiana. Widywałem coś takiego już wcześniej, kiedy człowiekowi zaczynało świtać w głowie, co się wydarzy i że to coś różni się ogromnie od tego, czego się spodziewał.

- Dlaczego mówisz mi takie rzeczy? - zapytała niemal szeptem.

- Bo to prawda - powiedziałem. - Widziałem ich.

- Edzie Lewis, przymknij się - powiedziała. Ale wstała z łóżka i podeszła do okna. Przesunęła dłonią po siatce i już wiedziałem, że Daisy dostrzega prawdziwość moich słów. Rzecz w tym, że dostrzegała ją zawsze.

Po chwili odwróciła się w moją stronę.

- Naprawdę nie rozumiem - powiedziała powoli. - Nie wiem, dlaczego chcesz mnie tak zranić.

Kiedy nie odpowiedziałem, przepchnęła się obok mnie i wyszła z pokoju. Spojrzałem na grot w mojej dłoni. Podeszedłem, by wrzucić go do kartonowego pudła, zadrżała mi ręka i wsadziłem go do kieszeni.

Kiedy wyszedłem z pokoju, pod drzwiami natknąłem się na matkę. Wiedziałem, że podsłuchiwała. Widziałem to wyraźnie.

Uśmiechała się.

- Witaj, Ed, kochanie.

- Idź i napij się koktajlu, mamó - powiedziałem i zostawiłem ją tam, z rozdziawionymi ustami.

- Popatrz, kto przyszedł - słyszę pielęgniarkę. - A nie mówiłam?

A potem widzę twarz matki. Jej oczy są łagodne. Wygląda staro, starzej nawet niż w zeszłym tygodniu.

- Witaj, kochanie - mówi i odgarnia mi włosy z czoła.

Nie lubię, kiedy mnie dotyka.

- Jak on się ma? - pyta pielęgniarki.

- Och, znakomicie - mówi pielęgniarka. - Za chwilę zajrzy tu lekarz i będzie z nim można zamienić kilka słów.

A potem zostajemy sami. Matka wyłącza radio i siada na krześle obok.

- A więc... - mówi. - Zobaczmy. To był pracowity tydzień. Pomagałam Carlowi w urządzaniu biura w tym domu w Oak Bluffs. Wspominałam ci kochanie, prawda? Na pewno mówiłam ci o Carlu. No cóż, więc znalazł miejsce w Oak Bluffs, gdzie może urządzić to biuro, rodzaj takiej placówki swojego kościoła. Mówi, że odkąd Teddy Kennedy zabił tę biedną dziewczynę na Chappy, kościół zdał sobie sprawę, że na Wyspie jest wielu potrzebujących pomocy ludzi. Którzy wybrali go, żeby założył kościół. Poznałam go w sklepie żelaznym, jak twojego ojca. Miałam zamiar kupić żarówki, a on kupował środki czyszczące. Ale to już ci mówiłam.

Matka wzdycha i wstaje z krzesła. Podchodzi do okna.

- On tak się poświęca - ciągnie. - I nauczył mnie wielu ciekawych rzeczy o mnie samej, o samorealizacji i o tym, jak wiele z mojej przeszłości, a nawet poprzednich wcieleń, blokowało mnie przed wzniesieniem się na wyższy poziom. Niedługo mam zamiar zacząć audyt. Och, Ed. On jest taki inteligentny!

Od kiedy matka poznała go w sierpniu, musiałem już sporo wysłuchać na temat Carla. Ciocia Nick nazywała kiedyś mojego ojca naciągaczem. Kiedy myślała, że nie słuchamy. Ciekawe, co by powiedziała o nowym adoratorze mojej matki?



Zdaje się, że przez incydent z Kennedym ściągnęło na Wyspę wielu dziwnych ludzi. Reporterzy, poszukiwacze wrażeń, religijne świry. Słyszałem to przemówienie Teda Kennedy'ego w radio. Powiedział, że po tym, jak zostawił tę dziewczynę, żeby utopiła się w samochodzie, zastanawiał się, czy nad całą rodziną Kennedych zawisło jakieś straszne fatum. I przypomniła mi się Daisy, która uznała, że wszyscy zostaliśmy przeklęci po znalezieniu Eleny Nunes. Co zabawne, matka powiedziała mi, że Ted Kennedy, zanim dotarło do niego, że nie ma innego wyjścia, jak iść na policję, próbował zaszyć się w The Hideaway. Ciekawe, co na to szeryf Mello?

Matka nadal mówi o Carlu, kiedy wchodzi lekarz.

- Dzień dobry pani.

- Doktorze Christiansen, witam. - Słyszę sztywny głos matki. Nie lubi lekarzy.

- Cześć, Ed. - Lekarz podchodzi do łóżka. - Jak się dziś czujemy? Patrzę na niego.

Odwraca się do mojej matki.

- Przepraszam, że nie udało nam się porozmawiać w zeszłym tygodniu, ale wyjechałem na konferencję.

- Chciałabym wiedzieć, panie doktorze, dlaczego on nadal nie mówi. Twierdził pan, że jeśli tu zostanie, ani się obejrzymy, jak to się zmieni.

- Tak, to nadal nieco zagadkowe. Jak pani mówiłem podczas naszej pierwszej rozmowy, uraz kręgów T-1 i T-2 nie powinien trwale uszkodzić strun głosowych. Oczywiście, początkowy wstrząs, w połączeniu z faktem, że Ed naprawdę nie poczynił żadnych postępów w poprzednim szpitalu, może oznaczać, że są osłabione.

Zupełnie tak samo jak jego palce. Jeśli będzie chciał odzyskać w nich czucie, będzie musiał nad tym popracować.

- Chce pan powiedzieć, że fizykoterapia nie daje rezultatów?

- Szczerze mówiąc, Ed nie reaguje na nią tak dobrze, jakbyśmy chcieli.

Matka podchodzi do mnie.

- Kochanie, naprawdę musisz się postarać. Oczywiście, ma rację. Ale to się wydaje bez sensu.

Po prostu nie ma nikogo, z kim chciałbym rozmawiać.

Kiedy Daisy wybiegła z pokoju, nie zobaczyłem jej mniej więcej do pory kolacji. Rozglądałem się za nią, poszedłem nawet na korty, ale i tam jej nie znalazłem.

Ciocia Nick i Tyler wrócili pierwsi. Włosy mieli potargane, a twarze zarumienione od słońca.

- Co za wiatr - powiedziała ciocia Nick.- Naprawdę nieźle tam duło.

Tyler, który niósł jej torbę, dotknął lekko ramienia cioci, mijając ją, żeby zejść do piwnicy. Zobaczyłem, jak się wzdrygnęła. Podejrzywałem, że nie lubi, kiedy on to robi w mojej obecności.

- Cześć, Ed - powiedział Tyler.

Ciocia Nick ucałowała mnie i przygładziła sobie włosy, ale jej oczy unikały mojego wzroku.

- Mam nadzieję, że na promie nie kiwało za bardzo - powiedziała.

- Nie - odparłem. - Nie kiwało.

- Gdzie twoja matka?

- U siebie w pokoju.

- A wujek Hughes jeszcze nie wrócił? -Nie.
- No dobrze. Wezmę prysznic i się przebiorę. A potem wypijemy drinka i opowiesz mi, co się u ciebie działo. - Ruszyła na górę.
- Daisy też nie ma - powiedziałem.
- Co? Aha. - Obejrzała się i przystanęła. Była zbita z tropu.
- Zdenerwowała się - dodałem.

Ciocia Nick trzymała rękę na balustradzie i widziałem, jak bieleją jej kostki.

- Powiedziała coś takiego?
- Nie - odparłem. - Po prostu widziałem.
- No cóż, za dwa miesiące wychodzi za mąż. Pewnie ma tremę. - Jej głos zabrzmiał lekko, ale kiedy wchodziła na górę, jej dłoń nadal mocno zaciskała się na poręczy.

Wujek Hughes wrócił z Reading Room niedługo potem i wszyscy już zdążyliśmy zebrać się w niebieskim salonie, kiedy weszła tam Daisy.

- Cześć - rzuciła.
- Witaj, koteczku - powiedział wujek. - Gdzieś ty była?
- Spacerowałam - odparła.
- Na co masz ochotę?
- Na nic, dzięki tato. Pić mi się chce. Chyba wezmę sobie szklanekę wody.
- Na barku jest resztką lemoniady - powiedziała moja matka. Nie piła i przez ostatni kwadrans przyglądała mi się nerwowo.
- Dzięki. - Daisy podeszła i wzięła do ręki szklanekę. Patrzyłem, jak ciocia Nick zaciska palce wokół nóżki kieliszka do martini.

- Widzieliśmy dziś na żaglówce naszego pocziwego pastora - powiedział Tyler z uśmiechem. - Chleb, ryby, te rzeczy.

- Naprawdę? - Daisy robiła wrażenie nieobecnej. - To miłe. Tyler wstał i podszedł do niej.

- Nic ci nie jest? - Chciał objąć ją ramieniem, ale się odsunęła.

- Nic. Jest mi tylko gorąco. I zmęczyłam się chodzeniem.

- Ja też chodziłem obok kortów - odezwał się. Daisy popatrzyła na mnie po raz pierwszy, odkąd weszła do pokoju. Ale nic nie powiedziała.

Wujek Hughes też spojrzał na mnie. Twardo.

- A co tam robiłeś?

- Szukałem Daisy.

- Daisy ostatnio nie grywa w tenisa - powiedziała moja matka. - A właściwie dlaczego, kochanie?

- Jest zajęta planowaniem ślubu, na litość boską - odpaliła ciocia Nick.

- Czy możecie wszyscy przestać rozmawiać o mnie tak, jakby mnie tu nie było? - Daisy z trzaskiem odstawiła szklanekę na marmurowy blat barku.

- Daisy ma rację - powiedział wujek Hughes. - To ma być godzina na koktajle, a nie hiszpańska inkwizycja.

Wszyscy zamilkli na chwilę. A potem wujek Hughes odwrócił się do cioci Nick.

- Co jest na obiad? - zapytał.

W pokoju zabrzmiały nerwowe śmiechy.

Ciocia Nick wstała i wsunęła dłoń w dłoń wujka.

- Dostałam parę ładnych fląder od mojego ulubionego rybaka.

Wujek Hughes spojrzał na nią i położył dłoń na szczycie jej głowy. Jak czapeczkę.

- Brzmi świetnie.

Tyler spoglądał na tych dwoje oczami jak z metalu. Daisy zauważyła jego minę, mięśnie na jej twarzy drgnęły. Potem odwróciła wzrok.

- Idę się przebrać - powiedziała.

- Dobrze, kochanie - odparła ciocia Nick do pleców wychodzącej córki.

Ciocia Nick miała rację. Flądra była pyszna. Podobało mi się, że zostawiła na niej skórę, dzięki czemu mogłem ją oddzielić widelcem i odkryć białe mięso pod spodem. Zjadłem nawet kawałeczek skóry. Była chrupiąca i sło-nawa, przesiąknięta aromatem przypraw.

Ciocia Nick mówiła o Dniu Niepodległości i o tym, że jej zdaniem miło byłoby zorganizować rodzinny piknik. A potem wujek Hughes opowiedział historię o tym, jak słyszał niemieckie samoloty bombardujące Londyn w sylwestra, myśląc, że to fajerwerki. Moja matka była niezwykle cicha, a Tyler zdawał się zaabsorbowany jedzeniem.

Po obiedzie Daisy przeprosiła wszystkich zniecka. Nogi jej krzesła zazgrzytały głośno na drewnianej podłodze.

- Pójdę i zobaczę, czy wszystko z nią w porządku - powiedziała ciocia Nick po chwili.

Tyler też zrobił ruch, jakby chciał wstać, ale powstrzymała go.

- Ty zostań tutaj. - Jej głos był szorstki i niski. Moja matka podniosła się i zaczęła sprzątać ze stołu.

- Pomogę ci - powiedział wujek Hughes i poklepał ją po plecach.

Tyler i ja siedzieliśmy naprzeciwko siebie. Ja patrzyłem na niego, a on na mnie. Widziałem po jego minie, że wie, że ja wiem. Świerzbiły mnie dłonie. Wstałem szybko od stołu, żeby nie zrobić czegoś nieprzemyślanego, i udałem się śladem cioci Nick i Daisy.

Z frontowej werandy widziałem, jak ciocia Nick przecina drogę w pogoni za oddającą się sylwetką Daisy schodzącej frontowym trawnikiem w mrok. Trzymałem się na dystans, idąc blisko parkanu, po drugiej stronie. Podążały w kierunku szopy na łódź. Ja obszedłem ją z przeciwnej strony, mijając natrysk.

Powietrze z tej strony było wilgotne od rozlanej wody. Usłyszałem kapiący kurek i poczułem pod butami przesiąkniętą wodą trawę. Podeszwy wydawały na niej plaśnięcia, co niezbyt mi sprzyjało. Przy frontowej ścianie zatrzymałem się i zacząłem nasłuchiwać. Zobaczyłem dobiegające zza rogu światło i zrozumiałem, że Daisy musiała zapalić jedną z lamp naftowych.

Siedziała na niskich stopniach. Ciocia Nick przysiadła obok. Obie milczały.

Cofnąłem głowę i oparłem się o ścianę, czując, że gont wbija mi się w łopatki.

Po chwili usłyszałem głos cioci Nick.

- Kochanie, co się dzieje? Daisy nie odpowiedziała.

- Cokolwiek by to było, uważam, że powinnaś mi powiedzieć.

Czy chodzi o ślub?

- Pamiętasz... - odezwała się Daisy wreszcie. - Jak kiedyś mi powiedziałaś, że jeśli istnieje jedna rzecz, której mogę być pewna, to jest nią fakt, że nie zawsze będę się całowała z właściwą osobą?

- Tak, pamiętam.

- Siedziałyśmy właśnie tutaj. A ty mnie głaskałaś po głowie.

-Tak.

- Ale mówiłaś o sobie, prawda? To wcale nie dotyczyło mnie.

- Daisy...

- Nie, nie. Nic nie mów, mamó. Ja to teraz rozumiem. Zawsze chodziło o ciebie, prawda? We wszystkim. Ja się dla ciebie nigdy nie liczyłam. Nikt z nas się nie liczył.

- Liczysz się dla mnie, Daisy. Wiem, że nie jestem najlepszą matką. Pewnie nie jestem też zbyt dobrym człowiekiem. Ale liczysz się dla mnie i ciebie kocham. O co w tym wszystkim chodzi?

- Boże, mamó! Jak w ogóle możesz o to pytać?

- O co ci chodzi? Powiedz wprost, Daisy.

- O co mi chodzi? O wszystko. Nie obchodzi cię nikt, poza tobą samą. Nigdy cię nie obchodził. - Słowa Daisy wymykały się wśród lekkiej zadyszki, jak u zmęczonego zwierzęcia. - Przez całe moje życie nigdy nie stałaś po mojej stronie. Byłaś zazdrosna, twarda i zimna... Jakaś odrobina miłości to tylko od taty... A skoro ty nie możesz jej od niego dostać...

- To co? To co, Daisy? Daisy nie odpowiedziała.

Po chwili odezwała się ciocia Nick, tym razem łagodniej.

- Nie umiem wyjaśnić ci wszystkiego, kochanie. Nie umiem ci opowiedzieć całego życia. Pełnego błędów, zmarnowanych szans i wszystkiego, co... Po prostu nigdy nie chciałam być zwyczajna. Może to mnie zmieniło,

dodało twardości. Ale rodzina... No cóż, to nie jest proste. Nie wiem, co to wszystko wywołało, ale widzę, że cię zraniłam i to na wiele sposobów. Rozumiem to. I przykro mi.

Daisy milczała, jakby się zastanawiając.

- Ty naprawdę nie wiesz, o co chodzi? - odezwała się wreszcie. - Mówisz uczciwie?

- Tak - powiedziała ciocia Nick. - Nie wiem, co takiego zrobiłam. Proszę, powiedz mi wreszcie.

- Nie wiem... - powiedziała Daisy powoli. - Sama nie wiem, co mi strzeliło do głowy.

- Kochanie... - zaczęła ciocia Nick. Przynależem się powoli nieco bliżej i wyrzależem zza rogu.

Ciocia Nick położyła dłoń na stopniu schodków, jakby chciała dotknąć Daisy, ale obawiała się tego gestu. Daisy ze spuszczoną głową wbijała wzrok w swoje stopy.

- Nie wiem, czy to ja zaczynam tracić rozum, czy ty... Może to chodzi o ten ślub i nerwy, nie mam pojęcia - powiedziała. - Jeśli tak jest, to przepraszam. Przepraszam, że powiedziałam te wszystkie rzeczy. - Wstała i zaczęła chodzić tam i z powrotem. Przystanęła. - Ale w razie gdyby... Jeśli to nie jest mój wymysł i on ma rację... - Znów urwała i spojrzała w stronę zatoki. - Chcę, żeby to się skończyło, mam. Musisz z tym skończyć.

Ciocia Nick popatrzyła na nią i potrzęsnęła głową gestem stanowiącym połączenie zakłopotania i zgody.

Ale ja wiedzałem, że ona nie przestanie, nawet gdyby chciała. Nie umiała.

Poczułem w piersi silny ucisk i zawróciłem do Tiger House. Kiedy otwierałem zasuwkę frontowej furtki,



zobaczyłem, że na werandzie stoi moja matka. Kiedy do niej podszedłem, złapała mnie za rękę. Zdziwiłem się, bo dotykała mnie raczej rzadko.

- Ed - powiedziała. - Czekałam tu na ciebie. Chciałam ci coś powiedzieć o tym, co wcześniej. O Daisy i cioci Nick.

Popatrzyłem na nią. Wydawała się przerażona.

- Słyszałam, co powiedziałeś Daisy o Tylerze. Nie wiem, czy przeze mnie nie nabrałeś fałszywych wyobrażeń. Nie chciałabym, żebyś postawił siebie w sytuacji... - urwała.

Popatrzyłem na swoją dłoń w jej uścisku i poklepałem ją po ramieniu, tak jak wcześniej zrobił to wujek Hughes.

- Wszystko w porządku, mamó - powiedziałem. - Nic się nie martw. Wszystko będzie dobrze.

Ale nic tego nie zapowiadało. W domu było duszno, więc zdecydowałem, że pójdę na spacer, przewietrzyć sobie głowę. Jakiś czas szedłem skrajem plaży, rozmyślając. Wiedziałem, co musi zostać zrobione, ale po raz pierwszy w życiu czułem się niegotowy. Niezdecydowany. W pewnym sensie. I wiedziałem, że to niebezpieczne. Jak wizyta w domu Franka Wilcoxa bez wcześniejszego rozpoznania terenu.

Nasłuchiwałem syren przeciwmgielnych. Miały płaczliwe głosy. Pomyślałem o Daisy, zobaczyłem, jak stoi tam z dłonią na sercu, zaskoczona moim widokiem. Pomyślałem o tym, że zawsze zwracała się do mnie „Edzie Lewis”, że tupała nogą, kiedy była zła. Że kiedy dorastaliśmy, tylko ona jedna rozmawiała ze mną naprawdę. Tylko ona jedna mnie zauważała.

Nie wiedziałem, ile czasu byłem poza domem, ale kiedy wróciłem, zobaczyłem, że ciocia Nick i wujek Hughes siedzą w salonie, przy drinkach. Na sofie, bardzo blisko siebie, widocznej w jasnym świetle z miejsca w którym stałem. Ta lampa była jedynym w domu światłem, co znaczyło, że wszyscy inni musieli się już położyć.

Przeskoczyłem furtkę i cicho pokonałem frontowe stopnie. Chciałem wejść do środka i sprawdzić temperaturę, ale zatrzymała mnie ich rozmowa.

- Co jeszcze ci powiedziała? - pytał wujek Hughes.

- Ona... - Ciocia Nick urwała. - Ona uważa, że ja coś zrobiłam.

-Co?

- Hughes. Muszę ci coś powiedzieć.

- Na litość boską, o co chodzi?

- Ja już od tego wariuję. Nie chcę zranić Daisy ani ciebie. Ani nikogo. Nie byłam szczerą...

Wujek Hughes popatrzył na nią, a potem na własne dłonie. Milczał przez chwilę.

- Nick, z niczego nie musisz się tłumaczyć - powiedział.

- Nie wiesz, w czym rzecz. - Wpatrywała się w jego zmartwioną twarz.

- Może wiem, może nie wiem. Ale to nieważne. Znam cię. Wiem, do czego jesteś zdolna, a do czego nie. Nie jesteś zdolna do okrucieństwa.

- Kochanie...

- Nick, ja cię kocham - wyznał z prostotą. - I sędzę, że nie ma takiej cholernej rzeczy, którą mogłabyś teraz zrobić czy powiedzieć, która by to zmieniła. - Spojrzał

na nią. - Więc niczego nie musisz mi wyjaśniać. Ja już wiem wszystko, czego potrzebuję.

- Och, Hughes. - Ciocia Nick uniosła dłoń do jego twarzy. - Nie masz pojęcia... Tyle spraw nam wszystkim popsulałam.

- Wszyscy wszystko sobie nawzajem popsuliśmy - powiedział wujek Hughes. - Ale w pewnej chwili będziesz musiała mi zaufać. Rozumiesz?

- Tak - powiedziała. Potrząsnęła głową. - Zawsze myślałam, że nasze życie jest... - urwała. - Boże, jak ja się myliłam! Nie wiem, czy to zabrzmiało jakoś w miarę sensownie, ale patrzyłam dziś na kogoś, kto przypominał mi, jaką sama byłam cholerną, małą idiotką. - Roześmiała się cicho, jakby ktoś właśnie podzielił się z nią najszybszym żartem świata. - Zdaje się, że małżeństwo to jak skok z urwiska. Nie można tracić odwagi.

Nie podobała mi się ta rozmowa. Reakcje cioci Nick i jej głos zbijały mnie z tropu, jakby umykało mi coś istotnego. Nie dawało mi to spokoju. Musiałem przestać myśleć. Musiałem po prostu zrobić porządek z tym wszystkim i mieć to już z głowy. Wziąłem głęboki oddech i wszedłem do domu, pozwalając, żeby drzwi zamknęły się za mną z trzaskiem.

Kiedy wszedłem do salonu, zobaczyłem na barku dzbanek świeżo przygotowanego martini. To był dobry znak. Będzie mi znacznie łatwiej, jeśli ona się upije.

- Wracam ze spaceru - odezwałem się. - Chciałem tylko powiedzieć dobranoc.

- Dobranot, Ed - powiedział wujek Hughes. Wyraźnie zastanawiał się, czy wcześniej ich szpiegowałem.

- Dobranoc - dodała ciocia Nick. Wydawała się rozdrażniona.

Podszedłem do niej i nachyliłem się, żeby ją cmoknąć w policzek. Był gładki i chłodny, a ja poczułem w oddechu ciotki zapach jej perfum i wódki.

- Dobranoc, ciociu - odparłem. A potem zabrałem się do swojego pokoju i zacząłem czekać.

Leżałem, wpatrując się w sufit. Zanim usłyszałem, że wujek Hughes wchodzi na górę, minęła godzina. Może mniej. Dość czasu, żeby obydwójce dokończyli ten dzbanek z martini. Miałem nadzieję, że ciocia Nick pójdzie popływać. To by wszystko ułatwiło. Wiedziałem, że dziś może się to nie udać i że być może będę musiał poczekać na właściwy moment. Ale kiedy nie usłyszałem kroków cioci na schodach, wstałem i zacząłem się szykować.

Wyjąłem buty z plastikowej torby, usłużnie dostarczonej przez czyścibuta. Nieco ją rozprostowałem rękami, żeby sprawdzić, czy okaże się wystarczająco duża. Szczegóły są istotne. Trzeba to było zrobić starannie. Bo wszystko musi wyglądać na wypadek.

Zszedłem na podest pierwszego piętra i wyjrzałem przez okno. Nie zobaczyłem cioci Nick, więc zszedłem niżej. Zajrzałem do salonu, ale był ciemny i pusty. A potem zobaczyłem ją na zewnątrz, na werandzie, gdzie kończyła drinka. Pusty kieliszek postawiła ostrożnie na balustradzie, a potem zakryła twarz dłońmi i usłyszałem płacz. Słyszałem gdzieś o gorzkim płaczu, a teraz zrozumiałem, co to znaczy. Brzmiał tak, jakby z rury wydmuchiowano chrzęszczący żwir.

Po chwili ciocia otarła oczy i wyprostowała plecy, sztywno jak kij. W tym momencie odczułem dla niej rodzaj podziwu. Ale pomyślałem o Daisy i to uczucie

minęło. Ciocia Nick wzięła swój kieliszek i ruszyła do drzwi. Ja cofnąłem się w mrok salonu.

Minęła mnie w drodze do kuchni, a ja cicho wszedłem na górę po schodach, biorąc po dwa stopnie naraz, na pierwsze piętro. Drzwi wszystkich sypialni były pozamykane jak śpiące oczy. Ustawiłem się w kącie podestu i ukryłem za szafkowym zegarem. Wyjąłem plastikową torbę. Czekałem.

Miałem zamiar zarzucić jej torbę na głowę od tyłu, kiedy będzie skręcała w stronę swojej sypialni. A kiedy przestanie oddychać, pozwolić jej zsunąć się po schodach. Narobiłaby hałasu, ale niewiele, a mnie wystarczyłoby czasu, żeby dotrzeć przynajmniej do środka następnego biegu schodów, zanim wujek Hughes czy moja matka zdążyliby wyjść ze swoich pokojów. Wyglądałoby to tak, jakbym zbiegał na dół zobaczyć, co się dzieje. Okazałoby się, że ciocia Nick, po zbyt wielu martini, potknęła się i spadła.

Wydawało mi się, że zanim wreszcie ruszyła na górę, trzymając się na nogach nieco niepewnie, minęły godziny. Słyszałem własny oddech i usiłowałem wyciszyć myśli, tak jak robiłem to tyle razy przedtem. Kiedy mijala mnie na schodach, wyszedłem z kąta i stanąłem za jej plecami. Ale ona się obejrzała. Do dziś dnia nie mam pojęcia, dlaczego to zrobiła, bo nie mogła mnie usłyszeć. Ale tak czy owak staliśmy na tym podeście. Ja z uniesioną w obu dłoniach torbą, ona ze zmarszczonymi brwiami, usiłująca to zrozumieć. Byłem teraz tak blisko niej!

- Ed, co ty robisz? - Z jakiegoś powodu wyszeptała. Jakbyśmy dzielili wspólny sekret.

Pomyślałem: „Teraz”. Teraz! Nie narobiła jeszcze hałasu! Ale zamiast tego odpowiedziałem. - Ty. Ty i Tyler.

Jej oczy rozszerzyły się wtedy nieco, bo zrozumiała. Odsunęła się ode mnie. Ja ruszyłem w jej stronę. Sytuacja w ogóle nie układała się zgodnie z planem. Prawdę mówiąc, wszystko szło na opak. To było zbyt ryzykowne. Ale nie miałem już wyboru. Musiałem dokończyć to, co zacząłem.

Złapałem ją, zaciskając ramię wokół jej szyi, obróciłem i przyciągnąłem do siebie. Stawiała większy opór, niż oczekiwałem, ale z drugiej strony nie szykowałem się przecież na otwartą konfrontację.

Kiedy już ustawiłem ją plecami do siebie, zakryłem jej usta ręką; ciocia drapała mnie po ramieniu. Drugą ręką strzepnąłem plastikową torbę. Czułem w uszach szum krwi. Słyszałem drapanie obcasów o posadzkę, kiedy ciągnąłem ją w stronę schodów. Ogarnęła mnie panika. Musiałem działać szybko. Pchnąłem łokciem jej szyję, żeby móc zarzucić jej torbę na głowę. Pod moją dłońią ciocia wydawała mokre, ssące odgłosy.

Jakoś udało mi się wsadzić tę torbę i zacisnąłem wylot wokół jej szyi. Czułem, jak ciocia wciąga powietrze i plastik. Już prawie mi się udało.

A potem, zupełnie znienacka, coś się zacisnęło na mojej własnej szyi. Czyjaś ręka zgniatała mi krtań. Nie miałem wyjścia, musiałem ją puścić. I wiedziałem, że już po wszystkim. I że się nie udało.

Poczułem, że ciocia Nick wysuwa się z mojego uścisku i pada; słyszałem kaszel gdzieś blisko moich stóp. Szelest torby.

- Nick. - Usłyszałem za sobą wujka Hughesa.

Ne widziałem cioci, bo głowę miałem wykręconą w górę w jego uścisku, ale po chwili usłyszałem, jak mówi:

- Nic mi nie jest. - To był w sumie raczej skrzek, niż głos.

Wujek Hughes szarpnął mnie, odwracając twarzą do siebie. Nie było sensu walczyć z nim czy błagać go o litość. Widziałem to w jego oczach. Pomyślałem o Daisy. O tym, jak pokazałem jej, gdzie zabito pokojówkę, i o grocie strzały, i o tym, że Elena Nunes usiłowała podzielić się z nami swoim sekretem, zanim umarła. Teraz przyszła kolej na mnie.

- To był Tyler - powiedziałem.

Wujek Hughes spojrzał mi prosto w oczy. A potem zepchnął mnie ze schodów.

Matka mi czyta. Robi to co tydzień. Odczytuje mi z gazety bieżące wiadomości, jakbym oślepl. Poza tym, że mnie sparaliżowało i odebrało głos.

Czyta mi przez jakąś godzinę, a potem robi się już na nią pora. Dzisiaj słucham o antywojennej demonstracji w Chicago. Musiano wezwać na pomoc Gwardię Narodową, co najwyraźniej będzie miasto kosztowało sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Gazeta określiła wiec mianem „dnia gniewu”. Nudzi mnie to. Prawdę mówiąc, nie opuszcza mnie wrażenie, że nie usłyszałem niczego interesującego od roku. Nie od tamtej nocy.

A potem matka mówi:

- Och, zapomniałabym ci powiedzieć... W domu mieliśmy niezłą scenę. - A ja myślę sobie, że może wreszcie moje szczęście się odwraca.

Odkłada ten swój stosik wycinków.

- No cóż, Daisy przyjechała na weekend. Czy ja ci o tym mówiłam? Chyba wspominałam ci w zeszłym tygodniu, że się do nas wybiera. No i, wyobraź sobie, kto się pojawia? Tyler. Najwyraźniej przyjechał aż z miasta. A, jak wiesz, nie widzieliśmy go na oczu od czasu ich zerwania.

Matka przysuwa sobie krzesło nieco bliżej. Nie chce, żeby pielęgniarki słyszały, jak pierze rodzinne brudy.

- Nie mam pojęcia, skąd on u licha wiedział, że Daisy przyjedzie, ale zjawił się nagle, we własnej osobie, i stanął przed domem w tym swoim idiotycznym samochodzie. No więc, oczywiście, poszłam to powiedzieć Daisy, i, kochanie, nie wyobrażasz sobie, co ona na to! Poszła do piwnicy i wróciła z torbą pełną piłek tenisowych i rakieta. Po prostu dech mi zaparło, co się stanie.

Teraz też ledwie łapie oddech.

- No więc, ona wychodzi na werandę i woła go po imieniu. A kiedy już wyglądało na to, że on za moment wysiadzie, ona sięga do torby i wyjmuję piłkę, a potem, och, jak uważnie, podrzuca ją i wali z całej siły w jego samochód. Dobry Boże, ależ ona ma cęła, trzeba jej przyznać!

Widzę, jak w oczach matki zbierają się łzy rozbawienia.

- No a wtedy, oczywiście, on zaczyna wrzeszczeć. Ale Daisy nie przerywa, wali jedną piłkę za drugą, aż wreszcie on nie ma wyboru i musi odjechać, chyba że chce mieć wybitą przednią szybę. Och, Ed, prawie się popłakałam ze śmiechu! A potem ona wchodzi z powrotem do domu i widzi mnie. A mnie się robi nieco przykro, bo nie chcę, żeby sobie pomyślała, że rozbawiło



mnie jej złamane serce. Mówiłam ci, jaka była nieszczęśliwa, odkąd ją zostawił? Biedactwo. Ale teraz patrzy tylko na mnie i mówi: „No cóż, ciociu Heleno, dałam mu popalić”. A potem zaczyna się śmiać i dodaje: „Do stu piorunów!”, zupełnie jak kiedyś. Muszę przyznać, kochanie, nigdy nie kochałam tej dziewczyny tak bardzo, jak w tamtej chwili.

Kiedy matka mi to opowiada, czuję, że mięśnie moich policzków naciągają się i zaczyna do mnie docierać, że się uśmiecham. Matka ociera oczy i patrzy na mnie.

- Ach. Uśmiech. No, trzeba to gdzieś zapisać. - A potem zbiera swoje rzeczy i całuje mnie w policzek. A wtedy ja myślę sobie, że może jednak wcale mnie nie nudzi wysłuchiwanie nowin.

Leżąc tam, u stóp schodów, w mroku, słyszałem ich głosy. Musiałem stracić przytomność, ale jakiś czas później odzyskałem orientację.

- Och, Hughes - mówiła ciocia Nick chrapliwym głosem. Wyobraziłem sobie, że jej szyja niezle oberwała, kiedy ją ściszałem. - O Boże!

Słyszałem, że płacze. Zrobiło mi się bardzo zimno.

- Musimy wezwać karetkę - powiedziała.

Wtedy ją zobaczyłem. Siedziała obok mnie i chyba mnie dotykała, ale nie czułem jej dłoni.

- Ed? Ed, możesz się poruszyć? Hughes, daj mi koc.

- Chyba... - Wuj nie powiedział nic więcej, więc musiał po ten koc pójść.

A później wyłonił się z mroku i zobaczyłem, że coś na mnie narzuca. I dopadła mnie dziwna myśl, że oni mnie grzebią.

- On mnie chyba nie słyszy - powiedziała ciocia Nick.

- Zadzwoiłeś?

- Zadzwoiłem.

A potem usłyszałem kroki na schodach. Nick szepnęła:

- Jezu, co my powiemy Helenie?

- Posłuchaj mnie - powiedział wujek Hughes bardzo powoli. - Lunatykował i spadł ze schodów. Oboje byliśmy w łóżku i usłyszeliśmy hałas, więc wyszliśmy sprawdzić. Rozumiesz?

- Tak - odparła.

Przez jakiś czas nic nie słyszałem. Kątem oka dostrzegłem jakiś ruch. Zamrugałem.

A wreszcie usłyszałem, jak ciocia Nick mówi:

- Hughes. Posłuchaj mnie. Usiłowałam ci powiedzieć.

- W jej głosie brzmiało jakieś gorączkowe naleganie.

- Wiem...

- Nie, musisz coś zrozumieć. Do niczego nie doszło. Z Tylerem. To nie tak... On po prostu nie chciał przestać. Chyba myślał, że skoro...

- Nick, ja rozumiem.

Usiłowałem się poruszyć, ale przekonałem się, że nie mogę. Czuję trochę bólu, ale tylko w czaszce; sprawiała wrażenie, jakby mogła się zapaść do środka. Ciocia Nick pochyliła się nade mną. Podparła mi głowę jedną dłonią.

- Gdzie jest ta cholerna karetka? - zapytała.

- Są w drodze. Milczenie. A potem:

- Hughes? -Tak?

-To strasznie dziwne, ale ja mam wrażenie, że...

- Musiałem się wysilić, żeby ją usłyszeć. - Jakby wszystko... -  
urwała.

- Tak - powiedział wujek Hughes. - Bo tak jest.

A wtedy przed oczami zobaczyłem gwiazdy i cały świat pogrążył się w mroku.

- No, dziś pamiętny dzień - mówi pielęgniarka.

- Masz kolejnego gościa.

- Cześć, Ed.

To Daisy. Nie widzę jej, ale ją słyszę. Koncentruję się na mojej szyi, ale ta nie chce się poruszyć. Prawie nie mogę uwierzyć, że Daisy tu przyszła. Odwiedziła mnie tylko raz, zaraz na samym początku. Zastanawiałem się, czy wie o tych schodach i o całej reszcie, i czy nie zdoła mi wybaczyć, jak przewidywała ciocia Nick.

Ale ona stoi nade mną z uśmiechem na twarzy, więc chyba mnie mimo wszystko nie nienawidzi. Jest blada, ale to październik i opalenizna miała prawo już zblaknąć. Patrzę na nią i usiłuję oczami przekazać jej to, czego nie mogą wypowiedzieć moje usta.

- Mój Boże - mówi. - Co ty tak przewracasz oczami?

- Pochyliła się i kładąc dłoń na moim policzku, całuje mnie w usta. To lekki pocałunek. Jak muśnięcie skrzydeł motyla.

- Przepraszam, że do ciebie nie przychodziłam. Było mi bardzo smutno. Ale już zaczynam czuć się lepiej. - Jej jasne włosy są krótsze, tworzą wokół jej głowy aureolę. Rozgląda się dokoła. - Strasznie tu duszno. Dlaczego nie otworzą ci okna?

Siada na krześle obok mojego łóżka.

- A więc, Edzie Lewis, mówią mi, że kompletnie

przestałeś z nami rozmawiać. O co chodzi, kot ci odgryzł język?  
Uśmiecham się.

- Tyle to za mało - mówi Daisy. - Nie jestem już taka łatwa.

Otwiera płócienną torbę, którą ze sobą przyniosła, a mnie się przypomina opowieść matki o tenisie.

- Ponieważ jestem pewna, że całą tę ostatnią paskudną historię już usłyszałeś od swojej matki, i skoro ty nie zamierzasz rozmawiać, przyniosłam ze sobą kilka wierszy. Pomyślałam, że poczytam ci, jeśli zechcesz... Chyba że cię to nudzi?

Patrzę na nią.

- Nie? To dobrze. - Kiedy Daisy wyjmuje książkę, do pokoju wchodzi pielęgniarka.

- Bardzo przepraszam, panno Derringer, ale zwykle w czwartki myjemy Edowi głowę. Po wyjściu jego matki.

- Och - mówi Daisy - No tak, jasne. Może mogłabym pomóc?

- Jestem pewna, że bardzo by się ucieszył. Prawda?

- Och, na pewno by się ucieszył. - Daisy mruga do mnie okiem.

To cała operacja, te przenosiny z łóżka na wózek na kółkach. Trochę się irytuję, bo to przecież czas, który mógłbym spędzić z Daisy. A potem pielęgniarka zawozi mnie do łazienki, a Daisy idzie za nami. Pielęgniarka mocuje mi wokół ramion i szyi rynienkę, żeby woda mogła spływać do zlewu.

- No tak. To ja mu zmoczę włosy, a potem możemy je namydlić - mówi.

Nie wiem, dlaczego nigdy wcześniej nie zauważyłem nadgarstków tej pielęgniarki. Są tak przeźrocyste, że niemal niebieskie. Dociera do mnie, że nawet nie znam jej imienia. Upominam sam siebie, żeby zwracać na nią większą uwagę.

Czuję ciepłą wodę spływającą po skórze głowy. Patrzę na Daisy. Ona się uśmiecha. Wyciąga rękę, a pielęgniarka wyciska nieco różowego szamponu na zagłębienie w jej dłoni. A potem Daisy zaczyna masować mi głowę. Czuję jej ręce, ciepłe, na swoich włosach, pod czubkami jej palców skóra zaczyna mnie łaskotać aż po ramiona. Trochę mydlin spływa mi po czole i dostaje się do oczu. Piecze mnie i mój prawy wskazujący palec drga. Ten lekarz ma rację. Powinienem bardziej się postarać.

- Przepraszam - mówi Daisy ze śmiechem. - Słabo mi to idzie, prawda? Może jednak powinnam pozwolić pani skończyć. A ja mu poczytam.

Zostawia nas w łazience, a potem wraca z książką.

- Wallace Stevens - mówi i pokazuje mi okładkę. - No dobra, zobaczmy. - Przegląda tomik i uśmiecha się do czegoś na jednej ze stron. - Och, ten uwielbiam - mówi. Opiera się o ścianę i zaczyna czytać.

- „Po domach straszą duchy białych nocnych koszul...”.

Słucham brzmienia jej głosu i myślę, że niczego lepszego nie słyszałem w życiu. Jest taki wyraźny, i prawdziwy, i pewny. Chcę powtarzać te słowa razem z nią. Siłą wyduszam powietrze przez gardło. Nic się nie dzieje.

- „Żadne nie są zielone/Ani fioletowe w zielone kółka/Ani zielone w żółte kółka” - mówi. - „Żadne nie są dziwne”.

Próbuję znowu i tym razem udaje mi się wydobyć niewielki bulgot, chociaż nikt go nie słyszy przez spływającą do zlewu wodę. Ale ja go słyszę.

- „Ludzie nie chcą śnić/O pawianach i barwinkach” - ciągnie Daisy.

Patrzę na nią. Słyszę ją.

- „Tylko tu i tam, jakiś stary żeglarz/Pijany i śpiący w butach/Chwyta tygrysy/W porze czerwieni”.

Spogląda na mnie. Jej oczy lekko błyszczą, chociaż to może od tej pary. Myślę o miłości i o tych wszystkich nocnych koszulach, które nie są białe. Myślę o cioci Nick i o Franku Wilcoxie, i nawet o wujku Hughesie. Myślę o Daisy i jej tomiku poezji. Myślę o tygrysach w porze czerwieni.

Podoba mi się to.